



pseud. Sclavus

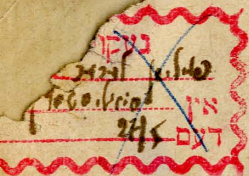
WIESŁAW SCLAVUS

UGODOWCY

WYDANIE CZWARTE



45, -



Komputer



83504

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0011310

V.-117/77|83504



CZEŚĆ PIERWSZA



„Więc pierwsza miała na czele Grafa „Skir, który utrzymywał stronę tych, co się „przebiórą w kontusze i nazywał się będą „szlachta, jakby z Lachem na nowo przybyli „do kraju pustego.

„A druza miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabellę, który chciał ziemię „podzielić i ożłosić wolność chłopów i równość „szlachty z żydami i cyganami.

„A trzecia na czele swoim miała księdza „Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i „na ocalenie „raju podawał sposób jedyny, iść i „ginać, nie broniąc się, jak męczennicy.

„Te więc trzy gromady zaczęły być między „sobą niezgodne w duchu i kłócić się zaczęły o „zasady.”

J. Słowacki: „Anelli”.

I.

Wieczór zapadał. Mglisty, mroźny wieczór. Warszawa, spowinięta w szarawą oparę, rozpalala zwolna tysiące świateł i światełek, które wystrzelały bezładnie z okien domów, pięły się po słupach latarni miejskich, buchały z wystaw sklepowych, migotały u boków pojazdów i dorożek, zlewając się w jeden jasny promień, bijący od ziemi aż hen, ku ciemnemu stropowi niebieskiemu.

Wśród tłumu przechodniów, ciągnących ulicą Marszałkowską, dążył pospiesznie młody człowiek, lat około trzydziestu mieć mogący, otulony szerokim płaszczem mikołajewskim. Snać pilno mu było bardzo, bo szedł z głową pochyloną, ze wzrokiem utkwionym w rozbliszczone wilgocią płyty chodnika, nie zwracając uwagi na mijających go ludzi.

Na rogu Chmielnej, gdy zatrzymał się, czekając na tłum przecinających mu drogę wozów, ktoś trącił go zlekka w ramię.

Młody człowiek zadrżał całym ciałem, lecz w tejże chwili twarz jego się rozpogodziła na widok stojącego przed nim mężczyzny.

— Ach to ty, Janek!

— Cha! cha! — zaśmiał się nazwany Jankiem. — Krótko mówiąc, wziąłeś mnie za szpicla! Dziękuję za odruchowy komplement!

— Lecz cóż znowu!

— No, no! Co prawda, o to nie trudno! Ale, wiesz pewno, u Staszyńskiego była wczoraj rewizya!

— Słyszałem. Mów ciszej.

— A na skutek niej dziś aresztowali Wortlównę i Jenischa.

— Wortlównę!

— Przeraża cię to! — zauważył sarkastycznie Janek. — Niestety, ten sam los może lada chwila i nas spotkać. Zwłaszcza teraz. Wortlówna wytrzyma z pewnością, lecz za Staszyńskiego nie ręczę! On gotów napaplać i skompromitować niejednego! Dokąd idziesz?

— Do Cisa, jak zwykle.

— Chodź, odprowadzę cię kawalek!

Młodzi ludzie ujęli się pod ręce i szli pochyleni ku sobie.

— Więc z pewnością Wortlówna? — pytał pierwszy z odcieniem lekkiego drżenia w głosie.

— Z największą. Byłem u nich przed chwilą. Matka zrozpaczona... Szkoda dziewczyny! Ba, dzieś siaty pawilon może ją wykoleić... ty to rozumiesz

Lecz cóż u diaska bierzesz tak do serca! Wiesiu! Nowicyusz z ciebie, znać to, znać zaraz! Mój kochany, albo się coś robi, albo nie. Jedno z dwojga! A na tym punkcie, uważasz, równouprawnienie zupełne... pleć nadobna...

— Porzuć żarty!... Dziwię ci się nawet! — ozwał się z wyrzutem Wieś.

— Ty się mnie dziwisz! — podchwycił żywo Janek. — Mój kochany, jak będziesz miał dziewięć rewizyj i ośm pokut w życiorysie, jak się nauczysz wieziennego telegrafu i spacerów po pochyłej podłodze, wówczas nabierzesz dobrego humoru! Powiadam ci, miałem dzisiaj zabawną przygodę. Oto od kilku dni zauważyłem jakąś podejrzaną figure, kręcącą się około domu, w którym mieszkam. Nie dość tego, ów pasażer zaczął mnie na krok nie odstępować... Ja do cukierni, on przed cukiernię, ja na lewo, on na lewo, ja tu i on za mną. Naturalnie, nie miałem złudzeń! Ale ów cień jał mnie poprostu denerwować!... Tak, że rady sobie dać nie mogłem. Ty nie wiesz jeszcze, co to za męka odczuwać ustawicznie utknioną w sobie parę oczu... nota bene takich, jak on miał... świ-drujących a bezmyślnie głupich. Dzisiaj rano już mnie pasya ogarnęła... Więc gdy szpicel zabierał się najspokojniej do udania się ze mną na spacer — czatował na przeciwległej stronie ulicy — zawróciłem z miejsca i do niego wprost: Łotrze — powiadam bez ogródek — jeżeli jeszcze raz cię zobaczę... przedewszystkiem sprawię ci lanie, a powtóre, pójdę natychmiast do szefa żandarmów na skargę, by takiego osła nie trzymał!

— I co powiesz, szpicel uklonił się pięknie i poszedł, jak zmyty! No, nie wątpię, że mi wyznaczają innego. Pal ich sześć, lecz tamten zdrowie mi odbierał! Zre-sztą, ja już tu nie mam co robić! Lada dzień znikam, bezczynność mnie nuży, a robić boję się, aby po-prostu nie naprowadzić na nas gończych. A co sły-chać w komitecie?...

— W komitecie? — powtórzył machinalnie Wieś, jakby budząc się z zamyślenia. — Nic. Ciągłe jedno... zabrali dwie drukarnie... Mamy trzecią...

— Narobili nam niepotrzebnych kosztów!... Że im się to nie sprzykrzy... Ale, co tobie jest, wydajesz mi się być przygnębionym.

— Więc Wortlównę dzisiaj, powiadasz?...

— Tu raki zimuja! O niej myślisz!?

— Lecz kiedyż ją mogli aresztować? — mówił niespokojnie Wieś, nie odpowiadając znów na pytanie. Janek spoważniał.

— Uważasz, to przykra historia... aresztowali ich w dzień. A fakt to niebywały! Pachółkowie pana Broka, jak ci wiadomo, zawsze lubią ciszę nocną i spokój. Musiało coś poważnego zajść jeżeli się zdecydowali wśród białego dnia taką operację... *Obysk* był ostry. Ani jednej poduszki, ani kawałka tapety całej nie zostawili. Co prawda, nie było to dla mnie niespodzianką... Wortlówna grzeszyła zawsze brakiem ostrożności... te zebrania do reszty ją dobiły. Bywali różni. Masz sam dowód na Woreckim. Dziś nikomu wierzyć nie można. No, do zobaczenia się. Już Wspólna, muszę wracać! Pokłoń się Cisowi. Ten ma szczęście. Tyle lat i zawsze sianem się wykreca. Choc

i na niego przyjść może. Daj gęby! Oj ty, ty, safan-duło! Uszy do góry. Któż widział brać tak wszystko do serca! Do zobaczenia... byle nie „na spacerze“... Rozumiesz?!...

Wieś skinął automatycznie głową, spróbował uśmiechnąć się, uściśnął podaną mu dłoń i skierował się ku rogatom Mokotowskim.

Wiadomość o aresztowaniu Wortlówny poruszyła do głębi Wiesia.

Jakto? Wczoraj widział ją jeszcze tak ożywioną, pełną nadziei, dobrej myśli i ufności w przyszłość. Komitet przysłał jej podziękowanie i zaprosił do na-rad. . . Snula tak piękne projekty! Mówiła o wydawa-niu nowego pisma dla włościan, które stałoby się tem dla nich, czem jest „Robotnik“ dla rzemieślników. Chlubila się rezultatem, osiągniętym z dwóch ostat-nich odczytów. A dziś. . . a teraz?!

Wiesławowi pot zimny wystąpił na czoło.

Wortlówna! Stefka! W cytadeli! . . . Boże, i co ją tam czeka?! Nie — jej niepodobna tak zostawić, jej trzeba pomódz, ją trzeba ratować! . . .

Wiesiowi w oczach pociemniało. Szedł niemal instynktownie. Myśli najrozmaitsze zrywały się w jego mózgu, ścierały się między sobą, piętrzyły, wytwa-rzając rozpaczliwy chaos. Brała go ochota biedz za-raż tam, aż pod stoki wałów cytađeli, aż do podnóża krwawej, podłużnej baszty, która w murach swych zamknęła światło jego ponurych dni, radność jedyną i marzenie, całe szczęście, całą duszę... ją... ją... Stefke! . . . Chciał stanąć tam, nad brzegami Wisły

i patrzeć, ażali skry z jej oczu płomiennych nie przenikną kamiennych pancerzy! To znów decydował się iść wprost do nich. . . do siepaczy, na siebie całą winę przyjąć, byleby ją uwolnić! . . . Byleby nie cierpiała, byleby ręka spodłonego pacholka tknąć jej nie śmiała! . . . Ach gdyby mógł! Strzaskałby wrzeczadze więzienne, z ziemią by zrównał nasypy i mury, wały i strzelnice, bażty a fosy. . . a potem uniósłby ją nietkniętą w kraj daleki. . .

Bujna imaginacya unosiła go coraz gwałtowniej, coraz silniej. . . Widział się w końcu wraz z Wortłówną na ziemi, gdzie niema ani więzień, ani szpiegów, ani żandarmów, ani uciemżenia, ani „samodierżawia“, gdzie pieśń o wolności jest pieśnią poranną, a „Czerwony sztandar“ hymnem narodu, gdzie przemoc jest pustym dźwiękiem, a kapitał wspomnieniem przeszłości. . .

Silne potrącenie mijającego przechodnia wróciło Wiesiowi równowagę umysłu. Przystanął mimowoli, spojrział w skośnie biegnącą ulicę Kaliksta i zastanowił się.

Dokąd więc pójdzie?! Do Cisa! On mu dopomógł, on mu dopomóc musi!... On ma władzę!...

Tą ożywioną myślą skreślił w ulicę Kaliksta, przebiegł ją szybko, dostał się na Polną i uchylił furtkę w parkani, po za którym w głębi rysowała się sylwetka niskiego, jednopiętrowego domku. A w kilka chwil później targnął gwałtownie drzwiami, prowadzącymi na facyatkę, i wpadł jak wicher, do mieszkania Cisa.

Cis, na widok wzburzonej twarzy Wiesia, drgnął z lekka i zagadnął pospiesznie, siłąc się na spokój.

— Co się stało? Jesteś. . . jakiś przerażony. . . wystraszony?!...

Wież padł na krzesło.

— Nieszczęście!... Stało się wielkie nieszczęście!...

— Mówże! Prędzej!

— Aresztowali Staszyńskiego. . . wczoraj!

— Wiem — odparł sucho Cis. — Cóż z tego?

— A dziś... Jenischa i... i... Wortłównę!... Słyszysz? Stefka... w Cytadeli!...

Cis uśmiechnął się nieznacznie i splunął przez zęby obojętnie.

— Wiem i o tem! Cóż dalej?

— Dalej?... Rozumiesz! Wortłówna... ją trzeba ratować! Ona nie może zginąć w kazamatach. Biedna Stefka, wczoraj widziałem ją tak wesołą... rozmawialiśmy.

Cis odwrócił się flegmatycznie od Wiesia i jął przyrządzać herbatę, regulując płomień maszynki naftowej. Wiész spojrział raz i drugi na żółtą pomarszczoną twarz Cisa, na której ani jeden muskuł nie drgnął, i umilkł, zdumiony tą obojętnością. Po dłuższej pauzie Cis ozwał się pierwszy.

— Napijesz się herbaty? — Świeżo naparzona!

— Dziękuję! — mruknął Wiész.

— Napij się! To cię uspokoi! Nalewam! Może papierosa!? Nie masz się czego tak martwić... Stało się!... I powiem ci, nawet szczęśliwie... bo właśnie

mieliśmy u niej ulokować archiwum... Ładna byłaby historia... Robota dziesięciu lat zmarnowałaby się bezpowrotnie!... Pij, pij herbatę, bo wystygnie!...

Wies patrzył na Cisa w niemem osłupieniu, nie rozumiejąc, co do niego mówił. Ten ostatni ciągnął dalej.

— Przykra historia, bezwątpienia! Hm!... Gorzej dla nas, bo Wortłówna miała sporo zbieranych pieniędzy...

— Pieniądzy! — mówisz! — rzekł po namyśle Wies, jakby budząc się ze snu — A... a prawda! Wszak wczoraj mi dała!... Mam czterysta rubli!...

— Masz pieniądze? Masz?!... — zawołał Cis z ukontentowaniem.

— Proszę! Oto są! Zobacz!...

— Wybornie! — Tak, tak, czterysta rubli! W porządku! Doprawdy, szkoda wielka, że się tak stało! Lecz, słowo daję, możemy sobie powinszować... Jeden dzień wcześniej zagarnęliby nam gotówkę, jeden później... zagrzebalibyśmy się z kretelem!... Szkoda dziewczyny. Dobrze było stworzenie i oddane nam całą duszą!... Co robić!

Wies porwał się z miejsca i chwycił Cisa gwałtownie za rękę.

— Bolek! Musimy ją wy dostać!... Rozumiesz?!... Ona tam zmarnieje, zwiędnie... Ty wiesz!... Poruszymy wszystkie sprężyny! Niekludow to robi... Damy okup! Dziś pójdę do Podgoriczenki... ty także? Dobrze! Bolku... prawda?... Dla mnie to zrobisz?!...

Cis uwolnił rękę z uścisku Wiesia, skrzywił się niechętnie, pociągnął papierosa i splunął znów.

— Chcesz pomówić rozsądnie?...

— Ja wiem, ja rozumiem, co mi chcesz powiedzieć, ale.....

— Ba! Znów swoje zaczynasz! Jesteś podirytowany, a tu trzeba mieć zimną krew... Unosisz się...

— Mów, mów — już słucham. Widzisz, jestem już zupełnie spokojny.

— Tem lepiej. Więc zastanów się teraz nad tem, co mówisz! Prawda — ponieśliśmy stratę, wielką stratę, Wortłówna mogłaby znakomicie zasilić naszą kasę... Nowa ofiara! Przepadło! My wszak bez ofiar...

— Zlituj się! Każdy inny, lecz to dziecko prawie, wciągnięte do nas, nie zdające sobie sprawy z niebezpieczeństwa... dziewczyna pełna poświęcenia.

— Idealizujesz, idealizujesz!... Jest takich więcej. Inaczej być nie może. Tamte czeka ten sam los. Nie podobna bawić się w sentymenty. Nasza sprawa tego nie zna, tego nie rozumie!... Zresztą, rękę ci, potrzy mają ją, a potem wypuszczą. Moja radna — siedzieć cicho i koniec. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

— A gdybym ja ciebie poprosił...

— Ty, Wiesiu?!... — rzucił z niecierpliwością nieco Cis. — To... z przykrością wielką, współczując bardzo twej boleści... musiałbym uchylić się od wszystkiego.

— Jesteś bez serca!...

— Cha! Cha! Chciałbyś może, abym dla twoich spodniczek poświęcał byt partyi?!...

— Milez lepiej!

— No, tylko bądź ze mną ostrożniejszy! — odparł z naciskiem Cis, a po chwili dodał ironicznie. — Dziwna rzecz, że pan Wiesław Ziemecki równocześnie nie desperuje ani nad Staszyńskim, ani nad Jenischem!

— Zapominasz, iż ci potrafią dać sobie radę...

— Kto wie! Wortłówna jest przystojna...

— Jeżeli raz jeszcze wymówisz jej nazwisko, wtłoczę ci je w gardło!

— Ależ nie! Bądź spokojny! Z tobą dziś rozsądnie mówić nie można. Zawsze miałem cię za narwańca... dziś tylko utwierdziłeś mnie w tem przekonaniu. Żeby tacy byli wszyscy, daleko byśmy zaszli! Ty tego nigdy nie możesz zrozumieć, że my, anarchia socyalna, musimy iść drogą ofiar, drogą knuta i gwałtu. Życie, cierpienie jednostki dla nas nie istnieje. Zapomniałeś o tem! A przysięga twoja? Cha! Cha! Tobie nie świta w głowie... Ciebie chcieli wybrać do komitetu!... Teraz dopiero spostrzegam, jakiegośmy uniknęli niebezpieczeństwa!

— A ja... hańby!

Cis brwi zmarszczył, na żółtej jego twarzy ukazały się białe plamy.

— Ty — warknął, spluwając przez zęby — strzeż się, bo na takich, wiesz, jest sposób!...

— Grozisz mi! Niekłudow mnie zadenuncjuje! Wiem, wiem! Ta sama cytadela pochłoneła i waszych ofiar nie mało!

— Uwagi schowaj dla siebie! Pamiętaj tylko, że ty zawiele wiesz, abyś mógł być krnąbrnym.

Wiesław targnął się w bezsilnej wściekłości i zaciętości. Po raz pierwszy Cis ukazał mu się w całej pełni swego charakteru. Istotnie, Wiesław wiedział oddawna, że żadne uczucie nie zdoła przeniknąć do tego zaszuszonego szkieletu, lecz nie wątpił, iż za poświęcenie, za oddane mu usługi umie bodaj być wdzięcznym. Czego zaś nie robiła dla nich Wortłówna! Wreszcie jego własne poświęcenie się sprawie związku... nie nie znaczyło? Może dla partyi jedna ofiara więcej lub mniej nie stanowi różnicy. Lecz on, zbolaty, złamany, do kogoż ma się udać, do kogoż o pomoc zwrócić?!

Ziemecki, tknięty nową myślą, ozwał się tonem błagalnej prośby:

— Bolku! Daruj uniosłem się. Ale wiadomość ta odjęła mi moc i panowanie. Ja wiem, ty możesz pomódz. Podgoriczenko za pieniądze zrobi wszystko. Przynajmniej uwolnią ją po trzech, po czterech tygodniach...

Cis wzruszył ramionami.

— Zapewne. Postaraj się o pieniądze.

— Przecież macie fundusze.

— Zwaryowałeś? Tu wyrzucać setki! Na co? Wortłówna nie jest niebezpieczną. Nie bój się. Właściwie o niczem nie wie i gdyby chciała, nic nie powie. Nadto, to dobry materyał... takie panny bywają uparte... Już prędzej o Staszyńskiego się boję. Nareszcie, wszystko mi jedno, bo pieniędzy nie ma.

— Lecz pozwól. Wszak Wortłówna zbierała pieniądze ciągle. Gdy będzie wolną, zajmie się znów. Wydatek wróci się z procentem.

— Nie ma o czem mówić! — zakonkludował Cis. — Znamy się na tem. Choćby ją uwolnili, już z niej oka nie spuszcza.

Wiesław chciał zaprotestować, gdy w tem rozległo się przeciągłe pukanie do drzwi. Cis odsunął zasuwę, wyjrzał do ciemnej sieni, na schodach nie było nikogo. W głębi klatki schodowej słychać było przyciszony szelest szybko a lekko stawianych kroków. Cis rozejrzał się niespokojnie. Na progu leżał porzucony papier. Podniósł go, przysunął do światła lampy i rzucił Wiesławowi.

— Masz, czytaj! — rzekł pośpiesznie.

Ziemęcki chwycił papier i znalazł na nim lakoniczny napis: „papiery usunąć — rewizya“.

Cis zamknął pośpiesznie drzwi i zwrócił się ostro do Wiesława:

— No, widzisz! Masz czas na sentymenty! Tu trzeba już o własnej skórze myśleć. Ostrzeżenie jest. Nie ma co zwlekać, dziesiąta dochodzi. Rozpal ogień w piecu i do roboty. Zostawi się tylko najniezbędniejsze!

Cis, nie czekając dłużej, przystawił stół do ściany, na nim umieścił krzesło i stanawszy na tak zaimprovizowanem rusztowaniu, podważył ruchome cegły około wentylatora. W ścianie ukazał się głęboki otwór napęczniony papierami. Cis wyrzucił je na ziemię, założył otwór i zszedłszy z rusztowania, zaczął pośpiesznie przerzucać papiery. Wiesław apatycznie zbliżył się do pieca i jał niecić ogień.

Nie po raz pierwszy w życiu znajdował się w tem położeniu, znał to całopalenie, niszczące ślady,

atoli nigdy jeszcze nie przystępował doń z taką niechęcią i apatją.

Co dlań stanowić mogła groźba, że może być schwytanym. Co dlań znaczyła teraz i cytadela. Bliżej niej będzie i koniec. A niechby i znaleźli co. Jemu było to obojętnem.

Cis zauważył dziwnie zimną krew Wiesława i ozwał się upominająco:

— Nie baw się! Czasu mało! Papierzysków jest do licha. Pal starannie. Drzewa dorzuć.

Ziemęcki w milczeniu spełnił rozkaz Cisa, a gdy płomień buchnął, zaczął wkładać weń pojedyncze zwoje druków, broszur, gazet, listów i rękopisów, bacząc, aby ognia nie stłumić, lub skrawka w popiele nie zagrzebać. Cis ze swej strony opatrywał wszystkie kąty, segregował papiery i książki, usuwając wszystko, coby mogło wzbudzić podejrzenie. Pracowali tak wśród głuchego milczenia około dwóch godzin. W końcu, gdy Cis ostatnią paczkę odrzucił, a ta spłonęła na stosie iskrzących się węgla — odetchnęli obydwoj.

— Nareszcie skończone! — mruknął Cis. — Mogą teraz weszyc! Djabla zjedzą, jeżeli co znajdą.

Nagle uderzony jakąś myślą, sięgnął do kieszeni:

— Ba! Ładna historia. O wszystkim pamiętałem, lecz nie o tem, co mam w kieszeni. Rozkazy komitetu! Palić tego nie podobna. Trzeba czekać ostateczności... Zostaw drzwiczki od pieca uchylone.

Wiesław przysiadł na kufierku w pobliżu pieca. Cis, tonąc w kłębach dymu tytoniowego i spluwając co chwila, zaczął półgłosem:

— Trzeba się strzedz. Bo to, widzę na całą seryę arestowań się zanosi. Niekludow czuwa, lecz i on czasami nie może nadażyć z ostrzeżeniami. Psów rozpuścili po całym mieście, tropią i nie wytropić nie mogą! Ba, pan Szuwałow zaczyna wojować nie na żarty! Łapie, kogo może. Nie wiesz o tem, iż prócz tego zabrano nam około tuzina ahlegrów z uniwersytetu! Szkoda chłopaków, mogliby wyjść na tegich towarzyszków, a tak skończona rzecz z nimi!

Swoją drogą musimy się zabrać do szpiclów... ten konduktor... już jest skazany... Ciekawy jestem, czy go potrafią urządzić dobrze! To ważne bardzo! Niechby z takich kogo schwytano! Mogłoby być kuso nie na żarty. Dotąd nikogo nie zdołali przekonać. abyśmy mieli w ustawie „terror“... Szubienica więc musi próżnować. Lecz jedno słowo wystarczy, aby zaczęli nam pogrzeby wyprawiać. W zasadzie, to właściwie wszystko jedno, a nawet wygodniej czasem zginąć na stryczku, niż być za życia zjedzonym przez plugastwo na Sachalinie. lecz w praktyce, to budzi lęk w stowarzyszeniu. Tu śmierć i tam śmierć, ale naiwni, drugie nazywają życiem!...

Cis się zamyślił. Wiesław nie ruszał się z miejsca pod piecem, zasklepiony w szarpiającym go nie pokoju. Zegar wagowy, wiszący nad stołem, z przeżalnym sykiem i jękiem wybił godzinę pierwszą po północy. Lampa migotała resztkami nafty, węgiel w piecu zagasły.

Wtem, po za drzwiami dały się słyszeć czyjeś kroki. Cis poruszył się niespokojnie i nadstawił uszu. Kroki zbliżały się szybko. Aż nagle w pokoju Cisa rozległ się po trzykroć głos dzwonka, targanego z niezwykłą siłą.

Młodzi ludzie porwali się z miejsca, jedną i tą samą myślą wiedzeni. Tu nie było się co łudzić! Ostrzeżenie, godzina późna, tak dobrze znana godzina w kole socyalistów... wreszcie ten dzwonek gwałtowny, a tak charakterystyczny w szarpięciu, nie pozostawiał wątpliwości.

Zanim młodzi ludzie zdołali oprzytomnieć, dzwonek rozległ się ponownie.

Cis szepnął głucho: „iść“ — i, wyciągnawszy z kieszeni papiery, rzucił je w piec. Spojrzał — ognia nie było! Zadrzał. Powiódł wzrokiem po pokoju, jakby szukając miejsca, aby je ukryć... w końcu spojrzenie jego padło na obojętnie stojącego Wiesława. Cis, nie namyślając się dłużej, podskoczył ku niemu, wtłoczył mu przemocą papiery do kieszeni i zanim ten się zdołał opamiętać... Cis już otwierał zasuwę.

Drzwi z piskiem się uchyliły. Do pokoju wtoczył się... stróż domu z latarką.

— Proszę pana — zaczął przybyły — bo to obok nas sadze się zapaliły, więc od wszelakiego wypadku przyszedłem pedzić... Straż też tylko patrzeć, nadjeździe! O... dyć słyhać ich pewno! Dychem lecie!

Nie czekając odpowiedzi, stróż pobiegł na schody, a równocześnie w oddali ozwały się przytłumione dźwięki trąbki pożarnej.

Po wyjściu stróża, Wiesław, trzymający dotąd rękę na papierach — teraz dopiero zrozumiał piekielny zamiar Cisa.

— Łotrze! Chciałeś mnie zgubić! — zawołał groźnie, rzucając mu papiery pod nogi.

— Tylko bez dramatów! — zauważył szyderezo Cis. — Z ciebie i tak pociechy nie ma. Milszą była mi moja własna skóra, a sądzę i partyi całej także!

— Bezczelny, ważysz się jeszcze...

— Nie zaczynaj! Ostrzegam cię po raz drugi — syknął Cis.

Wiesław dłużej nie mógł zapanować i całym ciężarem ciała swego wpadł na Cisa, powalił na ziemię i schwytał za gardło. Nagle wzdrygnął się i odskoczył od Bolesława.

— Ty nędzniku nie wart jesteś, aby cię dotykać!... Jesteś niktzemny łotr, zbrodniarz! Od dziś między nami skończone! Tobie się roi dziesiąty pawilon! Na galery!... Tam twoje miejsce!

Wiesław kopnął pogardliwie nogą leżącego na ziemi Cisa, zarzucił płaszcz na ramiona, nacisnął kapelusze i wybiegł z pokoiku.

Gdy był już na dole, usłyszał po nad sobą dyżący bezsilną wściekłością głos:

— Poczekaj... jeszcze my się spotkamy!

II.

Noc spędził Wiesław niespokojnie. Mary jakieś złowieszcze a widziadła nie pozwalały mu zamknąć powiek. Myśl o Stefce na chwilę go nie opuszczała.

Bo i któż był główną przyczyną jej smutnego położenia. Kto ją popchnął, kto powoli wciągnął do partyi?... On... on sam, Wiesław! Pamięta tę chwilę! Było to za czasów Hurki jeszcze. Komitet się chciał dla braku środków materyalnych, partya miała się już rozprószyć... Nie było pieniędzy na najniezbędniejsze wydatki... Wówczas Cis zaproponował zwrócenie się do pomocy kobiet. Każdy z towarzyszków był obowiązany agitować w kole swych znajomych. Wiesław mieszkał u Wortlowej! W kilka miesięcy później Stefka była już socyalistką! Jakże był z tego dumny! A partya... bodaj nigdy nie miała równie oddanej agitatorce! Lecz czyż mógł przewidzieć, czy mógł przypuścić, że tak smutny ją spotka koniec?... A przytem, jakiż rezultat tego poświęcenia się, samozaparcia, oddania?! Chyba ten, iż taki Cis szyderstwem odpowiada, gdy błagają go o pomoc, o ratunek! Podły, sto razy podły! Prawda, Wiesław sobie przypomina doskonale, nigdy innym nie był!... Ulegał mu Ziomecki dotąd, ustępował przed nieugiętą stanowczością Cisa, lecz od dziś to się skończyło! Pój-

dzie do innych! Oni muszą coś przedsięwziąć — inaczej... inaczej rzucię wszystko, znać ich nie będzie!...

I naraz w oczach Wiesława zarysowały się sylwetki znanych mu członków komitetu — puciołowata twarz zawsze uśmiechniętego Dorffelda, ponuro zarośnięte oblicze Starskiego i żółto pergaminowe policzki Cisa... Po nad nim stał jeszcze Wartman. Słynny, wielki Wartman, bożyszcze partii, duch, snujący się po gwiazdach anarchii, a równocześnie myt, może tylko urojenie. Istotnie, bo Wartmana nikt z towarzyszków na oczy nie widział, a jednak każdy rozkaz komitetu był inicjałami Wartmana znaczony, stwierdzany. Gdybyż doń można było trafić! Gdzie go szukać? Podobno sam Dorffeld nie umiałby go odnaleźć. A może Wartman nie istnieje wcale, może to fikcja, fortel komitetu!? Tak, czy owak muszą coś zrobić dla Wortłówny. Wiesław nie ustąpi, dotrże wszędzie, bo to jest jego najświętszym obowiązkiem.

Z tem postanowieniem Wiesław wybiegł z samego rana na miasto i przedewszystkiem poszedł do Wortłowej dowiedzieć się szczegółów aresztowania.

Zastał Wortłównę na wpół zdrtwiałą, zasuniętą w głęboki fotel. Na pierwsze słowa Ziemięckiego starszka nie odpowiedziała wcale, lecz gdy ten nie ustawał w perswazyach a tłumaczeniach wybuchnęła nagłe:

— Zabraliście mi córkę! Jedyną moją córkę! Oddajcie mi ją! Powróćcie! Nikogo prócz niej nie mam na świecie! Pan wie... nikogo zupełnie!...

Wiesław jął uspokajać zboląłą matkę, a choć słowom jego brakło przekonania, atoli tyle dokazał,

że Wortłowa zdołała się otrząść z głuchej rozpacz i przemówiła wkońcu:

— Widzi pan, ja oddawna miałam złe przecucie! Tłumaczyłam nieraz. Co nam, kobietom mieszać się do takich rewolucyj, czy jak tam. Stefania nie słuchała. Wczoraj rano wybierała się właśnie na lekcye, jak zwykle... naraz dzwoni ktoś... Żandarmi!... Z początku nie mogłam zrozumieć, o co chodzi. Bo, czy mi w głowie było... Stefania zbladła i jęła się trząść, jak w febrze... Zaczęli rewidować. Pozabierali nam wszystkie papiery. Powiadam panu, nawet listy mego nieboszczyka męża do mnie, jak był kawalerem... Widzi pan sam, co za nieład. Poduszki, sienniki, meble poprute, tapety poobdzierane. Kąta jednego nie zostawili... a co szkody, to aż strach... Potem ten starszy pisał coś, pisał... i powiada, że Stefka musi z nimi jechać... Mało mnie nie zabiło! Padam im do nóg. Gdzietam! Dziewczyna trzęsła się, jak liść osiny. Powiadam do niej: moje dziecko, może ty masz jakie papiery, czy co to oddaj im, niech sobie wezmą... Perswaduję, jak mogę. Wdowa jestem po urzędniku, dwanaście rubli emerytury, resztę córka zarabia udzielaniem lekcyi muzyki... Nic. Wróci, mówią, zaraz wróci córka... Mnie złe przecucie tknęło. Z nią pojadę, córki nie odstąpię! Uśmiechnęli się tylko. Sprowadzili dorożkę, budę zapuścili... mnie odepchnęli. Chciałam biedz za nimi, żandarm zatrzymał... Panie, gdyby pan widział to niebożatko! Bielutenka była jak paperek, głosu dobyć nie mogła. Matuchno — rzekła — bądź dobrej myśli, ja powrócę!...

Wortłowa odetchnęła ciężko.

— I zostałam sama jedna. Ludziłam się jeszcze do wieczora! A potem przyszła na mnie niemoc zupełna... Panie, radź pan! Co poczyć? Dokąd się udać! Gdzie jej szukać? Sama jestem!...

Ziemiecki jął pocieszać Wartlową, przyrzekając najsolennie, że natychmiast zajmie się zebraniem wiadomości i przedsięwzięciem wszelkie możliwe kroki, byle Stefkę jak najprędzej uwolnić. Nadto wpajał w nią przekonanie, iż tu musiała zajść jakaś fatalna pomyłka, która zresztą niebawem musi się wyjaśnić.

Wortlowa chciwie chwytała słowa Wiesława, a choć brzmiały one dla niej nieszczerą nadzieją, jednak bała się sama przed sobą do tej wątpliwości przyznać.

Namówiwszy Wortlowę, aby zajęła się powoli gospodarstwem i uporządkowaniem domu, Wiesław pojechał wprost na Zielną do Dorffelda. Zastał go jeszcze w łóżku. Służba nie chciała go zrazu wpuścić do sypialni, lecz na usilne naleganie, ustąpiła i Wiesław znalazł się po raz pierwszy we wspaniale urządzonej sanktuarium członka komitetu anarchii socyalnej. Mimo przejęcia się głębokiego sprawą, z którą przychodził — Ziemiecki nie mógł się oprzeć zdziwieniu na widok zbyt kownego urzędnika. Dorffeld wprawdzie miał opinię człowieka zasobnego, lecz to, co tu widział, zakrawało na rozrzutność starej modnisi.

Dorffeld śnać odgadł powód zdziwienia, które zarysowało się na twarzy Wiesława, bo odezwał się pierwszy:

— Kolega nie spodziewał się znaleźć takiego apartamentu... Ha! Trzeba niekiedy przedsiębrać rozmaite

środki dla odwrócenia podejrzeń!... Przepraszam, że przyjmuję was, leżąc w łóżku, lecz przypuszczałem, iż coś ważnego zajść musiało?

Wiesław milezał przez chwilę, zastanawiając się nad wyrafinowanym zbytkiem, który zdawał się mówić, że był on tu czemś więcej, niż maskaradą — a w końcu tknięty myślą o Stefce, przedstawił Dorffeldowi szczegóły jej aresztowania i zejścia z Cisem, błagając go o pomoc.

Dorffeld zafrasował się, zagadnął o kilka nie znaczących szczegółów, wreszcie poprawiając puszystą jedwabną koldrę z monogramem — ozwał się tonem perswazyi:

— Widzicie, wy się gorączkujecie! Coś się bezwąt-
pienia robi, lecz trzeba na to czasu... Odrzućcie nie
poradzić nie można! Należy poczekać.

— Lecz cóż pocznie matka? Została się sama jedna,
bez środków do życia! Stefka była jej podporą!

— Ma przecież emeryturę!

— Dwanaście rubli!

— No, więc zawsze coś ma.

— Zaprawdę! „Coś“ jest! A... co mówicie o Cisie!
Przecież to haniebny wybieg! Gdyby tak była rewizya... zgubiłby mnie raz na zawsze. Czyż my mało
podlegamy niebezpieczeństwu? Mało narażeni jesteśmy
na denuncyacye, rewizye, więzienie, śledztwa i szylkę...
aby jeszcze jeden drugiego...

— Ach, bo wy się unosicie — przerwał łagodnie
Dorffeld. — Niepodobna takiej sprawy w ten sposób
traktować. O cóż idzie? Jeżeli zapytacie się mnie,
czy postępek Cisa był rycerskim, szlachetnym — go-

tów jestem zawsze przyznać wam słuszość — ale nie zapominajcie, że Cis, broniąc siebie, bronił zarazem komitetu... Cel uświęca środki!

— Nie przeczę. To zasada inkwizycji.

— Ba, lecz z konieczności i nasza. Darujcie, nie mogę w tym wypadku być sędzią, ponieważ kto wie, czy sam bym nie postąpił tak samo...

— Cha, cha! — zaśmiał się złośliwie Wiesław. — Winszuję, ale przede wszystkim sobie, ponieważ dotąd łudziłem się co do wyobrażeń etycznych naszych prowodyrów!

Dorffeld poruszył się niespokojnie na łóżku.

— Nie rozumiemy się i koniec na tem. Ja stoję na gruncie naszej sprawy, gdy wy na punkcie osobistego niebezpieczeństwa, jakiemu podlegalście!...

— Przepraszam, sądziłem, że nawet myśl o naszej sprawie nie powinna posuwać się do nieczemności!

Małe oczka Dorffelda rzuciły błyskawicę, poculowata twarz jego zarumieniła się zlekka.

— Panie Ziemecki! Pan się myli! Jeżeli ogół społeczeństwa przeciwstawić będziemy naszym związkowym, to musi być on dla nich miazgą! Materyalem, którego się nie oszczędza i oszczędzać nie ma się prawa! Taką samą zaś miazgą musicie być wy, towarzysze, wobec zarządu. Cis, jak pan sam mówi, papiery rzucił do pieca, a dopiero w ostateczności ratował się...

— Nie mówmy o tem — rzekł niechętnie Wiesław. — Może to i lepiej, że w końcu poznałem głębię komitetu. Powróćmy raz jeszcze do Wortłówny. Więc w tej chwili!...

— Nie nie możemy przedsięwziąć!...

— Lecz to... jest niegodne! Macie stosunki, wiem o tem, macie także fundusze! Na cóż ich używacie, chyba nie na własne potrzeby?!... Bo tych wydatków, o których słyszę, sobie nie wyobrażam, jeżeli nawet na obronę stowarzyszonych żałujecie...

Dorffeld posiniał, oczy mu krwią nabiegły.

— Pan się zapomina! Tłumaczyć się nie widzę potrzeby. Pozwolę sobie życzyć panu, abyś po raz drugi nie odzywał się podobnie.

Wiesław wstał z miejsca i odezwał się pogardliwie:

— Tego zaszczytu nie dostapicie! Mam was dosyć! Otworzyliście mi oczy. Sądziłem, że tylko Cis jest taki. Wam roi się po głowie władza! Władzę zwalczacie a sami... Ah szkoda słów!... Oddawna nie podobał mi się wasz kosmopolityzm, a co więcej, te... składki, to wyciskanie grosza z najuboższych... Ale przypuszczałem, iż chociaż umiecie spieszyć z pomocą zagrożonym... Życzę powodzenia!...

— Hola! Pan zapominasz, że rostać się z nami nie tak znów łatwo! A przynajmniej nie zawsze bezpiecznie!... Lecz... zważ sam i posłuchaj mojej rady i czekaj!...

— Dziękuję. Spróbuję jeszcze szczęścia u zandarmów!...

— Strzeż się! Znasz nasze prawo na denuncyantów!

— Kochany panie — odparł Wiesław — niechże pan nie zapomina, że nie jestem członkiem komitetu partii socjalno-anarchicznej!

Dorffeld chciał coś odpowiedzieć, lecz Wiesław wybiegł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Ziemęcki przystanął na ulicy, namyślając się dokąd się tu udać, gdzie szukać pomocy. Po krótkim namyśle wsiadł w dorożkę i kazał się wieźć do cytadeli.

Zaledwie po półgodzinnej jeździe ulicami, zarysowały się przed oczyma Wiesława mury i wały forteczne. Dorożka wjechała na wiszący most drewniany i zatrzymała się w wielkiej sklepionej bramie. Do dorożki podszedł żandarm, zmierzzył badawczem wzrokiem Wiesława i zagadnął:

— *Kuda?*

— Do dziesiątego pawilonu!...

Żandarm pokręcił głową.

— *Hm!... A po kakomu diełu?*

— Zobaczyć się z aresztowaną.

— Z aresztowaną? *Nu, nie myslimo!*

— Więc jest tam przecież jakiś zarząd czy kancelarya, gdzie zapytać się można — niecierpliwił się Ziemęcki.

— *W kancelarju, pożałuj, można!*

Żandarm skinął na młodszego swego kolegę. Ten przysiadł się na ławeczce dorożki i Wiesław wjechał w okopy.

Ziemęcki po raz pierwszy był w cytadeli. Mimo pewnego rozgorączkowania, które nim opanowało wobec myśli, że наконец dowie się czegoś o Stefce, nie zdołał oprzeć się ciekawości i rozglądał się dookoła.

Na tle poczerniałej, gdzieniegdzie resztkami śniegu przyprószonej trawy, pokrywającej piętrzące się ze wszystkich stron wały, nasypy, a zębate fosy,

rysowały się ciężkie, rozplaszczone budynki czerwono lub zielono malowane, z małemi zapadłemi oknami lub wąskimi, czarnemi otworami. Na pustych placach rozstawione armaty, stosy wielkich stożkowatych kul, w trójkątnie szańce poukładanych, szeregi snującego się wszędzie żołdactwa, a w końcu kolumna jakiegoś żelaznego pomnika i złożona cebulka na wieżyczce cerkiewki, to wszystko co zdołało wpaść w oko Wiesławowi.

Ziemęcki wyobrażał sobie cytadelę inaczej. Zdawało mu się, że budzić ona powinna grozę, że uosobiała swoją powierzchownością jakąś dziką przemoc i gwałt — tymczasem miała tylko pozory jakiejś zacisznej warowni, nie pozbawionej pewnej malowniczości.

Dorożka toczyła się dosyć długo, idąc za wskazówkami żandarma, aż w końcu zawróciwszy na prawo, przystanęła przed żelazną kratą, okalającą przód wydłużonego czerwonego budynku o kilku piętrach w kształcie okrągławej baszty z małymi podłużnymi otworami.

Żandarm zadzwonił. Z sieni budynku wyszedł inny żandarm, otworzył drzwi i mimo rozstawionych gęsto sztyldwachów, wprowadził Ziemęckiego do sieni, a stąd do niskiej, sklepionej izby, rozdzielonej na dwie połowy drewnianymi sztachetami, za którą siedział chudy, mały człowieczek w okularach.

Wiesław przedstawił mu cel swego przybycia. Człowieczek uśmiechnął się uprzejmie, wskazał stojące krzeselko i ręce zatarł.

— *Miłości prosim!* Pan dobrodziej niech usiądzie! Droga daleka, he, he! Kawał drogi!... Panie, he, he!... Więc co pan każe?!

— Chciałem się widzieć z panną Stefanią Wortlówną!

— Z panną Stefanią Wortlówną! he, he! Tak, tak! Pan dobrodziej pewno brat?!

— Nie panie!...

— *Musi narzeczonyj?*

— Myli się pan! Jestem proszony przez matkę!...

— Nu, mama się pyta o zdrowie *doczki!* he, he! A przepraszam, jak *familja?*

— Wiesław Ziemęcki!

— To pan *Ziemenckij* jest pewnie w uniwersytecie? Nie? Czem pan *zanimajet sia?*

— Prawnik!

— Nu? *Isprawnik?*!

— Nie kandydat praw.

— *Wot kak!* Pan dobrodziej gdzie mieszka!

— Kruca, sześć.

— Nu! tak, tak! A skąd pan dobrodziej się dowiedział, że panna, he, he! u nas?

Wiesław tracił z wolna cierpliwość. Ów pacholek najwidoczniej go badał! Rzekł więc, hamując rozdrażnienie.

— Chyba to do rzeczy nie należy! Przyszedłem prosić o widzenie się z panną Wortlówną...

— Nie należy? he, he! At może i należy!... Tu, proszę pana, wszystko zawsze należy. — zauważył mały człowieczek. notując coś pośpiesznie na papie-

rze. — Ot szkoda, że pan wczoraj nie *połatygował sia*... Szkoda, he, he!

— Późno było już, sądziłem, że kancelarya zamknięta.

— A, przepraszam, kiedy pan widział się z mamą panny Stefanii?

— Dziś rano wracam prosto od niej.

— Jeszcze słoweczko. Przepraszam pana, a od kogo pan dowiedział się że panna Stefania u nas zamieszkała? he, he!...

— Naturalnie... od matki.

— He, he! To dziwne! Z mamą pan się widział dziś... a o aresztowaniu pan już wiedział wczoraj! he, he! No, to się zdarza czasem... więc ja to *w protokol* zapisałem.

Wiesław zbladł, lecz nie tracąc zimnej krwi, ozwał się ostro:

— Panie! Cóż to? Uważasz mnie pan za jakiegoś aresztanta? Jakiem prawem zadajesz mi pan takie pytania?

Mały człeczek uśmiechnął się rozkosznie.

— Proszę pana dobrodzieja, ot u nas taki obyczaj. A co kraj to obyczaj! He, he! Ja tak sobie przez ciekawość *protokolczyk*. Wszystko się czasem przyda.

— Więc czy będę mógł?...

— Nie, proszę pana, to nie obyczaj... U nas gości bywa dużo, ale to my już sami wprowadzamy, a nieznanym... nie można, he, he! A przytem nie mam cześci znać panny Stefanii.

— Jaki panie?

— Tak to. Nie wiem nic.

— Lecz przecież była aresztowaną. Oficer żandarmeryi zabrał ją.

— Zdarza się, he, he!

— Panie, na miłość Boską, gdzież więc mogę się dowiedzieć. Już mi o nie nie idzie, lecz chciałbym się upewnić przynajmniej, dowiedzieć, czy jest tutaj.

— A jaki numer?

— Nie rozumiem.

— He, he! To bardzo jasne. Ja znam tylko *nomera*. Niech się pan zapyta, czy jest *nomer tridcatyj*, powiem, że jest.

— Więc któż może mnie objaśnić?

— *A wot wy do Aleksieja Dymitrjewicza Sidielnickawo stupajcie*, może on co wie.

Mały człowieczek dał znak żandarmowi, oddał mu kartkę i kłaniając się uprzejmie Wiesławowi, wskazał mu małe drzwiczki w głębi.

Ziemęcki znalazł się w obliczu pomocnika zarządcy dziesiątym pawilonem. Ten przyjął go również uprzejmie. Wysłuchał cierpliwie jego prośby, wreszcie odrzekł bez ogródek, że żadnych informacji dać mu nie może i że mógłby je udzielić tylko pan prokurator Izby sądowej, radca tajny Turau.

O ile zaś nawet panna Wortel znajdowałaby się w cytadeli, to do czasu ukończenia śledztwa, które ciągnie się dosyć długo, z nikim widzieć się nie może. Jedyłą ulgą, wyświadczaną rodzinie w tym wypadku, jest doręczanie posyłek z bielizną czy żywnością, lecz i to raz na tydzień, we czwartek.

Ziemęcki chciał przedstawić Sidielnickiemu niepokój stroskanej matki, jej trwogę, lecz ten przerwał mu sucho:

— *Mnie eto nie kasajetsia!* A pan Ziemenekij niech się tak nie opiekuje!

— Lecz panie radco — objaśnił gorąco Wiesław — toć to niewinna dziewczyna! Chyba pomyłka jakaś lub dzieciństwo! Jej ani to w głowie nie było.

Sidielnickij spojrzał badawczo na Wiesława.

— Hm! Pan jednakże dużo musi wiedzieć. Ja panu *nie sowietuju!* *Wy by po citadieli nie szlalis!* A to zdarza się, chodzą, chodzą, aż ich i zaproszą!

Wiesław zrozumiał groźbę. Umilkł i wyszedł, odprowadzony przez żandarma oddźwiernego do drożki, a w tej znów przez innego odkonwojowany do bramy.

Gdy Ziemęcki znalazł się znów za bramami Cytadeli, ogarnęła go rozpaczliwa bezsilność! Co począć? Gdzie pójść, dokąd? Do Turau! Zbyt wiele o nim słyszał, aby doń miał iść szukać współczucia! Okropna przemoc i bezprawie! Młodą dziewczynę wyrzują z domu matczynego bez słowa, bez objaśnienia winy, którą jej zarzucają, bez żadnego jawnego oskarżenia, bez wskazania nawet miejsca jej pobytu! Aresztowano ją i znikła. Tu wspomniawszy Wiesław na znane mu wypadki, gdzie aresztowani przed laty dziecięciu, znikli w zakamarkach więziennych, gdzie do dnia dzisiejszego najbliżsi na wszelkie zapytania, prośby i błagania otrzymują zawsze stereotypową odpowiedź „*nie izwiestno*“, gdzie żaden wyrok, żaden pozór sprawiedliwości nie tłómaczy popełnionego

gwałtu, gdzie człowiek, obywatel kraju przepadł bez wieści, a mimo to poszukiwań złoicy nie przedsiębrano, bo złoicy mógłby zostać najbliższy obrońca podeptanego prawa.

Dreszcz zimny przeniknął Wiesława. Miałaby więcej nie zobaczyć ukochanej Stefki!... Miałaby ona być dla i dla świata żywcem pogrzebaną!...

Ziemęcki kazał dorożkarzowi jechać do Wortlowej. Z nią się chciał porozumieć, naradzić.

Wortlowa z niepokojem i trwogą ją wypytwać Wiesława. Ten bał się wyznać całej prawdy, bał się nasunąć jej myśli o tem, że mogłaby być wywiezioną gdzieś bez śladu. Chroniąc się przed natarczywością matki, zbył ją kilkoma dwuznacznikami a równocześnie wpadł na myśl, aby ona sama poszła natychmiast do prokuratora, który bezwątpienia dla matki będzie wyrozumialszym, względniejszym. Wortlowa chwili się nie wahała. Ogarnęła się pośpiesznie i udała się wraz z Wiesławem na ulicę Długą, gdzie prokurator zajmował wspinały apartament na pierwszym piętrze w gmachu sądu handlowego.

Po kilkogodzinnem oczekiwaniu i wylegitymowaniu się dyżurnemu urzędnikowi, Wortlowa została dopuszczoną przed oblicze tajnego radcy i ochmistrza dworu.

Staruszka, wstrząśnięta zaszłymi wypadkami, głosu na razie dobyć nie mogła, lzy ją dławały.

Prokurator, siedząc przy wspinałym biurku, założonem papierami, z których niemal każdy stanowił o czymś losie, a może życiu lub śmierci, bawił się

srebrną papierośnicą, gładząc niekiedy swą czarną, długą brodę.

— Wasza ekscelencyo — zaczęła po małej pauzie Wortlowa — matka biedna, nieszczęśliwa...

— *Wy nie goworitie po russki? !...* — przerwał Turau, brwi marszcząc.

— Nie, wasza ekscelencyo, sześćdziesiąt lat mam blisko..., wdową jestem po urzędniku!...

— *A po francuski ili po niemiecki?!*

— Po francusku się umiało, ale w tej biedzie zapomniałam...

— *Nu! Tak czto ugodno?*

— Córkę mi, wasza ekscelencyo, zabrali... nie wiem, co się stało; młoda dziewczyna! Od nikogo się dowiedzieć nie mogę! Ani wiem, o co ją oskarżają! Wasza ekscelencyo zmiłuj się!...

— *Kak familia?!*

— *Familia?* To jest proszę waszej ekscelencyi — płatała się staruszka, nie rozumiejąc, o co ją pytają. Prokurator zaczął bębnić nerwowo po papierach, wreszcie uciał sucho:

— *Wy podawajtie proszenie po waszemu diełu!*

— Właśnie proszę waszej ekscelencyi — ciągnęła Wortlowa, jedyne to moje dziecko. Syna miałam, był w uniwersytecie i umarł mi na zapalenie płuc! Stefka dawała lekcye muzyki...

— *Skazano podat' proszenie!...*

— Ja też prosić chciałam waszej ekscelencyi, żebym choć mogła się z nią zobaczyć, wiedzieć, gdzie jest...

Radea tajny targnął niecierpliwie brodą i zadzwonił. W gabinecie zjawił się kancelista.

— *Wywieści etu ženszczinu!* — rzekł, wskazując na wystraszoną i zapłakaną Wortlowę, a gdy kancelista odciągnął ją ku drzwiom, rzucił jej przez zęby — *Powtaraju, podat' proszenie, bez towo ni czerta!*

Wortlowa chciała paść mu do kolan i żebrać zmiłowania, lecz nagle wyprostowała się całą siłą swej wątłej postaci, podniosła dumnie głowę i prowagzona z lekka przez kancelistę, wyszła z gabinetu prokuratora.

W kilku słowach przedstawiła swoją audyencyę oczekującemu na nią z niepokojem Wiesławowi.

Wyszli na ulicę.

Wortlowa wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Ziemięcki pocieszał, jak mógł, jemu samemu słów brakło. Chciał coś przedsięwziąć, postanowić, w końcu ucepił się odpowiedzi prokuratora.

— Więc prośbę kazał podać. Trzeba się tem zająć. Trudno. Widzi pani, to taki porządek jest, formalistyką... Im nawet od niej odstępować nie wolno. Na to już rady niema. Odwiozę panią do domu, a sam pobiegnę poradzić się, jak ją zredagować. Ba. Czyż oni rozumieją boleść?... Urzędnicy. Niechże pani tak do serca nie bierze. Dzień, dwa i musi się wszystko wyjaśnić.

Wortlowa chwyciła gorączkowo rękę Wiesława.

— Ratuj mnie pan — szeptała z głuchą rozpaczą. — Nie opuszczaj mnie biednej, starej! Wy nie wierzycie w Boga, lecz wierz mi pan, On ci to nagrodi! Dziecko moje jedyne. Stefka moja droga! Ach, żałuję mi się, że wolałabym, żeby... Sama nie wiem, co mówię! Nie, ja wrócę raz jeszcze do tego... tego psa.. a je-

żeli... to oczy mu wydrapię! Rozumiesz, oczy! On jeszcze nie wie, co znaczy matka, do czego jest zdolna! Słyszysz pan?!

Wiesław, patrząc na twarz staruszki, która zwolna siniała z jakiejś strasznej furii wewnętrznej uląkł się.

— Pani rzekł z mocą. — Proszę o spokój! Chce pani dowiedzieć się całej prawdy?

Twaz staruszki spokorniała nagle.

— Więc proszę nie samej nie przedsiębrać!

— Jedziemy do domu.

Wortlowa zawahała się, lecz nagle schyliła się do ręki Ziemięckiego. Ten usunął się pośpiesznie i pociągnął staruszkę ku dorożce.

Gdy w kilka chwil później, po odwiezieniu Wortlowej, znalazł się znów na ulicy — czuł, że nogi się pod nim chwieją. Nie wiedział, dokąd się udać, co przedsięwziąć. Dla zebrania myśli, wypoczynku chwilowego a i posiłku — wstąpił do najbliższej cukierni.

Tu, pochylonego nad szklanką herbaty, zastał wesoły okrzyk Stacha Mieleckiego.

— Jak się masz, Wiesiu?!

Ziemięcki podniósł głowę, uściśnął machinalnie podaną mu rękę i mruknął coś w rodzaju powitania. Mielecki przysiadł się do Wiesława i z właściwą sobie żywością zaczął rozmowę:

— Człowieku — mówił — co się z tobą dzieje!? Nie widziałem cię kopę czasu — nigdzie literalnie się nie pokazujesz!?! Myślałem, żeś się zapisał gdzieś u adwokata! Gdzietam! Przeglądałem w sądzie okręgowym listę kandydatów — ani myśli!... A ja, wy-

obraż sobie, dzisiaj po raz pierwszy stoję w sądzie pokoju! Mam sprawę o pobicie! Powiadam ci zabawna historia — walka na pięście o klucz od góry! Moja klientka ma podbite oko a strona przeciwna ucierpiała znowu na nosie. Oczywiście, wobec wzajemności, musi upaść wszystko, ale jest tu w dodatku zaburzenie spokoju publicznego, więc idzie tylko o sprowadzenie kary do gotówki!... Wczoraj miałem raut u radcy Studzińskiego, wynudziłem się setnie, jestem niewyspany... ba, lecz co tobie o tem mówić! Nie swój jakiś jesteś! Ale, ale słyszałeś?! Podobno około trzydziestu rozmaitych socyalistów aresztowano?!...

Wiesław, który nie słuchał zgola wynurzeń Mieleckiego, na słowa ostatnie poruszył się i bąknął.

— Tak, coś... mówili mi!

— To fakt podobno! — potwierdził z przekonaniem Mielecki. No — no! Co też się u nas ludziom roi po głowie! Do czego to prowadzi? Te ciągle jakieś hee — to porywanie się z motyką na słońce! Czy sens!... Ja tego nie rozumiem. Bo niby co z tego wszystkiego? Taki Kordialis! Pamiętasz go — był na „historycznym“. Litwinisko pocziwe, ciche, skromne, mógłby skończyć uniwersytet, a przy popareiu, które miał, kto wie, mógłby odrazu i lekye w gimnazyum dostać gdzie w Rosyi i rangi się dosłużyć, a on ci, panie, wdał się... i, wiesz zniknął z trzeciego kursu! Odżalować go nie mogę. No, ja to pojmuje! Pierwszy kurs! Pali się w głowach, ale być na ukończeniu i jeszcze myśleć o przewróceniu świata do góry nogami, to już nierozsadek! To dostarczenie roboty pocziwemu Brokowi! A słowo ci daję, poznałem Broka

na wieczorze u członka sądu, Ostroumowa — dla stósunków trzeba i tam bywać. Otóż Brok, powiadam ci, to sympatyczny *homo* — dobrze ma w głowie, rozsądny bardzo i uprzedzająco grzeczny. Zakochałem się w nim! Ba — ba! A co on może zrobić! Mieć takiego Broka za sobą — to, uważasz, karyera kolosalna!

Wiesławowi myśl nowa zaświtała w głowie, wstał, potrząsnął w milczeniu ręką Mieleckiego i zanim ten zdołał zapytać o powód do tak dziwnego zachowania się, wybiegł na ulicę i zawołał na dożkarza.

— Na Bielańską!

Na Bielańskiej wehikuł zatrzymał się przed zabudowaniami byłego arsenału. Wiesław wyskoczył rażno i poinformowawszy się u stróża, udał się przez wielkie podwórze pałacu do położonej w głębi środkowej fasady, zdobnej w stylową kolumnadę, kabalistyczny napis w języku rosyjskim pod attykiem u góry a służbowego żandarma u dołu.

Pałac cały tonął w jakiejś niczem niezamąconej uroczystej ciszy, niby opuszczona rezydencya wielkopañska.

Wiesław wpadł do przedsionka, zameldował się szwajcarowi i wstąpił na szerokie schody, zasłane grubym dywanem, napróżno uchem szukając jakiegoś szmeru, odgłosu. Zdawało mu się, iż idzie do siedziby umarłych.

Na pierwszym piętrze młody żandarm wprowadził go do obszernego pokoju i wskazał urzędnika. Ten ostatni zapytał o nazwisko, zniknął na chwilę,

i kazał mu iść za sobą. Minawszy tak kilka pokoi, zatrzymał się przed wielkimi, obitemi suknem drzwiami i wskazał mu je.

Wiesław nacisnął klamkę i znalazł się w obszernym gabinecie szefa żandarmów, Broka.

Generał powstał z fotelu, uprzejmie odpowiedział na ukłon Ziemeckiego i ruchem ręki zaprosił go do zajęcia jedyne go krzeselka, ustawionego w pełni światła.

— Co pan każe?!

— Panie generale — zaczął gorączkowo Wiesław. — Nie w swoim przychodzę interesie, lecz biednej opuszczonej wdowy!

— A!! Wszak pan Wiesław Ziemecki?

— Tak jest!... wdowy, pani Wortel...

— Wortel...

— Tak panie... wczoraj aresztowano jej córkę... Matka jest w rozpacz, nie może dowiedzieć się, co się z nią stało! Otóż zwracam się do pana generała z prośbą, abyś raczył się zlitować i chociaż zechciał mnie zapewnić, że jest w cytadeli, że o to i o to ją obwiniają!... Niczego więcej nie żądam!...

Brok szarpnął zlekka swe wymuskane, szpakowate wąsy, i bawiąc się od niechcienia kreśleniem jakichś znaków na leżącym przed nim papierze, — rzekł po namyśle.

— Hm! Nie mogę! Sprawa nie moja... to prokurator powinienby... Do niego trzeba! Tak, tak, to dla matki zmartwienie... Muszę odmówić!...

— Panie generale: Wszak tu idzie o taką rzecz bagatelną dla niego! Jedno słowo uspokoi ją, obudzi nadzieję ochroni od rozpacz!

— Zapewne! Nie wątpię, panie Ziemecki... ale to nie łatwe do wymówienia słowo! Pan chce wiedzieć, o co córkę pani Wortel obwiniają?! Skądże ja mogę wiedzieć? Pewno jeszcze o nic... jest może pod śledztwem...

— Ja wiem! Nie chciałbym, broń Boże wkraczać w granice niemożliwości... lecz słyszałem niejednokrotnie, że pan generał jest człowiekiem serca... pan nie odmówi matce!...

Brok spojrział uważnie na Wiesława, podniósł się z fotelu, podszedł do małej szafeczki, umieszczonej w rogu gabinetu, otworzył ją, położył na półeczce dwie niekształtne kartki, a następnie zamknął drzwiczki i nacisnął ukryty guzik dzwonka elektrycznego. W szafie powstał lekki szmer, dalej trzask, niby otwieranych zamków, poczem wszystko ucichło.

Generał wrócił na swoje miejsce, poczęstował Wiesława papierosem i zagadnął znienacka:

— Pan krewny zapewne?

— Nie panie. Kobieta sama, opuszczona; mieszkałem u nich... dawno, przed kilku laty... przypadkowo zaszedłem do nich po aresztowaniu...

— O... to przykre — potwierdził z intonacją głębokiego współczucia Brok. — To pewno młoda osoba?

— Jakies dwadzieścia kilka...

— Ach! Na cóż ta dokładność? Wiek pań... Lecz doprawdy, jaka szkoda. Co to się dzieje, co to się dzieje!... ludzie młodzi, może pełni ochoty do życia, do zabawy... skazani na takie przykrości. Na co to? Dlaczego?... Ot, i zmartwienie dla matki, a młoda główka broiła, może broiła...

— Przysięgam panu, że panna Wortel faktycznie dała się pociągnąć, lecz zresztą jest najniewinniejszą osobą.

— I ja tak myślę — pochwylił żywo Brok. — Chociaż, o ile brałaby udział w organizacyi... partyi... to nie dobrze.

— Zaręczam, iż to nie miało miejsca.

— Kto wie. Wartman w najrozmaitszych sferach szuka stronników. Nawet w komitecie zasiada kobieta.

— Ależ, panie generale — zaczął z przekonaniem Wiesław, lecz w tejże chwili pochwycawszy przenikliwy wzrok szefa żandarmów, zmieszał się, rozumiejąc, iż o mały włos nie wpadł w zastawione nań sidła. Brok uśmiechnął się nieznacznie i zauważył od niechcenia niby:

— Więc pan jest przeciwnego zdania?

— Właściwie tak, choć naprawdę sądzić o tem nie mogę, jednakże w całym zachowaniu się panny Wortel, nie zauważyłem nic takiego, coby mogło budzić podejrzenie lub dawało do myślenia.

— A tak! — odrzekł generał, rozumiejąc, że Ziemęcki opanował już pierwsze wzruszenie. — Zdarza się to wszystko — rozmaicie bywa. Bardzo wierzę, iż pańska pupilka jest niewinną. Prawo zresztą jest w tych razach zbyt surowe, wielu jeszcze okoliczności nie uwzględnia, a niekiedy dla wykrycia winowajcy dziesiątki ludzi pozbawia swobody na całe lata. *Dura lex sed lex!* Co robić! Czasy takie! To, co inne państwa uważają już za naturalną walkę przekonań, my stoimy dotąd przy przestarzałych wyobrażeniach o so-

cializmie. Pan nie ma zamiaru przypadkiem osiedlić się za granicą?

— Ja? — powtórzył Wiesław, nie rozumiejąc pytania. — Nie, panie generale, nie myślałem o tem nigdy.

— Hm! To może szkoda! Tam dopiero życie dla młodego człowieka, rozkosz prawdziwa! Pan wie, że Dorffeld ma zamiar osiąść na stałe w Genewie? Ba, tylko jeszcze nie zebrał dostatecznej sumy!

— Dorffeld? nie słyszałem.

Brok roześmiał się pobłażliwie.

Wiesław spostrzegł całą lekkomyślność swojej odpowiedzi i dodał, ratując sytuację.

— Nie słyszałem, bo żadnego Dorffelda nie znam...

W rogu pokoju przy szafce rozległ się cichy głos dzwonka elektrycznego. Brok powstał, wyjął z szafki zwoj papierów i powróciwszy na swoje miejsce, jął je przeglądać, mówiąc w pół do siebie.

— Pan Ziemęcki Wiesław..., co za doskonała fotografia! To Mieczkowski pana zdejmował!... Wybornie!

Wiesław zbladł. Generał zdawał się na to uwagi nie zwracać i ciągnął dalej:

— Wcześniej pan zaczął pracować na niwie publicznej. A, to pan brał tak żywy udział w manifestacyi przeciw Apuchtinowi... Ja sam go nie lubię. Człowiek bez najmniejszego taktu... Ciekawe rzeczy o panu pisać, bardzo ciekawe... Panna Stefania Wortel... tak — tak... Niewinna, zupełnie niewinna... Zbierała pieniądze... urzędowała rauty deklamacyjno-wokalne..

Ziemęcki mienił się wszystkimi kolorami, wręście zdobywszy się na odwagę, rzekł śmiało:

— Generale! Nie przyszedłem tu wysłuchiwać przykrych dla mnie uwag, lecz aby z całym zaufaniem, otwartością zwrócić się do...

— Pan masz do mnie zaufanie? — zapytał ostro Brok, mierzając badawczo Wiesława.

— Tak jest... po tem, co mi o panu opowiadano...

— A dasz mi pan słowo, że będziesz ze mną szczerym?

Wiesław poruszył się niespokojnie.

Brok dorzucił pośpiesznie:

— Z warunkiem, że ja nie będę się pytał o nic, coby dotyczyło osób trzecich!

— Do czego to prowadzi?

— Tylko do zadośćuczynienia twojej prośbie.

— Słucham.

— Jesteś socyalistą?

— Tak... do... dzisiaj!...

— Eh! Przyjmij zdrową radę i wyjeżdżaj stąd. Dla was tu miejsca nie ma. Jesteście narzędziem biernym, którem posługują się wszyscy. Zwalczeni jesteście przez kontrminy! Nie wiem, czy mnie pan rozumiesz! Dziwią cię moje słowa? Żal mi pana, jesteś młody, jak widzę, nie zepsuty jeszcze...

— Dziękuję panu! — bąknął Wiesław.

— Niech panu to wystarczy. A co się tyczy panny Wortel... to owszem... mogę pana zapewnić, że jest w tej chwili w cytadeli...

— Oskarżona?

— O nie! Przecież oskarżenie jest dopiero wynikiem śledztwa, a to może być ukończone za miesiąc, pół roku... Zdarza się rozmaicie...

— Pan generał wszakże sędzi?

— Nic nie sędzę! Oskarżać będzie prokurator Turau i wszystko! Nie nadto powiedzieć panu nie mogę. Wiesław podniósł się z miejsca.

— A czy pan generał nie uważałby za możliwe zezwolić na widzenie się matki z córką!

— Widzenie się? Ach, to gorzej jeszcze! Wier mi pan, że to jeszcze gorzej dla nich! W końcu to odemnie nie zależy... to prokurator... chociaż przed śledztwem jest to niemożliwem...

— Przesłać wszakże cośkolwiek z jedzenia, garderoby...

— Ach to, znów można śmiało... i przeciwnie, tylko podczas śledztwa.

— W takim razie pan generał nie odmówi mi wydania rozkazu...

— Ależ, panie Ziemęcki, tu żaden rozkaz jest niepotrzebny — niech pani Wortel pośle paczkę wprost do kancelaryi pawilonu, a jeżeli jej paczki nie zwróca, to będzie znaczyło, iż doszła. Nic więcej. Prawo dla wszystkich jednakowe. Ale... więc pan wyjedzie za granicę, panie Ziemęcki?

— Nie, generale, zostanę — odrzekł stanowczo Wiesław.

Brok zastanowił się, a potem zaczął innym tonem:

— Ile pan ma dochodu rocznego?

— Kilkaset rubli.

— Tak. Tyle panu przysyłają rodzice, a zarabia pan?

— Wystarcza mi to najzupełniej.

— Rozumiem. Ale przy pańskim wykształceniu możnaby dojść do stanowiska, do majątku... Namysł się pan. Jabym miał coś dla pana... Zajęcia nie wiele... a około trzysta rubli na początek miesięcznie i wydatki, wszelkie wydatki...

Wiesław zaciął usta i odparł z tłumionym wybuchem:

— Krótko mówiąc, chciałby pan ze mnie zrobić szpiega! Pan daruje, lecz komu innemu odpowiedziałbym inaczej za taką obelgę.

Z twarzy Broka zniknął w jednej chwili pobłażliwy uśmiech. Wyprostował się głowę uniósł do góry i podszedł do Wiesława z wyciągniętą ręką.

— Panie Ziemecki. Pan jesteś porządnym człowiekiem. Daj, niech uścisknę twoją rękę. Wyjeżdżaj stąd. To wszystko, co ci mogę powiedzieć.

Wiesław spojrzał na dziwnie poważną, a szlachetną twarz Broka, mającą w sobie coś sympatycznego, pociągającego, podał rękę i wyszedł z gabinetu szefa żandarmów, targany najsprzecznieszymi uczuciami.

III.

Z nawpół obumarłym sercem słuchała Wortłowa relacji Wiesława.

Ciężkie to były słowa, skąpe wiadomości, lecz coś było przynajmniej. Prawda, Ziemecki nie żałował wyrazów, każde skinienie Broka tłómaczył staruszcze na całe okresy, nie zawahał się obudzić w niej nadziei w szybkie ukończenie zaszłego nieporozumienia, zapewniał ją, że Stefka nie jest bynajmniej o nic oskarżoną; aresztowanie to chęć zasiągnięcia informacji.

— Więc może męczyć ją będą! Torturować! — jęknęła staruszka.

— Cóż znowu! Przeciwnie, więźniowie cytadeli mają zapewnione wszelkie wygody! — perswadował Wiesław. — Szczególniej kobiety. Cele schludne, pożywienie dobre bardzo, nawet zbytkowne! Co jest pewnego stopnia zrozumiałem, a to z uwagi, że po stokroć więźniowie, jak panna Stefka, przebywają tam dla jakichś!... Skądże! Dlaczego?! powzięcia wiadomości. — Cienkij! Czestnoje slowo,

Wortlowa wzdychała, łyzy połykała, a kręciła głową. Wiesław nie ustawał w przedstawieniach, plątał się, igał nawet, a w końcu zapewnił staruszkę, iż najlepszym dowodem niewinności zupełnej Stefki jest, że Brok najchętniej zezwolił na dostarczenie uwięzionej bielizny, garderoby, nawet jakichś zapasów spożywczych.

Ten ostatni argument poskutkował cudownie. Wortlowa zerwała się z miejsca i jęła szykować posyłkę dla córki, troszcząc się o najmniejszy szczegół, starając się odgadnąć najdrobniejsze upodobania areztowanej. Gdy wielki kosz, na który składały się kolejno uboga spizarka, szafa z sukniami i komoda z bielizną był napełniony — na zakłęcia Wortlowej, Wiesław podjął się odwieźć go natychmiast do cytadeli.

Tam w kancelaryi przyjął go znów ten sam mały człowieczek.

— *At, pan Ziemenckij! Milosti prosim!... Koszyczek?*

— Tak, dla panny Stefanii Wortel.

— *Wortiel?* I owszem... Zobaczysz się, czy się *panna Wortiel* okaże!...

— Jest z pewnością!

— Cha, cha! *Już uznaliście?* — Cha, cha! Dla mnie ona to tylko *nomer!*

— Kiedy będę mógł się dowiedzieć, czy posyłka doszła?!

— *Nie mogu znať. Czerez tri dnia możet byť!*

Wiesław się bał do kieszeni i nieznacznie podłowy papierek, a potem ode-

— Pan będzie łaskaw nie robić trudności. Wszak panu to wszystko jedno. Byłem właśnie u generała Broka i ten mnie objaśnił...

Człowiek wstał szybko z miejsca, uklonił się z uszanowaniem, a równocześnie trzyrubłówka znikła ze stołu.

— *Milosti prosim! Ach, wy izwolili bywať u jewo prewoschoditelstwa! Milosti prosim! Kakija tut trudno-
sti!? Od duszi żelaju wam wsiewo horoszewo! Tak ja dołożu jewo blagorodiu... A jutro będzie pan łaskaw, pofatyguje się! Cześć imieju kłaniatsia!.. pan Ziemenckij! Milosti prosim!*

Dnia następnego Wiesław znów znalazł się w kancelaryi dziesiątego pawilonu z nową paczką. Człowieczek przyjął go jeszcze uprzejmiej.

— At, pan dobrodziej tak rano! Ja myślał już o panu, panie Ziemenckij! *Czestnoje słowo* ja dużo myślał... *Milosti prosim!* Może pan dobrodziej usiedzie...

— Dziękuję... Więc posyłka przyjeta... drugą przyniosłem!

— Aha! Już jest druga! *Milosti prosim!* Hm... *tolko wot maleńkoje niedorazumienie...*

— Jakto?! — zapytał z niepokojem Wiesław.

— *Nie mogu znať!* Proszę zobaczyć, koszyk pański stoi jeszcze... nieznaczony!...

— Więc?!

— *Ja dokładywał! Chłopotal! Razparażenje nie posładowało!...*

— Posyłka nie doręczona?!... Skądże! Dlaczego?!

— *Nie mogu znať!* Pan Ziemenckij! *Czestnoje słowo,*

dielo nie moje! Takij prikaz!... Pan Ziemęckij będzie łaskaw zabrać z powrotem!

Wiesław z przerażeniem jął wypytywać się o powod odmowy — lecz człowieczek ręce rozkładał, kłaniał mu się do ziemi prawie i żegnał się pobożnie, szepcząc konfidencyjalnie.

— *Wot naczałstwo! Moje dielo słuszał' nie rozsuzdat'! Jej Bohu!* Koszyczek wasz trzeba zabrać...

— Niechże zostanie jeszcze!... To niepodobna! Generał Brok mnie zapewniał, że to jest dozwolonem...

— *Kanieczno! Jewo prewoschoditielstwo znajut wsio, a tut ne prikazano...*

— Czyżby panna Wortel była tak ciężko oskarżoną? A może jej tu wcale nie ma?!

— *Nie mogu znat'*, pan Ziemienckij! Dla mnie są tylko *nomera!*...

Wiesław był w rozpacz. Zarzucał kancelistę najrozmaitszemi pytaniami, błagał go, prosił, zaklinał, lecz ten kłaniał się tylko coraz niżej i potulnie uśmiechał, strzepując rękoma na znak swej bezsilności. W końcu Wiesław znów sięgnął do kieszeni i nieznacznie podsunął mu złotą pięciorublowkę i rzekł ciszej, aby drzemający na ławie żandarm nie mógł go usłyszeć.

— Panie! powiedz pan przynajmniej, że jest tutaj... że pan wiesz.

Człowieczek mrugnął oczyma i ozwał się z naciśnięciem:

— *Nie mogu znat'! Poluczył prikaz człtoky dla nomera soroka siedmowo żadnych posylek nie prinimat'!*

Tak i nie przyjmuje. A chce pan dobrodziej *Ziemenckij* dowiedzieć się o pannie *Wortiel*, tak już *jewo wysoko prewoschoditielstwo prokuror* powiedzą panu najlepiej.

Wiesław odetchnął lżej, lecz jeszcze nie dał za wygraną.

— Widzi pan, ja tego tylko nie mogę zrozumieć, że generał Brok zapewnił mnie, iż prawo zezwala na dostarczanie więźniom odzieży i żywności. A czy zdarza się, że więźniom tego u was zabraniają?

— Cha, cha! — odparł szyderczo człowieczek — czy się zdarza? *Miłosti prosim!* Wszystko się może zdarzyć! Może się zdarzyć, że dzisiaj pan dobrodziej jedzie dorożką, a jutro karawanem. Rozmaicie bywa. Jeden ma wino, drugi wódeczkę, trzeci wodę, a czwarty pohausta się w powietrzu i odrazu ma *carstwo* niebieskie.

Wiesława zimny dreszcz przeszedł. Człowieczek nagle spowaźniał, odwrócił się do swego stolika i zauważył sucho:

— *Izwinite!* U każdego jest swoje dzieło. Zabierzcie te rzeczy i do *swidanja*.

— A zatem nie ma żadnej nadziei? Gdybym tak poszedł jeszcze do prokuratora?

— Niech pan idzie. Ale co do nas, to może pan nie prędzej się fatygować, jak za dwa miesiące.

Wiesław ociągał się jeszcze z zabieraniem rzeczy, gdy wtem za jego plecami rozległ się basowy głos.

— *Ubirajties!* Tu na *rozhowory* miejsca nie ma!

Wiesław się odwrócił i ujrzał wysoką postać

starego żandarma, patrzącą groźnie na niego i skurzonego nad stołem kancelistę.

Zabrał pośpiesznie obydwie posyłki i wyszedł do dorożki. W drodze usiłował skupić myśli, aby znaleźć sposób dla uspokojenia starej Wortlowej, którą zwrot posyłek niewątpliwie przerazić by musiał. W końcu zdecydował się uciec do nowego kłamstwa i rzeczy przeznaczone dla Stefki, zawiózł do siebie, zapewniając następnie staruszkę, że zawartość posyłek doszła całkowicie do rąk jej córki. Wortlowa ucieszyła się serdecznie i naturalnie, za resztę oszczędności zakupiwszy znów najrozmaitszych prowiantów, wręczyła je Wiesławowi. Tymczasem Ziemęcki zabrał je wprost do siebie. I to zaczęło się powtarzać codziennie.

Serce krajało się Wiesławowi, gdy staruszka pobiegła na jego spotkanie i głosem drżącym zasypywała go pytaniami, każąc sobie opowiadać każdą wycieczkę do cytadeli, z najdrobniejszymi szczegółami. Niekiedy już brakło mu i pomysłu i siły dla uspienia w Wortlowej rozpacz i zbywał ją wymijającymi odpowiedziami, lecz wówczas staruszka wpadała w taką żalność, iż aby naprawić złe, Wiesław kłamał, a przysięgał się, byle znów rozżarzyć w niej iskrę nadziei.

Tymczasem położenie Ziemęckiego stawało się coraz przykrzejsze. Wortlowa nie miała po za małą emeryturą, żadnych środków do życia, ani żadnej pomocy. Wiesław z początku lałał, jak mógł wybrać z góry należny mu procent od małego kapitału, ulokowanego na majątku szwagra i podzielił

go między siebie i Wortlowę, lecz była to pomoc na krótką bardzo metę. Lada dzień fundusik groził zupełnem wyczerpaniem, zwłaszcza, iż jedynem uspokojeniem dla Wortlowej była możliwość czynienia zakupów dla Stefki. Ziemęcki uciekać się zaczął już do rozmaitych sposobów, byle ograniczyć się w wydatkach. Więc jał rozpakowywać doręczane mu zawiązki i po zniżonej cenie oddawać kupcom sardynki, kawiar, butelki z winem, lecz i to nie mogło w końcu zażegnać katastrofy.

Ziemęcki jał myśleć o zdobyciu jakiegoś zajęcia. Po raz pierwszy zamiar ten powstał mu w głowie! Dotąd nie wiedział on jeszcze, co to jest na siebie pracować lub trapić się myślą o jutrze. Syn zamożnych obywateli ziemskich, od najmłodszych lat przyzwyczajony był do nie troszczenia się o siebie. Płacono zań szkoły, pamiętano o jego potrzebach, a gdy potem w uniwersytecie zabrakło nagle rodziców... to, choć skromny spadek był dlań wielkiem rozczarowaniem wyobrażeń o majątku rodziców, ale i ten w zupełności mu wystarczał.

Wiesław nie miał żadnych dotąd namiętności, żadnych upodobań, szczerbiących budżety młodych. Nadto od lat kilku obracał się w kole ludzi, którym los kazał wyrzec się niekiedy wszystkiego, którzy po za ideą, po za wyznaniem swej wiary społecznej i politycznej, żyli chlebem powszednim, niekiedy nieustającym głodem, albo wprost nędzą. Wśród takiego otoczenia, Wiesław był Nababem, krezusem... a że nadto w jego łatwo zapalną, wrażliwą naturę socya

lizm i anarchia wgrzyły się z całą gwałtownością — przeto i on pędził życie, pełne zaparcia się i pogardy dla wszystkiego, co jest użyciem. I nigdy prawie nie był w stanie całej przewyżki wydać na siebie i gdyby nie ofiary, składane przezeń na rzecz partyi, może by był został już małym kapitalistą!

Od chwili aresztowania Stefki, położenie Wiesława nagle się zmieniło!

Po raz pierwszy spostrzegł, że środki, którymi rozporządza, są niedostateczne.

Dlaczego? Dlaczego los Stefki obchodził go tak bardzo, dotykał tak głęboko??

Sam z tego nie umiał sobie zdać sprawy. Wszak między nim a nią nigdy nie doszło do żadnych wyznań miłosnych, do żadnych wybuchów lirycznych czy erotycznych. Mieszkał u nich przez dwa lata i stołował się. Ona zawsze biegła za lekcjami — on kończył ostatnie egzaminy i rozpoczynał pracować dla partyi. Stefkę traktował jako towarzysza... ot, po koleżeńsku sobie i koniec na tem. Widywali się często. Ona interesowała się żywo ruchem umysłowym, a po części socyalnym. Jakie to były błogie chwile, gdy czasem przyniósł jej odezwę robotniczą lub komunikat partyi, albo kilka broszur, czy numerów „Przedświtu“. Po całych nocach je czytała, czując się dumną z tego, szczęśliwą nieomal.

Później Cis rzucił myśl, aby koniecznie pozyskać dla partyi i kobiety i Wiesław rozpoczął swoje apostołstwo. Szło ono dosyć opornie, ile że Wortłowa, podchwyciwszy czasem wyrazy „anarchia“, „socya-

lizm“, „kapitalizm“, gromiła ich surowo i zabraniała córce wdawać się w „takie spiskowanie“. Lecz Stefka była z drugiej strony energiczną, samodzielną, ledwie kilka miesięcy upłynęło, gdy w jej mieszkaniu odbył się pamiętny pierwszy raut...

Co to była dla niej za radość, co za uciecha prawdziwa! Trzecią część swych miesięcznych zarobków oddała na urządzenie przyjęcia! Wiesław zapraszał, nadmieniwszy w zaufaniu, iż pośród zebranych będzie członek komitetu. Po raucie, Stefka napróżno usiłowała zgadnąć, który jest komitetowym. Ciągłe jej się zdawało, że to Henryk Łączewski, ten... ten blondynek z twarzą porcelanowej lalki!

Po tym raucie Łączewski stał się powoli codziennym gościem u Wortłów — w końcu tak się jakoś stało, że Wiesław się wyprowadził, a pokój jego zajął Henryk... Wiesław wówczas zaczął bywać rzadziej, choć w istocie... stosunek jego nie uległ zmianie.

Łączewskiego nie lubił — brak sympatyj — nie więcej, bez żadnej przyczyny...

Kilka miesięcy temu Henryk wyjechał gdzieś za granicę, do rodziny, w Poznańskie. Wortłówna zmieniła mieszkanie. Stefka spoważniała nagle i jakby przybladła... To było łatwem do wytłumaczenia: przejęła się do głębi duszy sprawami partyi. Co ona się nieraz nabiegała, nalatała! Ile zadowolenia szczerego było w jej oczach, gdy wręczała Wiesławowi sumki, ciulane przez nią, na oświatę ludową, na propagandę na towarzyszków podupadłych...

A dziś?! Dziś zatrzaśnięto za nią drzwi cytadeli!...

Wiesław od chwili aresztowania Stefki, doznawał ciągłych wyrzutów sumienia. Bo któż, jeżeli nie on, jest, przyczyną dzisiejszego jej położenia?... Kto ją pchnął może do zguby, kto skłonił do podjęcia pracy dla nich, dla tych bez serca...

Wyrzuty te stały się dla Wiesława tem dokuczliwsiymi, iż w myśli jego rodziła się straszna wątpliwość... Szczytne myśli, podniosłe a ogarniające wszechświat ideały zlewać się zaczęły w oczach jego w jakąś norę, bezdenną próżnię, na dnie której obok szyderczej twarzy małego kancelisty z Cytadeli widniała sucha, koścista głowa Cisa i obrzękłe policzki Dorffelda. Wątpliwość nieubлагana, żrąca, wkradła się do jego czystej, uczciwej duszy i szarpała ją i ssala.

Próżno Ziemecki chciał ją zwalczyć, próżno krzepił się, że myśl szczytna, wielka, może mieć i podobnych czasem rzeczników, że przez to samo doniosłość jej zminiejszoną być nie może! — coś go trawiło, coś niepokoilo! Wszak praca partii miała na sztandarze wypisane hasło miłości bliźniego, wszak w imię tej miłości miano kroczyć na boje z przemocą, gwałtem z bezprawiem prawa, z wyzyskiem... A tu... jej... Stefki, wiernej, oddanej, poświęcającej się... nawet nikt ratować nie myśli, ani się nie zatroszczy. Była — nie ma jej — będzie inna! Ha! Idea wymaga ofiar, bez nich kroku naprzód uczynić nie może, ale i bez solidarności, bez wzajemnej pomocy także!

Wiesław postanowił choć w części wynagrodzić krzywdę wyrządzoną Stefce i zająć się szczerze losem jej matki. Zresztą zdawało mu się iż będzie w skutek tego bliższym niej... a tak mu było teraz ciężko, tak głucho czegoś, a ponuro.

Łatwo mu było pójść za popędem serca. Nie przewidywał tylko trudności, ani mąk, które tu czekały. Zbolały, rozgoryczony do siebie samego i całego świata, musiał klamać przed Wortlową i patrzeć, jak z każdego fałszu czerpie nowe siły do życia, do wytrwania. Jemu niewolno było ani się poskarżyć, ani uzalić... bo nie miał i przed kim. Osobą najbliższą mu był od lat kilku Cis — jakżeż się z nim okropnie obszedł... a dalej, kogóż mógł szukać!... Lub może miał zdradzić pierwszemu lepszemu pocziwcowi tajemnicę związku?!... Gdybyż jeszcze nie to widmo nędzy, które coraz natarczywiej zakradało się do jego woreczka!...

Wśród tych trosk a kłopotów, nieustannej trwogi o Stefkę, długich, męczących rozmów z Wortlową — Wiesław powziął dwa postanowienia. Po pierwsze zająć się natychmiast wyszukaniem miejsca — i po drugie udać się jeszcze do Podgoriczenki. Obydwie sprawy były trudne i małe rokujące nadzieje.

Podgoriczenki Wiesław nie znał osobiście. Słyszał o nim, iż miał to być dobry duch partii, który, zajmując równocześnie wysokie stanowisko w żandarmeryi, oddawał wielkie usługi towarzyszom. Mówiono mu o nim wiele, o jego sposobach odwracania podejrzeń, o jego poświęcaniu się, a równocześnie

o prawdopodobieństwie, że na dwóch stolkach siedzi i że, kto wie, czy nie jest właśnie figurą umyślnie ustanowioną dla lepszego śledzenia. Szczególniej Janek był zawsze tego zdania — twierdząc bez ogródek, że Podgoriczenki równie trzeba się strzedz, jak każdego innego szpicla, a może więcej jeszcze. Bo Podgoriczenko to wielki łowczy, który nie poluje na drobną zwierzynę, który ruch podziemny uważa za nieuniknione *sine qua*, a którego zadaniem jest tłumić żywsze wybuchy, niweczyć wielkie spiski, donosić zamachy. Takiemu nie należy wcale na arestowaniach lub gnębieniach pojedynczych osób — jemu idzie o całokształt minowej roboty, o przeciwdziałanie w szerszym rozumieniu. To nie ciasny policman, ciągnący do tłómaczenia za skrawek papieru zadrukowany niecenzuralną odezwą, to nie pacholek, uważający każdego studenta uniwersytetu za rewolucjonistę, a lada awanturę uliczną za bunt otwarty — to majster. Ten prawdziwy, czystej krwi, a wysokiej rasy wyżeł, stawający tylko do grubego zwierza, nie zwracający nigdy uwagi na kszyki, przepiórki, czy słomki, gotów zawsze stado bodaj kuropatw spłoszyć nieostrożnem szczeknięciem, lecz równocześnie baczny w kniei, nieubłagany w ostępie.

Wiesław wiedział dobrze o tem wszystkim. Znał te sprzeczne wprost ze sobą pogłoski, a mimo to, niewolony niepewnością o los Stefki, nie zawahał się szukać i tutaj pomocy.

Pułkownik Siemion Aleksandrowicz Podgoriczenko zajmował obszerny apartament na Pięknej

ulicy, jak przystało na człowieka familijnego z wybitnem stanowiskiem.

Wiesław z niepokojem rozejrzał się po gabinecie pułkownika, do którego wprowadził go służbowy żandarm. Z niepokojem, gdyż całe, dosyć skromne urządzenie, zdawało się od razu usuwać wszelką myśl o wolnomyślności Podgoriczenki. Nad biurkiem dwa wielkie portrety cara i carycy mówiły, zda się, o przywiązaniu do tronu, zwłaszcza, że na przeciwległej ścianie wisiały nadto podobizny trzech Aleksandrów z Mikołajem pierwszym w po środku.

W rogu, przy oknie, świeciła się lampka przed obrazem św. Cyryla, na stole leżały rozrzucone obficie widoki Kremlinu, Newskiej Ławry, Gateczyna, noszące na każdej swej stronie niezatarte piętna samodzierżawia mocarzów rosyjskich. Grupa fotograficzna, przedstawiająca szereg cały dostojników żandarmskich z wielkim napisem po środku „Boże cara chrań!”, uzupełniała emblematy prawomyślności gabinetu Podgoriczenki.

Po kilku minutach oczekiwania — drzwi się otwały i stanął w nich Podgoriczenko.

Był to mężczyzna około lat pięćdziesięciu, wysoki, barczysty, o twarzy pogodnej, ujmującej. Gęsta, przyproszona zlekka siwizną, czarna czupryna i zamasyście wąsy wydłużające się w spiczaste bokobrody, nos owalny, orli, żywe błyszczące oczy, nadawały twarzy Podgoriczenki wyraz dystynkeyi, odcień szlachetności dobrego pochodzenia.

Podgoriczenko skłonił się uprzejmie Wiesławowi i zapytał z wdziękiem:

— *Czto prikażetie?!*

Urzędowy ton zapytania, mundur granatowo-fioletowy pułkownika i krzyż Włodzimierza, błyszczący mu pod szyją, zmroził Ziemięckiego, lecz ten nie tracąc przytomności, odrzekł krótko:

— Pan... mówi po polsku?!

— Czy mówię!? — odparł z uśmiechem Podgoriczenko najczystsza polszczyzną — naturalnie!

— Jestem Ziemięcki! Wszak mogę być z panem zupełnie szczerym... i pewnym, że nie będziemy mieli świadków...

Podgoriczenko spojrzał przenikliwie na Wiesława, skrzywił się niechętnie i zagadnął, wyciągając z kieszeni notes.

— Pan Ziemięcki?! — a następnie przerzuciwszy kilka kartek notesu, dodał — Wiesław?!... Tak, przypominam sobie pana!

— Przychodzę w sprawie Wortłówny!

— Ach tak!

— Czy pan w imię... ludzkości, w imię litości dla starej zrozpaczonej matki nie mógłby mi dopomóc?

Podgoriczenko zmarszczył się i uciał porywczo.

— Nic nie mogę! Nic! Przepadło! Co wam się zdaje, że ja co mogę naprawdę? Że bez narażenia się będę się wdawał w awanturę o każdą pensyónarkę... Przepraszam, żałuję, lecz nic z tego.

— Lecz, panie, Wortłówna tak znaczne oddawała usługi...

— I cóż z tego? Kto tu winien? Własna nieostrożność. Tyle razy uprzedzam, mówię, przekładam —

nie nie pomaga. Pan także chcesz się doigrać! Łatasz pan, sztasz się na wszystkie strony. Już generał kazał nawet o panu zebrać dodatkowe sprawy i co z tego w końcu wyniknie?... Pan myśl o sobie — moja rada! A z komitetem pan nie zadzieraj — bo to nie ma sensu i nie ma wyrachowania.

— W ogóle wcale go dotykać więcej nie mam zamiaru — rzekł głucho Wiesław. — Lecz może pan mi nie odmówi rady przynajmniej, może pan udzieli mi jakiej wskazówki. Proszę mi darować, iż nie znając pana, ośmielam się być tak natarczywym... pan może mi nie ufa?...

Podgoriczenko roześmiał się serdecznie.

— Pan żartuje!? Gdybym pana nie znał, zmuszony byłbym na razie cię aresztować... Chyba to proste! Co ja jednakże mogę panu zrobić, nieчем dopomódz...

— Niechże wiem przynajmniej, co się z nią dzieje?

Siemion Aleksandrowicz znów zajrzał do notesu i ozwał się.

— Więc o to tylko chodzi? Cóż zatem?... jest w dziesiątym pawilonie pod numerem czterdziestym siódmym. Śledztwo nieskończone. Będzie pewno oskarżoną o agitację i należenie do partii. Znaleźli paczkę broszur i papiery jakieś... Kobiety są zawsze niestrożne.

— Ależ to chyba pomyłka, o ile wiem, panna Stefania żadnych papierów u siebie nie miała.

— Et! Cóż to znaczy. Otóż tu cała sztuka, aby wyjść cało ze świstków podrzuconych! Pan o tem jeszcze nie wie? Naucz się pan tego — szczerze panu życzę, abyś przy rewizyi umiał patrzeć żandarmom

na ręce. Rozmaicie bywa... Słowem śledztwo idzie. Badania nie było — no, i... nie więcej.

— Odmówiono zezwolenia na dostarczenie żywności i odzieży...

— Bardzo proste! Przecież co do niej złudzeń nie ma! Wzięli ją pod obostrzony dozór, jako niebezpieczną, i wszystko.

— To okropne — szepnął ze zdumieniem Wiesław. — I pan mówi, że nie można nic, literalnie nic dla niej zrobić...

— Ach, wy, niepoprawni! Wy ciągle swoje... Myślicie, że ja się narażę na skandal dla głupstwa? Niech to pana tak nie obraża, ale dla mnie to musi być głupstwo. Gdyby jaka persona, jaka ważna osobistość, co innego... ryzykować wówczas trzeba, ale tak...

— Gdyby choć jej dać znać, że matka żyje, że jest zdrowa, że się nią opiekują... to by ją pokrzepiło, byłoby to dla niej dobrodziejstwem...

— Dać znać? Hm! A zna alfabet?

— Alfabet?!

— Pan się pyta jeszcze! Wy tacy wszyscy! Bieriecie się do roboty i zdaje się wam, że Cytadela daleko, a ona tuż, pod nosem prawie!... Od tego powinniśmy wszyscy zaczynać, żeby myśleć o tem, co będzie, jak was zamkną do celi... Tam bez alfabetu ciężko!...

— Mówi pan o telegrafii palcowym... nie zrozumiałem... panna Wortel go nie zna... przynajmniej ja o tem nic nie wiem...

— Więc nie z tego! Nie ma o czem mówić!... Ja muru nie przebiję, ani z dozorcą się nie będę wdawał... Pan wie, u nas żartów nie ma! Ten, co tu stoi u mnie w przedpokoju, także może donos napisać... Gdyby знаła alfabet, to można niejedno zrobić...

— Tak — zauważył sarkastycznie Wiesław — lecz, o ile ja wiem, to dzisiaj już alfabet jest bronią bardzo niebezpieczną, a często obosieczną... Iluż to dzięki niemu wpadło w sidła!...

— Bez wątpienia. I tu nie wolno być także nieostrożnym! Szkoda, żałuję bardzo, lecz ja tu nic nie mogę, nie zupełnie. Mówiono mi, że panna Wortel jest przystojna — toby mogło bardzo wiele znaczyć!...

— Jakto mam rozumieć? — zagadnął Wiesław, rumieniejąc się z lekka.

— Bardzo zwyczajnie. Prokurator jest wrażliwym, bardzo wrażliwym... Niech się mu spodoba, niech nie będzie zbyt surową! Kto wie, kto wie, mogą po prostu końce do wody... i panna będzie wolna! Raz na zawsze wolna!...

Wiesław zaciął usta i zabierał się do odejścia, Podgoriczenko jakby chciał go zatrzymać jeszcze, bo zaczął znów po namyśle.

— Wszyscy jesteście po jednych pieniądzech!... Mordować się i dręczyć dla was nie warto! Czy nie widział pan Janka Żabskiego...

— Owszem... przed kilku dniami spotkałem go na ulicy.

Podgoriczenko drgnął silnie.

— Widziałeś go pan!? Czy być może! Powinien był od dawna wyjechać!? Hm! Nie wie pan przypadkiem, gdzie mieszka?... trzeba go natychmiast ostrzedz!... To dopiero nierozsądek!

— Gdzie mieszka, nie wiem! Lecz wspomniał mi o tem, że lada dzień wyjedzie!

— Może już wyjechał!? — wybuchnął nagle Podgoriczenko, a tyle było w jego głosie jakiegoś niezrozumiałego przerażenia, że aż, to zastanowiło Wiesława. Siemion Aleksandrowicz postrzegł widocznie niestosowność użytej intonacji głosu, gdyż pospieszył dodać:

— Gdyby tylko wyjechał szczęśliwie, byłbym spokojniejszym. Szalony człowiek. Co on wyrabia.

— Więć co do panny Wortel radzi pan...

— Nic nie radzę. Radzę panu mieć się na baczności i koniec. Ale, czy pan nie wie, jakie zapadły wyroki na ostatniem posiedzeniu?

Wiesław chciał odpowiedzieć, lecz nagle zawałał się i odrzekł krótko:

— Nie, nie wiem — i pożegnał Podgoriczenkę.

W ten sposób i ta jedna nadzieja znów się zachwiała. Wiesław, prawda, dowiedział się nareszcie o tem, że Stefka przebywała w cytadeli, a nie gdzie indziej. Podgoriczenko nie kłamał, najlepszem sprawdzeniem był fakt, że wymienił ten sam, czterdziesty siódmy numer celi, co i... kancelista, w dziesiątym pawilonie. Lecz obok pewnego uspokojenia, ogarnął go z drugiej strony jeszcze większy niepokój. Bo co

znaczyły słowa Podgoriczenki o tem, że prokurator jest „wrażliwym“. Miałoby i z tej strony zagrażać Stefce niebezpieczeństwo. Czyżby mogli się do takiej aż posunąć podłości??

Znaleźli u niej papiery kompromitujące, a Wortłowa nic o tem nie mówiła, może nie powiedzieli nic na razie... Umyślnie.

Im dłużej zastanawiał się Wiesław, a ważył każde słowo Podgoriczenki, tem większy go lęk ogarniał. Ona jest pod obostrzonym nadzorem, jemu także ma coś grozić...

Już to Siemion Aleksandrowicz wywarł na Wiesławie dziwnie niekorzystne wrażenie. Żałował prawie, że się do niego zwrócił — lepiej było go może wcale nie zaczepiać...

Z wyszukaniem zajęcia poszło Wiesławowi nieco lepiej. Nie mając usposobienia do belferki, a tem mniej do sądownictwa, które zresztą nie mu na razie daćby nie mogło, idąc za radą jednego z dawnych przyjaciół ojca, wpływowego w życiu warszawskim ziemianina, udał się do redakcyi *Dnia*, opatrzony w dość gorący list polecający. Redaktor przyjął Wiesława życzliwie, a choć zdawał się nie obiecywać sobie po nim wiele, jednak z ochotą przyjął usługi Ziemęckiego i ofiarował mu tłumaczenia artykułów z czasopism niemieckich i francuskich. Wiesław zabrał się do pracy bez szczególniejszego zapалу, lecz tylko z mocną wolą zarobienia czegośkolwiek. Do pióra i pisanja nigdy pociągu najmniejszego nie miał, a przytem czuł, iż w takim czasopiśmie, jak *Dzień*, nie miałby nic do powiedzenia.

Co gorsze, kierunek *Dnia* był mu wprost przykrym, dolegał mu, drażnił tak dla swego głębokiego a upartego konserwatyzmu politycznego i społecznego, jak i klerykalizmu. *Dzień* w życiu Warszawy reprezentował starszylacheckie ideały czerwone z r. 1863, zwolenników zasady „od morza do morza“, zawsze milczących, unikających wszelkich kompromisów i zajmujących się Rosją tylko w dziale wiadomości urzędowych. Przytem zarówno przemoc rosyjska, jak i knowania socjalistyczne, jednakie budziły niechęć w redakcyi *Dnia*. Chłopa uznawano, robotnika tolerowano, dla tytułów miano pobłażliwy uśmiech i obojętną uwagę o... „zagrodzie i wojewodzie“, a dla ziemian, dla szlachty, serce otwarte dla skarg, dla żalów, utyskiwań, słusznych a i niesłusznych może pretenzji. *Dzień* zresztą żydami gardził, przemysłowców unikał, a kupcami się zajmował.

Wyobrażenia więc, a zapatrywania Wiesława znalazły się wobec wręcz przeciwnego sobie bieguna. Denerwowała go praca dla tak sprzecznego i nienawistnego mu kierunku, lecz usprawiedliwiał się przed samym sobą, że właściwie nie ze swego ja tu nie wkładam, ograniczając się tylko do roli biernego tłumacza cudzych myśli. Jednak chwilami i w nim jęły odzywać starszylacheckie wyobrażenia i jemu stawał na oczach rozplaszczony drewniany dworek ojcowski i pieśń świetnej przeszłości, wiejająca z każdego sprzętu, w domu rodzicielskim. I w nim budziły się coraz częściej jakieś odruchy krwi i zdawało mu się, że chociaż to zupełnie wszystko jedno czy kto jest synem herbowego pana, czy tylko biednego rzemieślnika,

atoli... przyjemniej mu było być i socyalistą i szlachcicem równocześnie.

Pewnego wieczoru, gdy siedział nad robotą, przyniesiono mu list od Cisa. Zdziwił się Wiesław niezmiernie, odczytawszy treść listu, bo oto Cis żądał od niego, aby niezwłocznie stawił się dzisiaj jeszcze o godzinie dziewiątej wieczorem na placu Aleksandra przy stacyi tramwajowej. Zdziwił się, ponieważ Cis zaklinał go, aby nie zaniedbał wypełnić polecenia w imię własnego dobra i dziwił się, że mu tak oryginalne miejsce spotkania wyznaczono.

W pierwszej chwili chciał odmówić posłuszeństwa, zastanowiwszy się jednak głębiej, że w rezultacie nie ma celu jawnej toczyć walki z partją i narażać się na zemstę, czy bodaj niechęć, poszedł o oznaczoną godzinie na umówione miejsce. Wieczór był dżdżysty i pochmurny. Plac świecił pustkami. Przed stacyą tramwajową stał Cis z obcym jakimś mężczyzną. Na widok Wiesława zwrócił się do niego pierwszy.

— Słuchaj — rzekł — mam z tobą do pomówienia! Wiem, że chcesz się wycofać... zrobisz, jak ci się będzie podobało... nikt ci przeszkadzać nie myśli! Niepotrzebnieś mnie obszczekał na wszystkie strony! No, no. Nie tłumacz się. Mówili mi. Mniejsza o to!... Musimy tylko porozumieć się co do papierów, które miałeś, sobie powierzone. Do siebie cię nie powiodę, bo się już wyniosłem... Więc wsiądźmy do tramwaju i pomówimy w drodze...

— Jak ci się podoba! — odrzekł obojętnie Wiesław. — Ten z tobą?...

— To rzemieślnik... Ma do mnie interes. Pojedzie z nami!...

— Niech jedzie!

Wiesław umilkł. Cis tymczasem z nieznanym wpatrywali się niecierpliwie w kolorowe latarnie nadjeżdżających od Nowego Świata tramwajów. Tramwaje nadeiwały, zatrzymywały się przed stacją i nikły powoli wśród latarni Alei Ujazdowskich.

Ziemęcki stropił się tem i zagadnął Cisa:

— Czegoż tu stoimy?

— Zaraz! Trzeba wyszukać pusty wagon! — odrzekł Cis, a wpatrując się znów w Nowy Świat, rzucił nieznanemu:

— Więc to biały z pewnością?

— Na pewno!

— No... to nadchodzi!

— Nareszcie!

Przed stacją stanął wagon tramwajowy, noszący biały sygnał dystansu „Powązki-Mokotów“. Cis dał znak nieznanemu i Wiesławowi i wszyscy trzech wskoczyli do wagonu, zatrzymując się na tylnej platformie. W wagonie, w przedziale klasy drugiej, siedziała jakaś stara jejmość i żywą prowadziła rozmowę z siedzącym naprzeciw współpasażerem, mocno przypominającym Wiesławowi Henryka Łączewskiego — po za tem wagon był próżny. Wagon na dzwonek konduktora ruszył z miejsca. Cis kupił bilety, unikając wzroku wpatrującego się weń niespokojnie konduktora i stał, nie ruszając się z miejsca. Około ulicy Pięknej wagon się zatrzymał, jejmość wysiadła — koń szarpnął żwawiej, czując koniec kursu,

konduktor wyjął książkę obrachunkową i jał notować bilety. Wiesław poruszył się niecierpliwie i ozwał się do Cisa.

— Jesteśmy! Więc czegoż chcesz odemnie!?

— Zaraz zobaczysz! — odrzekł zimno Cis i wskazał na śledzącego ich z pod oka konduktora, a potem odezwał się raptownie, kierując głowę w stronę drugiego przedziału.

— Dobry wieczór panu, panie Józefie!

Na głos ten, podniósł się siedzący w przedziale pasażer, wyprostował się i — runął całym ciężarem na konduktora, chwytając go za gardło. Równocześnie prawie z drugiej strony, nieznaną Wiesławowi towarzysza Cisa wbił nóż w piersi ofiary aż po rękojeść. Konduktor zaszamotał się zachwiał i padł na ławkę, rażony nowymi uderzeniami noża.

Ziemęcki na widok tego chciał rzucić się na pomoc mordowanemu, lecz Cis przytrzymał go za ramię.

— Hola! Ani się waż ruszyć!

— Mordercy!

— Cha — cha... — znalazł się obrońca szpiclów! — zauważył ironicznie Cis, a zwracając się do spiskowców, dodał krótko: — A odbierzcie mu tam kartę legitymacyjną... ta się nam przydać może!... Gotowe? teraz za mną... o i ty także!

Wiesław popchnięty ku wyjściu, wyskoczył z tramwaju razem z Cisem i jego kolegami. Tramwaj, prowadzony przez współdrzemającego woźnicę, pomknął ku rogatom, uwożąc ociekającego krwią trupa. Młodzi ludzie zaś skierowali się szybko alejami ku ulicy

Nowo-Wiejskiej. Ziemęcki, drżący cały i przejęty, chciał co prędzej odłączyć się od wykonawców wyroku, ale Cis znów go zatrzymał przemocą.

— Wiesiu, gdzie tobie tak pilno!? Uważacie panowie, jak pan Ziemęcki się trzęsie!

— Dosyć tego! — odrzekł ostro Wiesław. — Mów, czego chcesz odemnie i koniec!

— Powoli, powoli, nie tak gwałtownie — szydził Cis — przedewszystkiem na rogu Marszałkowskiej pożegnamy kolegę Zytla... później kolegę Łączewskiego, któregoś zapewne nie poznał... a potem my się rozstaniemy.

— Cóż to gwałt? Przymus?

— Jak ci się podoba.

— Czyż istotnie tak się zmieniłem, żeście mnie nie poznali? — wtrącił drwiąco Łączewski, idący tuż za Wiesławem.

— Wolałbym was nie znać wcale.

— Ba! Więc aż tak...

— Wieś jest w złym humorze! — ozwał się znów Cis. — Przejął się widocznie swem nowem stanowiskiem w zachowawczo-ultrakatolickiej redakcyi... Takie wypadki zdarzają się... Nie mniej atoli jest dzielnym stronnikiem partyi — najlepszy dowód, że dobrowolnie wyraził życzenia asystowania zduszeniu tego pacholka żandarmskiego.

Zytel z Łączewskim roześmiali się. Cis ciągnął dalej:

— Zważcie teraz na wielkość poświęcenia naszego kolegi... bo wyraził on nadto gotowość w razie mo-

gących wyniknąć komplikacyi... przyjęcia całkowitej odpowiedzialności na siebie.

Dreszcz zimny przeszedł Wiesława.

— A to, panowie, rzecz nie lada! Awantura z tego może być potężna. Szpicel zabity! Pan Brok nie omieszcza ująć się za nim. Może dziś jeszcze zaczną poszukiwania. Ha! Są jednakże ciche bohaterstwa, są ludzie gotowi do wielkich ofiar w imię dobra partyi... Co, prawda Wiesiu?

— Jesteś skończonym łotrem!

— Tylko, kawalerze, bez komplementów — mruknął ponuro Zytel.

— Bohater jest nie w humorze — dorzucił Łączewski.

— Nie nie szkodzi. Ale oddajcie mu narzędzie, niechże go *corpus delicti* nie ominie!

Zytel spełniając polecenie, wtłoczył przemocą do kieszeni paltota Wiesława okrwawiony nóż. Ziemęcki wybuchnął bezsilnem oburzeniem.

— Słuchajcie! Łotrowstwo wasze idzie za daleko! Strzeżcie się, abyście nie żalowali tego.

— Tak — przedrzeźniał Cis, zmieniając nagle ton. Pan Wiesław grozi? Miałby pan ochotę złożyć wizytę może panu Margrafskiemu. Fiu! To zmienia postać rzeczy... W takim razie godzi go się zostawić własnym myślom. Właśnie zbliżamy się do rozdroża na ulicy Marszałkowskiej. Pożegnajmy więc pana Ziemęckiego. Dobrej nocy!

Wiesław chciał coś odpowiedzieć, lecz równocześnie prawie towarzysze jego rozprószyli się w różne strony. Ziemęcki zawahał się, lecz dojrawszy niknącą mu z oczu sylwetkę Cisa, podążył za nią w stronę okopów.

Cis szedł szybko, nie oglądając się. Wiesław nie dał mu atoli ujść i zdwoiwszy kroku, zastąpił mu drogę.

— Słuchaj Cis — rzekł — popełniłeś jedno łajdactwo, mało ci go? teraz za pracę moją, za oddanie się, chcecie mnie zgubić!

— Nie mam czasu. Odczep się odemnie!

— Nie, nie ustąpię, dopóki mi nie wy tłumaczysz, co znaczy to podejście... w jakim celu wciągnęliście mnie w tę ohydę?

— Odkądże to poważasz się lżyć wyroki komitetu?...

— Od czasu, gdy ciebie poznałem.

— I zostałem członkiem redakcyi *Dnia* — dokończył szyderezno Cis.

— To do rzeczy nie należy. Co znaczyła twoja kartka?

— Nie ważnego. Spełnienie wyroku, jak ci wiadomo, powinno mieć świadków... uważałem za właściwe, ciebie zaprosić.

— A ten nóż? Słyszysz? Zdaje ci się, że ja ciebie tak puszczać? Chcecie na moją, głowę sprowadzić karę. To ci się nie uda. Czekać nie będę. Pójdziemy zaraz, słyszysz? Niech nas aresztują!

Ziemęcki wbił palec w ramię Cisa. Ostatni zbladł z lekka i stracił na razie zwykłą mu przytomność umysłu.

— Wieś! Zwaryowałeś chyba? — ozwał się uspokajająco. Bierzesz wszystko na seryo. Tragedyę znów urządzasz? Pies nie będzie wiedział. Patrz tam na rogu stoi policyant. Jeden okrzyk i zgubisz dla głupiego przewidzenia i siebie i mnie!

— Mniejsza o to! — odrzekł głucho Wiesław. — Będę bliżej niej! Rozumiesz, waszej ofiary, którą ja za twoim poduszczeniem wydałem na zgubę! Jesteście podli wszyscy, podli i raz jeszcze podli!... Wy pigneje, nędzne płazy, imacie się roboty Tytanów! Wam gnąć w ciasnych norach, a nie kłaść idei wielkich, świętych niegodnemi usty! Tumanicie setki, tyśiące ludu, szukając w mętnej wodzie osobistych korzyści! Kradniecie! Słyszysz Cis — kradniecie grosz odejmowany od ust nędzarzom! Jesteście złodzieje!

Cisa zimny dreszcz przejął. Błysnęła mu myśl straszna, że lada chwila wpółdrzemiający policyant może na nich zwrócić uwagę.

— Wiesiu! Co tobie? — szeptał, siłąc się na serdeczność. Ty chyba bredzisz! Chory jesteś?

— Chory — pochwycił gorączkowo Wiesław.

— Nie! Ja byłem chorym!... Chorowałem na złudę. Zdawało mi się, że wy jesteście owym punktem oparcia dla idei przyszłości, że wy stoicie na czele nowych dźwigni, która cały świat z posad poruszy i na nowe, lepsze pchnie go tory!... Tymczasem prze-

konalem się, że jesteście równie nikiemni a może gorsi jeszcze, że poza własnym interesem, własnem niebezpieczeństwem, zaspokojeniem własnych namiętności, nie uznajecie żadnych uczuć, żadnych racyj... Nas, towarzyszków, uważacie za miazgę, za coś, które wolno wam każdej chwili wyssać, wyzyskać, oddać na ofiarę siepaczom, byleście wy byli cali! Pogardzam wami! Słyszysz, pluję na was! Wam się roi wywracanie tronów, niweczenie ustrojów politycznych i społecznych świata, chcecie burzyć dawne wierzenia, dawne świątynie, ludzicie naiwnych myślą odbudowania Polski, a depececie wszystkie szlachetniejsze porywy! Uznajecie tylko siebie dla egoizmu, dla despotyzmu poświęcacie każdego, miażdżycie, marnujecie!...

— Rozumiem! Budzą się w tobie refleksye! — próbował perswadować znów Cis. — Wolno ci odejść od nas... Przymusu nie ma, lecz dlaczego tak się unosisz, dlaczego przejmujesz?

— Dlaczego! — zawołał z furją Wiesław. — Boście złamali we mnie to, co poczytywałem w sobie za jedyny cel mego życia, boście napełnili mnie wstrętem dla myśli, która gdzieindziej przyświeca milionom a w waszej podziemnej robocie sączy tylko kół i nieczystość! Mord taki, jak dzisiaj, to wasz żywioł!...

— Człowieku! Tyś szalony! Mów ciszej! Wiesz przecież sam: terror jest tu smutną koniecznością! Musieliśmy zgładzić szpiega, bo wiedział już za wiele, bo trzeba było dać przykład innym, bo to wdraża dla nas uszanowanie, chroni nas i nasze zamiary... Placimy w ten sposób krwią za krew! Wszak tam,

w dziesiątym pawilonie, także z nami ceremonii nie robią! To samoobrona, nie więcej!

— Samoobrona! Właśnie, tylko ona u was sięga za daleko!... Pamiętasz, gdyś na głos dzwonka poczęstował mnie papierami?... To była samoobrona!? A Stefka?!... Słyszeć o niej nie chcecie więcej, bo samoobrona mówi wam, że prawdopodobnie przestanie zajmować się zbieraniem dla was składek!... A dziś samoobrona kazała wam podejść mnie i podarować mi narzędzie zbrodni?!... Mów!... Czemu?

Cisowi zimny pot wystąpił na czoło, bo oto o kilka kroków przed nimi sylwetka policyanta poruszyła się niespokojnie, w mdłym świetle latarni błysnęła blacha na czapce... i nagle przenikliwy wzrok stójkowego spoczął na nim. Policyant zrobił krok naprzód... A Wiesław, nie zważając nań wcale, nalegał dalej ostro na Cisa.

— Żądam kategorycznej odpowiedzi! Nie dość tego... pójdziesz ze mną i napiszesz mi czarno na białem, że ja nie brałem żadnego udziału w dzisiejszym zamachu... w przeciwnym razie ten nóż...

— Milez, na Boga!

— Nie, nie będę milczał! A nawet...

Tu Wiesław urwał nagle. Przed nim stał policyant, który zmierzzył badawczo młodych ludzi i rzekł tonem perswazyi.

— Panowie! *Nie szumicie* po nocy! A to *budiet nie ładno! Uczastek nie daleko!*

Cisowi przyszła piekielna myśl. Podsunął się poufale do stójkowego i szepnął mu na ucho, wskazując nieznacznie na Wiesława.

— *Słyszcie, gorodowoj! On pijan sowsiem! Pristojot ko mnie... otwiazatsia nie mogu!...*

Ziemęcki, zauważywszy szept Cisa, zatrzął się z wściekłości i schwycił go za kołnierz.

— Lotrze! Nie ujdiesz mi! Nową podłóżę chcesz mi zgotować...

— Co pan chcesz?!... Czego zaczepiasz spokojnych ludzi! — zawołał Cis. — *Ot widitie, gorodowoj, pijan sowsiem! Woźmitie jowo!*

— Jego bierzcie! Rozbójnika! Mordercę!...

Policyant sięgnął po gwizdawkę. W pustej uliczce rozległ się przeciągły gwizd. Cis tymczasem starał się uwolnić z rąk Wiesława.

— *Wot widitie. Prosto sumasszedszij... Dierżite jowo. Mienia! koleżskawo sowietnika — bezpakoit!!!*

Policyant na słowo „*koleżskawo sowietnika*“ pośpieszył z pomocą Cisowi i odciągnął Wiesława. Cis otrząsnął się i, korzystając z chwili, zaczął uciekać. Stójkowemu wydało się to pojęrzanem, ponowił więc alarmujące sygnały, termosząc się z Wiesławem, który wyrwał się za Cisem.

— Puszczaj mnie! wołał Ziemęcki. — Nie widzisz, że ucieka!

— *Pust' ucieka!* — odrzekł obojętnie policyant. — Znajdą go, jak *budiet nužno...*

— Jakiem prawem mnie zatrzymujesz?!

— Prawem?! Ot będzie tobie prawo, jak pójdziesz do *uczastku*. Na takich łobuzów jest tam i prawo!

— Milcz, bałwanie! Nie wiesz, z kim mówisz!

— Bałwanie?! A ty *bradiaga, pjanica, ja tiebie zadam!...* *Zuby razkałaczu!* — krzyknął rozwścieczony pacholek i jął coraz silniej cisnąć Wiesława w ramionach. Ziemęcki opierał się, ile mu sił stało i starał się wydobyć z uścisku lewą rękę, która, umieszczoną w kieszeni paltota, trzymał policyant. W tejże chwili ręka Wiesława chwyciła za trzonek noża... Targnął się silniej... ostrze musnęło rękę stójkowego!... Policyant puścił Wiesława i odskoczył w tył, chwytając za głównie pałasza.

— *Nożownik!*!... — wykrzyknął policyant przerażony, którego odrazu odeszła ochota do mocowania się z Wiesławem, pomimo, że w oddali rozległy się przyspieszone kroki nadechodzącej pomocy.

Ziemęcki jednak nie dał opamiętać się pacholekowi policyjnemu i rzucił się z kolei w stronę, w której był zniknął już Cis.

— *Dieri! Karaul!* — darł się za Wiesławem stójkowy, gwizdząc na przemiany, lecz Ziemęcki, wspiał się już na okopy, przesadził niski parkan okalający pole wyścigowe i znikł w ciemności.

Do policyanta zbliżyła się tymczasem odsiecz w postaci dwóch stróżów, stójkowego z sąsiedniego posterunku i samego rewirowego. Rewirowy pierwszy zabrał głos.

— *Tichonow! Czto słucziloś?*

— *Pajmał łobuza... nożownika... Zadierzał... a tut czetych na mienia!...*

— Katoryj nibud' iz znakomych?!

— Czort ich! Adiety pariadoczno!... Paszli na Mokotowskoje...

— Pust' ich, sukinkych synow! — zaopiniował rewirowy. — Dokład zrobić koniec. Gdzieby ich tam kto gonił... Taki łobuz nożem dźgnie, jemu co!... Tfy!... Służba!... Cholera nie służba!... Nie ma co robić. Na miejsca wszyscy!...

Przedstawiciele bezpieczeństwa publicznego Warszawy zamienili jeszcze kilka słów i rozeszli się na swoje posterunki.

Bonobro
Rakowce
Rakowce
IV.
Siirpa

Wiesław biegł szybko, zapuszczając się coraz dalej w głąb rozległego pola wyścigowego, potykając się i grzęznąc co chwila w rozmięklej po deszczach ziemi. Dopiero, gdy przeciąwszy całą szerokość pola, przeskoczył znów parkan i znalazł się gdzieś aż pod Rakowcem, i torem kolejowym, zwolnił biegu. Siły go stopniowo opuszczały. Przeszedł na krok przyśpieszony, potem włókł się jeszcze czas jakiś, aż padł wyczerpany nad rowem.

Na razie ani mógł myśli zebrać, ani zastanowić się nad swoim położeniem. Krew pulsowała mu w skroniach, kołatała gwałtownie w sercu, strumienie potu zlewało mu czoło, pierś podnosiła się nerwowo, przed oczyma migotały mu jakieś kręgi czerwone, to plamy krwawe. W uszach szumiały mu jeszcze odgłosy gwizdawki policyjnej i chrapliwy oddźwięk głosu stójkowego.

Leżał tak przez czas jakiś niby skamieniały, tonąc w jesiennych resztkach wilgotnej, obślizgłej trawy.

Zwolna siły zaczęły mu wracać. Podniósł się i przysiadł nad rowem, błędząc dokoła wzrokiem.

Noc ciemna, ponura, zalegała ziemię, rozwiesiwszy nad nią miast gwiaździstego płaszcza, wielką stalowo-czarną płachtę. W oddali tu i owdzie słabe, żółte światełka znaczyły schroniska ludzkie, czy drogi, prowadzące do miasta. Gdźieniegdzie wysmukły komin fabryczny zarysowywał się mglisto obok topoli, czy wierzby. Na skraju horyzontu snop iskier buchnął czasem żywiej ponad rozwartem szeroko gardłem lokomotywy, zresztą ciemność dokoła nieprzejrzana, zasnutą labiryntem nieodgadnionych sylwetek, nieuchwytnych linii, konturów, załamów.

Cisza panowała głęboka, nieprzerwana napozór — z dalekim brytana skowykiem, z cichym zapóźnionego woza turkotem. Lecz gdy Wiesław wsłuchał się w ową ciszę silniej, mocniej, doszedł jego uszu jakiś przeciągły nieskończony chichot. Wielkie mrowisko narodu miało szelest swego oddechu, coś jakby przeciągłe chrapanie, wśród snu, pełnego mar, a widziadeł.

Wiesław siedział bez ruchu, orientując się za ledwie w przeżytych dopiero co wypadkach. Naraz tuż przed nim wyrosła chuda skulona postać. Wiesława przejął jakiś strach zabobonny, lecz w tejże chwili odezwał się głos młody, dźwięczny.

— Szanowanie łaskawemu panu! Z kim mam przyjemność?!...

Wiesław zerwał się na równe nogi, gotów do odparcia napaści, lecz postać skureczyła się jeszcze bardziej i przystała nagle.

— Pan dobrodziej myśli?!... A gdzie mi tam w głowie zacnego obywatela zaczepiać... Walek do usług!

Proszę osoby!... Osoba szuka widzę kataru w rowie?!... Kto widział taką higienę o tej porze urządzać!... Do hotelu w cegielni nie łaska? Ba, salcesony tam wizyty składają... albo i tu, może nie?!... Honorowe słowo, dziś naganka idzie od Woli pod Belweder! Osoba nie wierzy! Niech mnie flanela morowa ogarnie, mówie, jak do bliźniego...

Wiesław nie wiedział na razie, co odpowiedzieć, w końcu odrzekł krótko:

— Dziękuję za opiekę!

— Fiu! — zaśmiał się wesoło nieznajomy, przeoginając się wpół z uciechy. — Osoba gardził?!... Może osoba jest z naganki? ...Fiu! Kława parada!... Dali-bóg, filipusa dostanę! Jakie ci osoba ma palito ewanionie!... Mam się zapytać, komu zginęło? Pękne! No — będą filipusy... a może do flaków mam się dobrać!?! Co?...

Ziemęcki poznał, że ma przed sobą podmiejskiego opryszka. Cofnął się mimowoli w tył i ujął rękę noża.

Rabuś ze swej strony chwiejąc się zlekka i kłaniając niby od niechcenia, podsunął się do Wiesława, bacznie mu się przyglądając.

— Osoba nie gadająca?... Rany Boskie!... Osoba ci jesiorty prawdziwe dźwiga na głowie, czy jakieś kankaruły... Bogate pierze!... No frajerze... dajesz?...

— Ani kroku dalej! — zagroził Wiesław.

— Rety! Co widzę, osoba ma majcher! Takie buty!... Ba, trzeba mi było od razu pedzić!... No, schowaj swój kozik! A jak filipusa masz, to po-

częstuj bracie jednym, bo dwa dni w gębie złamanego paliwa nie miałem.

Wiesław sięgnął do papierośnicy i rzucił rabusiowi kilka sztuk papierosów. Opryszek zatrząsł się z uciechy.

— A bodaj cię lobuzie! To ci z ciebie grabia fajny! Ani mi się śniło takiego obywatela przy gliniankach znaleźć... no, daj pyska!

— Radzę ci się nie zbliżać!

— O! może masz i pukawkę? A może! He, he! Tyś widzę cwaniak! No — honorowe słowo, głupstwa mi nie w głowie. Poratuj czleka zapalką i gwizdź sobie!

Wiesław rzucił opryszkowi zapalki. Rabuś jął zapalać spokojnie papierosa, rozkoszując się dymem.

— Klawe filipusy, niech mnie połamie! Przyznaj się, znalazłeś je pewno w tym palcie!... Mnie co do tego! Et, bracie, żeś mi tym dymem wygodził... to ci mówię, zmiataj stąd, bo naganka idzie, a jeżeliś ty z naganki... to ci mówię zmiataj stąd, bo andrusy, jak pójda, to mogą o ciebie zawadzić... Masz, co chcesz, guzik i pętelkę!

Wiesławowi przyszło na myśl, że gdyby nawet ostrzeżenie opryszka było fałszywe, to i tak czas mu myśleć o powrocie do miasta, odezwał się więc po namyśle:

— Słuchaj-no! Chcesz zarobić?

— Zarobić!... Cwaniaku, masz robotę jaką? Sypać na całego!

— Doprowadzisz mnie do najbliższych rogatek.

— Tu cię boli?!... Dlaczego nie?!... Dasz fajgla?...

— Dam!...

Rabuś głową pokręcił z podziwu.

— Patrzaj! Miodownik z ciebie jakiś!

— Więc nie marudź! Idź naprzód, ja za tobą, a jak ci przyjdzie ochota...

— O... Cóż bo?... Mam honorowe słowo? Ja myślę!... Idźmy! Ale! A niby do których rogatek: wolskie na prawo, jerozolimskie na lewo...

— Wolskie!...

— Wliziemy na salcesonów! A już na „antków“ z pewnością. Wszystko ci noguje, bo im chcą pokój publiczny naruszyć.

— Tak prowadź, żebyś ominął i tych i tych!...

— Jak się uda! — mruknął opryszek i zawrócił ku miastu. Wiesław skierował się za nim w milczącym. Rabuś po chwili zaczął znów gawędę.

— Ani mi w głowie nie było, że taki dziś spacer odbędzie! Bliźni! Tyś pobytowy?...

— Nie!

— Osiedlenie masz?...

— Nie mam!

— Pój go! Szczęściarz choroba! Nie bój się! Nie bój i ciebie!... Znałem takich, co przez dziesięć lat rabiów udawali i chodzili sobie po świecie, aż ich wpuściło! He! Na taki psi czas to i posiedzieć nie grzech. Ja sam myślę na Pawiaka się na zimę wyprowadzić... szukam ci tylko meldunku należytego tak na dwa miesiące... Dłużej nie ma interesu! No, no! To ci najdę znalazłem dzisiaj! Dymam sobie właśnie od Mokotowa i myślę, jakby tu na bok kozła wykręcić, aby mnie nie ogarnęli w kordon, a tu bli-

Bliźni!

zni... czysta heca! Ale... bo pod Mokotowem jakiś cwaniak tramwajarza ci zawadził pod żebro! Gwałt ci tam taki!...

— Gdzie? zagadnął niespokojnie Wiesław.

— Mówią pod Mokotowem znaleźli go w wagonie! Konduktor taki. Stangret ci jechał a jechał, dzwonił a dzwonił, przyjeżdża na stację...gdzie konduktor... a konduktor leży ci sobie łobuz na poduszkach i sączy z lewego boku! Tęgo mu zajechali. Frajer tylko jakiś, bo mu całą torbę grosiwa zostawił! Nie z naszych! Gdzieżby kto taki grzech popełnił! I tak był jeden rachunek! Może nie?... Na co umarłakowi torba!... A luda się zeszło, jak mrowia!... I cóż bliźni na to?!

Wiesław milczał, szedł z głową pochyloną za swym przewodnikiem. Rabuś też stracił nagle ochotę do rozmowy.

Szli tak wśród pustkowie, omijając z daleka dookoła domki, sunąc pod parkanami domów i czyniąc najrozmaitsze zygzaki. Opryszek prowadził żwawo, niby kot, zdala już rozpoznając każdą ścieżkę, drogę, kamień. Był jak u siebie.

Po półgodzinnem kluczeniu, towarzysząc Wiesławowi przystanął i ukazując mu świecącą o kilkadziesiąt kroków latarnię miejską, rzekł:

— No... To i Wola! Rzetelnie prowadziłem. Niech no bliźni ładuje „fajgla“!

Wiesław sięgnął do kieszeni i rzucił rabusiowi rubla.

— Honorowys! — zauważył ostatni, chwytając w lot srebrny pieniądz. — Takich lubię. Ba, wziąłbyś mnie na jaką robotę. Niech mnie połamie, jeżeli nie elegant jestem do wszystkiego.

— Dosyć tego! Odczep się odemnie!

— Na co znów się mam tak zaraz odczepić? Każdy chce zarobić. Jak się co trafi, to niech bliźni pyta się na Powązkach u bab o sparaluszowaną Kaśkę, to moja ciotka, po zmarłej matce, a jak bliźni znajdzie Kaśkę, to znów zapytacie się o czarnego Walka. Ona będzie wiedziała gdzie mnie szukać.

— Już dobrze. Odejdź! — niecierpliwił się Wiesław.

Opryszek zawrócił w przeciwną stronę. Wiesław wyszedł na Wolską ulicę i zmierzał ku rogatkom. Ulica przedmieścia Warszawy była pusta. Ziemiecki przebiegł ją szybko, a spotkawszy przy rogatkach dorożkę, wskoczył do niej i kazał się wieźć do domu.

Gdy w kilkanaście minut później dzwonił do bramy, z pod kół dorożki wysunęła się znów ta sama chuda, pochylona ku przodowi postać opryszka.

Wiesław zadrżał, a równocześnie rozległ się przyciszony głos.

— Szanowanie panu!...

Rabuś chciał coś jeszcze mówić, lecz w tejże chwili furtka z trzaskiem się otworzyła i Wiesław skończył na schody.

Znalazłszy się znów nareszcie w swoim mieszkaniu, padł, jak stał, prawie na łóżko, ledwie zrzucający z siebie przesiąknięty wilgocią paltot.

Teraz dopiero zaczął sobie jasno zdawać sprawę ze wszystkiego.

Cis wciągnął go w okropną matnię. Jeżeli policja wpadnie na trop, że morderstwo było sprawką partyi... mogą go lada chwila pochwycić!... Podgori-czenko już go ostrzegał! Awantura ze stójkowym mogła się stać kompromitującym śladem... Spotkanie z tym łotrzykiem... prowadziło aż do bramy domu, w którym mieszkał! Pochwyć go... więc zginie, zmarnieje... od razu! Bo w jaki sposób udowodni, że nie brał udziału w morderstwie, że był tylko z przymusu widzem! Wskaże sprawców?... Więc przedewszystkiem ci zeznawać będą przeciwko niemu, a dalej nie uwolni go to od odpowiedzialności za należenie do stowarzyszenia, walczącego terroryzmem... a jeżeliby nawet udało mu się uniknąć żandarmów, to nad głową jego zawisnie zemsta partyi... Jest zgubionym na zawsze! Jedyne ratunek — uciec stąd natychmiast... lecz co wówczas stanie się z Wortlową? Kto biedną, opuszczoną zaopiekuje się, kto zatroszczy się o Stefkę? Ha! Gdy jego pochwycą, ten sam los ich nie minie! Ale może uda mu się, odwrócić podejrzenia! Może ślady stracą z oczu!...

Rozgorączkowana fantazyja Wiesława jęła snuć najokropniejsze obrazy. Niemoc go ogarnęła, zmiażdżyła. Bił się z myślami, nie wiedząc, co począć, co postanowić. Nad ranem opanowało go znużenie, zasnął.

Okolo południa obuził go piskliwy głos posługaczki.

— A to pan dzisiaj śpi i śpi! Służąca z listem już dwa razy do pana przychodziła. Żal mi było pana budzić. Panisko tak silnie spało. Ale też robotę miałam nielada. Paletot oszargany, jak nieboskie stworzenie, a i majteczyny nie lepsze. Jezu, jeszcze nie podobnego na oczy nie widziałam, a będzie chyba dziesiąty rok, jak kawalerom posługuję. Chyba pan upadł w błoto, albo co!

— Właśnie... poślizgnąłem się! — odrzekł wymijająco Wiesław.

— Przecie! Inaczej ani myśli tak się uwaląć! A buty! Choć skrobać! Ja to wiem... w młodym wieku to się paniczów rozmaite przemysły trzymają. Namachałam się, że rąk nie czuję. Niechno pan wstaje. Herbaty nastawiłam gorącej... Tylko patrzeć jak się zagotuje... Prawda! O mało się nie skaleczyłam. Czyszczę, a tu z kieszeni wylatuje mi ten nóż. Że też panicz to nosi w kieszeni!?

Wiesław zadrżał. Posługaczka trzymała w ręku nóż Zytla.

Ziemęcki mruknął coś pod nosem i kryjąc przeżenie, zaczął niby pośpiesznie się ubierać, kląć w duchu własną nieostrożność. Miał tam... odrazu porzucić to okropne narzędzie, on przyniósł je aż tu! Co za brak rozwagi. Jakby umyślnie chciał wzbudzić podejrzenie...

Chcąc zatrzeć co prędzej pamięć o nożu, zaga-dnął babę, siłąc się na spokój:

— Więc powiadacie, że była tu, u mnie służąca z listem?

— Aha! Niby od jednej wiekowej pani, co to już pan wie! Tak mi podała! Ha! Czy ona wiekowa, czy nie — to mnie tam nic do tego. Moja rzecz posługi robić i tyle. Do panów kawalerów, to zwyczajnie rozmaite panie mają interesy. Niby nie wiem! Dziesiąty rok będzie na święty Wojciech, jak się w pokojach kręcę. Napatrzyłam ja się rozmaitości. Młode panowie to i siak i owak! Aha! I muszę pedzić jeszcze naszemu stróżowi, żeby baczył na bramę... bo ci dzisiaj, to od samego rana kręci się jakiś oberwaniec. Pewnie na przepatrunek przychodzi.

— Był, mówicie, oberwaniec?

— Tylko co! Patrzę, a on po korytarzu. Pytam się, czego to? A on mi na to — może babcia wie, czy tu nie mieszka taki słuszny blondyn? Fora ze dwóra — mówię, — bo stróża zawołam. Ja ci pokażę „babcię“, łobuzie jeden! Uciekł odrazu, jak zmyty! W godzinę coś, wyszłam po bułki dla tego malarza, a on ci na drugiej stronie ulicy stoi i gapi się tu, do nas, na górę! Ot! Albo i teraz! Niechno pan tylko spojrzy! Widzi go pan?

Posługaczka wyciągnęła rękę ku oknu. Wiesław rzucił okiem i ze zgrozą zobaczył na przeciwległej stronie ulicy, pod murem, zgarbioną postać rabusia z za rogatek.

— Trzeba stróża ostrzedz. Jak kogo okradną, to i on potem będzie miał za swoje. W zeszłym roku tak samo było, kręcił się taki jeden, a potem naraz tego czarnego buchaltera pod piętnastym numerem okradli, obrali go biedaka, do ostatniej koszuliny.

Mało nie płakał, nieborak. Wiem ci ja wszystko. Taki nieraz panicz, aligant. Cylander, buty z przyszcypami, laseczka, papierosik, krawatka, a bez obiadu, o lada herbacinie, cały tydzień śmiga po ulicy. Zaraz powiem stróżowi. Niechno ma tego na oku.

— Tak, tak, zapewne! — bąknął Wiesław.

— Pan zaraz wychodzi?

— Nie, nie wiem jeszcze.

— No to ja tymczasem pójdę sprzątać obok. A niechże pan wstaje, bo herbata już się gotuje.

Posługaczka wyszła. Wiesław wpadł w bezsilne odrętwienie.

Jest prawie odkryty. Ten łotr czeka teraz na niego tam, przed domem. Będzie go śledził, będzie szedł za nim, gotów go wyzyskać, może naprowadzić agentów policyjnych. Nie, nie ma innej rady, tylko przez pewien czas nie wychodzić wcale z domu. Gdyby nie ten nóż przeklęty! Jakby na ironię przyniósł go aż tu ze sobą. Łatwo powiedzieć: nie wyjść. Siedzieć w domu. A co stanie się z Wortlową? Przyszłość, że dziś u niej będzie. Trudno. Rozsądek nie pozwala mu inaczej uczynić...

Przy drzwiach dało się słyszeć lekkie pukanie. Wiesław zarzucił na siebie zwierchnie odzienie i odsunął zatrzask. Służąca od Wortlowej podała mu list. Ziemiecki rozerwał kopertę i przebiegł szybko podane mu pismo.

„Panie! — pisała Wortlowa. — Daruj moje śmiałości, lecz oto już od dwóch dni nie nie posłałać Stefuni, a ona tam biedna nie ma co jeść! W

ani grosza! Nie opuszczaj biednej wdowy, a Bóg ci da wszystko najlepsze. Wstyd mi z taką udawać się prośbą, lecz cóż mam począć, do kogo się zwrócić. Paczkę dziś jeszcze mogłabym wygotować i choćby sama odwieźć!...”

Wiesław zafrasował się słowami listu. Zajrzał do woreczka. Na dnie jego tułało się kilka ostatnich już rubli. Miały mu one starczyć aż do spodziewanego honorarium z redakcyi „Dnia”. Lecz ona, Stefka, była wszak pierwszą.

Czy ona?!

Rzucił okiem w kąt pokoju, na stos piętrzących się koszyków, zawiniątek i paczek i uśmiechnął się gorzko.

Tam leżały właśnie owe posyłki dla niej. Co robić? Raz zaczętej komedyi przerywać nie można, niepodobna!...

Podzielił bez wahania posiadaną sumkę na dwie równe części i nakreśliwszy słów parę z zapowiedzią, że on sam, jak dotychczas bywało, odwiezie paczkę do cytadeli, ponieważ on zna drogę formalistyczno-forteczną i jego tam już znają — odprawił służącą.

Odetchnął ciężko. Jeszcze raz udało mu się odwlec katastrofę, jeszcze raz stać go było na zaspokojenie żądań staruszki. A co będzie jutro... gdy może zabraknie mu środków, a zabraknie z pewnością?!

Przekłeta noc. Musi siedzieć, jest niby uwięziony. Dzień stracony bezpowrotnie. W redakcyi gotowi wieść się na niego. Gdybyż choć mógł pisać?!... okrad.

Wiesław mimowoli dotknął czoła — było rozpalone. Nocna wędrowka, ta ucieczka, to leżenie tam, na tem pustkowiu, nie poszło mu na zdrowie. Oczywiście, musiał się przeziębć. Gdyby tak zachorował... Nie — lepiej o tem nie myśleć!

Ubrał się pośpiesznie, spożył gorączkowo śniadanie i zasiadł przed biurkiem, chcąc zająć się czytaniem.

Głowa mu ciężyla. Litery książki zaczęły skakać mu do oczu, zlewać się w czarne hieroglify, mieniać, a w końcu wyłoniła się z nich żółta, pomarszczona, szyderezo wykrzywiona twarz Cisa.

Wiesław się wzdrygnął. Wypadki nocy stanęły mu przed oczyma. I znów usłyszał ten gwizd przeciągły stójkowego i ten głuchy łomot padającego w śmiertelnem skurczeniu ciała i dziki śmiech Zytla.

A potem z pomroki, z grozy tej stanęła przed nim ona, Stefka. Z rozwianym włosiem, z twarzycką białą, przeźroczystą... patrzyła nań oczyma, pełnemi łez, patrzyła mu w duszę... Matowe usteczka Stefki poruszyły się z lekka... i jęły szeptać:

— Ratuj... ratuj... moją matkę! Tyś jeden na świecie!

Szept ten Wiesław słyszał, czuł wiew jej oddechu, czuł, jak go przenika, jak targa mu serce.

Ból suchy, drętwy chwycił go za piersi, zdławił go, Ziemięcki chciał coś odpowiedzieć, chciał zaprzyśiądz jej, chciał ją zakłąć... Widzenie znikło. Wiesław odwrócił głowę, przed nim stała skulona postać Wortlowej.

— Ach, mój Boże! — zafrasowała się staruszka. — Ja panu może przeszkodziłam? Tylko na parę minut wpadłam. Byłam sama w mieście po sprawunki, więc myślę sobie, poco wracać do domu, lepiej od razu załatwić wszystko!...

Wiesław bąknął kilka wyrazów niezrozumiałych na powitanie, siłąc się na zapanowanie nad ogarniającem go znużeniem. Wortlowa ciągnęła dalej, wzdychając ciężko.

— Oj, ale się zmęczyłam! Wysoko do pana! Moje nogi stare! Bardzo stare! Pozwolisz, że usiądę. Muszę trochę wypocząć. No! Stefcia będzie kontentna. Kupiłam jej jabłek, prawdziwe „sztetyny“, ona je pasyami lubi! Widzi pan, jakie to ładne... Musiałam aż za Żelazną Bramę chodzić! Kupiłam także trochę winogron... doskonałe salami... Panie, jakże ona lubiła zawsze salami! Bułeczki doskonałe, kilka pomarańczy, szynka, pół buteleczki czerwonego wina... do herbaty, bo tam pewno muszą kiepską dawać herbatę! Co? Nieprawdaż?! Ale muszę się też panu przyznać do czegoś!... Wracam z miasta i myślę sobie, jechać tramwajem, czy nie?!... Aż tu przypominam sobie i to dopiero teraz, że... Stefunia była ogromną amatorką... Zgadnij pan czego?... No migdałów w cukrze obsmarzanych! Nie pamięta pan! Co dzień prawie, idąc na lekcję, kupowała sobie na Marszałkowskiej w cukierni za dziesiątkę! I zawsze mówiła do mnie — Mamo, to moja namiętność! Na szczęście, przypomniałam sobie dzisiaj... Och! Człowiek w tem zmartwieniu gotów na Bóg wie jaką matkę wyjść!... Więc kupiłam paczuszke! Ej! Nie koniec na tem!... Już wszystko panu

powiem! Ja i pana i wszystkiego żandarmów wyprowadziłam w pole...

Wiesław otworzył szeroko oczy, ledwie zaczynając rozumieć żwawe monologowanie staruszki. Wortlowa mrugnęła kilkakrotnie ze smutnem zadowoleniem.

— Tak, tak! Już widzę, że mi pan nie wierzy. Ej, matka na wszystko znajdzie sposób. Jak oddawałam pierwszą posyłkę, to aż mi się serce krajało, że nie mogę choć kilka wyrazów do niej napisać. Za drugim razem nie mogłam się przezwyciężyć... i napisałam... i odtąd co dzień piszę!... I udaje się rzeczywiście... bo inaczej, jak pan sam mówił, pochwyciliby, zwróciliby uwagę, albo może robiliby trudności z przyjmowaniem posyłek. No, a tymczasem wszystko dochodzi. Chi-chi! Już to matka zawsze trafi do swego dziecka.

Wiesław poruszył się, aby coś odpowiedzieć, lecz w tem wzrok jego padł na stos leżących w kącie posyłek dla Stefki. Wortlowa siedziała twarzą do nich zwrócona. Jeden rzut oka i okropna rzeczywistość skoczyła jej do oczu.

Wiesławowi odrazu powróciła przytomność umysłu. Podniósł się z krzesła i wskazując je Wortlowej, ozwał się dosyć brutalnie:

— Może pani będzie łaskawa tu się przysiąść?

— Ależ dziękuję! Cóż znowu!

— Ja panią proszę.

— Kiedy mnie tu jest bardzo dobrze — opierała się staruszka.

— Tak, lecz ja przyzwyczaiłem się do tego miejsca! Światło mnie razi!

— A! — odparła urażonym tonem Wortlowa — może ja... panu, przeszkadzam! I pewnie, aż się dziwię, skąd mi starczy śmiałości!...

— Ależ proszę pani — tłumaczył się Wiesław. — To moje takie dziwactwo... nie więcej!... Niechże pani będzie łaskawą!

Wortlowa spełniła żądanie Ziemęckiego. Wiesław odetchnął lżej.

— Oj, wy, wy! Młodzi! Ani was zrozumieć czasem nie można! Stefunia toż samo! Przyszedł czasem kto z młodych ludzi, a ona szeptem mi do ucha — niech mama wyjdzie! — pierwszy raz, to ażem się przeżegnała! Dzieweczyno! co tobie w głowie! Ale ona nuż prosić, molestować, a błagać! Wychodzę tedy! ale przeze drzwi przymknięte zaglądam. Pan to wie, o lampartów u nas rozmaitych nie trudno. Patrząc, a oni sobie siedzą i rozmawiają najspokojniej dalej! Dziwactwo! Bo zgadnij pan o czym? Juścić o tych nowodnych ekonomicach i socialnościach! A dali-pan, mogli byli i przy mnie sobie mówić, bo ani krzty nie wiedziałam czasem, o co idzie. A jak już ten pan Henryk u nas mieszkał, to końca temu nie było! Wie pan, jak sobie pomyśle, że ona tam siedzi uwięziona, to aż zawrotu głowy dostaje!... Potrzebne to było! Czy ja kiedy pomyślałam o tem, że moje jedyne dziecko po tej cytadeli tulać się będzie! Pan masz dobre, pocziwe serce, ale pan nie miał o tem wyobrażenia! Ot, człowiek myślił, Stefunia dorosnie, wyjdzie za mąż za jakiego porządnego... bo i warta

była tego... a ja przycupnę sobie przy niej, w gospodarstwie pomogę... ot i wnuczka zabawię! Wierz mi pan! Nie byłam nigdy zaślepioną... a dla Stefuni nie marzyłam nigdy o żadnem wielkiem szczęściu, wielkim dostatku, świetnej partyi! Niechby najskromniej byle z zaeną duszą!... Mijały tak lata całe. Stefunia skończyła konserwatorium... z medalem... Lekcyj miała dość. Nie źle nam się powodziło, lecz poważna była nad wiek zawsze. Co ja nieraz się namolestowałam, naprosiłam, żeby szła gdzie na zabawę, do teatru, na wieczorek, przecież i było doprawdy za co pójść — ona nie idzie. A bywało, ulegnie moim zakłębom i pójdzie, to usiedzie w kąci i prawie się nie ruszy!... Powiada mi — to puste mamó, to nudne! — Mój Boże, jak to ja byłam młoda, to aż się trzęsłam do życia, do zabawy. Skry z oczu mi szły, jak gdzie muzykę posłyszałam... Wzięła już to usposobienie po nieboszczyku ojcu! On zawsze był poważny i małowowny nawet. Ale to nie dziwota, w jednym dniu stracił dwóch braci i matkę... Słyszał pan pewnie... podczas powstania!...

Wiesław skinął machinalnie głową.

— Kto wówczas nie ucierpiał! No i tak lata idą... Gdzieżto... Stefunia przecież ma już dwudziesty czwarty rok. Tak, co tu ukrywać... dwudziesty czwarty. Czas jej za mąż!... I zeszło jej na cytadelę... biedaczce!

Wortlowa otarła napływające jej do oczu łzy i zaczęła po chwili:

— Oj panie Wiesławie, czy aby ona tam ma, jakie godziwe pomieszkowanie! Bo to ona słabowita, delika-

tna... wiele jej nie potrzeba, żeby się nie przeziębiała! Staś przecież na suchoty skończył, czego Boże broń, żeby się co nie przyplątało.

— Cóż znowu! zaoponował Wiesław — Niechże pani będzie spokojna. O tem nie ma mowy. Czasy się dzisiaj zmieniły. Nawet... więźniów politycznych mają w poszanowaniu, coś dopiero, gdy kogoś powołują dla zbadania...

— Ale powiedz mi pan, czego oni właśnie mogą od niej chcieć? Przysięgam panu, jak pragnę szczęścia Stefuni... w głowę zachodzę i nie wiem dlaczego, za co ją aresztowali! Panie, to było takie dobre, takie spokojne dziecko... Prawda, plotła sobie czasem takie trzy po trzy, a żeby to biedakom rozmaitym było lepiej, a że po fabrykach płacą za mało i koniec na tem. Ale to z dobrego serca tylko...

Wiesław był jak na mękach. Słowa Wortlowej szarpały go, dręczyły. Głowę zwiesił ponuro i milczał. Wortlową uderzyło dziwne zachowanie się Ziemęckiego.

— Pan jakiś nie swój dzisiaj?

— W istocie, przeziębilem się trochę... i czuję się osłabionym.

— Ach! Mój Boże — zafrasowała się staruszka — że też ja tego nie spostrzegłam. Pewnie pan nie będzie mógł odnieść paczki!...

— Cóż znowu! — zaprotestował gorąco Wiesław, ratując znów zagrożoną sytuację. — Lekkie osłabienie, nic więcej. Przeciwnie, przejażdżka doskonale mi zrobi!..

— Więc pan pojedzie? Zaraz pan pojedzie?...

— Z największą pewnością!

— Dziękuję panu! Stokrotnie dziękuję! Ach żeby to Stefunia wiedziała... No, więc zabierać panu drogiego czasu nie będę!... Idę sobie!... Do widzenia!

Wortlowa zawróciła ku drzwiom, lecz nagle przystanęła i z właściwą sobie gadatliwością zaczęła znowu!

— Ale, ale, dobrze, że sobie przypomniałam! Mój panie, nie ma pan przypadkiem kupca na ten nasz obraz nad kanapą? Nieboszczyk mówił, że on ma wartość. Sama nie wiem, doprawdy.

— Zobaczę, zapytam się! — bąknął Wiesław, chcąc się coprędzej pozbyć staruszki, lecz ta nie myślała jeszcze o odejściu.

— Jeżeliby się trafił kto, to bardzo byłabym wdzięczną! Bo obraz ten, tak naprawdę, to wcale mi jest niepotrzebny... tyle, że wisi!

— Prawda!

— Właśnie! Co mi po nim... No, jak pan powróci stamtąd... to niech pan się położy, malin wziąć na poty i będzie, jak by ręką odjął! Ale jaki to miły pokoi!

Wortlowa rozejrzała się po mieszkaniu. Wiesławowi pot zimny wystąpił na czoło. Machinalnie wysunął się naprzód, aby zasłonić sobą ów fatalny kąt.

— Bardzo miły, widny przestronny tylko trochę za wysoko. No, na młode nogi — to nie szkodzi!...

Naraz wzrok Wortlowej pomknął po za stojącego przed nią Wiesława — oczy staruszki roześmiały się wesolo.

— A! Co ja widzę! Mój koszyzek!... Więc wrócił? Jaki pan nie dobry, nie mi pan o tem nie powiedział...

Wiesław zbladł jak ściana. Wortlowa usunęła go z lekka na bok i podreptała żywo w kąt pokoju. Ujęła pałak koszyka, pokrywa się uchyliła... na ziemię potoczyły się pomarańcze...

Staruszka zmieszała się, rzuciła okiem do wnętrza koszyka i dojrzała leżącą na jego dnie bluzkę Stefki.

— Panie... to... to jeszcze nie oddane?! — szepnęła z boleścią. Machinalnie pochyliła się ku przodowi... i teraz dopiero spostrzegła stos cały dobrze jej znanych zawiniątek. Twarz staruszki posiniała. Jakąś wewnętrzną gorączką trawiona, rzuciła się na te zawiniątka i jęła je rozwijać, rwać, rozkładać.

Pod naciskiem jej długich, suchych palców pękały sznurki i postronki, jak nici. Z piersi jej dobywał się jakiś szmer przejmujący, chrapliwy...

— Sukienka! Wino... bielizna... robótki szydełkowe... chustki!... Ostatnia paczka... to pierwsza... wszystko jest, wszystko... niczego nie brak! Niczego!

Wątlą postać Wortlowej wyprężyła się, z ust jej dobył się jęk rozpaczliwy.

— Pani! Na miłość boską uspokój się!...

Wortlowa chwyciła się krawędzi stołu, aby nie upaść. Stała tak przez chwilę, jak skamieniała, ze wzrokiem suchym, palącym, z kureczowo zaciśniętymi palcami, z zapartym oddechem. Nagle twarz jej drgnęła, ręce wyciągnęły się ku Wiesławowi.

— Panie! Gdzie moja córka?... Gdzie ona jest? Mów! Ty wiesz! Powiedz, coście zrobili z moją córką? Powiedz! Zabiliście ją... zamordowali! Dziecko moje! Oddajcie mi moje dziecko!...

Wiesław chciał odpowiedzieć, chciał pocieszyć wzbudzić w niej nadzieję, lecz głosu mu zabrakło.

Oczy Wortlowej przeszywały go coraz gwałtowniej, wpijały się, wychodziły prawie z orbit, aż zaszklily się... i stanęły nieruchome, matowe. Staruszka chwyciła się za serce i padła z jękiem na podłogę.

Wiesław skoczył z pomocą. Uniósł ją na łóżko. Jął trzeźwieć wodą, lecz Wortlowa nie dawała znaku życia. Strasznie wiedziony przeczuć, zbiegł na dół do stróża, wołając o pomoc. Tumult powstał w całym domu i rejwach. W kilka minut, pokoje Wiesława napelnił zbity tłum gawiedzi.

Ktoś tam pobiegł po doktora a tymczasem baby wysilały się na przywrócenie Wortlowej do zmysłów. Ostry zapach octu, spirytusu i soli trzeźwiących napelnił powietrze.

Wortlowa nie dawała znaku życia. Nadszedł doktor, pochylił się nad ciałem staruszki, śledzony ciekawymi spojrzzeniami tłumu: zaopiniował krótko, nieubłagalnie — umarła:

— Umarła!... — powotórzył tłum i odsunął się od łóżka, niby robiąc miejsce majestatowi śmierci.

Wiesław siedział niepostrzeżony w kącie pokoju, zapatrzony bezmyślnie, obojętnie w przesuwające się przed nim osoby.

Widział, jak do mieszkania jego zaszła policya dla spisania protokołu, odpowiadał nawet badającemu go komisarzowi na zadawane mu pytania.

Właściwie dziwiło go, dlaczego pytają go. Przecie to takie jasne, takie proste... Przyszła z paczką dla niej... no i... upadła potem... Anewryzm serca... prawdopodobnie! No i koniec. Stefka nie ma matki! Sierotą jest. Ale ma być... zabezpieczony! Zawiadomić ją?! Po co... Zresztą może się to Turauowi nie podobać! Zabawny ten komisarz nie wie, o którym Turau mowa. A czyż jest taki drugi na świecie!? Komisarz radzi, żeby tak lekceważąco się nie odzywał. Bo... będzie zmuszonym zapisać to do protokołu... Ach! Jemu wszystko jedno... Owszem. Protokół powinien być obszerny!...

Jakieś dwie baby opowiadały sobie ze zgorzą, że córka Wortlowej w więzieniu siedzi i że nieboszczkę będą z pewnością krajali po śmierci w szpitalnej trupiarni.

Wiesław słyszał doskonale i rozumiał każde słowo, na odezwanie się bab uśmiechnął się pobłażliwie i jął im tłumaczyć.

W więzieniu! Nie, nie w więzieniu, tylko w cytadeli! A to jest różnica wielka! To przynosi zaszczyt... Był w cytadeli!... Wyszedł z cytadeli!... Phil... To śliczna rekomendacya... naturalnie nie dla tego pana komisarza, co tu siedzi. Jemu imponuje tylko pobytowy, albo Turau...

Do wieczora blisko trwała procesya w mieszkaniu Wiesława. Mimo postawionej u drzwi straży,

przyływ i odpływ gawiedzi nie ustawał. Każdy na wieść o wypadku nagłej śmierci biegł przyjrzeć się jej z bliska. Większość odchodziła ze znudzeniem na twarzy, z uczuciem zawodu. Ot, starowina taka umarła sobie... czas może był na nią! Wypadku prawie żadnego... upadła no i wszystko! Ale ta córka! To musi być dopiero egzemplarz. Matka umiera, a ta siedzi sobie w więzieniu. Złodziejka jakaś i koniec na tem.

Marysia, służąca Wortlowej, była w swoim żywiole! Ona przecież wiedziała najlepiej. Pannę zabrali żandarmi! W dzień przyszli, było ich z piętnastu a może i dwudziestu, zrewidowali całe mieszkanie a potem wywieźli... Teraz taki świat! A „jęszy“ złodziej to i w cylindrze chodzi i w rękawiczkach!... Marysia u różnych państw służyła i, dzięki Bogu, nie jednego się w życiu napatrzyła!

Pod wieczór do pokoiku Wiesława weszli dziwni ludzie. W jakichś jaskrawych szalikach na szyi, ciemnych, wyniszczonych kurtkach. Przyszli, rozłożyli na ziemi długą czarną płachtę, zakończoną dwoma drągami. Podnieśli ciało Wortlowej,łożyli na płachcie, wzięli za drągi i... odeszli. A ciało, zwisając połamowato, huśtało się w takt ciężkich ich kroków.

— Będą ją egzenterować! — odezwał się jakiś głos z tłumu.

— Posiekają babulenkę! — zauważono w innej stronie.

Wiesława dreszcz zimny przeszedł. Podniósł oczy... przed nim stał on... ten włóczęga z pod Woli.

— Moje szanowanie! Pan mnie nie poznaje?... O retty-retty! Co ja pana naszukałem! Gdyby nie ta kobiecina, co akurat trupnęła kopytkami... możebym i nie trafił. Musi to pewno kto z famili, bo osoba zmartwiona!... Pisali protokół salcesony! He-he!... i nie!?... Niech mnie flanela morowa ogarnie, jeżeli wiem, kto cię bije!... Pechowiec jestem i ju! Przydałbym się, a pewnie tutaj... ale strucl tak ci na mnie łypać zaczął, że mnie zbrało konceptsu!... I cóż osoba... myśli teraz... he?!...

Wiesław otworzył szeroko oczy wółprzynomne, nie wiedząc, czy sen to jest, czy jawa. Opryszek ciągnął dalej, rozglądając się ciekawie po pokoju.

— Mieszkanie osoba ma paradne!... Barłóg klawy, garderoby huk... porcelana... fajans... ba... filipusy... są!... No to sobie zapalę... Jeszcze te same z tego palita!... Jak pana mego kocham, dobrze ci być swaniakiem takim... w cieple sobie siedzi, w puchu w nocy się kąpie... grabia czysty... a bodajże cię!... Myślę sobie, gdzie osobie tak pilno!?... Na robotę się prosiłem, osoba do motii iść nie chciała... Ba, ale człek znów nie dzisiejszy... odrazu zwąchał okoliczność... Phi!... Nie wieleś miał, bracie roboty, bo ci twoja umarłaczka, to takie było kurezę, że jakby ją trzasnąć raz a dobrze, to już po niej! Co ja ci zresztą będę opowiadał... ewaniak jesteś i już! Inny narobiłby zaburzenia spokoju publicznego, a tyś się zawinał i od jednego zamachu nagle śmierć zrobił, że ci i „pogotowie“ nie miało się po co fatygować!... Choroba!...

Opryszek spojrział z zachwytem na siedzącego bez ruchu Wiesława.

— Osoba nie nie mówi!... Przysięgam Bogu... mam szanowanie dla osoby! Niech aby osoba pod nosem tak srogo nie marmocze, bom nie frajer żaden ani nie dziandziar! W naszym fachu sztama musi być. Mnie co do obywatela? Granda, to granda! Człek sam radby zarobić, bo i ciężko teraz. Na Pawiaku nie ma co, ciepło jest, a jak się dobra trafi kompania, to i czas migiem leci, ale człekowi bez Florki się przykrzy! Ho, ho! Nie znasz jej, bracie! Fajna dama — wątroba nie dziewczyna. Kuzynka teraz odpoczywa, bo jest pod śledzym! Nie jej nie robią! Nie ma dowodów i już!... Niech no ją wypuszczą, to ci ją pokażę! Ja tam znów nie zazdrosny! Albo i na co mi taki zbytek? Osoba milezy? Hm!...

Wzrok opryszka padł na kąt pokoju, w którym leżały rozrzucone paczki i koszyki Wortlowej.

— Za Boga! Co widzę! Trzymajcie mnie! Atoć wsuwa jest... rzetelna wsuwa! Fiu! Do licha. Toć moje rzemiosło... Człowiek nieraz dwa dni na szosie wystaje, aby i jeden serek babie wlokącej się na targ uszczknąć — po co się ma mordować, biedaczka... a tu tyle tego! Osoba pewnie troszkę handluje ze ewaniakami... Psia noga! Wino... serdeliansy... sajety rozmaite. Dobra nasza!...

Opryszek bez ceremonii zabrał się do pałaszowania bułek, wędlin i rozmaitych wiktuałów, nie spuszczać oka z Wiesława, który siedział bez ruchu, jakby zahypnotyzowany.

— Osoba nie nie mówi! — bełkotał niepoń. — No, nie szkodzi! Prosić się nie dam! Cwany prowiant... delikates... u nas ci Siapsiowa takiego nie trzyma. Uhm! Aby sobie zeszczę przepłuczę gardziel. Ach!... Aż mi lżej na wątrobie... Uf!... Dawno takiej frajdy nie było! Co?... Prawda?... He?...

Opryszek jął coraz więcej nabierać śmiałości, a widząc, że Wiesław nie protestuje, podniósł się i jął obchodzić całą izdebkę, skradając się niby kot i oglądając bez ceremonii różne przedmioty.

— Ba! Magnacko! Bogate ubranie! Pozwoli osoba, że przymierzę... Fi! Niby uła! Już ci zawsze miałem szczęście do garderoby... aby do fraków nie, bo mnie ci dwa razy ucapili. No, osoba... ma dosyć tych łachów, godzi się bliźniemu nie pożalować. Ba i kapelusze dwa! Osoba dwóch przecież nie nosi. Jak ma jeden na głowie, to drugi darmożjad wisi... Co osobie po wisielcu...

Za marynarką i kapeluszem poszedł i zegarek, leżący na stoliku przy łóżku i papierosnica i krawat i wszystko, co wpadło opryszkowi w rękę, a dało się ukraść lub zabrać. Nienasycony, chciwy wzrok zbiera ślizgał się dokoła i dalej, pilnie badając wszystko, aż spoczął na leżącym nożu.

Opryszek zadrżał i skoczył ku przodowi, porywając za nóż, a potem zaśmiał się szyderezco.

— Majcher! No! Lepiej ci tymczasem będzie u mnie w kieszeni, niż u osoby... na oczach.

Wiesław, na widok noża, zatrząsł się i krzyknął głucho:

— Połóż to! Słyszysz! Ani mi się waż...

Zbir wykrzywił się, ujął obojętnie za rękęjęść i dziobiąc końcem ostrza framugę okna, odparł:

— Tylko niech osoba nie wrzeszczy... bo żartów nie lubię! Połóż! Jak się masz głupi!... Żebyś mnie później zajechał pod piątę zebro! Nie mam zdrowia!... Majcher jest teraz mój! A jak bliźni będzie urągał, to mu go na cztery cale założy! Dosyć! Nie zawracać! Chcesz siedzieć cicho, to siedź... a nie, to się bliźniego poprosi! Musi być sztama! Noc całą zmarnowałem... motja mi się należy... Co moje, to moje. Majcher pójdź do gęby... i koniec...

Opryszek mając teraz nóż w zębach, z czającego się kota zamienił się w rozpasanego, pewnego siebie zwierza. Ściągnął w jednej chwili prześcieradło z łóżka i już nie przebierając, zaczął zwałać w nie, co tylko się dało. Potem ściągnął końce prześcieradła, związał i podszedł brutalnie do Wiesława.

— Słuchajno! Pokaż teraz kabzę! Głupiej miny nie rób, bo tu śmiechu niema. Gałganiarzem nie jestem, żebym na tych wiechciach majątek mógł zrobić. Dawaj monetę!... Póki ci grzecznie mówię!... Widzisz majcher... Przykro mi będzie... grandziarza kaleczyć, ale kiedyś taki uparty łobuzie, to wędruj do szpitala... jedź sobie „Pogotowiem“.

Zbir chwycił raptownie Wiesława za gardło i zaszamotał nim.

Drzwi wehodowe skrzypnęły... Opryszek obejrzał się. Za nim stała przerażona posługaczka. Zbir puścił Wiesława i rzucił się ku niej, lecz baba wypadła na schody wołając o pomoc.

— Bodajbyś z piekła nie wylazła! — zaklął opryszek. — To ci pech! Do widzenia bliźniemu, nie ma czasu!... Spotkamy się jeszcze!

Zbir zarzucił tłumok na plecy i wybiegł szybko.

Zwabieni okrzykami posługaczki, lokatorzy ze stróżem domu na czele, biegli na pomoc, nawołując się głośno i dodając sobie odwagi. Naraz tuż przed zbitą ciżbą ukazał się opryszek z tłumokiem, błysnął nożem w powietrzu, tłum się rozstąpił w okamgnieniu i łotr najspokojniej wydostał się na ulicę, ścigany okrzykami „łapaj — trzymaj“ i poświstem gwizdów policyjnych.

W kilka chwil później najbliższy posterunek policyjny raportował swemu komisarzowi wiadomość o spełnionej kradzieży i o ucieczce rzezimieszka, pomimo zarządzonej natychmiastowej pogoni.

Dla przeprowadzenia śledztwa policja po raz wtóry nawiedziła izdebkę Wiesława. Badanie i tym razem było równie drobiazgowe i sumienne. Ziomecki mało co rozumiał, czego od niego chcą. Na zadawane mu pytania, bądź kiwał machinalnie głową, bądź szeptał wyrazy bez związku. Komisarz atoli miał snąć wprawę w prowadzeniu protokołu, bo ten ostatni rósł w oczach prawie, aż w końcu rozpostarł się na czterech arkuszach bitego pisma.

Gdy protokół był skończony, komisarz odezwał się tonem protekcyjnym:

— Wy, pan Ziomekij, jesteście chorzy.. wam by iść do szpitala!... Ot co! A na przyszłość radzę, niech u pana takich skandali nie będzie! Dwa protokoły

jednego dnia, to trochę za wiele, pan Ziomekij! Mnie bardzo przykro, ale ja muszę na pana zrobić donos do oberpolicmajstra!... Mnie bardzo przykro! Śmierć rano, a potem kradzież w biały dzień... Nie — tak u nas nie można! Pana mogą wziąć teraz pod dozór policyjny!... Cha!... Nawarzył pan sobie piwa. A jeszcze co panu powiem... że ta starucha, pan wie, no, ona była matką jednej takiej iz socyalistok!... Pan Ziomekij, bardzo nie dobrze! Was pewno wezmą zaraz, p o d c i ą g n ą! Ja musiałem napisać w protokóle, że drugi skandal jednego dnia! Pan myśli... przez pana to i mnie się dostanie *nachłabuczka* i stróż straci miejsce... i rewirowy pójdzie pod areszt... *Wot-wam*, pan Ziomekij i *przyatność*!

A zdawałoby się, że pan sobie niczego... *porządnyj gospodin*!... *Dielo płocho*! Nagła śmierć, a potem odrazu *worowstwo*!... Prosto *skandal* na cały cyrkul! Was wezwą do ratusza, z pewnością!

Komisarz wypaliwszy tę perorę, pełen sprawiedliwego oburzenia, wyszedł z izdebki ze swoimi pacholkami, pozostawiając Wiesława z posługaczką.

Baba uważała za właściwe również się wypowiedzieć.

— Ojej! Co się bo dziś narobiło! A takie miałam dziwne przecucie od samego rana! Jak mi ten nóż wpadł, a potem tego nieponia zobaczyłam, to zaraz byłam pewna, że się coś stać musi! No — no! Ale ci starowina... się zawinęła! Sprzątałam właśnie u akademików, a tu słyszę, pan woła!... Wbiegam... spojrzalam i już pewna byłam, że po niej! Drobne takie biedactwo! Wiele mu tam nie było trzeba! Cha...

lecz ten złodziej... tego pana oporządził! Żeby tak nie była weszła, dźgnąłby z pewnością, u takiego nie kupić! Co to bo panu! Głowa? Głowa! Oj, ja to wszystko rozumiem! Napatrzyłam się w życiu rozmaitości, napatrzyłam!

— Wody! — jęknął Wiesław spieczonemi usty.

— Wody! Zaraz! Niechno się pan tylko kładzie do łóżka! Potrzebnie to było wczoraj tak się zaszargać na wilgoci! Niechże się pan ruszy! Któż widział! Jezu Nazareński, a toż się pan przez ręce przelewał!...

V.

Wiesław leżał nieprzytomny, ciężką powalony chorobą. Przejścia ostatnie stargały w nim do reszty wątłe nerwy. Gorączka wypalała w nim ostatek sił.

Porzucony, opuszczony, na łasce posługaczki i stróżów, walczył długo ze śmiercią, wreszcie choroba ustępować zaczęła. A natomiast chwyciła go niemoc, wyczerpanie zupełne i apatya.

Dni całe i noce leżał skulony na łóżku bez myśli, bez snu. Każde poruszenie, każde drgnięcie muskułów sprawiało mu ból suchy, nieznosny. Chwilami budziła się w nim świadomość położenia, świadomość, która zaledwie powstać w nim zdołała, już weń waliła niby młotem grozą położenia, miażdżyła go i w nową pogrążała bezsilność.

Czasem postać drepczącej w izdebce jego posługaczki wracała mu pamięć chwilową, wówczas podnosił z lekka ociężałe powieki i szeptał!

— Nie byli jeszcze po mnie? Nie zabrali mnie? To dziwne! Żandarmów nie było? Powinni już być!

Posługaczka uspokajała, jak umiała.

— Co też panicz wygaduje ciągle o tych żandarmach! Mało im złodziejów rozmaitych do pilnowania! A oni co tu mają do roboty!...

Na twarzy Wiesława ukazywał się lekki, pobłażliwy uśmiech.

— Et! Nie mówcie! Mają!...

— Oo! Paniczowi się tak coś przywiduje...

Wiesław tarł czoło i usiłował jaśniej się wytłumaczyć.

— Wy tego nie rozumiecie — mówił urywanym i rozkapryszonym głosem, wskazując na głowę. — Tu mieszka... myśl... Ho! Myśl... potężna, wielka myśl... i tej myśli żandarml się boją... strasznie się boją...

— A niechże już panicz nie wydziwia znów po swojemu, bo to nie zdrowo!... Jeszcze jak żyję, nie podobnego nie słyszałam! No! — no! Nagotuję panu kleiku na maszynce, bo doktor powiedział, że jak się paniczowi choć kruszynkę lepiej zrobi, to zaraz kleik dawać.

Tak upływały tygodnie. Wiesław, choć zapalnego stanu się pozbył, do siebie jeszcze nie mógł przyjść.

Posługaczka głowę traciła i żaliła się przed stróżem.

— Mój panie Marcinie! I co ja z tym chorym zrobię! Żal człękowi porzucić go i tak na łasce boskiej zostawić, a przecież dalej rady sobie nie dam! Gdzie to! Sama biedna jestem wyrobnica, a tu u niego ani złamanego grosika nie ma przy duszy! Sierota jakiś, bo z rodziny nikt ani zapyta. Tymczasem, jakto z chorym, to mu się nie jednego i zachce, napiera się, no, a choć doktor darmo zajrzy, ale lekarstwo kosztuje! Buteleczka, a zaraz parę złotych... Skąd tu

brać?! Miałam parę rubli, to i wydałam! Ani myśli, czy mi kiedy odda...

Stróż podrapał się po głowie i zakonkludował

— Nie ma co! Trzeba donos zrobić do komisarza i koniec.

— Toż pan Marcin nie ma sumienia.

— Ba! Pani wiesz jedno, a ja drugie. Komornego nie płaci... rządca podał do sądu, ale go wyrzucić nie można, bo jest chory... Ile to... piąty tydzień blisko... sama pani mówi, malignę ma i aby żandarów wspomina... nie ma co! Do cyrkułu trzeba powiedzieć... może ci jaki socyalist.

— Niechby sobie — to nie człowiek?

— Tego nie mówię! — zawahał się stróż. — Jeno rewirowy mówił, żeby młodych panów rozmaitych mieć zawsze na oku.

— Może! Lecz co wam taki! Dusza mu siadła na ramieniu i tylko patrzeć, a wyfrunie na tamten świat. Dajcież mu zemrzeć spokojnie!

— Hm! Juścić, dla mnie, to on może sobie być, jaki chce, byle żandarom nie wymyślał, bo inaczej, to już nie mogę.

Wieść o tem, że w pokojach kawalerskich na górze leży umierający młodzieniec, bez opieki i pomocy, rozeszła się wkrótce po całej kamienicy, a że posługaczka nadto nie uważała za właściwe i potrzebne ukrywać smutnego położenia Wiesława, więc powoli tu i ówdzie jęło się budzić w sercach współczucie. Ten parę złotych wetknął babie na lekarstwo dla chorego, ów przysłał miskę rosołu, trzeci przyrzekł do dobroczynności dać znać.

Najhojniejszym jednak okazał się lokator, zajmujący dwa pokoiki w oficynie i tytułowany przez wszystkich „panem radcą“. Pan radca był wogóle osobistością, budzącą powszechny szacunek w kamienicy. Komorne płacił w ratach półrocznych z góry, wszelkie najdrobniejsze rachunki regulował natychmiast, stróża za najdrobniejszą usługę wynagradzał hojnie, a nawet dla rewirowego miał coś, co go skłaniało do niskich ukłonów... Oto od czasu do czasu ukazywał się w czapce urzędowej z gwiazdką. Właściwie nikt by nie umiał udzielić pozytywnej wskazówki, uprawniającej tego pana do noszenia tego państwowego nakrycia głowy, ale... nikt nie wątpił, że musi mieć do tego tytuł poważny.

Lista lokatorów domu mówiła o nim lakonicznie „inżynier“, lecz za to stróż był niewyczerpany w sławieniu hojności „dobrego pana“, „prawdziwego pana“.

Pan radca pędził życie dosyć dziwaczne a przynajmniej odosobnione. Z domu wychodził bardzo rzadko. Prócz lokaja posługującego mu, bywał u niego jakiś stary, skulony jegomość i pewien artysta najwidoczniej... bo chodził zwykle w fantazyjnie zarzuconym płaszczu i nosił spadające mu na ramiona włosy, nadto uosabiał zupełne zaniedbanie w reszcie toalety... słowem, dane poważne do tytułu artysty. Po za tem nikt zgola u pana radcy nie bywał. Nie koniec na tem! Ktoby chciał baczniej przejrzeć się cicho a rzadko otwierającym się drzwiom mieszkania pana radcy, tego musiałaby po pewnym czasie uderzyć pewna, bardzo niezwykła a trudna do uwierzenia okoliczność. Oto naprzykład rano, do mieszkania pana radcy wchodził

stary lokaj. Mijały godziny, lokaja widać nie było. A naraz, drzwi się otwierają, pewnie lokaj skończył posługi? Nie... To ów skulony, stary jegomość wychodzi!... Ktoby zaś jeszcze sumiennie chciał zająć się tajemnicą... Ten zauważyłby niechybnie, że przypuścimy, w poniedziałek rano drzwi mieszkania pana radcy zamknęły się za wchodzącym artystą i że... po tygodniu po dwóch skończyła się wizyta artysty.

Naturalnie, nikomu w całej kamienicy nawet do głowy nie przyszło o cośkolwiek bodaj posadzać. Sam właściciel domu uważał go za perłę. Bo nie dość, że płacił „idealnie“, jak się wyrażał gospodarz, nie dość, że nigdy w mieszkaniu pana radcy nie działo się nie takiego, coby drażniło uszy, lub ramię jego sąsiadów, ale nadto „pan radca“ ani razu nie upomniał się o nowe tapety, wylepienie pieców, naprawę zamków, czy przestawienie kuchni. Przeciwnie nawet, gdy raz gospodarz domu, rozczulony wypisywaniem kwitu na komorne, rzucił od niechcenia obietnicę (na księżycu), że na wiosnę każe mu cały lokal odnowić — pan radca najkategoryczniej podziękował, utrzymując, że tak się zżył ze swojemi „ścianami“, iż na żadne innowacje zezwolić nie może, tembardziej jeszcze, gdy lokal jest w zupełnym porządku.

Te i tym podobne okoliczności złożyły się na wysokie zachowanie, którem cieszył się pan radca w całej kamienicy.

Gdy więc lokatorzy zainteresowali się losem Wiesława, pan radca także nie pozostał w tyle i wetknął stróżowi całe dziesięć rubli, dając do zrozumienia, że jemu naturalnie chodzić do tego sobie biedaka, nie

przystoi... ale, że przysze mu doktora. Dzisiejsi młodzi ludzie są wogóle licha warci, ale... bliźniemu trzeba pomódz.

Zapowiedź pana radcy niebawem się urzeczywistniła. Następnego dnia już w izdebce Wiesława zjawiał się poważny, nie pierwszej już młodości lekarz i wziął go w staranną kurację. Ba! I nietylko, że nie pozwolił posługaczce mówić o fatydze, ale jeszcze przyprowadził ze sobą drugiego lekarza, który miał być w takich, jak Ziemeckiego cierpieniach specjalistą.

W jednej chwili położenie Wiesława się zmieniło, a to dzięki temu nowemu lekarzowi, mającemu widocznie dziwnie szerokie wpływy i stosunki... Apteka wydawać zaczęła lekarstwa bezpłatnie, jakieś stowarzyszenie filantropijne zapłaciło zaległe komorne i złożyło spory fundusik na leczenie na ręce doktora. Słowem, Wiesława nie znane mu ręce jęły otaczać jak najstaranniejszą opieką.

Ziemecki z wolna odzyskiwał siły. Choroba ustępowała. Ciało nabierało dawnej świeżości, wracała i przytomność, lecz z nią razem i pamięć i cierpienie duszy, nad którym Wiesław niekiedy zapanować nie mógł a cicha skarga wyrывała mu się z ust na los, na życie, na ludzi.

Doktor i o tem pamiętał. Brał Ziemeckiego za rękę, ścisnął ją z lekka, serdecznie i mówił cicho, poważnie, przejmująco.

— Panie! Jesteś młody jeszcze. Życie całe przed tobą. Pamiętaj, że pod miano kapłanów najwznioślejszych, najszczytniejszych idei podszywają się kretyni, karły, nikczemnicy!... Lecz czyż przez to myśl wielka,

myśl podniosła, może zmaleć? Chciałeś dążyć, iść do słońca i niebacznie natrafiłeś na takich, którzy pełzali. Zło jest wszędzie. Ludzie każdą szlachetność potrafią, podszyć podłością... Nie, nie sądz zbyt pochopnie tego, co ci ból sprawił i nie mieszaj go z tem, czem on się zaslaniał, czego używał jako maski. Miałeś ciężkie przejścia... lecz w ogniu takim marny tylko kruszec topnieje, żelazo hartuje się na stal!...

Nie przejmuj się, nie rozdrażniaj dobrowolnie własnych, ledwie zasklepionych ran, a myśl o powrocie szybkim do zdrowia. A może i... i życie do ciebie się uśmiechnie, może, poznawszy lepiej to... co cię tak porwało szybko, na razie uniosło, a potem niesprawiedliwie napełniło odrazą, pracować będzie dalej dla dobra nas.

Wiesław słuchał z uwagą słów doktora. Działy one nań, jak balsam, koily jego wzburzenie, łagodziły. Ziemecki uczuł jakiś dziwny szacunek, dziwną miłość dla tych oczu doktora, smutnie a poważnie patrzących, dla tego melancholijnego brzmienia jego głosu, dla wysokiej delikatności, którą mu okazywał.

Pewnego popołudnia doktor przyszedł do Wiesława wcześniej niż zwykle. Posługaczki nie było. Ziemecki siedział już o własnych siłach na łóżku.

— Doskonale! — zaczął wesoło doktor. — Poprawiamy się, przychodzimy do siebie. Jeszcze ze dwa tygodnie cierpliwości, a potem trzeba pomyśleć o wyjeździe. Powietrza panu trzeba, ciszy, zapomnienia. Musi pan na południe jechać.

Wiesław uśmiechnął się smutnie.

— Ja, doktorze? jechać? Ani o tem myśleć. Dobrze, że się tu kołaczę. Sam nie wiem, jak sobie ta moja Wojciechowa daje radę. Aż nie śmiem jej o to zapytać.

— Nie, nie! Niech się pan nie kłopotze. Bilety będzie pan miał bezpłatnie... następnie w sanatorium zajmie się panem mój kolega. Na wszystko znajdzie się rada. Niech się pan nie kłopotze.

Wiesław spoznał z podziwieniem na lekarza.

— Prawdziwie... nie wiem, czemu mam to wszystko zawdzięczać, że pan...

— Tylko bez przesady, mój panie, robię, co do mnie należy i koniec. Nie mówmy o tem. Głupstwo wszystko.

— Ale... przepraszam! — zagadnął nieśmiało Wiesław — Czy pan był łaskaw dowiedzieć się...

Doktor się zasepił i odrzekł po chwilowym namyśle:

— Cóż? Dowiedziałem się... Jesteś pan przecież mężczyzną... więc... chyba nie ludziłeś się, żeby umarli zmartwychwstawali... Pochowali ją... ot, i wszystko...

— A ona tam, do tej pory nie wie o niczem! To... okropne! i nie puścili jej na pogrzeb?... Nie zawiadomili?...

— Nie nie wiadomo! Nie można się było o tem od nikogo dowiedzieć.

Wiesław chwycił się za głowę.

— Boję się, nie chcę myśleć o tem wszystkim! Jest zgubiona, jest może stracona raz na zawsze. A kto temu winien? Najpierw ja, a potem oni... ci bezczelni, bezduszni!... Panie! Wie pan, jak sobie ich wspomnę,

to mnie taka wściekłość, taka złość porywa, taka nienawiść..., że gdyby odemnie zależało... zgniotłbym, zmasakrował te całą partję... żeby śladu nie zostało!...

— Panie Wiesławie!

— Tak! Pan może tego nie rozumiesz! Jam dla nich żył tylko, dla nich pracowałem — poza nimi świat cały dla mnie nie istniał. Odsunąłem się od rodziny, wyrzekłem się wszelkiej myśli o tem, co ludzie w moim wieku nazywają karierą... dla mnie istniał tylko komitet. Pociągnęła mnie ku niemu nie nędza, nie owa zawiść głucha biedaka, nie poczucie krzywdy, lecz myśl czysta, nieskalana... Zdawałem sobie dokładnie sprawę z położenia... Tam, gdzie się o ludzkość całą ma walczyć, tam nie można brać w rachubę pojedynczego istnienia... Wzdrygałem się przed terrorem, ale uważałem go za smutną konieczność... Każde nowe hasło, zanim zacznie budować musi burzyć najpierw... Tak się działo od wieki wieków! Sam byłem na świecie... przywiązałem się do niej... Dziwną była ta miłość... Widywałem ją, patrzyłem z uwielbieniem, jak uniesiona naszym prądem pracowała bez wytchnienia, z zaparciem się... Zabrali ją!... I cóż?... Gdybyż odrobinę serca, odrobinę współczucia... Chcieli i mnie zdeptać!... Chcieli bym po jej ciele przeszedł zimny, obojętny, sztyderezy! Zbrzydli mi, chciałem się usunąć... chciałem zapomnieć... i wiesz już doktorze, jak bezecną uknuli przeciwko mnie intrygę, w co mnie rozmyślnie zaplątali! Nie... nie masz wstrętniejszej, nikiemniejszej rzeczy...

Doktor, poruszył się niespokojnie. Wiesław zapalał się coraz bardziej.

— Dokąd dąży ten system? Gdzie jego kres? Myśli o znoszeniu kapitalizmu, chce przywrócić własność gminną, zrównoważyć zasługę, do jednego mianownika sprowadzić wartość pracy. Ba... zapomina, że ludzie są różni. Że są wielcy i mali, silni i słabi, utalentowani i płacy, pracowici i leniwi, chciwi, krnąbrni. Takim o równości mówić, to utopia. To pusty, bezdźwięczny wyraz. Żeby żyć, żeby się nie stać zwierzęciem, żeby mieć cel w tem życiu, trzeba jeszcze kogoś kochać prócz siebie.

A cóż się stanie z prawem współzawodnictwa, które od początku świata... jest dźwignią cywilizacji? Jeżeli ustanie walka...

— Panie! Pan jesteś w gorące. Pan się mylisz! — przerwał poważnie doktor.

— Mylę się?! — pochwycił Wiesław, unosząc się gwałtownie na posłaniu. — Nie! Teraz dopiero zaczynam jasno patrzeć.

To ironia!

My lat tyle walczymy, aby się stać narodem, aby zdobyć wyrwane nam prawa, aby... nie być pochłoniętymi przez przemoc... a naraz zjawia się gromada ludzi, która ci mówi nie, że jesteś i powinienes być „Polakiem“ — ale... kosmopolitą!...

Na to może sobie pozwolić Niemiec, Anglik lub Francuz... Ich kosmopolityzm socyalny, to efekt jeden więcej, bo każdy z nich rozumie, że ten frazes nie unicestwi jego narodowości... ale kosmopolityzm nasz... to pustka, to ostateczne wyrzeczenie się tego... w imię czego zginęły tysiące, a o co walczyć będą miliony!... Nie doktorze, daruj! Dwóch zdań w tej

mierze nie ma! Sprawa to dla mnie jasna! Prawda, wiele czasem trzeba przeżyć... niejedną zawilość jasno ogarnąć! Oni sami wyleczyli mnie...

— Chcesz pan powiedzieć, że o ile by ten i ów postąpił z tobą uczciwie, po ludzku... o tyle dotąd jeszcze byłbyś, gorliwym stronnikiem socyalizmu!

— Jakto?...

— No, przecież do tego doszedłeś wniosku! Gdyby nie ten wypadek z aresztowaniem, a następnie owo prześladowanie cię! jak mówisz, socyalizm dalej byłby twoją gwiazdą przewodnią.

— Być może — bronił się Wiesław. — Niestety otwiera oczy!

Lekarz uśmiechnął się gorzko i spojrzał smutnie na Wiesława.

— Właśnie nieszczęście. Powiedz mi pan, czyś kiedy przyjrzał się zbliżeniu życia robotnika fabrycznego, czyś wniknął w smutną egzystencję wyrobicy, szwaczki, czyś zastanowił się nad bezprawiem, przemocą kapitalu? Obejrż się, dla jednostek tysiące giną w nędzy, marnieją z głodu. Wyzysk i hańba czatuje od kolebki na każdego biedaka! Powiedz, czy dziecko pałacu ma większe prawo do życia, niż dziecko chaty lub poddasza? Utrzymujesz, że równouprawnienie zatamuje napiecie pracy. Nie! Jeżeli życie, byt ludzki ma być wyścigiem, współzawodnictwem, to niechże meta będzie jedną dla wszystkich, niechże szermierze stają do zapasów na jednej linii. A zobacz, co teraz się dzieje. Postaw obok siebie dziewczynę z bruku, ladażnicę, niepotem, obok córki kapitalisty. Pierwsza jest kobietą upadłą, druga błyszczy niepokalanem.

Pierwszą od dzieciństwa do snu kołysał głód, druga opływała we wszystko. Pierwszą popchnięto do występu, drugą chroniono przed najłżejszym złego podmuchem — któraż z nich lepszą, Która na większy zasługuje szacunek, Pierwsza, był czas, że walczyła, druga o walce nie ma pojęcia. Powiedz mi, czy zdaje ci się, że gdyby tę ladażnicę wychowywano inaczej, to byłaby gorszą od córki kapitalisty, A! Więc tu bierze początek twój socjalizm?!

— Może! Nie przeczę! — bąknął Wiesław, zaskoczony niespodziewaną argumentacją.

— Wytłumacz mi pan teraz, dlaczego człowiek, pracujący w krwawym czoła pocie czternaście godzin dziennie, zarabia ledwie dwudziestą część tego, co inny w jedną godzinę?...

— Ha! Tu rozstrzyga przecież nietylko kapitał, ale i wykształcenie.

— Zgoda. Dlaczego więc tego wykształcenia mu nie dali? Czyż on był bardziej krnąbrnym i więcej leniwym, niż syn urzędnika? — Lecz po cóż ja to wszystko ci mówię?... Pan, panie Wiesławie, znasz doskonale te wszystkie smutne prawdy, te podwaliny, na których socjalizm wyrósł i rozrasta się... Nie przeczę, że to, coś powiedział o narodowych ideałach, zasługuje na uwagę, lecz wierz mi, są tacy, którzy nad tem pracują więcej, niż ci się zdaje! To, co się u nas dzieje, to zaledwie niemowlęce ząbkowanie! Lecz przyjdzie czas, kiedy... nareszcie i u nas ozwie się potężny głos ludu, że ten szept podziemny zamieni się w huk, że z siłą huraganu nie korzyć się będzie, lecz stanowiąć prawa!

Doktor zadumał się, spokojnie, melancholijnie, patrzące jego oczy rozgorzały dziwnym płomieniem, zdawał się być natehnionym.

— Słuchaj. Zwątpiłeś zawczasie! Aby gmach wznieść, gmach potężny, z mocnymi niewzruszonymi fundamenty, trzeba się ryc... w ziemi... praca nasza dotąd w ziemi tej była, gdzie i o robactwo nie trudno! Rzuć okiem w przeszłość... Weź rok sześćdziesiąty trzeci! Przyjrzyj się tym konwulsyjnym targaniom się małej części wielkiego narodu... Dlaczego części, bo masy szerokie trwały w nieświadomości swych praw, swego obywatelstwa... Wielka polityka europejska umyła ręce, nam zabrakło naraz wszystkiego tego, co było kwiatem kraju, najlepszą częścią jego ducha, jego przyszłości... A potem nastąpiło piętnaście lat z górą odretwienia, piętnaście lat łez, piętnaście lat lęku. Nowe pokolenie dorosło, zmężniało... obejrzało się na stojące tuż za niem szubienice, transportowe kibitki, lasy bagnetów i powiedziało sobie: dla zwalczenia potęgi trzeba przeciwstawić potęgę. Na zachodzie ruch socjalistyczny się wzmacniał, idee wszechludzkie potęgniały naturalną siłą swego ciężenia... Największe monarchie walczyły do ostatniego wyrazu o każdą sylabę, zgrzytały wrzeczadze więzień, gięły się szubienice... prawo człowieka zwyciężyć musiało i zdobyło sobie obywatelstwo... Rosya słysząc o tem nie chciała! Prześladowanie socjalnych kierunków wyrodziło nihilizm, który niebawem przeraził samodzięrzawie, wstrząsnął tronem północy.

Schwytano zbrodniarzy, królobójców. I patrz, taki Żelabow staje, aby się bronić i staje się prokurato-

rem. Ustanowieni sędziowie, aby skazać, słuchają, przerażeni siłą, jaka przed nimi stała, wystraszeni widmem przepaści, wykopanej przez wieki despotyzmu. Wyrok był krótki, bo wydano go bodaj przed zwołaniem sądu. Następca wydał najsurowsze rozkazy. Rozpoczęto wnet pościg piekielny, bezwzględny. Dla jednego podejrzenia gubiono dziesiątki, więziono, katorowano całe rodziny... Mury Kronsztadu i Szliselburga rozstępować się musiały, aby pochłonąć gromady, napędzane przez żandarmeryę... A mimo to, rdzenia wyrwać nie zdołały. Przypomnij sobie sławne dzieje Degajewa, który pośród szpiegów, a całej sfory psów gończych ukrywać się przez lat tyle zdołał! I dziś, dziś, mimo wiedzy swej i woli, każdy inteligentniejszy umysł, każdy samodzielnie myślący Rosjanin jest owym łatwo zapalnym materiałem, czekającym na iskrę... Państwo dotąd lawiruje, szuka *modus vivendi* dla kwestyi robotniczej i udaje, że ich chce bronić przed kapitalizmem, stara się w mundury a czyny lada półmédzka wystroić, byle uleczyć go z „*wolnodumja*“. Lecz środki jej się wyczerpują, wszystkich przekupić, zwyrodnić niepodobna. W państwie takim każda szkoła, każda bakalnaria, każdy skrawek papieru jest zarzewiem „*nieblagonadieżnosti*“... Kacap rosyjski, ciemieżony, wyzyskiwany, choć do „białego“ cara się modli, potrafi i lubi nucić słynną „*Debinuszkę*“, która doradza „pałkę“ na „wrogów i carów“ i wzywa naród do łączenia się. Ilu za „*Duainuszkę*“ poszło w katorgę, ilu zmarniało na barłogach więziennych? A przecież w końcu samodziérzawie mu-

siało zatkać uszy i „*Debinuska*“ po Woldze rozbrzmiewa!

Spytasz, dlaczego ci to przypominam? Bo dzieje naszego socjalizmu są w ścisłym związku z rosyjskim. Zajścia nad Newą nie mogły i u nas pozostać bez echa. Socjalizm miał między nami oddawna wiernych sprzymierzeńców, lecz byli oni bezsilnymi. Społeczeństwo nasze, od lat tylu wależące nie o jakość bytu, lecz o byt sam, nie reagowało nie zdawało sobie sprawy, aby po za czystą rewolucją narodową mogła istnieć inna, ważniejsza, któraby zadowolnić mogła także ideały polskie. U nas ludzie bali się po prostu, a bodaj, że boją się jeszcze do dziś dnia jednego tego wyrazu „socjalista“. Zadanie było trudne. Garść ludzi, gromadka bez środków materyalnych, bez punktu oparcia i w dodatku najniewdzięczniejsza do apostołstwa.

Gdyby u nas komu powiedziano, że przyszłość nasza leżeć będzie w szczepieniu idei wszechludzkiej, odwróciłby się od tak przemawiającego ze wstrętem, jak od wyrodka, jak od świętokradcy. Więc z konieczności trzeba było udać się do komitetu międzynarodowego, z konieczności u obcych trzeba było szukać pomocy, z konieczności u nich uczyć się organizacyi, agitacyi. W towarzyszach nie można było przebierać. Kto przychodził, ten był dobry. Więc oto naszło się mrowia różnego — wielkich ludzi, wielkich umysłów i charakterów i wielkich nieponiów!... Trudno było ich rozeznąć.

Pracowaliśmy w ciemni, w której czasem a często nawet, niekczemność uchodziła uwagi. Zdradzano

nas, niszczone, denuncyowano, a my nie wiedzieliśmy, że i ten działacz żarliwy i ten towarzysz oddany, to szpiedzy — płatni przez żandarmeryę. Wreszcie owoce dojrzała... Zabiegi a praca lat kilkunastu wydała owoce... dzisiaj... Polska partya socjalistyczna rozwinęła swój sztandar.

Wiesław słuchał słów doktora ze wzrastającą uwagą, z wyrazem najgłębszego podziwu. Słuchał i prawie uszom własnym nie wierzył. Skądże doń mógł przemawiać tak, skądże świadom był tylu szczegółów. Dowodził, jakby znał wiele rzeczy, których przeciętny filister by nie wyrozumiał.

Doktor umilkł. Wiesław oczy szeroko otworzył niby chcąc się przekonać, żali to nie sen, nie mara go ludzi — a w końcu odezwał się z wysiłkiem:

— Doktorze! Skądże pan!?...

— Ach! tak! — rzekł lekarz. — Dziwi to pana? Wyjaśnię ci to kiedyindziej. Teraz zawierz moim słowom. Nie mieszaaj dwóch rzeczy różnych, nie każ, nie plam czystych idei niegodziwościami Cisa czy innego. Oni dziś są już złamani. Między nimi zostały plewy same prawie, co lepsze, wielonem zostało do nowej, do naszej partyi... Rozumiesz teraz? To ich ostatnie podrygi, mają jeszcze pod ręką kilka opłatanych ofiar i robią socjalistów. Nie pozostaje im nic innego, jak w końcu zadenuncyować samych siebie... Zresztą są oni mimo swej wiedzy lichymi pionkami w naszym ręku!...

— Ten wyrok!? — szepnął Wiesław.

— Był wydany przez nas na zbrodniarza...

Człowiek ten zgubił dziesiątki! Żandarm w najgorszym gatunku, udawał w ostatnich czasach konduktora, szpiegując swych kolegów. Nie przekonyuje cię to jeszcze? Wiedz, że on to właśnie podrzucił kòmpromitujące broszury podczas rewizyi u Wortłówny... Wiesz teraz!... Więc na przyszłość pamiętaj, że... miałeś nieszczęście dostać się między oprawców i na tem koniec.

— A zatem ten komitet cały!...

— Nie jest komitetem polskiej partyi socjalistycznej!...

— Panie! Wierz mi, to mi przynosi ulgę!... Teraz dopiero rozumiem te półsłówka, te ruchy, tajemnicze niedomówienia, owe myty o jakimś Wartmanie... pewno nie mniej...

— Nie sądz człowieka, którego nie znasz — prze-rwał oschle doktor.

— A zatem Wartman istnieje?

— Być może. Nie wiem...

— Doktorze — zaczął nieśmiało Wiesław. — A wy tam... nie możnaby znaleźć pomocy żadnej... dla niej...

Lekarz głowę spuścił.

— Mój panie. Są tacy, którzy wiedzą, co do nich należy. Wortłówna jest oskarżona o propagandę... dowód rzeczowy — podrzucone broszury — jest! Od tego się nie uchroni. Niczego więcej dowieść nie zdołają, bo już się temu zapobiegło... Skazaną będzie. Po wyroku na wszelką pomoc liczyć może. Teraz

drogi zamknięte. Zrzucił to przypadek i nieświadomość... Nadtoś szybko chciał ją ratować — zwrócono na nią szczególniejszą uwagę, potem... śmierć matki, a stąd wersje i plotki, kursujące po mieście... udaremniły starania...

— Wiecznie i ciągle ja! — wybuchnął Wiesław, padając na poduszki. — Czemu stanąłem na jej drodze i zburzyłem jej i sobie spokój na całe życie!...

— Hartu! Woli więcej! Nie twoja wina, lecz zrządzenie losu tylko. Czas o sobie pomyśleć... Teraz wyjeżdżaj coprędzej, wymaga tego twoje zdrowie... i lepiej, gdy o tobie tu zapomną trochę. A potem... potem wracaj i pracuj dalej. Zaręczam ci, że powitają z otwartymi rękami.

— Kto? Kto taki? — szepnął Wiesław.

— Pytasz się! Polska partya socjalistyczna powita cię jak brata!

— Socjalistyczna partya... mnie? — powtórzył głosem niepewnym Ziemęcki i naraz stanęła mu przed oczyma błada, wynędzniała twarzyczka Stefki. Wiesław rzucił się całym ciałem.

— Nie! nie, doktorze! — jęknął. — Zostawcie mnie! Zapomnijcie... ja nie... nie mogę z wami. Ja się was boję... ja się boję samego siebie... chcę... zapomnienia.

Doktor smutnie pokiwał głową.

— Nie namawiam cię... Lepiej dla pana, jeżeli przetrawisz w sobie powoli tę gorycz... licz na mnie! Może kiedy się spotkamy jeszcze! A tu... twoi niedoszli towarzysze polećili mi to ci doręczyć. Młody jesteś... nie opuszczaj rąk, bo nie masz do tego prawa.

Lekarz przy tych słowach podniósł się wsunął Wiesławowi zapieczętowaną kopertę i zanim ten zdołał się zorientować, wyszedł pośpiesznie.

Ziemęcki gorączkową palony ciekawością rozewał kopertę i wypadły zeń banknoty i mała złożona karteczka z napisem: „Na kurację P. P. S.“

Wiesław omdlał.

CZEŚĆ DRUGA

I.

Rok 1897, jakby pod dobrą zaczął się dla Warszawy wróżbą. Naprężone ciągle, mimo ustąpienia Hurki, stosunki polsko-rosyjskie zelżały niespodziwanie. Wiatr przyjaźniej powiał nagle z Petersburga.

W stolicy Królestwa kursowały z ust do ust wieści o życzliwości młodego cara dla Polaków, opowiadano sobie szczegóły o rewolucyi pałacowej, wszczętej jakoby przez cesarzową matkę i o usunięciu jej zupełnem od wpływu na politykę. Budowano zamki na... miłostkach Mikołaja drugiego z baletnicą polską, Krzesińską, wspominano właśnie zaszłe jeszcze pomiędzy Aleksandrem III. a następcą tronu... o Polaków — i szczycono się niemal tem, że krew Romanowych płynęła aż w dwóch synkach... tejsze panny Krzesińskiej.

Wielkorzązca Szawałow leżał powalony szampańskim, które blisko przez dwa lata było wytyczną jego rządów. Ster administracyi spoczywał w ręku radcy tajnego Petrowa, w miarę uprzejmego, a zawsze stosującego chorągiewkę swych rozporządzeń do płynących prądów.

Już w styczniu gruchnęła wiadomość, że hr. Szuwałow ma ustąpić, wymieniając równocześnie, jako następcę... tytuły wszystkich wielkich książąt po kolei. Obudziło to nielada otuchę w całym kraju, który w swem przygnębieniu chciał doczekać się rządów samodzielnych przynajmniej, pozbawionych charakteru rzeczypospolitej... czynownictwa rosyjskiego pod prezydium „stupajki“. Książę krwi dla samego wysokiego urodzenia swego nie będzie mieszał się do napisów polskich na ustępach kolejowych, jak Hurko — nie będzie zasłaniał bezprawia świstkiem nadesłanym z nad Newy, jak Kotzebue, nie będzie naciągał ludzi, jak Szuwałow, ani kradł, jak Marya Andrejewna. Wielki książę z obowiązku, z rządów swoich, musi usunąć politykę drażnienia, taktykę małostkowości, nikczemne plotkarstwo i chęć upatrywania w najłżejszym objawie ruchu społecznego... knowań... „żandarmów wieszających“. Książę nie może nie być wspa-
niałomyślnym, przebaczącym, łaskawym...

Takie wróżby podawano sobie o przyszłym następcy Paszkiewiczów, Górczakowych i Bergów.

Skromne życzenia, podniecające urojenia! Lecz, bo Kongresówka w ciągu trzynastoletniego panowania Aleksandra III. nie lada przeszła ciągi. Te trzynaście lat, to jedna wielka zacięta, nieustanna walka o każdą sylabę polską, o naukę, o kęs chleba. Tysiące ludzi wypędzono z urzędów, tysiące rodzin spychano w nędzę dlatego jedynie, że polskie nosiły nazwiska, młodzież polską prześladowano w szkołach, co gorsze, uniemożliwiano jej, utrudniano wykształcenie. Literaturę, sztukę polską z góry uznano za coś, co nie powinno.

w ogóle istnieć. Cesarz mieniący się być przy każdej okazji „królem polskim“ uśmiechał się pobłażliwie, jak „królestwo“ schodziło na miano *Prywiślinja*. Ba! On *lubił* to *Prywiślinje*. Z roku na rok po kilka tygodni przebywał w Spale. Tam zabijał nawet tę zwierzynę, w którą nie trafiał, tam „szeroka natura“ nie potrzebowała pozować. Jadł „szczy“, chodził w „rubaszcze“ i lubiał się przysłuchiwać, jak pan Apuchtin napędzał dzieci polskie dla zaśpiewania mu hymnu. Zresztą równocześnie Warszawę omijał.

Bał się tego przekłętego miasta, które wprawdzie nigdy nie splamilo się królobójstwem, nigdy nie zbeszcześciło podłością... Ale Marya Andrejewna umiała sama drukować proklamacye rewolucyjne, a potem słać je do Petersburga, jako ostatni wyraz „polskiej intrygi“. Instynkt samozachowawczy Aleksandra III. kazał mu nie wywoływać wilka z lasu... i dlatego w lasach polskich sam się chował.

On marzył o życiu kupca moskiewskiego, któremu ciasne poglądy Katkowa wystarczają raz na miesiąc — a tu kazano mu odgrywać rolę cara i władcy. Głupia zupełnie sytuacja.

Aleksandrowi trzeciemu przypisywano polakożercze zakusy... a on tymczasem grzeszył tylko niepospolitem obżarstwem mieszczucha. W ogóle żadnych zakusów nie miał. Chciał tylko żyć... a zresztą... to kryli tam... Konstantin Petrowicz, Pobiedonoscew, Iwan Mikołajewicz Durnowo, był Czerniajew, Woroncow, Ignatiew, no i legion cały różnych Płutów Tłutowiczów. Prawda, była jeszcze „Masza“, która, prócz sielanki z ukoronowanym mężem, lubiła pasyami

rzadzić. Władzę chwycili w rękę popi i kamaryla cesarzowej, każdy darł, ile tylko się dało, każdy co temu napępiał kieszenie złotem...

A przecież Kongresówka nie od niedawna była dojną krową. Tam szlachta okupywała sobie każdy przywilej, tam płacono bez szemrania i za promocję chłopca do wyższej klasy i za lada wakans na urząd bez tytułu i pensyi i za prawo do płacenia podatków. Ruble płynęły ztamtąd wezbrany korytem od żydów, których codziennie nowy ukaz prześladował, od synów obywatelskich jako dowód ich prawomyślności, wreszcie od czerni urzędników rosyjskich, która grabiąc na miejscu, wiernie dziesięciny składała.

Kongresówka szamotała się w uściskach tych ssawek polipich, napróżno redukując swe nadzieje, pragnienia.

W końcu z piersi jej dobył się jęk ponury głuchy a groźny:

— Dajcie nam żyć! Chcemy pracować. Tylko pracować... Uwolnijcie nas od rządów złodziei i prostytutek!

Zakordonowi Polacy nie rozumieli tego głosu i dziwili się.

— Jakto, ta połać potężna ziemi naszej, to serce polskości, ten wzór patryotyzmu opada na siłach, słabnie, w układy wchodzić zaczyna?!

Te wołania wypadły razem z wiadomością o śmierci Aleksandra.

Młody cesarz. Młody — więc skłonniejszy do porywów szlachetnych, więc pogodniej, jaśniej patrzący...

Kto wie, może te wróżby nie były pozbawione podstaw. Lecz popi czuwali.

Jakoż młody władca był świadkiem czegoś, czego sobie wyobrazić nie mógł. On, który tak blisko i tak krytycznie panowanie ojca oceniał, on, który wiedział, że człowiek ten stosy papierów podpisywał codziennie, nie pytając nigdy, co podpisuje... on wyrósł naraż na półboga!

Popi z polityką razem wzięli się za rękę. I oto miesiąc z górą wieziono trumnę zmarłego wśród kirów żałoby, miesiąc słano ze wszystkich zakątków Europy wieńce, laury a kadzidla, rok bito czołem przed prochami wyznawcy pokoju, mądrym, wielkim! Od półdzikiej Abisynii do Chin, od wolnych Stanów Ameryki do Persyi stawili się wszyscy dla złożenia hołdu. A Francya? Francya tarzała się w prochu... Rewolucjonista, republikanin, którego lada oficer, jak Boulanger, nienawistne widmo monarchizmu przywodził na pamięć, liżała cienie stóp zmarłego samodziścy. Pies wył żałośnie nad złamanym drągiem, jagnię lży roniło nad grobem rzeźnika.

Młody cesarz na widok tego wszechpokłonu, wszechżałości, wszechuwielbiania dla nieboszczyka wpadł w rozterkę. Wczorajszy jego krytycyzm stępsiał. Więc rządy ojca nie były złe, nie były dla kraju i świata, ani zgubne, ani znienawidzone! Więc to jego raczej zadaleko uniosła fantazyja młodzieńcza, podczas gdy ojciec o całą głowę przerósł i dziada i pradiada!

I oto w Mikołaju drugim nastąpiła nagła reakcyja. W pierwszym manifestie przemówił jeszcze

134
pełen najlepszych chęci i nadziei cesarz — w drugim już tylko odezwał się minister.

Warszawa nie traciła ufności. Cesarza Mikołaja porównywano ze szlachetnych porywów pełnym Aleksandrem I. I stał się wypadek na polskiej ziemi niebywały. Klnąc rządy rosyjskie nigdy nie mówiono źle o carze... Nad Wisłą zaszczerpiło się przysłowie kacapa, gnębionego przez urzędników — przysłowie, a raczej westchnienie:

„Car daleko — Bóg wysoko.“

To znaczy: rząd jest nikczemy, lajdacki... a car i Bóg dobry obydwaj.

Warszawa umie być wdzięczną. A przecież Mikołaj zniósł kontrybucję, usunął Hurkę. Był jeszcze Apuchtin, lecz Warszawie zdawało się że Aleksander Lwowicz... z tego „obrusienia“ swego tak się „spol-szczył“, że go kijem nie wypędzi...

Takie panowały wersye, mniemania, poglądy i tak się przedstawiały stosunki w początkach roku 1897.

W końcu lutego druty telegraficzne zwiastowały nominację księcia Imeretyńskiego na generała gubernatora. Chwila rozczarowania i nowe horoskopy, mniej śmiałe, lecz ciągle pomyślne,

Po hrabi książę! I to książę nielada, potomek rodziny panującej, książę, pretendent do tronu nieomal.

Poczta pantoflowa przyniosła jak najlepsze wieści o księciu. Przedewszystkiem bogaty niezmiernie — nie będzie więc z Zamku pamiątek wywozić ani na łapówki polować — potem nadzwyczaj gładki w obejściu, pan wielki, całą gębą na którego już wszystkie

zaszczyty oddawna spływały. Nie ma wątpliwości, że ujarzmi czynowników i porządek robi.

Zapowiedziany książę przyjechał, wygłosił jedną z tych mówek banalno-urzędowych, które z urzędu nie właściwie powiedzieć nie powinny, o które dlatego zapewne bywają przedmiotem żywych rozpraw, i zniknął w głębi apartamentów zamkowych.

Tymczasem w tydzień coś po zjechaniu księcia Imeretyi gruchnęła po Warszawie nowina, która wstrząsnęła posadami całego miasta.

— Książę chodzi!! — mówiono z najwyższem przejęciem.

— Gdzie chodzi?!...

— Chodzi... zwyczajnie... jak człowiek... po Nowym Świecie, po Krakowskiem, po Saskim ogrodzie! Bez Czerkiesów! Sam jeden chodzi!

— Czy podobna?!

Długo Warszawa z tą osobliwością oswoić się nie mogła. Od lat tylu przyzwyczaiła się oglądać swoich kacyków w otoczeniu policyi, pacholków, kozaków, że uwierzyć temu nie chciano. Imeretyński chodził! I to w otoczeniu bandy wyrostków i gapiów, którzy byli niejako wyrazem podziwu całego miasta. Taka procesya odbywa się na ulicach syreniego grodu za jakimś zabłąkanym Murzynem, Chińczykiem lub podobnie rzucającem się w oczy dziwowiskiem.

Nie dość na tem. Książę wstępował sam do cu-kierni, załatwiał sprawunki... Powóz z ordynansem Czerkiesem włókł się stępo w głębi ulicy, a bokiem chodnika szedł rzeżko nowy generał-gubernator.

Warszawie się to podobało bardzo. Lecz któż opisze jej zachwyt, gdy oto pewnego pięknego poranku w dzienniku urzędowym ukazał się nader miłościwy reskrypt cesarski do rady tajnego Apuchtina razem z najmiłościwszem uwolnieniem go „w senatory“, co w języku praktycznym równa się „w duraki“.

W dymisji tej upatrywano życzliwość księcia dla kraju. Imeretyński prawie, że nie miał niechętnych. Mówiono sobie — „Rosyanin, naturalnie nim będzie... Ale Rosyanin porządny“.

Książę rozpoczął objazd kraju. Witano go wszędzie życzliwie i na jego własne żądanie przedkładano życzenia mieszkańców. Imeretyński przyrzekał, łaskawie przemawiał do obywatelstwa, zalecał surowo sprawiedliwość urzędnikom, niekiedy gromił ich, ba, napominał....

— Zupełnie przyzwoity człowiek! — brzmiało echo w Warszawie.

Imeretyński poruszony życzliwością, która go spotykała wszędzie, odezwał się w gronie obywatelstwa, że chętnie i dla Warszawy radby coś uczynić. Wyrażoną myśl w lot pochwycono. Jedno z pism wspomniało mimochodem, że godziłoby się uczcić stulecie narodzin wieszcza narodu. W cztery dni uformowano deputację do wielkorządcy, z prośbą o wyjednanie zezwolenia na budowę pomnika. Deputacja szła do Imeretyńskiego z przeświadczeniem, że idzie tylko za głosem opinii, lecz po stanowczą odmowę. Najniespodziewaniej książę przyrzekł, przyrzekł może więcej, niż mógł.

Z powodu pomnika, zaczęła się nader ożywiona wymiana korespondencji pomiędzy Petersburgiem a Warszawą. Minister Goremkin walczył do ostatka, utrzymując, że pomnik Mickiewicza w Warszawie, to jedno miejsce więcej dla wrogich manifestacyj i rewolucyjnych podburzeń. Imeretyński się uparł — a gdy równocześnie ministerstwo dworu uchwaliło podróż cara do Warszawy, w zezwoleniu na pomnik widział gwarancję nastroju wiernopoddanego całej ludności. Pomnik, z pierwszą wizytą nowego cara w Królestwie stały się jakby nierozdzielni. Imeretyński zwyciężył. Pozwolenie nadeszło. Kongresówka w jednej chwili sypnęła pieniędzmi, jakby obawiając się — i nie bez słuszności, aby koncesyi nie cofnięto.

Nadszedł maj, miesiąc wiosny, nadziei, wyzwolenia. Święto robotnicze minęło cicho, niepostrzeżenie. Kilka trupów w Żyrardowie, kilka w Łodzi, kilkuset uwięzionych — zresztą, według urzędowych raportów, „bardzo szczęśliwie, nadspodziewanie szczęśliwie“... Rocznicą konstytucji Trzeciego maja skończyła się na jednym bukietu fiołków, rzuconym na gruzach fundamentów projektowanej ongi kaplicy w ogrodzie botanicznym i koniec.

Dziesięć bukietów skonsygnowałoby wojsko i nappełniło tekę ministra spraw wewnętrznych raportami o nowym buncie. Ale ponieważ był tylko jeden bukiet, więc książę Imeretyńskijski pokiwał tylko głową, a młodą hołdowniczkę konstytucji dla porządku, wysłano na cztery miesiące do Permu... Przyczem sprawę załatwiono bardzo elegancko i nadzwyczaj grzecznie. Prostu zaproszono winowajczynię

na konferencję do naczelnika kancelaryi i tam wręczono jej nie tylko paszport, ale i bilety bezpłatnej jazdy w przedziale klasy drugiej, a nadto spory fundusz na pierwsze wydatki!

Hurko w tym wypadku uwolniłby się od rewolucjonistów... za pomocą etapu, a tu... nieporozumienie... załagodzone tak po europejsku, że aż to Warszawę ujęło...

— Musi przestrzegać otrzymanych rozporządzeń... ale jakież to wytworny... Jaki ludzki ten Imeretyński!

Był ciepły, pogodny dzień majowy. Aleje Ujazdowskie, jak zwykle w południowej porze, były się zapelniać tłumami spacerowiczów.

Sznury pojazdów ciągnęły od placu Aleksandra, zapuszczały się w ocienioną drogę ku Belwederowi, zjeżdżały ku Łazienkom, okrążały je i przecinały lub klusowały w stronę Siele i Wilanowa, albo wracały ku śródmieściu.

Mimo ożywionego na pozór ruchu, nikomu nie było pilno. Konie, choć mknęły czasem z kopyta, lecz dla zadania szyku, zaprezentowania swych nadzwyczajnych „chodów“, okazania pełni angielskich przymiotów, czy dogodzenia fantazyi rozpartych lafirynd, półpanków czy półgłówek. Ci właśnie najwięcej się tu śpieszyli, którzy najwięcej mieli czasu, bo wymagał tego ton, chęć imponowania, upodobania czy równie płytka przyczyna.

Po obu stronach alei — szerokimi betonowymi szlakami siedł tłum spacerowiczów. Tłum pstry z ocienieniem jednostajności. Był to dzień powszedni —

więc warstwy, pracujące ciężiej, które bodaj najsilniej charakteryzują miasto, dopisać nie mogły.. W alejach było to, co się nazywa dobrem towarzystwem, więc urzędnicy bankowych instytucyj, wszelacy przedstawiciele specjalnych dekasteryj, które w warszawskich listach lokatorów kamienie tytułują się „z własnych funduszów“, dalej nieliczni przedstawiciele wolnych zawodów, nie skrępowanych żadną godziną, terminem ani obowiązkiem, wreszcie młodzież, no i w przeważnej liczbie pleć nadobna.

Fale spacerowiczów płynęły ku Belwederowi, odbijały się o kraty siedziby wielkorządcy i znów ciągnęły z powrotem, przenikając się nawzajem.

Na ławce tuż przy wejściu do botanicznego ogrodu siedział młody człowiek o wytwornej powierzchowności twarzy inteligentnej i w bezmyślnym odruchu kreślił laską jakieś hieroglify na piasku, nie zwracając uwagi na przechodniów, nie interesując się zgoła nawet głośną rozmową prowadzoną obok niego przez dwie wystrojone damy, siedzące na tej samej ławce.

Damy usiłowały być wesołe, w zręcznie krzyżowanych pytaniach i odpowiedziach jakby umyślnie czyniły długie pauzy, aby dać komuś trzeciemu sposobność do wtrącenia pierwszego „ach“; młody człowiek na delikatności poznać się nie umiał, bo siedział wciąż wpółobojętny, wpółzamyślny czy bezmyślny.

Wystrojonym damom sprzykrzyło się to milczące sąsiedztwo. Spojrzały po sobie znacząco, jedna z nich powiedziała przez zaciśnięte ząbki:

— Mruk!

— Dziwak! — odparła druga. Panie się podniosły, zaszeleściły pogardliwie sukniami i odeszły prędko, został sam, ciągle zimny, rozleniwiony jakiś. Naraz, przed ławką zatrzymał się mały korpulentny jegomość z krótką podstrzyżoną, szpakowatą brodą, w okularach, spojrzał swemi ruchliwemi oczyma na młodego mężczyznę, zmierzył go raz i drugi, niby dla sprawdzenia tożsamości — wreszcie zagadnął wesoło:

— Jak sie masz... Wiesiu!?

Zapytany drgnął z lekka, podniósł oczy, wstał z uszanowaniem i uchylił kapelusza.

— Pan profesor? Nie poznałem w pierwszej chwili.

— Cóż chcesz!... Postarzałem się! Czekał no... ile to lat... Tyś był w szóstej podemną...

— W piątej...

— Szesnaście lat... piętnaście... kawał czasu! No siadajmy!... Może ci przeszkadzam!

— Co też mówisz, panie profesorze!...

— Nie tytułuj mnie, proszę, profesorem!

— *Tempi passati*... nabrałem wstrętu do belferki, a raczej uczyniono mi go! Wiesz pewno... usunęli mnie po prostu! No! Apuchtin nie robił sobie ceremonii! Et! Mile wspominam te czasy... Pamiętasz te sławne tłumaczenia z polskiego na rosyjskie...

— Szelma! Co on z nami nie wyrabiał! Zjadło go w końcu! Słyszałeś, na kuratora mianowano Ligina, prezydenta miasta z Odessy. Mówią, że cieszył się tam sympatyą. Co prawda, awans troszkę zagniatwany... Burmistrz kuratorem okręgu naukowego...

Hm! U nas wszystko możebne... Rzeczywisty radca stanu, to i dosyć...

— Naturalnie!

— Czekałno, zaraz! Aha! — to ty byłeś razem... ze Stasiem Mieleckim. Chumeckim... Smulewiczem...

— Ranbalem, Dusińskim, Gierałtowskim... — kończył młody człowiek.

— Tak — tak! Pamiętasz? — Ziemęcki do lekcji! Gdzie ćwiczenie? — Kiedy bo panie proszę... właśnie... bo... tego... w domu zostawiłem! Knota!... Wiśsus byłś! Zdarzało się po kilka tygodni z rzędu... co przyjdzie lekeya... Ziemęckiemu pałkę muruję... A potem, pod koniec kwartału... ja *pater noster*, to wy tak huncwoty ojczystego języka się uczycie? Wyrzucam na następnej — ćwiczenie bez zarzutu! Wale piątkę! Znów lekeya i znów piątka... a potem jedna za drugą... Tyś był nieporównany. Nieraz złość mnie porywała. Nie umiałem ci poprostu postawić po piątce jedności, gdzie tam! Mój Wiesio ani „be“, ani „me“... Ciągnę za język, morduje... nie!... Co?!

— Dobrze czasy! Dobrze! — podchwycił żywo Wiesław, poruszony wspomnieniami. Jakby dziś widzę pana profesora...

— Mój kochany! Powiedz młode czasy... czasy, w których miało się może więcej zdrowia, więcej ufności... mniej kłopotów, ale dobrymi ich nie nazywaj... No, a teraz? Cóż porabiasz!

— Radbym pójść w ślady pana profesora.

— Patrzał! Widzisz! At głowa dopiero... więc to ty jesteś tym samym... Wiesławem Ziemęckim? Wu! Zet? Że mi to na myśl nie przyszło. Owszem, owszem,

masz, powiem, werwę dużą, masz stanowczo nerw pisarski, możesz się wyrobić.

— Nie wiem — odparł skromnie Wiesław. — Lecz wiele dałbym za to, gdybym tak umiał i mógł pisać, jak pan profesor. Jego ostatni artykuł w *Ziemi* jest nieporównany, ile ognia, ile lapidarności, a ile subtelnych cieniów!

— Bajesz! — uciął profesor. — To wcale nie jest cnota. Zapal papierosa! Ja, uważasz, od dłuższego czasu studyuję młode pokolenie dziennikarzy, a po części i literatów, i spotykam między nimi talenty niepośledniej miary. Ale cóż! Talentom tym brak zawsze barwy, brak tła, brak wiary, brak kierunku. Jak sobie chcesz, a pisać, nie wolno być bezwyznaniowym, trzeba w cośkolwiek wierzyć, trzeba dążyć do czegoś, inaczej jest się anemicznym! Obejrź się dokoła! Patrz! Ci nasi dzisiejsi ludzie pióra! to przeważnie chorzy na bezkrwistość twórczości. Piszą pięknie, stylizują, potrafią, olśnić formą, lecz ducha, do dyabła, nie znać! Ten niby jest konserwatystą, tamten postępowcem, ale *de nomine*... Z obozu do obozu przechodzą sobie codzien, zmieniają kierunki, jak subjecki kolonialni pryncypałów! Schodzą na automaty zajmujące się.

— Może tak źle nie jest.

— Jest gorzej o wiele! Wierz mi, na to wszak co dzień patrzę! Prowadzę jak wiesz, redakcję *Ziemi*, przychodzi taki literat z utworem, z artykułem. Na razie ten i ów pogląd nie pasuje mi. Pytam więc, czy pozwoli zmienić... A on?... On zawsze nie próbuje obronić swego zdania. I owszem, jeżeli pan redaktor

uważa, to można to wsunąć, lub owo wykreślić. Czy temu zaprzeczysz?

— Bywa tak. Prawda, lecz pan profesor zapomina, że i ten, co pisze artykuły, także żyć musi. Natłok jest wszędzie, niekiedy pracy inaczej traktować nie można.

— Swoją drogą. A ja, mimo to, twierdzić nie przestanę. Brak wiary w to, co się pisze, zabija zdolności, niweczy je. Daje nam piszących, ale nie pisarzy...

— A cenzura?

— Dobrześ powiedział. To szkopał nielada, ale przecież po za nią są jeszcze... no, musi być coś! W rezultacie trzeba umieć lawirować, bez tego niech nikt nie próbuje udawać publicysty w Kongresówce. No, no! nie myśl tylko, że do ciebie piję. Broń Boże! Owszem, zwróciłem uwagę na twoje pióro, nie wiedząc, że to ty! I jakże tam, jakże tam u was? Cóż? *Dzień* idzie dobrze? Prenumeratorów, tak między nami mówiąc, ilu naprawdę?

— Owszem. Rozwija się. Ma swoich gorących zwolenników. Liczby ich nie potrafię określić, bo podobno jest to sekret administratora i wydawcy, lecz płacą regularnie, a to wiele w stosunkach dziennikarskich. Trwamy w akademickim milczeniu i zdaje się, ono popłaca bodaj najlepiej.

— Innemi słowy, jesteście ową tamą, paraliżującą każdy ruch naprzód.

— Jakto?

— Mój kochany! Mam siwe włosy, czy nie? Mam, otóż wiedz, że taki twój *Dzień* i te rozmaite *Goncy*, czy *Dzienniki* krzywdę nam wyrządzają niewymowną!

Nareszcie nadszedł czas, żeby się ruszyć nieco, żeby pomyśleć ostatecznie o politycznem *modus vivendi*... a tu cisza! Jakby to nas nie, a nie nie obchodziło, to nazywam obskurantyzmem, nieuzasadnioną obstrukcją, zacofaniem.

— Daruje pan profesor, lecz nie rozumiem go dokładnie.

— Czekaj, masz czas!... To chodźmy trochę do Łazienek! Pogoda przesłiczna... A ja piję właśnie Karlsbad i mam zalecony spacer! Może nie masz ochoty?...

— Ależ przeciwnie...

— No to chodź ze mną.

Profesor z właściwą sobie ruchliwością podniósł się, ujął Wiesława pod ramię i skręciwszy ku otwartej furtce parku królewskiego, odprowadził go na krętą aleję, spadzisto wiodącą do „okrągłaka” i pałacu. Tu, znalazłszy się zdala od pogwaru miejskiego i tłumu spacerowiczów, zaczął bez wstępów:

— Powiedz mi, co myślisz o położeniu naszym?...

— Że jest rozpaczliwe!

— Nie o to idzie!... Przecież mamy obowiązek stworzenia sobie jakiegoś celu w naszym ruchu narodowym! Więc jakże!? Śni ci się Polska Chrobrego, czy Batorego?! Co?!

— Trudno na to odpowiedzieć!...

— Mam cię, bratku! Ty i wielu tobie podobnych utknęło na zacietrzewionej opozycji z zasady przeciwko wszystkiemu i ani rusz dalej! A tak przecież żyć nie podobna! Jeszcze dziesięć lat targania się borykania, a w końcu braknie sił... Czas najwyższy.

abyśmy sobie stworzyli w Kongresówce jakiś plan polityczny...

— Faktycznie zaś istnieje... bo pierwszym dążeniem naszym być powinno, żebyśmy byli razem, nierozczłonkowani, jak dziś...

— Zgoda! Jakże do tego dojść zamierzacie!? Milczysz!? Wszyscy jesteście jednakowi!... Krzyczeć, hałasować, a nie planu, nie konsekwencji... Otóż ja ci coś powiem. Jedna droga przed nami, jeden ratunek, jeden cel możliwy do osiągnięcia, a jest nim zarzucony, sponiewierany plan Wielopolskiego!... Niecierpliwisz się. Pozwól mi dokończyć i zastanów się głębiej. Odrzuć wszystkich Suwarowych, Murawjowych, Hurków, Apuchtinów, wszystkie zbrodnie popełnione przez dzikich... zapaleńców i rozważ sytuację. Masz prusy! Uciemienie nie mniejsze, robota odpolszczająca prowadzona legalnie, ale tem niebezpieczniejsza. Żywiol państwowy od wieki wieków wrogi wszystkiemu, co nie pruskie, nie niemieckie, dalej przewaga w inteligencji przewaga w handlu, w przemyśle, w naukach. Słowem, Polacy są poniżani na każdym kroku. Wprost nie ma dla nich miejsca, na którem mogliby oprzeć swój byt... Zębami trzymają się za polać ziemi swojej i nie marzą, aby wytworzyć konkurencję niemieckim kapitałom i towarom. Ekonomicznie są już dawno zabici! Czyli, że gdybyśmy przeszli pod berło pruskie, spotkał by nas los ten sam. Dalej, rasa germańska, czy poprostu kasta krzyżacka, tak daleko stoi od nas, że w tej mierze chyba niema złudzeń?...

— Bynajmniej!

— Druga część, to Galicya. Kraj z natury swej ziemi biedny, a poza tem wyniszczony przez stańczyków, przeciążony podatkami — dyszy ledwie i znów ma na karku przemysł obcy, znów musi bronić się i to nie tylko przed zniemczeniem, ale i zwęgrzeniem Morskiego Oka, oraz zezesczeniem Cieszyna... Ma konstytucję, ma przywileje, lecz ma i nędzę i głód i przekupstwo i przemoc garstki magnatów, a nadto lud ciemny, jak i u nas, brak szkół, jak i u nas, i wiele, wiele...

— Za pozwoleniem! — przerwał gorąco Wiesław. Nie przeczę — Galicya nie ma chleba zadość, stosunki tamtejsze do arkadyjskich nie należą... lecz nie ma tych szykan, nie ma bezprawia. Człowiek tam czuje się być człowiekiem, nie potrzebuje drzeć przed pacholkiem policyjnym, wolno mu się wygadać, wolno mu się upomnąć głośno o krzywdy...

— Powoli, powoli... nie tak zapaleczywie! Widzisz, na to, aby podnieść byt ekonomiczny Galicyi, trzeba kilka, jeżeli nie kilkanaście dziesiątków lat. A, żeby nam w Królestwie, dać te prawa, jakie ma Galicya, wystarczy jeden ukaz, jeden manifest w dwudziestu wierszach! — Co łatwiejsze do osiągnięcia!

— Nie wiem! — odrzekł sucho Wiesław.

— Nie wiesz! Bo ty, i tysiące tobie podobnych nie potrafia patrzeć! Nasi ojcowie politykowali za wiele i przepolitykowali sprawę — wy polityki nie rozumiecie wcale. A przecież dzieją się u nas rzeczy, które przy odrobinie dobrej woli z naszej strony... mogą przełomowo podzielać na byt wszystkich Polaków! Czy nie widzisz tego? Powiedz, czy za czasów Hurka

mógł kto mówić o pomniku Mickiewicza, wszakże była chwila, że cenzura wprost zabraniała wymieniać jego imienia!...

— Przyznaję!

— Przyznajesz! — podchwycił profesor tonem ironicznym. — To wiele! Proszę!... Lecz mówmy na zimno! Prawicie wszyscy... cesarz młody, szlachetniejszy, bardziej ludzki... ruszyło go sumienie, czy jak tam. A nie chcecie pojąć, że tu nie tylko osoba sama zaważyła, lecz polityka właśnie.

Zadne z państw na świecie nie ma boćaj tyle pracy wewnętrznej przed sobą, co Rosya! Jest to kolos, potęga żywiołowa prawie. O ujęcie jej w karby kusi się nie pierwszy cesarz. I oto na skraju tej potęgi, na granicy państwa, gdzie pierwiastek najwierniejszy powinienby mieć miejsce, ten wjazd do monarchii zajmuje naród, wrogi rządowi... Państwo walczyło, aby go zmódrz, nasyłało katów, rozbójników, łupieżców... w końcu i tych zabrakło prawie... a tu interesy państwa się rozszerzyły, wzrosły.

Trudno ciągle czuwać nad polityką wewnętrzną; nieprzyjaciel w obrębie państwa, to nieprzyjaciel najgroźniejszy... Więc ludzki duch cesarza poszedł nagle za pierwszorzędną potrzebą chwili i powiedział sobie: Oni zarzucają nam, że ich gnębimy, tem usprawiedliwiają swoją nielojalność... Spróbujmy ich nie... gnębić! Zobaczymy! I to nie są czeze słowa! Wypędzają Hurkę, Szuwałowa, Apuchtina... cały szereg małych pieśków... znoszą kontrybucję, zezwalają na budowę pomnika, popuszczają eugli... prasie! Uważasz! Chcą, żebyśmy mówić zaczęli! Czekają na to! I... zapowia-

dają przyjazd cesarza do Warszawy! Słowem, podają nam rękę i mówią — chcemy w was mieć braci, a nie wrogów, chcemy abyście żyli obok nas, jako przyjaciele jako sojusznicy!

— Lecz, panie profesorze! Nasze położenie obecne, mimo tych, zgadzam się, niespodzianych łask — bo u nas „łaską“ nazywa się to, co gdzieindziej jest powszedniem prawem — położenie nasze, powtarzam, jest nie do zniesienia!

— O tem mowa!

— Przyjaźń pleców z kijem!

— Wszyscy wy po jednych pieniądzach! — oburzył się profesor. — Od razu stanąć w opozycji bez dalszego zastanowienia się! Prosta konsekwencja dyktuje, mój Wiesiu, że obok dobrej woli z naszej strony i my postawilibyśmy swoje warunki... Więc co byś... albo, jak byś się zapatrywał, gdyby Rosya przyznała nam na początek: samorząd gminny i miejski, zniesienie wszelkich procentowych ograniczeń w stosunku do nas... rozwój narodowy i społeczny, bez kagańca, wolność religii i poszanowanie języka, historii i tradycji. Oczywiście... język urzędowy... pozostałby... lecz na właściwem miejscu.

— Hm! Gdyby to mogło się urzeczywistnić!

— Aha! Byłoby dobrze! No, tylko samo to nie przyjdzie, niestety! A do roboty, do pracy rąk brak! Garstka ludzi nie tu nie robi, trzeba pociągnąć masę. Środki nawet się znajdują, byle było komu nimi szafować! Biorę ciebie za przykład. Zakopałeś się w tym *Dniu* swoim, udającym milezącą Pythię i koniec.

— Lecz cóż bo mam robić!?

— Pytasz się?! Słyszałeś?! Przetraw więc to, rozważ głębiej a potem zacznij iść w tym duchu, a zobaczysz!...

— Ależ profesorze, prawda... że *Ziemia* ma opinię lojalną;... jednakże nawoływać publicznie nie wiem, do czego... do rusofilstwa!

— Boisz się! Nazwaj cię sprzedawczykiem, szpiegiem, renegatem! Inaczej być nie może, żaden kierunek nie wszedł w życie bez walki... Sam się nie hudej!...

Profesor urwał nagle w tem miejscu, a po chwili dodał ze smutkiem:

— Mój kochany, znasz mnie... Wiesz, że nie jedną ciężką chwilę w życiu przeszedłem... Brata mi powiesili... ja sam w czasie powstania miałem lat ledwie ośmnaście i gorącą krew. Cudem uniknąłem stryczka. Potem byłem belferem polskiego języka w czasie najzjadlejszej apuchtinady... Usunęli mnie ze służby. Utrzymywałem się ze zbiorowych lekcji literatury... Wyśledzili... no i pokutowałem rok blisko! Chyba mam prawo uważać się za dobrego polaka, chyba mnie nikt nie posądzi o sympatię dla obcego „opiekuńczego rządu“... Chcę dobra kraju i dlatego wielką robię ofiarę ze swych osobistych sympatyj...

Profesor umilkł, Wiesław szedł obok niego, ścinając łaską kity wybijającą trawę na rabatach przydrożnych. Profesor spojrział na zegarek i zatrzymał się nagle.

— Szósta godzina! Wracajmy do miasta. Czas na mnie. Robota czeka!

Ziemęcki zawrócił za profesorem, pogrążony w myślach. Jakieś nowe, nieznane dotąd horyzonty ukazały mu się. Słowa, które był przed chwilą usłyszał, pociągnęły go swą jasną logiką, trzeźwością rozumowania. Nie sięgały daleko, nie łudziły widmem wolności, lecz stwarzały byt, byt możliwy, znośny! Fakty były!...

Profesor, po dłuższej pauzie, odezwał się zniechęca:

— Ile też zarabiasz w *Dniu*?

— Ile? Około sto rubli. Czasem mniej, czasem więcej!...

— Dałbym ci sto rubli stałej pensyi.

— Mnie!? W *Ziemi*?

— Nie... Grono ludzi chce stworzyć nowy organ zupełnie, któryby właśnie rozwinął program, jaki ci przed chwilą wyłożyłem. Wydawnictwo jeszcze w powietrzu, ale narady już się rozpoczęły i przedwstępne prace niebawem się rozwiną... gdybyś chciał przeto...

— Więc kierunek pisma?

— U-go-do-wy! — odparł znaciskiem profesor. — To znaczy, kierunek dla wyszukania *modus vivendi* z państwem przy uzyskaniu możliwych ustępstw, polityka układu dobrowolnego, polityka porozumienia.

— A czy pan profesor ma przekonanie, że intencje tamtej strony?...

— Bądź spokojny. *Ziemia* jest, jak może wiesz, świetnie informowaną o tem, co się dzieje w Petersburgu. Możesz mi ufać. Widoki powodzenia są niezawodne prawie. No i mów sobie co chcesz, a podobno to jedyny może sposób podźwignięcia się naszego.

Za niem idą, naturalnie i dalsze konsekwencye, jak zlanie się z oderwanymi częściami, reprezentacya narodowa *et caetera*!

— Jeszcze pytanie, a co pan sądzisz o partyi polskiej socjalistycznej?

Profesor skrzywił się.

— Mój kochany. Jeżeli ci idzie o socyalizm, to w umiarkowanym stopniu każdy Polak jest socyalistą dzisiaj. Bo przecież nie myśli o powrocie do własności gminnej, czy plemiennej! Własność indywidualna może tylko przejść w jakąś nową formę wyższą, lecz nie zejdzie do swego pierwowzoru. Długo by o tem mówić! A znów ta polskość socyalistyczna, to tak brzmi nieharmonijnie, to tak nie trafia do przekonania. Jeden wyraz niweczy znaczenie drugiego! Zostawmy ich razem z ich poglądami i agitacyami w spokoju. Wracam do pytania — godzisz się na projektowane warunki!?

Wiesław ociągał się z odpowiedzią. Profesor dodał po chwili:

— Namawiać cię nie mam zamiaru, bo mnie potrzebni są ludzie tacy, którzyby wierzyli nie mnie tylko, przedewszystkiem sobie. Chciałbym cię mieć w redakcyi. Powiem ci otwarcie, nie dlatego, że widzę w tobie zdolności, lecz że potrzebuję i muszę posługiwać się ludźmi uczciwymi, niezaszarganymi. Trzeba będzie może walczyć. Moi współpracownicy nie powinni być figurami wątpliwymi, ani takimi, które dadzą się pokonać pierwszą lepszą napaścią osobistą. To mnie skłania do zrobienia ci propozycyi. Przyjmujesz?

— Panie profesorze, sądę, że mi za złe nie weźmiesz, jeżeli poproszę o czas do namysłu.

— Bardzo chętnie! Owszem. Wolę twoją odpowiedź otrzymać jutro, niż dziś. Ale, wiesz, proponuję ci coś, co może ugruntować w tobie zasady pewne, a w razie przeciwnym zobowiąże cię do pewnej dyskrety. Jutro wieczorem jest u mnie zebranie naszego Kółka. Będzie kilka bardzo wpływowych osób. Więc przyjdź. Piękna, siedemnaście, drugie piętro, na drzwiach masz napis Waszewicz. Przedawię cię, posłuchasz... Jesteśmy już w Alejach! Idź, idź. Ale, czy nie znasz przypadkiem bliżej Zesława Rzęzewskiego.

— Rzęzewskiego? Był przecież w gimnazjum przypominam go sobie w jednej z niższych klas.

— Wiem o tem, że był... ale nie pamiętam! Gdzież bym był w stanie! Nie wiesz, co to za człowiek?

— Trudno mi odpowiedzieć! Syn senatora! Podobno majątny... zdaje się żył trochę hucznie.

— Pytam się tak tylko! Bo mi go właśnie poleceno usilnie! No, do zobaczenia jutro!...

— Profesor uściśnął pospiesznie rękę Wiesława i wskoczył do tramwaju.

Ziemęcki wolnym krokiem zawrócił ku miastu, rozważając wszystko co był od profesora usłyszał. Kto wie, może Waszewicz miał rację, może istotnie nadszedł czas pojednania dwóch walczących o hegemonię słowiańską narodów! Gdybyż to nastąpiło, co za siłę stanowiłyby mogły, jakże wprędce skarłałyby potęgą germanów. Panowałyby nad Europą, nad światem całym! A zgroździwszy pod jednym berłem wszy-

stkie ludy słowiańskie, wytworzyłyby moc niezwaloną, bo nie zlepek różno-plemienny, lecz jedną wielką rodzinę, dzieci jednego szczepu. Może! Może uczucia ludzkie, uczucia lepsze przejęły już Wielkorusyą i wzięły górę ponad ciasnym egoizmem! Może i tam narodzi się myśl wielkiego braterstwa!...

Naraz, przed oczyma Wiesława, stało jakieś niewyraźne, wpółzatarłe, zasnute mgłą czasu, widmo... Wiesław zatrzęsł się.

Zgoda, braterstwo z nimi?! Nigdy! Tym, którzy się tylu bezceństw, tylu nieczemności dopuścili, ręki się nie podaje. Walka, walka na śmierć bodaj niechybna, Ale walka!...

Tyle ofiar!

Stefka! Zginęła, przepadła. Nie wiadomo, czy był sąd czy była obrona, czy było oskarżenie. Wyrwali ją wówczas matce, zatrzasnęli drzwi cytadeli i tu koniec wieści... Dziś z obojętnym wzruszeniem ramion mówią, że nie wiedzą, gdzie mogła się podziść!... Co im jedno życie dziewczyny...

Wiesław chciał zgłuszyć w sobie nurtujące go wspomnienia i siłą woli skierował myśl ku słowom Waszewicza, starając się obudzić w sobie krytycyzm.

Waszewicz, człowiek poważny, publicysta dzielny a patriota gorący!... Kto wie! Być może! Polityka ulega rozmaitym przypływom i odpływom... w końcu, niepodobna nie przyznać, iż w stosunkach polsko-rosyjskich zmiany zaszły poważne, niespodziewane... piorunujące. Gdyby dało się uzyskać pewne ulgi dla kraju, pewne ustępstwa, bodajby kosztem jakichś ofiar. Mogłoby to być zbawieniem niejako...

Wiesław, pracując od dłuższego czasu w redakcyi „Dnia“, mając ciągle przed oczyma pełny obraz ruchu społecznego Królestwa, rozumiał wybornie sytuację. Sytuację, której jedynym wyrazem była ciągła niepewność jutra. Nikt z ośmiomilionowej ludności nigdy nie mógł być pewnym ani mienia swego ani życia. O prawach, o swobodach już się nie mówiło. Wszystko, co polskie, przy zetknięciu się z rosyjskością, z góry było skazane na zgubę, na zagładę, na przegranę. Kodeks był również bezsilny, nikogo nie mógł wesprzeć, bo musiał ustępować co chwila przed administracyjnymi rozporządzeniami, osobistymi poglądami czynowników i władzy absolutnej, nadawanej lada prostakowi.

Królestwo było zaatakowane ze wszystkich stron. Gdy w mieście inspektor fabryczny ujął niby ster regulacyi stosunku pracy do kapitału — zaczął od... podburzania robotników przeciwko fabrykantom, a fabrykantów przeciw robotnikom. Przemysłowiec, poruszony strejkami, już chciał się godzić na skrócenie dnia roboczego i podwyższenie dziennej płacy, lecz naraz odbierał nakaz, zabraniający mu ulegania naciskowi. Kiedy znowu w chciwem zapamiętaniu żądania robotnicze odrzucał znów przychodził nakaz, aby wymaganiom uczynił zadość, przyczem nakaz ten był głośno obwoływany wśród tłumów pracujących! Patrzcież, kto wami się opiekuje, kto o was myśli, kto się troszczy, kto broni!

Na wsiach komisarze włościańscy oddawna już spełniali ze skutkiem swój obowiązek szczucia kmieci na szlachtę. Próżno obywatel błagał o uregulowanie

serwitutów, próżno układać się chciał z chłopem. Między nimi stał pan komisarz do spraw włościańskich, zapewniający nieufnego chłopą, że szlachcie tylko na jego krzywdę działa, lecz on i cesarz bronią go i stoją na straży jego interesów. Jeżeli zaś brzęk złota zdołał skusić opiekuna włościan i ugoda serwitutowa zawartą została, to wówczas był Petersburg, który za twierdzenie uchwały rozkładał na lata, za każdą literę podpisu haracze ściągał, a tymczasem stan przejściowy w danej wiosce wywoływał nowe niesnaski, zatargi i nieprzyjaźnie.

Rosya pamiętała i o tak poważnem środowisku, jakim są żydzi w Królestwie, na Podolu i na Litwie. Drżała, aby ta kilkomilionowa gromada nie uczuła się nagle być zupełnie polską i drżała, aby inteligencja jej nie chwyciła nici finansowości i wątlego przemysłu rosyjskiego.

Drżała, aby żydzi nie poszli ręką w rękę z Polakami, a za Rosyan uznać ich nie chcieli.

Zadanie trudne, lecz od czegoż prawo Kaduka i „chytrość“ rosyjskiej polityki, znana już z czasów Piotra, Pawła i Katarzyny! *Divide* przedewszystkiem a potem *impera*, czyli duś, wynaradawiaj.

W Królestwie obudzono ruch antysemitki, a na Litwie Żydów ludzono opieką pozorną byle wiernopoddane deklarowali oświadczenie. Polacy, patrząc na ruszczenie się żydów, tu i owdzie jęli ku nim pałać nienawiścią. Rosya nienawiść tę hodowała zrećźnie, umiając w tym kierunku wyzyskać nawet niecierpiany przez nią katolicyzm. Dopiero, gdy ziarno

niezgody a nieufności wzajemnej dojrzało, jednym zamachem ministeryalnego rozporządzenia wypędziła dwadzieścia tysięcy rodzin żydowskich z Litwy a Podola, najostrzejszymi prawami ograniczyła ich garnięcie się do wszechnic, do oświaty i raz na zawsze usunęła ich od urzędów, od rang. Żydzi litewscy napłynęli tłumnie do Łodzi i Warszawy i zaczęli mówić językiem, który znali — rosyjskim... Ten język, nienawistny w Królestwie, obruszył na nich nawet żydów osiadłych w Warszawie, I oto powstała walka kastowna, walka religijna, walka narodowościowa, której jeszcze i żywioł niemiecki, rozsiadły wygodnie w Piotrkowskiem, oliwy do ognia dolewał.

Polacy zwalczały żydów. Żydzi polscy żydów litewskich, Niemcy kult germanizmu chcieli szczepić, robotnik nie cierpiał przemysłowca, chłop pana, a za plecami stał rosyjski czynownik i śmiał się! Stał i pilnował, aby żywioły trawiły się równomiernie, aby, broń Boże, jeden nie pochłoniął drugiego, aby przypadkiem ludzie ci nie powiedzieli sobie — miast siebie pożerać, zwróćmy się raczej przeciwko wspólnemu wrogowi...

Każda z partyj prowadziła politykę, każda chciała za jaką bądź cenę wpływ u rządu zdobyć. Więc niemiecki fabrykant, Dyttel z Sosnowic, tysiącami sypnął na rosyjskie „przyjuty“ byle Maryę Andrejewnę sobie pozyskać, a gdy Hurki zabrakło, Szuwałowowi wstypy wyprawiał i w szampanie go kąpał.

Wprawdzie hrabia rosyjski dość niepolitycznie postąpił z natrętnym Niemcem, bo do własnego powozu pana Dyttla — nawet właściciela nie poprosił

tak, że Dyttel we fraku i w białym krawacie na kozle obok swego stangreta paradował — ale niemniej musiał Szuwałow uwzględnić lojalność Niemca i ty siące rzucane na prawosławie! Niemcy łódzcy prześcigali się w składkach na sobór rosyjski — giełda warszawska milionami szastała — byle dowieść, że ludność rdzenna Królestwa jest zerem w handlu i przemyśle; finansista kijowski Brodzki przyjął prawosławie dla obrony żydów... A Rosya cisnęła, za ciągała coraz gwałtowniej pęta niewoli. I dziwna się rzecz stała! Oto te partye, warstwy, kasty miały wybuch radości, uciechy szalonej... Każdy zakaz każde ograniczenie, każdy krok naprzód w dzieł rusyfikacyi wywoływał w przeciwnym obozie wesele.. zadowolenie...

„Katolikom nie wolno tego“ — „Żydom zabroniono owego“ — ręce zacierali Niemcy. I przeciwnie katolicy-Polacy cieszyli się, że żydom zaprzeczają prawa człowieka; żydzi, iż Polacy nie pozostają z nimi w tyle...

Wiesław patrzył na to, czuł, rozumiał.

Waszewicz miał rację. Ta prasa cała warszawska była czezą, pustą, bezbarwną. Rozumiała tę walkę pojmowała jej doniosłość, zdawała sobie sprawę ze zgubnych jej skutków i bała się odezwać, i bała się czy nie chciała głosu podnieść...

Prawda, i tu bo stały przed nią potężne zapory... Pan Jankuljo, prezes cenzury, miał wydelfakaczone ucho i nie znosił nawet tego, co nie było ani buntem, ani nielojalnością. Prasie wolno było pisać o niczem. Zresztą, wszelkie tłómaczenie się, wszelka

chęć rzucenia światła na ten lub inny rodzaj kierunku — była wzbronioną. Wolno było być tolerancyjnym, lecz tolerancyi nie wolno było uzasadnić, wytłómaczyć. Prasa więc bała się każdego wyrazu, bała się więcej... niż cenzury.

Ogół był bezwzględny — za słowo miał dyplom na zdrajcę, na szpiega, na rosyjskiego pacholka. Raz przezeń rzuconej hańby, czasem lata poświęceń zmyć nie potrafiły. Hańba przyrastała, a tu nie można było się tłómaczyć, bodaj dobrym Polakiem mienić siebie, lub kogo innego.

Wiesław był tego wszystkiego niemym świadkiem. Codzień patrzył, jak pięknie pisane, podniosłe artykuły, wracały z cenzury pochlastane, skurezone, przedzierżnięte w płytkie gładzenia. On znał ludzi, którzy dlatego jedynie zmarnieli w zapomnieniu i nędzy, dlatego mieli opinię słabych, nieudolnych pracowników, że tego chciała cenzura warszawska! On wiedział, że są talenty wielkie, siły potężne, które znają tylko zakamarki redakcyjne, a które kreśli i podziwia ołówki cenzora.

Na powierzchni życia warszawskiego zwykle panowała cisza bezbrzeżna, prasa przeżuwała automatycznie brukowe kwestye, zagadnienia i wypadki, a tam, w głębi, huczała rozogniona, rozpalona do białości lawą, napróżno szukając ujścia krateru.

Po za walką polityczną, Rosya zabierała się do walki drugiej, niemniej zgubnej... do walki ekonomicznej. Forpoczty rozprawy przyszłej już zostały wysunięte w najnowszych rozporządzeniach taryfo-

wych, w myśl których przewóz towarów rosyjskich na każdym kroku, w przeciwieństwie do produktów Królestwa, znajdował ulgi, ułatwienia, protekcję. Rząd do Warszawy jął sprowadzać tłumy kacapów, byle przy prowadzonych robotach w budowlach nie dać zarobku polskiemu rzemieślnikowi, aby dziegieć i „machorka“ przejęła każdy gmach, każdy barak, postawiony przez Rosyan i to od fundamentu aż pod strop.

Polacy mieli za wielu chleba!...

A Litwa? A Wołyń, Podole, Ukraina.

Tam się już przestawało mówić o tem, żeby ktoś miał odwagę uważać się jeszcze za Polaka. Wszak o siedm godzin drogi od Warszawy, w Brześciu Litewskim rozlepione były jedyne w swoim rodzaju plakaty, zabraniające mówić po polsku... Tam zaczął się szeroki pas polskiej ziemi, której nie wolno było Polakowi kupić ani przekazać jej krewnemu w drugim stopniu; tam każda subhastacya była zarazem bezpowrotną utratą polskiej placówki, tam Ignatiew, graf Toll, banda Murawiewiczów porobiła fortuny, zagrabiła samowolnie miliony. Tam dzieci unickie ciągnięto do cerkwi, kozakami napędzano lud do praktyk prawosławia, tam między Litwinami, starano się szerzyć język litewski z amalgamatem „ki-rylicy“, tam chciano wpoić w nich przekonanie, że unia z Koroną nie istnieje, że Mickiewicz nie był Litwinem, a Jagiełło Polakiem! Tam walka ustała! Skażony język polski tulał się jeszcze po dworach.

Małorus kłął „moskwiczów“, Litwin jęczał. Unita podczas rzezi krożańskiej zasłaniał się portretami „bat’ki“ cara i „matuszki“ carycy!

Wilno, Grodno, Kowno, przedstawiały smutny obraz stuletniej gospodarki rosyjskiej. Kościoły jeden po drugim przystrajały się w ikonostasy i bizantyjskie cebulki — nawet polakożerczy „Świat“ przestał mówić o polskiej intrydze w północno-zachodnim kraju.

W Wilnie jedna Ostrobrama dokuczała jeszcze Rosyanom. Bojąc się jej tknąć, rozpuszczali wieści o rosyjskiem pochodzeniu starożytnego obrazu. Literatura rosyjska w tym kierunku była niewyczerpaną w pomysłach. Gdy inaczej nie można było... to nawet Mickiewicz był... „koleżskim registratorem“ i czynownikiem!

A jednak ta Rosya była siłą, była monarchią potężną, była państwem, jeszcze żywiołowo mocnem. Europa korzyła się przed niedźwiedziem Północy, łasiła się o jego przyzwalający pomruk, rozumiejąc, że „czapka Monomacha“ Romanowych ma przed sobą i „dziś“ i „jutro“, że samopoczucie narodów zagarniętych jest jeszcze w „imperyi“ uspieniem, a korrupcyja stanów, walka o prawo człowieka, mimo pozornych błysków, pierwszego ząbkowania nie przeszła.

Wielkie cesarstwo jeszcze nie doszło do zenitu samodzierżawia.

Czy przeto Waszewicz nie miał słuszności. Rosya, to fala — czy nie rozsądniej wypłynąć na niej, niż rzucać się przeciw jej prądowi, może na zgubę pewną, na zagładę ostateczną!

W końcu jest tak, czy owak myśl, cel, program jakiś — zawsze lepszy, niż ta obstrukcyja głucha, niema, bezsilna, bezowocna.

Ziemęcki zastanawiał się, ważył, wystawiał sobie walkę, jaką przejść będzie musiała ta nowa partya — i zdecydował się pójść do Waszewicza na owo zebranie. Wszak nie zobowiązywało go ono do niczego, a bądź co bądź i ludzie ci i poglądy i zamiary i decyzje mogą być ciekawe.

Nadto rozstrzygała tu może inna jeszcze pobudka, z której Ziemęcki nie zdawał sobie sprawy. Działała ona mimo jego wiedzy a woli. On chciał żyć, chciał pracować dla celu wytkniętego, chciał zagłężyć w sobie wspomnienia, chciał pograżyć się w ruchu umysłowym, aby w zmęczeniu, w trudzie, znaleźć równocześnie spokój, równowagę, zadowolenie.

Praca w redakcyi *Dnia* denerwowała go swoją monotonością, banalnością. Te artykuły polityczne, wiecznie obracające się w ogólnikach odsuniętych od wszystkiego, co z polityką Rosyi ma związek, a imienia polskiego nie mające prawa wspomnieć, te rozprawy akademickie z dziedziny najmniej obchodzących społeczeństwo zagadnień i ta przymusowa drobniawość i to walcowanie ciągle teatru, jego plotek, jego afiszów, jego zakulisowego życia... zbrzydło mu od dawna. Nigdy jednak nie napisać szczerego, nigdy nie żywszego, coby płynęło z odczucia niedoli, cierpienia zła, idei — było kłętą całej prasy warszawskiej, kłętą przymusową.

Im w głębiach bardziej wrzało, im silniej ogół polski był wzburzonym, tem większy spokój, tem głuchsze milczenie obowiązywało prasę.

Milczenie było jedynem prawem! Dzienniki rosyjskie wypisywały najbezczelniejsze kłamstwa o polskich stosunkach, oczerniały Królestwo, spotwarzały je, zwiastowały swym płytkim czytelnikom jakieś dziwaczne nowiny o knowaniach rewolucyjnych, zamachach, przekręcały historię, szkalowały najświętsze uczucia, pływały na Aradycę, na obyczaje, religię... a prasie warszawskiej nie wolno było ust otworzyć, nie wolno było powiedzieć — „fałsz“ — nie wolno było dowodzić nieprawdy! Prasa warszawska mogła w wyjątkowych wypadkach... artykuł tak przedrukować, zachowując niecne słowa oryginału, aby przecinka, litery nie brakło!

Smutna dola dzienników, smutniejszy los dziennikarzy.

Waszewicz nowe przed nim odsłaniał horyzonty. A gdyby sposobu tego użyć się dało, gdyby i tu zasada *similia similibus curantur* dała się zastosować, gdyby owe fosy rosyjskie, tamujące już byt sam, można było przebyć i stanąć w końcu nie na gruncie praw narodowych, lecz bodaj na gruncie praw człowieka! Toć byłoby coś przynajmniej!...

Wiesław był już prawie zdecydowanym iść do Waszewicza. Myśli go paliły, czuła imaginacya snuła przed nim najpomysłniejsze obrazy. Wiedziony potrzebą usłyszenia odmiennego zdania — wyrozumienia, zapatrywać przeciwnych, zarzutów — dnia nastę-

pnego w rozmowie z redaktorem Buleckim napomknął ogólnikowo o nowotworzącej się jakoby partyi.

Bulecki wzruszył pogardliwie ramionami.

— Głupota albo przewrotność... wyrafinowana robota naszych złych duchów!...

— Ależ, redaktorze, dlaczego?! Myśl nawiązania z Rosyą stosunków nie jest nową! Pracowali dla niej i dobrzy patryoci... Ludzie, którym w rezultacie nie nie można zarzucić! Adam Czartoryski już za Aleksandra pierwszego, także Wincenty Krasiński, generał, nie lada starań dokładał. Kościuszko nawet długi czas był w korespondencyi z Aleksandrem; był Wielopolski! Wszak to jeden szczepek słowiański! Po walce do zgody przyjsć może!

Redaktor Bulecki uśmiechnął się ironicznie.

— Widzę, że pan nielada masz przekonanie do lojalizmu! Chcesz we mnie wmówić, że mamy się z kim i z czem układać! Że teraz, gdy nas za łań trzymają trzej sąsiedzi, zaczną z nami traktować o warunki! Daruje pan, lecz tu doprawdy nie ma nad czem dyskutować. Partya się tworzy, niech się tworzy. Nas ona nie będzie obchodziła! Zobaczymy. Bardzo ciekaw jestem tych figur, które się ukażą!

Ziemęcki, nie przekonany tem obcesowem potępieniem, poszedł wieczorem do profesora.

Waszewicz ucieszył się serdecznie jego widokiem.

— No, wiesz, mam być szczerym! Wątpiłem, abyś się zjawił. Bo to wy młodzi macie taką rogatą duszę... pali się wam w głowach, a jak coś od razu was nie porwie, to ani słuchać o tem nie chcecie! Pozwól

dalej, do saloniku! Jeszcze nikogo prawie niema, jest Dobromir, jeden z *Wyrazu* i Radosław... powoli nadejdą wszyscy! Tylko mi czasem zdrady nie szykuj, bo bym ci tego nie darował a i krzywdę byś mi uczynił nielada.

— Skądże znów, panie profesorze!

— No, no! Wiesz, u nas w świątku dziennikarskim nawet małe szpiegostwo jest pożądane a podpatrywanie bliźnich koniecznem... lecz tobie wierzę najzupełniej! Pozwól dalej!

Waszewicz wprowadził Wiesława do rzęsście oświetlonego saloniku, pośrodku którego stał stół, okryty zielonem suknem a założony papierami. W głębi stali dwaj mężczyźni. Profesor przedstawił Wiesława, a jakby chcąc usprawiedliwić jego tu zjawienie się, dodał znacząco do nazwiska Ziemeckiego „mój uczeń“!

Dobromir i Radosław zamienili z Wiesławem banalne uściśnienie rąk i ciągnęli dalej prowadzoną rozmowę. Waszewicz wziął Ziemeckiego na stronę.

— Uważasz, trafieś, znakomicie! Zebranie będzie nadspodziewanie liczne i ważne. Margrabia przyrzekł niezawodnie się stawić!

— Margrabia?!

— Wielopolski! — objaśnił profesor. — Tylko mój Wiesiu, proszę cię o jedno, jak wlażesz między wrony, krakaj jak i one i gdyby ci się coś nie podobało, to nie zabieraj głosu, bo jesteś tu widzem tylko jeszcze. A poznasz tu ciekawych ludzi... Przepraszam cię, ktoś dzwoni.

Salon profesora napelniał się zwolna gośćmi. Dzwonek elektryczny co chwila rozlegał się w przedpokoju. Waszewicz przyjmował, wprowadzał do salonu, przedstawiał osoby, nie znające się ze sobą, sadowił około stołu.

Wiesław stał na uboczu, oparty o róg fortepianu i z podziwem a ciekawością przyglądał się zebranym.

Byli to przeważnie ludzie znani w świecie warszawskim, ludzie wpływowi. Każdy z nich coś znać czył coś reprezentował.

I oto Wiesław mógł się z bliska przyjrzeć męskiej a wytwornej postaci mecenasa Przyborskiego, skromnej figurce milionera Bergszmida, wyrazistym rysom twarzy fabrykantów Emera i Zunta, a lalusio-watym minom ordynata Turojskiego i hrabiego Dziunia. Był tu Nitecki, głośny literat, malarz, dwóch lekarzy i kilku radców Towarzystwa kredytowego ziemskiego. W tem szczupłym gronie wszystkie warstwy zdawały się mieć swoich przedstawicieli, reprezentantów.

Wiesławowi ten dobór ludzi zaimponował. Wprawdzie o tym i o owym wiedział niejedno, słyszał i rzeczy, nie przynoszące zaszczytu, ale to mogły być złośliwe obmowy, kłamstwa. Ludzie ci oto kupili się, zbierali — sama ich bytność w tem miejscu już do-brze świadczyła. Zarzucano im bezmyślność, a oni dążą, mają cel wytknięty, troszczą się o losy kraju!

W saloniku zaczęło się dość gwaro.

Naraz dzwonek w przedpokoju rozległ się silniej, dłużej... zaczęło do salonu wchodzić margrabia. Roz-

mowy ucichły. Wszyscy kolejno spieszyli przywitać się z Wielopolskim.

Ziemęcki z zajęciem przyglądał się synowi twórcy polityki przedpowstaniowej.

Margrabia był istotnie rzadko spotykanym typem mężczyzny. Wzrostu olbrzymiego, najwyższy z zebranych do ramienia mu nie sięgał, baczysty o siwej krótko przystryżonej brodzie i czuprynie, z głową nieco ku przodowi pochyloną zdawał się być żywym weieleniem tych rycerskich postaci, które pod murami Wiednia, husarskie tworzyły chorągwie, co podkowy gięły w rękę, a jednym cięciem miecza lby koniom płały.

Margrabia miał oczy wylupiające, matowe, dziurki, ręce wielkie, niezgrabne — jak każdy zresztą ruch jego.

Wielopolski starym był dworakiem, umiejącym się giąć na każde skinienie ceremoniału. Margrabia gwałcił się, lecz czynił to ciężko, rubasznie, niedźwiedziowato.

Tym jednakże ruchom, temuż olbrzymiemu wzrostowi, tej sile fizycznej, jakiej był wyrazem, Wielopolski zawdzięczał bardzo wiele! Cesarz Aleksander trzeci lubił go. Lubiał za wzrost, za te łapy niedźwiedzie, za kark szeroki, za ociężałość, za ten mruczący głos, za giętkość potężnych ramion, które jakby stworzone były do rozkazywania. Taki człowiek musiał imponować Aleksandrowi. Przytem Wielopolski był niby wcieleniem usprawiedliwienia przemocy, był parawanem dla osłonięcia polityki wynarodowiania. Naj-

pospolitszy parobek rządu, lubił wspominać imię Wielopolskiego, lubił patrzeć, jak na ofiarę, zasłepienia rodaków, jak na owego dobrego prokora, co napróżno wzburzony lud do poprawy wzywał, co, gdy przyszły dni sądu, dni bezprawia, dni katorgi, on rozdarł szaty i poszedł za umiłowanym carem do Petersburga.

Wielopolski — to imię hodowane na pokaz dla Europy, „Wielopolski“ — to zburzenie najlepszych intencyj najhumanitarniejszego z rządów — „Wielopolski“, to wyrzut dla tej garstki szaleńców z roku sześćdziesiątego trzeciego! Mówiąc o „Wielopolskim“ — wskazywano na Finlandyę i powtarzano z patosem: „patrzcie, oto dowód, jako my nagradzać potrafimy wiernopoddaństwo! Finn ma konstytucyę, ma parlament, ma rozwój narodowy zapewniony... I wy mielibyście go... gdybyście usłuchali Wielopolskiego!“

Dwór petersburski pielęgnował starannie syna margrabiego. Pamiętał o nim przy rozdawaniu orderów i korzystnych stanowisk. Margrabia cenił zaszczyty i wierne służby odprawiał, a śmiał się nawet wówczas, gdy dzieci polskie wyśpiewywały carowi wielkorosyjskie piosenki.

Wielopolski był potentatem. Z nim liczyli się wszyscy. Ministrowie, gubernatorzy — ba, i pan wszechwładny, żandarm, musiał mieć uszanowanie dla „markiza“, chodzącego z cesarzem pod rękę.

Wiesław znał dzieje margrabiego ojca i żyjącego syna. Wiedział, że syn wziął po ojcu nietylko herkulesową budowę ciała, lecz i program całej jego poli-

tyki. Znal ją z teoryi, lecz teraz dopiero miał ją poznać w żywym słowie.

W saloniku uciszyło się. Margrabia rozsiadł się wygodnie i zaczął powoli swym chrypliwym głosem:

— Panowie, mogę podzielić się z wami wielką nowiną. Nowiną nadzwyczaj pomyślą dla nas... radośną, która mnie dziś doszła... Najjaśniejsi państwo przyjeżdżają do Warszawy!

Margrabia umilkł i powiódł wzrokiem dokoła z odcieniem dumy, niby szukając na twarzach zebranych zachwycenia.

Po chwili zabrał znów głos, cedząc wyraz po wyrazie i akcentując je.

— Najjaśniejsi państwo przyjeżdżają do Warszawy po raz pierwszy. Do nas więc należy przyjąć ich tak, aby zapomnieli nakoniec o tych smutnych wypadkach, które, dzięki, niezdrowemu ruchowi, stają się przyczyną naszego zasłużonego zresztą stanu. Do nas należy teraz dowieść naszej dojrzałości, do nas należy tłumić resztki żakowstwa! Chwila po temu może się nigdy odpowiedniejsza nie znajdzie. Najjaśniejszy pan, łaskaw bardzo! Umiejęz ocenić wspaniałomyślnie wyciągniętą rękę! Niechaj znajdzie nas przygotowanych do przyjęcia tych dobrodziejstw, jakimi może pragnąłby nas obdarzyć. Niechaj się przekona, że chcemy stać na gruncie wiernopoddanych wielkiej monarchii i rozwój nasz łączymy i czynimy zależnym od jej rozwoju. Otóż, panowie, proponuję zawiązanie komitetu, któryby zajął się obmyśleniem odpowiedniego przyjęcia najjaśniejszych państwa! Zdaje mi

się, że naczelnik kraju nie odmówi takiemu komitetowi swego przyzwolenia. Co panowie sądzą o tem?

Zebrani spojrzeli po sobie, jakby oddając sobie nawzajem prawa głosu. Waszewicz, ratując sytuację, pośpieszył pierwszy z odpowiedzią.

— Proszę panów! — zaczął żywo — to, co nam pan margrabia przedstawił, wydaje mi się tak jasnem, tak wyraźnie określającym, co nam czynić wypada... że godzi się tylko uprosić pana margrabiego, aby nam w przyszłym komitecie zaczął przewodniczyć!

— Tak, tak! Naturalnie! Prosimy! — rozległy się pojedyncze głosy. Wielopolski uśmiechnął się pobłażliwie.

— Dziękuję, ale nie mogę, ponieważ mój urząd dworski sam przez się określa moje stanowisko w chwili tak uroczystej, jak wjazd najjaśniejszych państwa! Komitet musi się składać z żywiołów niezależnych, niejako reprezentantów całego społeczeństwa. Otóż jabym zaproponował wybór mecenasa Przyborskiego.

Mecenas poruszył się niespokojnie na krześle i poprawił monokl w oku. Chciał coś odpowiedzieć, lecz już rezległy się głosy, aprobujące jego kandydaturę. Margrabia wstał równocześnie.

— Panowie! — rzekł wyniośle. — Czas nie pozwala mi wziąć w tej chwili udziału w ściślejszych obradach. Raczie wygotować plan, ja wszelką pomoc z mojej strony zapewniam!

Wielopolski jął się żegnać ceremonialnie, spiesząc się, jakby w obawie, aby go o coś więcej nie zagadnięto. Waszewicz odprowadzał go rospromieniony.

— Panie margrabio, co za szkoda, że drogi czas mu nie pozwala!

— Tak. I ja również żałuję. Ale ufam panu, panie Waszewicz, że swoim taktem wpłyniesz, aby znów komitet nie powziął dziwacznych uchwał. Unikajcie wszelkich drażliwości... żadnych kolorów, żadnych napisów, bo to dzieciństwo! Prawda, mam dla pana wiadomość od ministra spraw wewnętrznych! Nie wątpiwcie koncesya dla pana nadejdzie. Może nie zaraz, nie teraz, lecz to jest tylko kwestyą czasu. Środki się znajdują.

— Ach! Panie margrabio, byle mieć nareszcie swój organ. Miejsce, gdzieby się można wypowiedzieć, czem możnaby działać na masy.

— Bądź pan spokojnym! Powoli! Nie wymagajmy zbyt wielu rzeczy naraz. Do widzenia się panie Waszewicz.

— Ale! Pan margrabia pozwoli sobie przedstawić! — zatrzymał Wielopolskiego profesor i skinął na Wiesława. — Mój uczeń... Ziemecki, młody publicysta.

Wielopolski zmierzył Wiesława i podał mu protekcyjnalnie rękę, a zniżając głos, odezwał się znacząco:

— Dobrze panie Waszewicz! Tego materiału jak najwięcej!

Po oddaleniu się margrabiego, wśród zebranych powstał chwilowy gwar i dorywcza dyskusya. Nowina poruszyła wszystkich, prócz mecenasa Przyborskiego, który siedział zimny i targał od niechcenia krótką, szpakowatą brodę.

— Panowie! Możebyśmy przystąpili do obrad — zagaił Waszewicz. — Może pan prezydujący?...

— Chciałem sam prosić o głos — rzekł mecenas. — Zaufanie... zaszczyt doprawdy dla mnie wielki... jednak, darujcie panowie, że wybór mój uczynię zależnym od postanowień, jakie będą powzięte...

— Ależ mecenasie! — przerwał profesor. — Przecież to się samo przez się rozumie. Tu nie takiego uchwalonem być nie może, coby mogło zakłócić harmonię...

— Przepraszam, lecz nie to miałem na myśli — wtrącił Przyborski. — Tu mogą być inne względy!... Nie jesteśmy sami!... A ja muszę się liczyć z pewnemi warstwami i przyznam się panom, dotąd nie widzę jasno sformułowanego naszego planu...

— Za pozwoleniem — odparł gorączkowo Waszewicz. — Ja go pojmuję w ten sposób. Jesteśmy poddanymi Rosyi, płacimy każdy podatek, nie wyłączając krwi, uznajemy język państwowy tam, gdzie on jest nieodzownym, a w zamian... wolno nam rozwijać się na równi z wszystkimi innymi krajami państwa. mamy poszanowanie naszej religii, naszego języka, naszej historii, krócej mówiąc: zniesienie stanu wojennego, samorząd miejski i gminny, sądy przysięgłych... język polski w szkołach... zniesienie procentowych ograniczeń!... Co?! Chyba... na początek dosyć! Co?

— Świetnie! Znakomicie! — przytwierdzono profesorowi.

— To jest nasze *credo*! To są warunki, które postawimy i od których nie będzie nam wolno odstąpić ani na krok!...

— Zapewne — zauważył niedbale Przyborski. — Tylko wypada nam się liczyć z tem, że ogół może nie mieć świadomości naszych wytycznych, że przeto z łatwością możemy nie być zrozumianymi należycie.

— Panie mecenasie, niemożliwa rzecz! Biorę na świadków tu obecnych kolegów: Dobromira i Radosława. To, co powiedziałem, ukaże się w prasie naszej... naturalnie w stosownej chwili! Posiadam w tej mierze pewne rękojmię, bo my nie możemy odgrywać roli dwuznacznej! Już sama obecność w naszym gronie pana margrabiego nadaje nam poniekąd prawo do przyjmowania jego słów za półurzędowe wynurzenia!

— Margrabia komunikuje się wprost z Petersburgiem! — nadmienił Dobromir.

— Margrabia ma wielkie wpływy — przytwierdził Radosław.

— Jest wielkim łowczym dworu! — zaznaczył ordynat Turajski.

— Więc przystąpmy do omówienia pierwszych punktów — proponował mecenas. — Może nam pan Waszewicz podda myśl jakąś.

Profesor nie dał się prosić. Rozwinął wielki arkusz papieru i jał czytać zgromadzonym z szerokiego rozmachu nakreślony program, opracowany w najdrobniejszych szczegółach.

Cesarza przyjmuje naród. Składa się na ponieśienie kosztów przyjęcia... Sumy zebrane pójdą prze-

de wszystkim do złożenia daru, któryby upamiętnił na wieczne czasy tę przełomową chwilę... a następnie na budowę bram tryumfalnych, dekorację miasta. W uroczystości wziąć muszą udział wszystkie stany, cechy, stowarzyszenia, instytucje, nikogo nie wolno pominąć! Deputacya wręczy dar i wypowie się. Cały obchód powierzony będzie straży obywatelskiej. Duchowieństwo, ochrony, szkoły, lud — wszyscy. Nikogo braknąć nie może!

W miarę, jak profesor rozwijał punkty projektu — wśród zebranych wzrastało przejęcie się i wzruszenie. Myśl, jaką to rolę odgrywać będą członkowie komitetu, uśmiechała się wszystkim.

Waszewicz nie dał przeminąć pierwszemu wrażeniu i skończywszy czytać, rzekł:

— Pierwszem zadaniem jest zebranie funduszu... Ojóż spieszę panów zawiadomić, że pan margrabia ofiarował na ten cel rubli tysiąc! Godziłoby się i nam pójść za jego przykładem i zapoczątkować listę. Ja daję, co mogę... sto rubli! I składam na ręce pana mecenas.

— Ja... pięćset! — rzekł Przyborski.

— Listę uformować, niech się każdy zapisuje! — doradził Emer.

Mecenas wziął papier i ołówek i zachęcał do składek.

— Proszę panów! Proszę!

Ziemiaństwo zadeklarowało po dwieście rubli, ordynat Turajski i Dżumia po trzy tysiące, Emer i Zundt po pięć tysięcy, bankierzy po piętnaście, Bergszmidt milczał, gdy w końcu mecenas wprost go

zapytał, ile daje. Milioner skrzywił się znudzony i rzekł zimno:

— No ile?

— Sto tysięcy! — rzekł żartobliwie Przyborski, poprawiając monokl.

— Dobrze! Sto tysięcy! — zgodził się obojętnie Bergszmidt.

Hojność milionera zaimponowała zebrany; Waszewicz ręce zacierał.

— Ba! I już mamy przeszło dwakroć! Co będzie, gdy się zwrócimy do całego narodu!...

Wiesław tymczasem, siedząc w kącie saloniku, przechodził przez wszystkie ognie uczuć. Słowa margrabiego zmroziły w nim z początku te zapęły, jakie budzić się w nim zaczęły dla nowego prądu, lecz gdy usłyszał wyraźnie, jasno sformułowane *ultimatum* Waszewicza, a potem ów program szeroki obchodu, w którym nie jednostki, nie grupa ludzi, ale naród cały miał przytomnością swoją usankcjonować warunki układu, gdy wreszcie zobaczył, z jaką gotowością, z jaką dobrą wolą ludzie ci fortuny całe składali w imię dobra ogółu, uczuł w sobie wiarę i nadzieję w dobroć sprawy.

Zimna krew, przytomność, zdawanie sobie sprawy ze wszystkiego, z doniosłości stawianego kroku, zelektryzowały go. Tak, ludzie ci wiedzą, czego chcą, do czego zmierzają. Czyny zamiast frazesów, rozważa, żadnych uniesień! Tylko w ten sposób można dziś osiągnąć zamiarów, tylko taką bronią walczyć i zwyciężać. Poszanowanie języka, historii, religii... samorząd! Czyż to nie wielki rezultat? Czy godzi się za-

niechać go? Czy wolno rzucić kamieniem na ten świetny program! W rezultacie — nie było nawet kompromisu! Język państwowy, podatek... istnieją oddawna... więc za nic... można otrzymać aż tyle!...

Lecz nie tylko Wiesława porwały plany Waszewicza. Każdy z zebranych na swój sposób odczuwał doniosłość chwili.

Mécenasowi Przyborskiemu majaczyła się nieokreślona jakaś władza, która, przy mogącej nastąpić reorganizacji, stanie się jego udziałem. Ordynatowi Turajskiemu roił się mundur kamerjunkra, Emer myślał o orderze, bankierom śniły się wielkie koncesje, ziemianom urzędy marszałków szlachty, Bergszmidt wspominał, iż brakło mu tytułu, Dziunio także spodziewał się korzyści, choć sam nie wiedział, jakich.

Jeżeli różne były uczucia wśród zebranych, za to wynik ich był jeden. Harmonia zapanowała zupełna — dobro kraju, dobro społeczeństwa rozstrzygało co chwila każdą zawilość.

W ciągu kilku godzin niespełna, ludzie ci, przeprowadzili olbrzymią organizację, bo zahaczającą nie o setki, nie o tysiące, ale o miliony!

Północ wybiła, zanim się rozeszli. Ziemiecki chciał iść za innymi, lecz Waszewicz go zatrzymał.

— Czekajże! Pójdziemy... na piwo! Jeść mi się chce! W domu śpią, bo ja tam z babami krótko. Trzymam je pod kluczem i basta! No, a na przyjmowanie takich potentatów mnie nie stać! Wyjdziemy razem tu, niedaleko, w aleję!...

Waszewicz narucił na ramiona sak, zadzwonił na służącą, kazał jej światło pogasić i wyszedł z Wie-

slawem. Do restauracyi doszli w milczeniu. Dopiero, gdy profesor, jako tako pierwszy apetyt zaspokoil, zagadnął Wiesława.

— No!? Wieś!? Gadać... cóż!?

— Świetny program!

— A co? Prawda! Widzisz, przekonałeś się teraz!

— Bez wątpienia, lecz panie profesorze...

— Nie ma żadnego... „lecz“... Wszystko na dłoni. Jasno sformułowane! Żadnych złudzeń, żadnych unieień. Zabieramy się do pracy z całą świadomością celów, z taką świadomością, z jaką może Polacy nigdy nie pracowali... Mało to jest, nie wiele. Co robić! Rzeczy trzeba brać na trzeźwo i powoli zaczynać... Przytem, kto wie, stosunki mogą tak się ułożyć, że nastąpi zupełne pojednanie z Rosyą... Bardzo możliwe!...

— Czyż aby pewne, że ustępstwa, których żądać będziemy, zostaną nam przyznane?

— Czy pewne? Dzieciuch jesteś! Słyszałeś przecież... —to, proszę ciebie, są warunki *sine qua non* — *aut aut!* Warunki te, jeżeli już chcesz wiedzieć prawdę, są znane w Petersburgu, przedstawione i półurzędownie stwierdzone!

Nareszcie, są to punkta słusznych żądań i nie więcej. Między Rosyanami także nie brak ludzi uczciwych, porządnych. Duch Loris-Melikowa wziął znów górę... partya postępową, partya światła wysuwa się na plan pierwszy. Dalej sam rozsadek poucza, że niepodobna dwudziestu milionów ani powiesić, ani rozstrzelać, ani zmusić ich do tego, żeby zapomnieli

Proszę polecić na str. 288

o własnej historii i języku! Krok pojednawczy musiał nastąpić!

— A margrabia jaką rolę?

— Pierwszorzędną! — przerwał, uprzedzając pytanie profesor. — Niech sobie co chcą o nim mówią — to człowiek konsekwentny. Dworak może, czasem nieco krańcowy w swej lojalności, lecz to go trzyma, bo mu nie daje sympatyj między Polakami, ale go wzmacnia w Petersburgu i daje mu głos! W naszym obozie jest figurą najpierwszą, bo łączy nas niejako z władzami rosyjskimi. Rozumiesz, że przecież minister nie może traktować z profesorem Waszewiczem!... Ani z mecenasem Przyborskim! My dopiero jesteśmy sprężynami ruchu! Ruchu, który z czasem wysunie na czoło swoją reprezentację narodową! No — jakże?! Cóż powiesz?!

— Mam być szczerym?

— O to mi idzie!

— Jestem... porwany, oszołomiony!

— Aha! Widzisz! Daj pyska! Podwójnie się cieszę, że się na tobie nie zawiódł. Miałem cię zawsze za prawego chłopca — widzę, żeś się nie zmienił. Powiadam ci — stu naszych współdziałaczy nie ucieszyło by mnie tak. W tobie witam młodzież. Jej nam brakło, jej się bałem... a teraz napelnia mnie otucha i już niezachwiana wiara. Społeczeństwo dojrzało! Lata walki stuletniej wyleczyły je z wielu, wielu przywar. Krok, jaki uczynimy, to powiadam ci jest głęboko polityczny, a nieobliczony w skutkach.

— Istotnie!...

— Czekaj! Ja ci to uprzytomnię! Uważasz, weź pod uwagę przeszłość, historię, a znajdziesz w niej tysiączne przykłady i uciemnienia i wynarodowienia, no, czego chcesz tylko! Taż sama Rosya przez dwieście lat znosiła jarzmo mongołów i najsroższą, jaką możesz sobie tylko wyobrazić niewolę. I w końcu zdołała się wyzwolić. Inne to były czasy, lecz i inne warunki. Ale nie o tem chcę mówić, Weź dzieje starożytne. Zastanów się nad historią Grecyi. Czy nie uderzyło cię nigdy pytanie, dlaczego dwa bratnie narody Spartanów i Ateńczyków trawiły się nieustannie i szarpały. Otóż, dziejopis przyszły powie tak samo o narodzie słowiańskim, uważasz, słowiańskim! — wszczęła się zażarta walka o hegemonię. Zwyciężyli Rosyanie, to jest Sparta — ale Ateny długo trzymały hegemonię, światła, wiedzy, nauk, kultury słowiańskiej. Rozumiesz? W tem miejscu, gdybyśmy kroku naprzód nie zrobili ku Rosyi, dziejopis byłby zmuszony dodać, ale Polacy, zrywając się ciągle do bojów o hegemonię creża — zaniedbali kulturę i powoli i drugą palmę pierwszeństwa dali sobie wydrzeć. Tak, mój Wiesiu, niestety, myśmy byli temu bliżej. Prawda, Rosya dotąd wszelkimi siłami tamowała nam rozwój intelektualny, starała się nas odsunąć od szkoły, od uniwersytetu, od książki, zamykała nam drogi do rozwoju umysłowego i może dlatego obudzili w nas szacunek dla światła, może dlatego pożądać zaczęliśmy owoców zakazanego z tem większym zapalem.

Tylko mimo wszystkiego, mimo maksymy, że gwałt każdy pobudza do oporu... walka była dla nas groźną. Siły były nie równe. Dziś... Wyobraź sobie

tylko skutki tych drobnych, napozór, ustępstw, żądanych od Rosyi. Zniesienie procentowych ograniczeń. Przed młodzieżą szkoły otwarte, posady, stanowiska, wpływ z każdym dniem rośnie, wrodzona nam, Polakom, łatwość obocowania z ludźmi, towarzyskość, uprzejmość, delikatność... podziela na rosyjskie masy silniej jeszcze. Musi nam zjednać je, opanować. Teraz samorząd ziemski i miejski. Więc podniesienie rolnictwa, uregulowanie i załagodzenie ryczałtowe niemal wszelkich niesnasek, wszelkich nieufności, panujących między dworem a chatą, rozwój miast, wymiar sprawiedliwości szybki a liczący się z moralnymi względami, uruchomienie tych olbrzymich kapitałów naszych, które dotąd leżą bezsilne, senne dlatego, że tak się podoba pierwszemu lepsze referentowi. Co tu mówić długo... To jest rozwój dopiero. To jest byt... Byt lepszy dla nas od samoistnego bytu politycznego. Dziwi cię to?! Powiedz, że to parodoks! Człowieku! Wyobraź sobie tylko! Przypuśćmy jutro, za tydzień, zbiera się komitet ministrów w Petersburgu i mówi sobie: Na co nam ten ciągły kłopot z Królestwem, na co nam te ciągle awantury?! Dajmy im te dziesięć gubernij i niech się rządzą sami! My o nich nie wiedzieć nie chcemy! Władze się usuwają i... zamykają nam granice na wschodzie. I cóż?... Hałasy... śpiewy, zabawa na kilka miesięcy a potem upadek ekonomiczny, nędza prawie! Towary nie mają zbytu... Wywieźć ich nie ma gdzie a sami sobie wystarczyć nie potrafimy jeszcze...

Głód zmusza nas do rozpoczęcia kroków wojennych dla rozszerzenia granic i odzyskania reszty czę-

ści polski. Walka znów nierówna. Bohaterstwo i znów upadek. Czyli wychodzi na to, że, aby myśleć, o czemś większem, najpierw musimy się rozwinąć w małym światku, wzmocnić, przytyć, a dopiero o samodzielności marzyć! No, Wiesiu, więc... interes z nami skończony. Powiedziałem moje warunki i... koniec. Zgoda?

— Zgoda!... Może pan profesor na mnie liczyć, jak tylko nowa redakcyja się...

— Te — te! Co ci w głowie! Toż byłaby dla mnie wielka pociecha! Do gotowego byś chciał przyjść!... Na nie! Angażuję cię odrazu!...

— Więc od kiedy...

— Od zaraz! Od dziś!... Ludzi potrzeba na gwałt! Nie ma czasu na mitregi.

— Za pozwoleniem. Lecz w tej chwili, nie rozumiem, w czem mógłbym dopomódz panu profesorowi?

— W czem? We wszystkim! Mój kochany, czeka nas wściekła praca! Roboty huk! Odezwy, cyrkulacje, składki, posiedzenia, przedstawienia, no, i agitacja! Przecież tu nie idzie o sto, ani o dwieście osób, tylko o akt całego narodu, akt wielkiej wagi i doniosłości... akt, któremu cesarz ma być przytomnym, który dla odebrania go, wysłuchania sam... zjeżdża, który czeka na niego... daje nam donń sposobność! Naród poruszyć, to nielada zadanie — tu i pióra trzeba wytrawnego i wymowy i licho wie czego!...

— Czy tylko ja?...

— Bądź spokojnym! Byleś chciał pracować — a moją rzeczą już będzie, abyś się stał użytecznym. Zatem do jutra.

— A *Dzień*?

— *Dzień!*? Napisz do redaktora słów parę, że masz lepsze widoki i koniec. Z tem nie masz sobie co robić ceremonij. To nawet taki zwyczaj w warszawskiej prasie: Dziś tu jestem — jutro tam i już! Nawet nie masz go obowiązku objaśniać, co z sobą robić zamierzasz. Po co? Dowiedzą się we właściwym czasie, a teraz twoje ustąpienie dałoby powód do niepotrzebnych uwag!... Ja ich znam. Najlepsi może patryoci, ale ciemni, zaślepieni, więcej szkody, niż pożytku swemu społeczeństwu przynoszą! Lepiej od nich zdaleka! No!... Wiesiu! Jutro do mnie rano, na stanowisko! Zapoznam cię bliżej z tem i owem, wtajemniczę i do roboty!

A za miesiąc, dwa, trzy, będziemy mieli swój własny organ. Wówczas wejdiesz do niego, a raczej... założymy go razem!

II.

Wiesław z całym oddaniem się już dnia następnego zabrał się do pracy. Waszewicz zapoznał go z całą potężną machiną agitacyjną i zakulisowemi czynnościami partyi. Ziemęcki z trwogą wewnętrzną słuchał zwierzeń i objaśnień Waszewicza. Z trwogą, wiedział bowiem, że najszlachetniejsze dążenia mają nieraz przykrą, odwrotną stronę medalu... Lecz, o dziwo, tu i ta strona nie pozostawiała nic do życzenia.

Fundusze były obfite, złożone dobrowolnie przez kilku milionerów warszawskich bezimiennie prawie! Korespondencya z kilku osobistościami w Petersburgu otwarta, szczerą, nieobludną. Plan cały spokojnie, jasno nakreślony, bez dwuznaczników, bez omówień, bez domyslników!...

Wszystko przechodziło najśmielsze oczekiwania Wiesława. Reszta skrupułów, jakie na dnie serca Ziemęckiego tlały jeszcze tuż obok wspomnienia o Stefcie, wygasły nagle. Ziemęcki wpadł w wir i dał mu się unieść, porwać. Partya ugodowa pozyskała w nim dzielną siłę, znakomitego agitatora, duszą i ciałem oddanego stronnika. Wiesław był owym czynnikiem,

od którego musiały się odbić wszystkie zarzuty przeciwników. Młody, więc nie działający pod wpływem starszych refleksyj, pochodzenia skromnego, więc nie ubiegający się o dworskie zaszczyty, nieposzlakowanego charakteru, przeto wolny od zarzutów przewrotności czy karyerowiczowskich zakusów.

Ziemęcki stanął do walki, a walka to była nielada. Mimo z każdym dniem wzrastającej liczby zwolenników ugody, mimo łagodnych rządów Imeretyńskiego... co krok, niby mary, wychylały się postacie zawzięte, ponuro patrzące lub ironicznie uśmiechnięte, co chwila padały półsłówka szydrecze, nieufne, pesymistyczne.

Ziemęcki rzucał się w odmęty życia warszawskiego, docierał do najskrajniejszych środowisk, nie wahał się stawać między tymi, dla których kolor czerwony był jedynym wyrazem przekonań politycznych. I jako wierny uczeń, ani razu się przekonań swych nie zaparł.

Spokojny, nieugięty, zimny w dyspacie, zwyciężał czasem jednym pytaniem, jednym wyrazem.

Waszewicz ręce zacierał z ukontentowania i ścisnął Wiesława. Nawet margrabia sam raczył na Ziemęckiego zwrócić uwagę i zapewnił go uroczyście, że przed nim jest przyszłość, że zająć może daleko.

Wiesław pospieszył odpowiedzieć margrabiemu, iż to, co czyni — czyni nie dla zasługi osobistej, nie dla nagrody, lecz dla głębokiego przekonania, dla wiary niezachwianej w dobroć sprawy.

Wielopolski mile przyjął te słowa i ścisnął Ziemęckiego za rękę.

— Rozumiem — rzekł — aby takich było najwięcej. Możesz pan liczyć na mnie. Praca, nie dla nagrody podjęta, tem lepiej musi być nagrodzoną.

Ziemęcki chciał coś jeszcze odpowiedzieć margrabiemu, lecz Wielopolski nie miał czasu go słuchać.

Nie brakło Wiesławowi i goryczy i rozczarowań. Nie zrażały go one, nie przypisywał im wielkiego znaczenia, atoli dokuczały mu.

Jedną z najbardziej dokuczliwych okoliczności, był jeden ze współdziałaczy partyi, Czesław a popularnie Cześ Rzązewski, niegdyś kolega szkolny Wiesława, a uczeń Waszewicza.

Rzązewski, syn senatora, był figurą, która irytowała Ziemęckiego, która dawała mu wiele do myślenia, która budziła w nim niechęć.

Cześ przedewszystkiem faktycznie był tylko synem senatora; senatora dosyć niewyraźnej działalności, ile że największa suma wszystkich zaszczytów i orderów spadła nań zaraz po roku 1863. Senator miał naturalnie emeryturę, lecz stary, zwyrodniały sybaryta lubiał życie zbyt kowne, nie odmawiał sobie niczego, więc syn musiał pamiętać o sobie. Jakoż żył także, żył szeroko, nie liczył się ze sturubłówkami, ale z czego żył, trudno było określić.

Rzązewskiego polecił Ziemęckiemu Waszewicz, nadmieniając, że pomimo usterek pewnych, była to siła pożądana wielce i nieoceniona.

Wiesław od samego początku nie mógł się oprzeć pewnej nieufności względem Rzązewskiego. Im bardziej ostatni był wylanym, serdecznym, tem Wiesław zamykał się w sobie, unikał go.

Rzązewski nie zdawał się na to zwracać uwagi i na chwilę nie stracił zwykłej mu swobody i żartobliwości, przytem nie zaniechał się wywnętrzać przy każdej sposobności i zwierzać się. Te zwierzenia właśnie najbardziej dokuczały Ziemęckiemu.

Cześ bywał w „świecie“ a najczęściej obracał się między Rosyanami. Nie było figury rosyjskiej w Warszawie, której by Rzązewski nie znał z imienia i „otczestwa“, z którą by nie pił, u której by nie bywał. Znał wszystkie ambicijki rosyjskich działaczy, wiedział kto kogo popiera, kto ma „plecy“, na czem jego Achillesowa pięta polega, co znaczy w Petersburgu, a co w Warszawie. O tym, lub owym lubił powtarzać, że „poeziwy“ Iwan Iwanowicz, lub „zacny“ Wisarjon Lwowicz ma już „Włodzimierza“ drugiej klasy, lub dostanie „Anne“ na szyję... Dnia nie było w życiu Rzązewskiego, żeby nie miał w notatniku kilku wizyt, lub kilku solenizantów.

Żaden obiad w klubie rosyjskim, żadna oficjalna uroczystość nie odbyła się bez Czesia. Niekiedy aż Rosyanie w głowę zachodzili, skąd w ścisłem ich gronie, tak prawomyślnem, a tak prawosławnem wziąć się mogła pyzata, pogodna zawsze twarz „Czesława Josipowicza“. Lecz powoli zdziwienie to ustało. Przyzwyczaili się do Rzązewskiego, który w rezultacie miał dla nich pod ręką i bilet wizytowy rosyjski i cygaro dobre i komplement i ani razu nie skaził rosyjskiego akcentu.

W dni galowe Cześ przywdziewał wspaniały, szyty bogatymi haftami, mundur oficjalny, czem do szacunku zmuszał nietylko pachołków policyjnych, ale

i legiony naiwnych. Złośliwi, czy świadomi, utrzymywali, że był to mundur, do którego ma prawo każdy. kto złoży na jakiś „priut“ cesarski w Petersburgu jednorazową ofiarę — pięćset rubli. Ale, Cześ nie wiele sobie robił z tych uwag i zarówno do zamku w nim jeździł, jak i do cerkwi na „galowe przedstawienie z ojcem Hieronimem“, jak lubił powtarzać.

W polskich kołach towarzyskich pokazywał się rzadko. W rozmowach prowadzonych lubił mówić często po imieniu o całej prawie arystokracji polskiej, na przykład: — „droga pani Konstantowa!“ — „pan Michał z Nieborowa... ba!“ — „pan Ludwik ze Stodyni, nasz prezes kochany kredytowego Towarzystwa!“

Nadto, przy okazji, potrafił za jednym zamachem tak szybko wyprowadzić rodowód Rządewskich, iż ani jednego nazwiska w rodzaju Radziwiłł, Sapieha, Zamoyski, Branicki, Potocki, Sanguszek, Lubomirski nie zabrakło. Przyczem, Cześ tak znakomicie umiał genealogią swoją manipulować, że w razie potrzeby hrabina Kutuzów stawiała się jego daleką ciotką lub graf Dołgorukij więcej niż powinowatym.

Wszystko to odstręczało Wiesława od Rządewskiego. Znosił go długo, w końcu bez ogródek zwierzył się ze swoich niechęci profesorowi.

Waszewicz pokiwał głową na znak zgody, lecz rzekł po namyśle:

— Mój Wiesiu, ja się co do niego nie łudzę!... Lecz jest on nam potrzebnym! Ma czasem wiadomości kolosalne, nieocenione!... Jest to nasze ucho. Mając Rządewskiego, wiemy o wszystkim, co się

dzieje w obozie rosyjskim! A są to rzeczy dla nas pierwszorzędnej wagi... Wiedz o tem doskonale, że im się ten zwrot w naszej polityce nie podoba. Ugoda grozi im utraceniem złotodajnych posad, ugoda może odebrać im przywileje, ugoda spycha ich odrazu na drugi plan.

Z wyjątkiem szczupłej jeszcze garstki figur Ime-
retyńskiego — trzeba ich się strzedz. Oni nam pierwsi są gotowi popsuć szyki, pokrzyżować plany...

Rządewski ich pilnuje — sam nawet o tem nie wiedząc.

Tam paple i tu paple. Lecz tam powtarza to... co my chcemy, a tu mówi wszystko, czego oni nawet sobie nie życzą! Nie trzeba go tylko brać na seryo — jest to sobie... głupi człowiek po prostu! I za głupi, aby być złym lub szkodliwym!...

— Lecz nas kompromituje!... Cała jego sytycya dwuznaczna... Dochody podejrzan!

Waszewicz uśmiechnął się pobłażliwie.

— Podejrzan?! Et! Powiedz nie ciekawe... ale on sam się z nimi nie ukrywa! Wierz mi, dobrze go wymacałem i znam go na wylot. Powiem ci już całą prawdę — jest to typowy łapownik w najmniej skomplikowanym znaczeniu?!

— Łapownik?

— Nie wiedziałeś o tem? A chciałeś go już sądzić! Rządewski po ciehu zajmuje się rozmaitymi interesami, wyrabia drobne koncesyjki, przeprowadza rozmaite sprawy, ułatwia... stosunek ze sferami rządowymi, faktoruje posady, no i tak dalej. Oczywiście, za dobre słowo, tego... nie robi! Stąd też widzisz go

ciągle lawirującego między Rosyanami... W tym kierunku ma swój spryt! Umie trafić wszędzie. Sam zarabia, no i moskalom daje zarabiać... Co chcesz! W obecnej naszej sytuacji i taki jest potrzebny! Bardzo potrzebny... Ileż razy człowiek gotówby zapłacić za niejedno, okupić się, a tu niewiadomo jak! Rosyanie go protegują... bo znów oni nie potrzebują wchodzić z interesantami swoimi w stosunki... Cześć załatwi wszystko.

— Więc i u nas jest tylko płatnym...

— A! — przerwał Waszewicz. — Znów go nie odsądzaj od czci i wiary! Ani mowy o tem nie ma! Służ nam zupełnie honorowo... co mu nie przeszkadza mieć swego własnego, ukrytego interesu.

— Interesu?

— Ach! źle się wyraziłem! Po prostu, Cześć chce się zasłużyć! I to nie dobrze! Chce... wpoić przekonanie w nowe figury księcia, że on coś znaczy, że jest istotnie czemś w naszym społeczeństwie! A po za tem, ma niekłamano ambicję zostania kamerjunkrem! Nie nadto! Za tę problematyczną zapłatę, służy nam, czem może!

— A nie obawia się profesor, że taki jegomość może rzucić na nas cień, może nas skompromitować?

— Przed kim? Czesia zna całe miasto i ocenia go należycie...

— Choćby... lecz on może naszego imienia używać... może się niem zasłaniać...

— Bajki! Spytaj się, czyjego imienia już nie nadużył! Nieszkodliwy typ, a dla nas niezastąpiony!

Wobec tak stanowczego oświadczenia Waszewicza, Ziemecki musiał uleść. Był to zresztą jedyny ciemny punkt na horyzoncie ugody — wszystko po za tem szło jak najlepiej.

Prace komitetu postępowały szybkim krokiem, szczegóły przyjęcia cesarza przechodziły wszelkie oczekiwania. Ministerstwo dworu aprobowало każdą uchwałę. Imeretyński, nie tylko nie tamował, nie ograniczał najśmielszych projektów, lecz owszem zgadzał się na nie, popierał je. Listy składek o zebranie funduszu, rozrzucone w setkach tysięcy egzemplarzy po całym kraju, według nadechodzących wiadomości, wypełniły się szybko. Ofiary w ciągu kilku tygodni dochodziły do miliona.

Mecenas Przyborski wypowiedział z tego powodu piękną mowę na zebraniu u ordynata Turajskiego, na temat dojrzałości społeczeństwa polskiego, „które zahartowało się na stal w ogniu stuletnich nieszczęść, które za jednym uderzeniem w struny dobra publicznego, odpowiada jednym harmonijnym dźwiękiem. Wystarczyło zawołanie, aby deszcz ofiar spłynął na budowę pomnika wieszczowi, wystarczyła odezwa obywateli i znów sypią się ofiary — nikt nie chce być ostatnim! Każdy rozumie jak wielki czyn spełnić mu przychodzi“.

Książe Imeretyński liczył się z „komitetem obywatelskim“, gościł go u siebie i chętnie wdawał się w rozprawy z pojeńczymi członkami o tem, co i jak mogłoby sprzyjać rozwojowi „kraju“. Książe Imeretyński przymiotnik „prywiślińskawo“ opuszczał delikatnie.

Naturalnie, każda taka rozmowa była powtarzana, niekiedy z drobnymi opuszczeniami... na posiedzeniu komitetu, a stąd już wędrowała na miasto i rozchodziła się po całej Kongresówce. I naraz cały polski zabór rosyjski jął zwiastować sobie wielkie nowiny i w przyjaznem skupieniu czekać na petersburskie łaski.

W Warszawie tymczasem, obok figury księcia Imeretyńskiego, jęła się coraz częściej ukazywać chuda, niepozorna postać mężczyzny, w czarnym tuzurku, o krótko przyszytych, rudawej brodzie, często zgięta, mówiąca cicho zazwyczaj, jakby niepewnie. Z początku nie wiele na nią zwracano uwagi. Gdy kto o nią zapytywał — odbierał krótką odpowiedź: „to... Jaczewski, urzędnik kancelaryi general-gubernatora... mała osobistość“.

Ale „mała osobistość“ zaczęła prawie nieodstępnie towarzyszyć księciu, asystowała mu na wszystkich zebraniach, przyjęciach, zamieszkała wreszcie obok Imeretyńskiego w pokojach belwederskiego pałacu i stała się cieniem wielkorządcy.

Jaczewski w jednej chwili zwrócił uwagę wszystkich. Rosyanie z niechęcią i zawiścią spoglądali na niespodziewanie wyrosłego faworyta, kłaniając mu się w oczy nisko i przypochlebiając. Polacy z ciekawością jęli o przeszłość ulubieńca dopytywać.

Wieści były skąpe. Michał Edwardowicz... Jaczewski był wychowancem uniwersytetu warszawskiego i korepetytorem synów... Hurki. Po skończeniu prawa wstąpił na służbę do kancelaryi general-gubernatora warszawskiego, jako urzędnik do szczegó-

nych poruczeń. W dwa lata nie zdążywszy jeszcze minąć najniższej rangi, do której dawał mu prawo stopień wykształcenia, wyrósł na pana... życia i śmierci za potężnymi plecami księcia.

O Jaczewskim nie mówiono źle. Z urodzenia i nazwiska był... Polakiem — ba i nawet niedalekim krewnym Jaczewskiego, biskupa wileńskiego. Matkę miał Rosyankę. Ojciec umarł młodo. Popi z matką potrafili weń wpoić głęboko rosyjskość. Tyle mówiła fama. Nadto Jaczewski był nieznanym ani z usposobienia, ani z charakteru. Rosyanie chcieli widzieć w nim karyerowicza, Polacy skrajni „perekińczyka“... a Jaczewski pełnił cicho, bez wrzawy służbę książęcego satelity.

Wiesław, który powoli objął cały sekretaryat „komitetu obywatelskiego“, niejednokrotnie miał sposobność stykania się z Jaczewskim i musiał mu przyznać, że był człowiekiem gładkim nadzwyczaj i europejskim zupełnie.

Maj i połowa czerwca zeszła na pracowniawczej. Jednym z głównych punktów było pobudowanie pięciu bram tryumfalnych na drodze przejazdu cesarskiego szlakami polskie. Najprzedniejsi architekci zówkami komitetu, nakreślili wspaniałe motywy swojskich, wierno-poddańczyków. Komitet je przyjął bez wahania. o załatwienie formalności u księcia. Del tego Wiesława — księżę ze swej strony Jaczewskiego...

Nazajutrz, po sesyi komitetu, Ziemecki zajechał z planami przed Belweder, przejęty ważnością misyi i zaciekawiony równocześnie siedzibą wielkorządcy Królestwa w chwili jego pobytu.

Sądząc, iż urzędnik do szczególnych poruczeń zajmować musi jakiś apartamencik w oficynach, zagadnął o niego przechodzącego przez szerokie podwórze kamerlokaja, lecz ten objaśnił go, że jego „*wysokoblagerodie*“... mieszka w pawilonie środkowym.

Nie bez drżenia pewnego wstąpił Wiesław na główne schody podjazdu, minął salutujących go, a ukrytych za filarami szyldwachów i wszedł do obszernego westibulu, pełnego wyprostowanych ordynansów — czerkiesów i lokai w dworskiej liberyi.

Na pierwszą wiadomość, że przychodzi do urzędnika do szczególnych poruczeń, Jaczewskiego — karna czereda rozstąpiła się przed Wiesławem, a kamerdyner poprowadził go szerokim kurytarzem w głębi, na lewo, do małego gabinetu i tam, poprosiwszy o bilet wizytowy oddalił się.

przez czas jakiś pozostał sam. Rozejrzawszy dokoła, lecz gabinet nie prezentował niczego, zakrawając nieco na pokój gościnny a. Biurko szerokie, nieskazitelne okryte dywanem, z przyborem do pisania, kilka foteli, dywan, chodnik szeroki na podłodze i porcelanowe, ciężkie, niegustowne, stanowiły całość.

Wreszta ani książki, ani skrawka papieru, ani popiołu z cygara, ani czegośkolwiek, co mogło przypuszczać, że w pokoju tym ktoś

przesiaduje, ktoś mieszka. Gabinet nadto niczem nie zdradzał, że się mieści bądź co bądź w cesarskim pałacu. Gdyby nie wielkie podwórze, zalane potokami światła, odgródzone wysokimi sztachetami, gdyby nie snujące się figury wojskowe, a wyzłoceni i wyzierwieni lokaje — Wiesławowi zdawałoby się, że jest w prywatnem mieszkaniu, u kogoś, co się dopiero wprowadził, a nie zdążył jeszcze roztasować.

Po chwili wszedł Jaczewski, zamienił kilka przedwstępnych słów z Ziemeckim, poprosił go siedzieć i jał przeglądać plany, zatrzymując się na każdym szczególe. W końcu uśmiechnął się smutnie i rzekł z grymasem pewnym... czystą polszczyzną...

— Ach! Doprawdy... panowie nie trzymacie się wskazówek!... Za szybko, za prędko posuwacie się!... Stawia mnie to w bardzo przykrem położeniu!

— Czyżby pan uważał? — zagadnął niespokojnie Wiesław.

— Ach — ja!? O tem nie mówimy! Tyle pracy, tyle roboty! Znakomicie wykonane rysunki i teraz... Przestrzegałem pana Przyborskiego!

— Więc plany...

— Nie wiem! Sam nie wiem. Niby wszystko, jak należy... a tak nie można, niepodobna! Po temu są wskazówki! Pan pozwoli... pójdę pokazać księciu... Lecz wątpię! Zmartwi się tylko...

Jaczewski skłonił się wyszedł z gabinetu.

Ziemecki, zaskoczony niespodziewaną opozycją, zaledwie zdołał myśli zebrać, aby się zastanowić, co mogło nie podobać się urzędnikowi do poszczegół-

nych poruczeń, gdy ten powrócił już zaaferowany z wielkim ołówkiem kolorowym w ręku.

— Widzi pan — odezwał się Jaczewski tonem przyjacielskiego napomnienia. — Od razu powiedziałem. Tak, tak jest, niestety! Panom się zdaje, że książę... Ba! *Jewo światłość*... radby wam wszystko, lecz są rzeczy niepodobne w tej chwili... niemożliwe!

— Co, mianowicie, uważa pan?...

— Co? Bardzo wiele! Tyle pracy! Szkoda mi kreślić roboty! Jak pan uważa? Może lepiej wynotować uwagi oddzielnie? Chociaż tak będzie praktyczniej. A, niestety, rysunki te trzeba będzie przerobić. Więc proszę, niech się pan przysunie. Zaczniemy od wjazdu na most... Pomyśl artystyczny prawdziwie... ale ten napis „Boże cesarza chron“... trzeba albo zmienić, albo skasować...

Wiesław spojrział zdziwiony na Jaczewskiego.

— Ten... ten napis... jest niedopuszczalny?!

— Bezwarunkowo — przytwierdził urzędnik do poszczególnych poruczeń.

— Ależ to pierwsze słowa hymnu...

— Dziękuję za objaśnienie. Wiem o tem... tylko brzmią inaczej.

— Daruje pan, lecz nie rozumiem.

Jaczewski skrzywił się.

— Przecież to takie jasne... Hymn nie może być tłumaczony, więc mogliby panowie tylko napisać: „*Boże carja chroni*“... po rosyjsku... Książę atoli nie wymaga!... Pozostawia zupełną swobodę, tylko na ten napis zezwolić nie może... Idźmy dalej! Brama druga

przemysłu i rzemiosł... bardzo dobrze. Ale znów: „Niech żyje cesarz i król!“... Ja wiem, panowie to z czystego serca, a tymczasem moglibyście urazić monarchę...

— Przepraszam, czyż najjaśniejszy pan nie jest cesarzem wszechrosyjskim i królem polskim? Wszystkie akty urzędowe są tymi tytułami znaczone...

— Lecz wszystkie apostrofy do monarchy muszą być wyrażane w języku urzędowym... przyczem język ten ma utarte w tej mierze formuły. Jeżeli zatem komitet chciałby okrzyk powitalny umieścić na bramie... proponuję piękne wezwanie „*Mnogija lieta!*“

Wiesław nie mógł się powstrzymać od żywego protestu.

— Panie... komitet musi się liczyć z ludem... w pracach jego nie powinno być nic, coby najskrajniejszym mogło dać powód...

— Dlatego też książę dał panom zupełną swobodę...

— Ach tak! Jeżeli jednak nie pozwala...

— Pan jesteś porywczy! — przerwał Jaczewski. — Książę zezwala na wszystko, na co zezwolić może... Ceremoniał przyjęć cesarskich ma swoje ustalone, wiekami uświęcone prawa... A panowie na przykład, nad festonami bramy obywatelskiej umieszczacie olbrzymią koronę, nie przypominającą niczem korony cesarskiej... Krzyż na niej jest nie... prawosławny. Orły państwowe po środku mają orła polskiego... Jest to skutkiem małej nieświadomości... Ukaz cesarza Aleksandra trzeciego przeniósł go na lewe skrzydło i zrównał w wielkości z herbami Finlandyi, Mo-

skwy, Kijowa, księstw nadbałtyckich i innych ziem państwa. Dalej kolory białe z amarantowym harmonizują się bardzo pięknie ale w połączeniu ze sobą użytymi być nie mogą... Najstosowniej byłoby użyć kolorów państwowych! Następnie monogramy *I. M.* czy *A. T.* są niewłaściwe. Najjaśniejszy ma na imię... „*Nikołaj*“, a cesarzowa przybrała *otczestwo* „*Feodora*“... przychem panowie zapomnieli i tu o alfabecie języka państwowego. Tak, a zresztą to... wszystko inne jest w zupełnym porządku! Książę najchętniej zatwierdzi.

Po zupełnem, a gruntownem zmodyfikowaniu wszystkich planów — zauważył sarkastycznie Ziemęcki.

Jaczeński spojrział nań przenikliwie i powtórzył znów z naciskiem:

— Pan jesteś bardzo porywczy!

— Bynajmniej! — odparł z mocą Wiesław, podnosząc się z miejsca. — Tylko nie przypuszczałem, że może spotkać nas ograniczenie tam, gdzie idzie o wyrażenie uczuć wiernopoddańczych. Pan pozwoli być szczerem?

— Proszę o to!

— Uroczystości, przygotowywane przez komitet obywatelski, mają cel dwojaki, bo z jednej strony wyjawić najjaśniejszemu panu uczucia... z drugiej oddziaływać na tę część narodu polskiego, która waha się... którą pragną odciągnąć od zaufania w łaskawość Jego cesarskiej mości... Te napisy polskie podziałyby silniej, niż cała skomplikowana agitacja, bo równocześnie... uczyłyby, że na drodze legalnego rozwoju...

— Jaki jeszcze inny rozwój pan widzi? — zagadnął z nienacka Jaczeński.

Ziemęcki zmieszał się, lecz odrzekł bez wahania: — Może to nie rozwój, lecz wiernopoddańczość w Królestwie pozostawiała wiele do życzenia.

— Mniej, niż się panu zdaje. Wszyscy byli i są wiernopoddanymi. Czuwa nad tem prawo.

Wiesław nie nie odrzekł. Zwinął plany i skłonił się ceremonialnie Jaczeńskiemu. Urzędnik do szczególnych poruczeń wyciągnął doń rękę przyjaźnie i ozwał się dobrodusznie:

— Ach, naturalnie, o tem możnaby dysputy prowadzić. Książę ocenia intencje panów. Sprawily mu one wielką satysfakcję i będą miały wpływ. Myśl starczy niekiedy za uczynek. Niech to panów nie zraża. To są drobiazgi, lepiej ich zupełnie unikać.

Ziemęcki chciał coś odpowiedzieć, gdy drzwi gabinetu się otworzyły. Wszedł książę Imeretyński, sztywny, z rękami zasuniętymi w kieszenie czerkieskiego kaftana. Jaczeński zerwał się i postąpił ku księciu.

— *Michail Edwardowicz* — ozwał się Imeretyński po rosyjsku, wskazując niedbale na Wiesława — oni są z komitetu?

— Tak jest, *wasza światłość* — właśnie pan Ziemęcki.

Wiesław skłonił się.

Książę pogladził swą suchą, lysą czaszkę i zapytał niespokojnie swego faworyta:

— Czy uprzedziliście ich o... mowach, o deputacjach?

Wasza światłość nie raczył...

— Trzeba ich uprzedzić! Potem tylko niepotrzebne rozprawy. Więc panie... jakże?...

— Ziemęcki! — pomógł Jaczewski.

— Aha! panie *Ziemęckij*, proszę o tem uprzedzić pana *Przyborskawo* i cały komitet, że *gosudar* przy tych bramach nigdzie się zatrzymywać nie będzie, ani żadnych deputatów przyjmować, taka jest wiadomość od pana ministra dworu. Uprzedzam, bo gotowi mowy szykować! Tam pewnie w pałacu deputacya, co innego, ale przy wjeździe nie zupełnie. To proszę powiedzieć! Wy to rozumiecie, Michale Edwardowicz, lepiej naprzód... potem ot... plany takie, rysunki, malowanki!

Jaczewski skłonił się z uznaniem dla słów księcia. Imeretyński tymczasem zmierzył badawczo Wiesława.

— Nazwisko wasze?

— Ziemęcki — podszepnął znów urzędnik do szczególnych poruczeń.

— Ziemęckij? Ze szlachty?

— Tak jest — odrzekł Wiesław.

— Wy, młody człowieku, jak? Członek komitetu, pisarz?

— Sekretarz.

— Sekretarz? Bardzo dobrze! Z powołania... obywatel, kupiec...

— Dziennikarz...

— Aa... Bardzo dobrze... bardzo miło!... Michale Edwardowicz, wy oto pana *Ziemękawo* zanotujcie... zapiszcie.

Księżę kiwnął uprzejmnie głową Wiesławowi i wyszedł. Jaczewski pospieszył z wyjaśnieniem bliższem.

— Słyszał pan sam! Ministerium dworu. Trzeba uprzedzić... Taki ceremoniał dworski. Nic wyjątkowego — dla wszystkich jednakowy. Ale mogę panu powinszować... Księżę zwrócił na pana uwagę... to wiele bardzo! Kazał zanotować pańskie nazwisko. Co do tych planów jestem zawsze do usług. Jak te zmiany będą poprawione, proszę do mnie wprost... natychmiast, o każdej porze dnia. Zapowiem służbie...

Wiesław powrócił z Belwederu chmurny, zamysłony. Cała przemowa Jaczewskiego, jego tłumaczenie się, to usuwanie ryczałtowe cienia każdego, który, by polskość przypomniął — obudziła w nim nagłą niechęć, nieufność, wyziębła go.

Waszewicz wysłuchawszy uważnie relacji Wiesława o konferencji z Jaczewskim i przestrodze, udzielonej przez księcia — także był czegoś markotny. Usiłował niby Ziemęckiego przekonać, że ograniczenia te były zwykłą drobiazgowością dworską — lecz zaplątał się w dowodzeniu i umilkł, zapowiadając, że trzeba będzie bądź co bądź zwołać nadzwyczajne zebranie komitetu, lecz przedtem musi zasięgnąć zdania margrabiego.

Tego samego dnia wieczorem profesor udał się do Wielopolskiego, prosząc Wiesława, aby nań poczekał u niego w kancelaryi, mogła bowiem wypaść jakaś pilniejsza ekspedycya, a może papiery do rozesłania. Ziemęcki został, a dla rozerwania myśli, zatopił się w jakimś romansie francuskim, który był znalazł porzuconym na stole profesora.

Nie upłynęła godzina — Waszewicz wrócił wzburzony, zdenerwowany, zrzucił z siebie palto pospiesznie i przypadł szybko do Ziemięckiego.

— Wiesiu! Bój się Boga! Coś ty narobił! Jak można było! Przecież nie powinienes być zapomnieć o charakterze, o roli...

— Przepraszam, o czym pan profesor?

— O czym! — wybuchnął Waszewicz. — Pytasz się jeszcze! Nagadałeś jakichś głupstw...

— Panie!

— Tak, teraz się obraż na mnie! Właśnie pora! Więc i ja nie mam prawa zrobić ci uwagi?

— Przeciwnie! Tylko nie wiem...

— Nie wiesz! Powiem ci krótko. Jaczewski wprost oświadczył margrabiemu, że był zmuszony wysłuchać od ciebie rzeczy, które poprostu wzburyły go, że miał znaleźć w tobie człowieka, któryby zrozumiał dobre intencje jego... tyś go traktował ironicznie i okazywał mu najprostszą niewiarę.

— Ja?!

— No, przecież nie ja! Bo mnie tam nie było! Wytlómaczyłem to margrabiemu, załagodzi to, oczywiście. Ale, mój chłopcze, na miłość Boską, zimnej krwi, rozważ jak najwięcej! Każdy wyraz należy pięć, dziesięć razy zważyć, zanim go się wymówi.

— Profesorze! Daję słowo, nie powiedziałem słowa jednego nadto, coś usłyszał odemnie.

— Nie wiem! Nie wiem! Coś tam jednakże nie-ostrożnego w tem było. Oni są bardzo uważający — trudno im się dziwić. Ja ich rozumiem. Ale! Więc

miałem rozmowę z margrabią. Uważasz, tu idzie o bagatelę. Nie chcą napisów polskich — więc nie będzie żadnych. Uważasz! Dekoracye, emblematy, esyfloresy, a apostrof wcale! I powiem ci, tak będzie lepiej, wspanialej. Naród przyjmuje panującego, wita, lecz się nie korzy, nie płaszczy. Wita z uszanowaniem i z godnością, z uczuciem swej siły. Te „Boże cesarza chroń!“ czy „Niech żyje cesarz i król!“ to niepotrzebne, a co najmniej przedwczesne. Jeszcze nie nam nie zrobił takiego, abyśmy się już korzyć mieli. To nie zginie. Słowo ci daję, Wiesiu, niema tego złego, co by na dobre nie wyszło... Po głębszem zastanowieniu jestem kontent. Te napisy... mogłyby się nie podobać.

— Być może! Tylko mnie tu zastanawiają pobudki, które jednakże nawet...

— Pobudki! Pobudki! Dziwactwo, wyrafinowanie, etykiety — nic nadto! Tobie zaraz Bóg wie co przychodzi na myśl. Ale! Mam nowinę, powiadam ci wielką... Radca Martynow mianowany gubernatorem warszawskim. Zupełnie porządny Moskal. Uważasz, jakimi ludźmi otaczać się zaczyna Imeretyński. Właśnie margrabia o tem mnie powiadomił. Sekret jeszcze, lecz źródło pewne! Powoli wylecą wszyscy. Książę potrafi tę bandę hurkowską rozpędzić i wprowadzić nam urzędników uczciwych. Pozwól! Jeszcze nie koniec... Generał Brok ustępuje.

— Przyjdzie lepszy żandarm!

— Jesteś niemożliwy!... Skąd się w tobie bierze czasem ta złość?... Wylewasz ją napróżno!... Bo posada szefa żandarmów zupełnie zostaje skasowaną...

Ma być jakoby bardziej europejski porządek uprawiany. Co? Idziemy naprzód... poruszamy się! Tylko ostrożnie, bez gorączki. Bądź ostrożniejszym. Z Jacewskim trzeba się rachować! W rezultacie to nie jest zły człowiek, uczynny, przystępny — prędzej pomoże, niż zaszkodzi. Lieczę na ciebie, że jak u niego będziesz znów, to potrafiś zatuszować!...

— Ja u niego?

— Koniecznie, koniecznie! Ułożone. No, posiedzenia zwoływać nie ma co... Porozumiem się z mecenasem i te małe poprawki przeprowadzi się. Już ja sam z członkami komitetu pogadam... tu nie ma nad czym radzić...

W kilka dni później, gdy Wiesław siedział pochylony nad referatem, mającym być przedstawionym na najbliższej sesji, wpadł uśmiechnięty, rozpromieniony, jak zwykle Cześć Rzązewski.

— A, kochani moi! No, buzi! Przy robociel? Ciągle? Zawsze! Co tam nowego... co tam?

— Nie — odrzekł zimno Ziemęcki, uwalniając szybko rękę z uścisku.

— He, he! Jesteśmy nie w humorze? Złoty, kochany pan Wiesław. Może cygarko? Doskonale! Kuba! Dostałem od generała... ajakże, pocziwy *Kiril Iwanowicz* pali porządne cygara!...

— Dziękuję...

— To... papierosika! Egipski, na zamówienie!

— Palilem przed chwilą.

— Drogi pan Wiesław stanowczo nie w humorze. Zagniewany czegoś. No, przecież nie na mnie. Co? Prawda?!

Ziemęcki zagryzł wargi niecierpliwie. Rzązewski nie zdawał się wiele na to zważać.

— Jakże nasz profesor? Zdrow? Trzyma się? Ba, ba, co to do roboty jeszcze! Co to do roboty! Słyszeliście o ostatniej nowinie? Martynow przychodzi do nas na gubernatora warszawskiego... Znam doskonale! Dymitry Mikołajewicz, brat rodzony pani generałowej Komorowskiej!

— Słyszałem — urwał Wiesław.

— Proszę! Myślałem, że nie wiecie o tem?...

— Co? Imeretyński mądry! Staruszek kochliwy bardzo! Z księżną nie żyje się, co robić... Ot! A generałowa to pocziwa kobiecina, a generał, powiadam wam, zaćności! Dowódca trzeciej dywizji piechoty gwardyi! Dymitry Jegorowicz! Jesteśmy w wielkiej przyjaźni! Tak! Hm! Księżę może sobie na taką protekcyjkę pozwolić i familię popierać!...

Ziemęckiego zaintrygowały półsłówka Czesia.

— Jakto protekcyjkę? — zagadnął od niechcenia.

— Nie wiecie nic? O... generałowej Komorowskiej, o Nadziei Iwanowni! Milutka osóбка, cukiereczek, pralinka! Miam-miam! A obiadki — palce lizać! Człowieku, toście chyba spadli z księżycy! Sprawa jasna, prosta... żadnych kombinacyj! Księżę kocha generałową, generałowa jest siostrą rodzoną... Dymitra Mikołajewicza Martynowa! No! I dziwi was to, że ten zostaje gubernatorem!...

— Plotki!

— Plotki? — powtórzył z przekąsem Rzązewski. — He, he!... Cóż mam robić! A możebyśmy tak staruszką schwytali *in flagranti*! Co? Pocziwy generał

nie ma do tego ochoty wcale! Ile razy nasz jaśnie oświecony wybiera się do niego z wizytą, tyle razy generalisko od południa już gra w karty!

I co trudne do wytłumaczenia, że mu wbrew prognostykom, karta nie idzie!... He he! Ale dostanie *lente* Włodzimierza... i korpus!... Zobaczycie! Sztabu generalnego nie skończył, ale to nie — generałowa sztab zato kończy!... He, he! A wiecie o Broku?...

— Znów pewno bajki!

— Radca bajeczek nie lubi? Ja to Kocham!

— Szczególne upodobanie!

— Pożyteczne bardzo pożyteczne! Opowiedzieć wam bajeczkę o Broku? Co? Jesteśmy jednakże ciekawi?

— Jeżeli to wam ulży!

— Owszem! He, he! Ja lubię mówić. Otóż Brok zostaje opiekunem honorowym i fiut... z Warszawy!...

— Wiem o tem.

— Proszę!... Stanowisko szefa żandarmów będzie zupełnie skasowaniem.

— Słyszałem.

Cześć spojrzal z szacunkiem na Wiesława.

— Musicie mieć dobre źródło?

— Jak czasem.

— A wiecie także... dlaczego?

— Nie potrzeba się długo głowić nad odpowiedzią. W naszych warunkach, żandarmi stają się poniekąd zbytecznymi, a przynajmniej nietyle potrzebni.

Rzążewski parsknął śmiechem.

— Poczciwy, kochany pan Wiesław... pisze sobie referaciki, kalkuluje... i trafia! Umrę ze śmiechu! Cha, cha! Świetny kawał... A!... Ledwie oddycham...

Wiesław zachmurzył się.

— Możebyśmy przerwali lepiej rozmowę!

— O!... o!... Już mina gęsta. Lecz pozwólcie tylko...

— Mam pilną robotę.

— Dwa słowa. Powiem i pójdę. Ja także mam pewne informacye. Otóż kochany, drogi pan Wiesław się myli. W Warszawie może nie być generał-gubernatora, oberpolicmajstra, prezydenta, ale... żandarm musi być, może być więcej żandarmów, nigdy mniej! Ale, Aleksander Konstantynowicz chce być panem na swoich śmieciach. Brok dotąd był niezależnym, znosił się wprost z Petersburgiem. Hurkowej za pazury zalał a i Szuwałowowi dał się we znaki. Książę tego nie chce, tego się boi. Rozumiecie, że mieć za sobą pana, co po cichu o wszystkim do Petersburga donosi, to... nieprzyjemna rzecz! Bardzo nieprzyjemna! I póty kręcił, aż nie wyrobił w Petersburgu zmiany. Zamiast szefa żandarmów, przybędzie jeszcze jeden pomocnik generał-gubernatora w dziale policyjnym, podległy Imeretyńskiemu. Proponowano Brokowi, aby został, lecz on skwitował z awansu! Teraz więc nie będzie więcej sprzecznych raportów, ani krzyżujących się z sobą memoryałów...

— To pewnie i lepiej.

— Naturalnie! Uważacie, na pomocnika przychodzi Wiktor Iwanowicz Onoprienko! Pórzadności starszek! Łapowenki lubi, kobietki lubi — można żyć z takimi. Znam jego syna, Kole — służy w straży

pogranicznej — pijanica, wypędzili go z pułku, teraz może do żandarmów wstąpić i pójść wysoko! Ojczulek synka poprze, oczywiście... Zresztą to bardzo potrzebny chłopak! No... wszystko już!... Ale Terpu zostaje!...

— Ee!... Niepodobna! Figura Maryi Andrejewny!

— Właśnie! Ma, uważacie, plecy! Książę musi się liczyć z nimi! No, do zobaczenia! Nie mam czasu! Wpół do pierwszej... a tam Iwan Iwanowicz czeka na mnie ze śniadaniem u Stępka! Ściskam kochanego pana Wiesława! Profesorowi ukłony! Róbcie politykę, bracie!... Ja z góry piszę się na wszystko!...

Rzązewski wybiegł z hałasem. Wiesław zamyślił się. A gdyby to wszystko było prawda?... Gdyby nominacja Martynowa i usunięcie Broka takie miało pobudki?... To nawet źle tego nie można sobie tłómaczyć... Imeretyński otacza się swoimi ludźmi. Chee być samodzielnym — no, a o dobrej woli jego dotąd wątpić nie można!...

Waszewicz utwierdził Ziemięckiego w tem samem przekonaniu.

Prace komitetu obywatelskiego postępowały szybkim krokiem. Agitacja świetnie dawać zaczęła rezultaty. Najodporniejsze żywioły chwiały się i w milczeniu spoglądały na budzący się ruch, nie mając odwagi zdobyć się na protest. Warszawa przeżywała chwilę gorączkowego oczekiwania. Miasto, które od czasu ostatniego powstania zasklepiło się w codziennych troskach o kawałek chleba, które wjazdy Aleksandrów drugiego i trzeciego głuchym witało pomrukiem, które wszelką myśl o polityce, o pacyfiko-

waniu odrzucało z odrazą — wpadło w wir szalony ułud, nadziei, frazesów...

Z jednej strony komitet obywatelski podsycił wzniecony ogień, z drugiej władze rosyjskie umiejętnie lawirowały pomiędzy literami polakożerezych ustaw a przeczeniem ludności Królestwa. Prezes cenzury Jankuljo, typowy służbista, z tym samym miodowym uśmiechem przepuszczał też same artykuły, które z tymże uśmiechem przed kilku miesiącami poczytywał za niegodne... prawomyślności.

Prasa jęła się wypowiadać śmieiej. Snuła plany o rozwoju społeczeństwa, dotykała zlekka kwestyj językowych, sięgała do zabytków historyi, kareła niższą administrację, tu i ówdzie Augjaszową wykazywała gospodarkę. Redaktorzy spoglądali na się zdumieni — przyznając, iż coś się dzieje w polityce wewnętrznej, że jakiś następuje zwrot...

Ugoda co dnia nowe święciła tryumfy.

Margrabia Wielopolski, jadąc ulicami miasta, spoglądał pyszny, dumny. Dziedzictwo polityki ojca on podniósł, on prowadził, on urzeczywistniał.

Wszystkie te zabiegi komitetu obywatelskiego, a zarówno niespodziewany lojalizm polski, nie wszystkim Rosyanom były po myśli. Książę Imeretyński uspokajał wzburzone usposobienie „obrusitieli“ i łagodził ich poruszenia.

Atoli mimo to nie mógł stłumić budzących się niechęci. Bo trudno było się dziwić, trudno było nie usprawiedliwić utyskiwań na polską przewrotność.

Oni, wierni synowie prawosławia, opuścili bez wahania ojczyste stepy, ojezystą nędzę i jechali do

Kongresówki, przejęci głęboką ideą „uśmirenja“. Oni przybyli, aby nakładać pęta, aby tłumić, aby uspokajać, aby gasić płomienie, a tymczasem te nieokielznane żywioły nie tylko same zaczynają, dzwonić na ich modłę, lecz zachowaniem się swem wdrażają przekonanie, że ten tłum urzędniczy jest niepotrzebną, a kosztowną zabawką, że śmiało można Królestwo uprawnnić, zdjąć zeń kosztowną klątwę kraju, administrowanego na warunkach wzmocnionego dozoru!

O ten „dozór“ właśnie drżeli Rosyanie, bo on zapewniał im dodatkowo wynagrodzenia, on podwyższał etaty, on sprawiał, że, niby w czasie wojny — i lata służby i ordery napływały tu szybciej, on wreszcie dawał okazję do odznaczenia się, do wyróżnienia!

Na każdym kroku prawowierny syn „samodzierzawja“ sposobność znajdował!

Tu gimnazista ważył się odezwać po polsku, tam w zakamarku ulicznym ktoś śmiał wywiesić dosyć naiwny napis „fhut!“ i nie zamieścił obok tłomaczenia na język rosyjski, gdzieindziej zauważono je-gomości noszącego w krawacie szpilkę, przypominającą mocno orla polskiego — była to jaskółka, ale i jaskółka także do „blagonadiożnych“ nie należy — przypomina wiosnę nadzieję! Wogóle dość było mieć głowę na karku, aby się wyróżnić... Aż tu naraz wszystko miało prysnąć!

Uczniowie i pupilowie Maryi Andrejewny za-drżeli. Na Polaków zaczęli patrzeć z tajoną złością — Imeretyńskiemu nie dowierzali i wyrażali się o nim z przekąsem! Bo... kto jego tam wie! Car młody!

Car może się dać przekabacić, może się dać otumanie... a wówczas co?? Tambow!

Tambow jest miastem gubernialnem i... rodzin-nem! A Tula? Tula słynie samowarami! Wiaźmia ma takie pierniki, że od jednego można się zatchnąć... ale, ani do Tambowa, ani do Tuły, ani do Wiaźmy nikomu nie było pilno! Pewna część Rosyan miała tam namet swoje majątki ziemskie, lecz... co im tam do nich!

Rządca, Polak najczęściej, pieniądze odsyłał, a jeżeli rządcy nie było, to żyd go dzierżawił, albo chłop dewastował. Prawowierny spadkobierca Maryi Andrejewny sprawami ziemskimi nie zajmował się. Nie-wdzięczna rzecz. „C z y n“ co innego! Niby tysiąc rubli pensyi, a czasem dwadzieścia dochodu i więcej! Dochody tam większe, gdzie więcej zakazów, gdzie mniej swobody. Więc Królestwo z natury rzeczy było ziemią obiecaną!

Lojalizm polski mógł wszystko raz na zawsze unicestwić!...

Rosyanie nie namyślali się długo... tu trzeba było działać, trzeba było co tchu wynaleźć dokument, dowodzący polskiej rewolucyjności...

Ba! Lecz to była historia teraz nie łatwa! Za czasów Hurki na każde zawołanie były stosi proklamacyj i całe gniazda powstańcze, tak, że niekiedy szef żandarmów tracił głowę i nie wiedział, czy ma z nowym figlem pani generał-gubernatorowej do czynienia, czy z istotnem knowaniem polskich patryotów. Czasy się zmieniły. Oberpolicmajstrem był pułkownik Gresser, człowiek spokojny, nie lubiący awan-

turek, a w dodatku zakochany w *divie* operetkowej, pani Kaweckiej. Czyli nieomal — spolszczony.

A tu trzeba było działać i to działać prędko.

W pierwszych dniach czerwca w Warszawie rozniosła się głucha wieść o wykryciu zamachu na życie cara. Stolica polski struchlała i zawrzała oburzeniem.

Gdzie? Kto? Kto ważył się na tak bezeceńny krok, kto śmiał zakłócać ogólną harmonię?

Wieści były niejasne.

Opowiadano sobie, że na placu Ś-go Aleksandra wykryto podkop pod ulicą, przygotowany do założenia min dynamitowych, że bateria była już ustawiona i że właściciel domu, przemysłowiec Trung, został aresztowany.

Oburzenie komitetu obywatelskiego nie miało granic. Ow spisek mógł pokrzyżować wszystkie plany, w niwecz obrócić cały program, całą politykę.

Szczegółów brakło.

Mecenas Przyborski z tego powodu wypowiedział piękną naukę, opartą na historii krótkotrwałych rządów, w czasie powstania roku sześćdziesiątego trzeciego, a uprzytomniającą chwilę, kiedy mianowanego świeżo namiestnikiem Królestwa, księcia Konstantego Mikołajewicza, zapaleczywy człowiek... chciał zabić w teatrze. Margrabia Wielopolski zaś wprost bardzo cierpko się wyraził, że kraj tak do głębi zgangrenowany, przepelniony takimi dziedziczymi instynktami, musi upaść, musi być skazanym na wieczną zagładę!

Komitet obywatelski po długiej naradzie i burzliwych rozprawach uchwalił wysłać natychmiast dele-

gacyę do księcia Imeretyńskiego, dla wyrażenia nie tylko ubolewania, lecz zarazem uproszenia, aby habiebny czyn „zwyródniałych jednostek“ nie zaciężył na całym społeczeństwie...

Książę ku wielkiemu zdziwieniu delegacyi przyjął kondolencyę nader uprzejmie i uroczyście zapewnił ją, że nawet na myśl mu nie przyszło, aby cokolwiek z Polaków mógł do czegoś podobnego rękę przyłożyć... w danym razie... działały tu siły zgoda od ludności miejscowej niezależne.

Słowa te, wypowiedziane z naciskiem, dały wiele do myślenia — zwłaszcza, gdy Imeretyński zapewnił w końcu, że przyjazd cara może uleść małej zwłoce, lecz nastąpi bezwarunkowo.

Powoli zaczęto sobie w mieście opowiadać szczegóły wykrycia zamachu. Więc jedni zapewniali, że to Prusacy chcieli w ten sposób uniemożliwić zbliżenie się Polaków do Rosyi, drudzy widzieli oczywistą robotę partii socjalistycznej. Tymczasem aresztowanie przemysłowca Trunga było faktem, jak również dokonana u niego bardzo szczegółowa rewizya.

Ziemęcki nie mniej potępiał ten nierozważny czy zbrodniczy krok, rozumiał, jak fatalne skutki dla Królestwa mógłby spowodować. Zamordowanie panującego splamiłoby ręce narodu, który dotąd nigdy nie zbezcześcił się królobójstwem, a nadomiar w niczem polityki by zdołało zmienić, chyba zaostrzyć.

Odpowiedź Imeretyńskiego ucieszyła Ziemęckiego, a pogłoski, o udziale Prusaków sprawiły mu rzetelne zadowolenie. Dumnym był z tego, że żaden Polak ręki nie przyłożył do spisku.

Komitet zwiększał powoli zakres swej agitacji i działania, powołując na sesję przedstawicieli rozmaitych korporacji i stowarzyszeń. Wiesław ledwie mógł podolać pracy. Mimo czterech pomocników, robota waliła się nań tak, że musiał ważniejsze papiery w nocy u siebie odrabiać.

Pewnego wieczora, gdy zabierał się do nocnej pracy, ktoś zapukał zlekka do drzwi.

Ziemęcki zdziwił się niepominiem tak późnej wizycie. Od lat kilku odwykł był od przyjmowania o tej porze gości. Przyszło mu na myśl, że mógł to być posłaniec od Waszewicza... i bez namysłu otworzył. Jakież jednak było jego zdumienie, gdy zobaczył przed sobą pogodnie uśmiechniętą twarz Janka Żabskiego.

— Kopę lat! Kopę lat! Niech cię uściskam! Dwa dni cię szukałem! — zaczął żywo przybyły.

Wiesław witał dawnego towarzysza z pewnem pomieszczeniem.

— Nie spodziewałem się... Myślałem, że jesteś za granicą!

— Wracam prosto z Genewy! Ba! Mój kochany! Człowiek ciągnie do swoich! Co robić!... Nadto doszły nas wiadomości, że stosunki zelzały. Myślę sobie, kto nie ryzykuje, ten w Cytadeli nie siedzi. Zabrałem manatki i jazda!

— Siadajże!

— Dziękuję. Długo siedzieć nie myślę — byle tylko nostalgia minęła trochę, to i dosyć!... Ani rusz znaleźć ciebie nie mogłem! Co tu słyhać? Co porabiasz? Dawna partya w łeb wzięła! I dobrze. Uważasz.

Cis mi się nie podobał! Ładne nas tam historye doszły! Tacy ludzie to zakala, to szkoda niepowetowana dla uczciwych zamiarów. Nowy komitet jest dzielny! Co! Nareszcie ruch porządný się zacznie. Przynajmniej nie ma mętów!... Ale wiesz chyba o ostatniem łajdactwie Cisa! On i Tyczeński ładny kawał zrobili! A ten biedny Trung może za to całe życie pokutować!

— Który Trung?

— Ten... wiesz — zacna dusza. No, widzę, że ty jako nieodrodny Warszawianin, jesteś niby tabaka w rogu! Więc uważasz... symulowali zamach na cesarza za moskiewskie pieniądze!

— Co mówisz?

— Fakt — fakt... Trung ma browar i olbrzymie piwnice, opętali go, pozaciągali mu jakieś druty, niby dla elektrycznego prądu, a potem dali znać, sprzątnęli grubą sumkę i znikli... Powiadam ci, trzęśliśmy się za granicą z oburzenia! Trung, jak wiesz, kochał się w bibule rozmaitej — wyprzątnęli mu bibliotekę — ba, i oczywiście moc książek rozmaitych zabrali! Co? piękna historia? Żeby tego Cisa dostał w swoje ręce! Nie pojmuję tylko, jaki cel mogli mieć Rosyanie, aby taką szopkę urządzać?

— Cel? Żeby donieść do Petersburga o przygotowanym zamachu i wzbudzić nieufność.

— Ach! tak! Być może... Nie wiem tylko, czy Petersburg ma takich naiwnych, co temu by uwierzyli. Coby nam z tego przyjść mogło? W państwie absolutnem, jak Rosya, przedewszystkiem musi na-

stąpić ruch ludu. Następca nie taki, to inny zawsze się znajdzie! Tu nie może iść o zgładzenie jednego człowieka, ale o przewrót ustroju państwowego! Do tego zaś potrzeba światła, samopoczucia. Długo by o tem mówić... No, a cóż na to nowy nasz komitet? Musisz mnie wprowadzić... Wortmana poznałem w Szwajcaryi, lecz nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Otacza się tajemniczością, lecz takich nam potrzeba więcej. Co?

— Nie wiem — odrzekł wymijająco Wiesław.

— Ale, może ci przeszkadzam? Widzę, że masz jakieś papierzyska przed sobą...

— Broń Boże!

— No, nie! Nie rób sobie ze mną ceremonii. Wiem, z tem żartować nie można. Ja, jak mi wetkną robotę dla partii, to mi się pali w rękę. Z zasady się spieszę, bo mam wstręt do atramentu... zawsze niepoń zdradzi w końcu i *corpus delicti* sobie uknuje!...

— Mylisz się — odrzekł niepewnym głosem Wiesław. — Te papiery nie zawierają nic takiego, coby mogło...

— Tak? Sądziłem, że to coś z komitetu.

— Właśnie — objaśnił sucho Ziemęcki — to papiery z komitetu obywatelskiego.

— Obywatelskiego?! — powtórzył z odcieniem zdziwienia Żabski.

— Bo muszę cię objaśnić, iż ja z dawnych stosunków wycofałem się zupełnie.

— I dobrze zrobiłeś, bo Cis nie zasługiwał...

— Pozwól mi dokończyć. Na Cisie poznałem się pierwszej niż ty, ale, nadto, nie zawiązałem stosun-

ków z nowym komitetem i w tych sprawach stoję na uboczu.

— Co? Ty?

— Mów sobie, co chcesz! Poglądy z biegiem czasu zmieniają się, urabiają...

— Zerwałeś z socjalizmem?

— Najzupełniej.

— Aha! Inaczej mówiąc, odziedziczyłeś spadek i doszedłeś do wniosku, że, dorwawszy się stanowiska uprzywilejowanego, nie ma interesu... myśleć o równouprawnieniu.

Wiesław zniósł spokojnie ironię Żabskiego.

— Jakie względy wpłynęły na to... daruj, że to zostawię przy sobie.

— O, bądź spokojny, ani mi w głowie trudzić cię wyjaśnieniami. Tyś nie pierwszy i nie ostatni. Jeżeli mam być szczerym, to dochodziły mnie już wieści o tobie dawniej, lecz nie dawałem im wiary... Ktoś mnie wręcz zapewniał, że przerzuciłeś się na stronę ugody z Rosją. Widzę teraz, że taki skok jest możliwym. Mogę ci tylko powinszować... sprężystości! Inny na takim saltomortale kark by skreślił...

— Mów sobie co chcesz! Wierz mi jednak, że trzeba było na to poważnych przyczyn. Zresztą, nie zmieniłem, jeżeli o to idzie, przekonań, tylko usunąłem się z widowni... Macie dosyć działaczy.

— Zapewne. Wygodniej być cichym wyznawcą idei humanitarnych... no i służką...

— Możebyśmy zmienili przedmiot rozmowy.

— O, to zbyt uczynne, bo ja uważam ją wogóle za skończoną!

Żabski podniósł się z krzeselka i sięgnął po kapelusz.

— Odchodzisz?

— Chyba obecność moja miłą ci nie jest! Uważasz... o podejrzenie nie trudno... a ty przecież musisz zostać prawowitym... Żegnaj!

Wiesław roześmiał się szyderezem.

— Zatrzymywać nie śmiem! Przypuszczałem, że wracając ze Szwajcaryi, przywiozłeś ze sobą odrobinę europejskości i nauczyłeś się szanować ludzi nawet odmiennych zapatrywań...

— Zapatrywania odmienne uznaję... ale nie stać mnie w tym razie na wyrozumienie procesu duchowego, zachodzącego w człowieku, który z rewolucjonisty przedzierzga się w żandarma!

— Milcz! — zawołał groźnie Wiesław, stając naprzeciw Żabskiego.

Ten ostatni zmiął go wyzywającym spojrzeniem.

— Grozisz?... Jestem... Dalej!... Nie ociągaj się, zadenuncyuj! Mieszkam w hotelu Saskim za paszportem Butlera... Namysł się. Masz czas do jutra wieczorem.

Ziemęcki pięści zacisnął i chciał rzucić się na Żabskiego, lecz ten zmierzył go pogardliwie od stóp do głów i z szyderezem chichotem wyszedł z mieszkania Wiesława.

III.

Dzień siódmy września został nareszcie wybranym przez ministerstwo dworu na przyjazd pary cesarskiej do Warszawy.

Czas upływał szybko na przygotowaniach do uroczystości.

Ruch z każdym dniem się wzmacniał.

Do Warszawy jeły napływać powoli najrozmaitsze, dziwaczne osobistości o wejrzeniu ponurem, złowrogim, przenikliwym. Osobistości te kręciły się pomiędzy ludem, nadśluchiwały, wypełniały wszystkie miejsca publiczne. Napozór stanowiły tłum szary, bezbarwny, różnorodny, nie wzbudzający poszanowania ani zaufania, a tymczasem przed nim gięły się w pałak wszystkie mundury urzędnicze, nawet żandarmskie... Ludzie ci, reprezentując wszystkie stany społeczne, od jakiegoś hrabiego cudzoziemca począwszy, a skończywszy na szukającym zajęcia wyrobniku, mieli wszyscy jedną i tę samą cechę. Dość było w oczy mu zajrzeć, aby odruchowo położyć rękę na pugilaresie, zegarku lub portmonetce... Byli to „*tielo-chranitiele*“, przednia straż nietykalności monarszej, tajna policja pałaców, która dzieląc się na kilkanaście oddziałów, w części toruje drogę majestatowi, w części otacza majestat gęstym kordonem bezpieczeństwa, a w części tylną jego straż stanowi.

Służba to ciężka, bo gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą... Polowanie na grubego zwierza i dla sprawnych ogarów bywa niebezpiecznem. Nie każdy tak niepewnego chwytą się chleba, a kto nań iść się ryzykuje, ten nie wiele musi mieć do stracenia... a dużo za to do zyskania.

W rotach pałacowej policji ranga, order, nie nie znaczy, tam tylko stanowi pieniądź!... Dwór milionów nie żałuje...

„*Tielochranitiele*“ spadli na Warszawę, jak szarńca, i rozpoczęli jedyną w swoim rodzaju pracę...

Im tam nie do tego było badać usposobienie ludności Królestwa, im nie przyszło do głowy wróżyć pomyślnego zakończenia cesarskiej podróży z obudzonych w Polakach nadziei, ich nie mogły zająć żadne dociekania polityczne, społeczne, czy wprost moralne. Ich rzeczą było węszyć. Jakoż w ciągu dni dziesięciu zdążyli zwiedzić wszystkie piwnice i strychy domów na ulicach, któremi cesarz może... przejeżdżać — zdążyli obstarwić swoimi ludźmi miejsca, które wydały im się być niepewnymi — zarządzili wstrzymanie robót budowlanych w obrębie czterech sążni od miejsc, gdzie się ukazać może powóz cesarski — a następnie zabrali się do przejętych lojalizmem obywateli.

Policja pałacowa skrzętnie przejrzała spisy osób nie budzących zaufania, czy podejrzanych o *niebлагородность*, i bez ukazów, bez procedury biurowej, bez odwoływania się do powagi generał-gubernatorskiej — nakazała cichą a natychmiastową banicję... na cały czas uroczystości.

Co chwila ktoś, mający bodaj najmniejszy zaścianek z kancelaryą pana Broka lub cytadelą, otrzymywał zaproszenie do biura policji a tam od bardzo uprzejmego pana, ubranego po cywilnemu, odbierał grzeczną lecz stanowczą propozycję odbycia podróży. Zaproszeniu oprzeć się nie było można. Pałacowa policja bowiem, w razie braków środków materialnych, udziela zapomóg, a biletów kolejowych na bezpłatny przejazd do Kurska lub Chersonia nie żałowała nikomu.

Za tą sferą gończych przyciągnęły oddziały policji petersburskiej już otwarcie, jawnie, pod pozorem przyjazdu z pomocą swym warszawskim towarzyszom. Za policją ku tysiącowiorstowej wstędzie kolejowej, wyciągniętej na przestrzeni od Petersburga aż do Warszawy, dążyły zwarte kolumny wojska i w odstępach pięćdziesięciokrokowych rozstawiały czaty...

Te zarządzenia, ten napływ szpiegów, te środki ostrożności dotknęły polską ludność, a i goręczą przejęły niektórych członków komitetu obywatelskiego. Ten ostatni wszak wziął na siebie moralną odpowiedzialność za pobyt cara na ziemi polskiej, potrafił tak dalece podzielać na ludność, że ta wyzbyła się wszelkiej odrazy, jaką żywiła do przemocy, że gotowała się nie do przyjmowania potomka tych, którzy wydarli jej swobody, lecz do powitania wybawcy, odnowiciela polskiej korony.

Gdyby zmartwychwstały Tadeusz Kościuszko zapowiedział swój przyjazd — Warszawa nie mogłaby

gotować się wspanialej, a osoba naczelnika powstania nie mogłaby być bardziej nietykalną, niż Mikołaja II.

Policja pałacowa, żandarmerya, nie umiała tego porywu, tego szału wiernopoddanego uszanować, ani ocenić! Nieufność ścięła na chwilę wrzącą krew. Na chwilę... bo komitet obywatelski zdobył się na stłumienie w sobie niemilego wrażenia. Poszło to dosyć trudno, bo tym razem mecenas Przyborski przechylił się na stronę zniechęconych! Nie wielu ich było. Kilku ze szlachty, Wiesław i jeden z lekarzy... stanowili to szczupłe grono, które poważyło się otwarcie wystąpić. Waszewicz perswadował, lecz i jemu coś dolegało widocznie. Reszta członków spoglądała apatycznie po sobie, ani broniąc poglądów mecenasa, ani nie podtrzymując profesora.

Margrabia uprzedzony przez Waszewicza, zjechał na sesję i zaczął z właściwą sobie brutalnością:

— Doszły mnie wiadomości, że i panowie nie możecie się oprzeć zarzutom!... Jest to poniekąd dla mnie przykrą niespodzianką, sądziłem, że... każdy z nas umie patrzeć dalej, głębiej... że niezasadność...

Mecenas Przyborski poprawił nerwowo swój monokl i rzekł, cedząc wyraz po wyrazie:

— Pan margrabia pozwoli, że mu wyjaśnię przyczyny, powodujące nasze zarzuty i uzasadniające ich, jak pan margrabia raczył się wyrazić... niezasadność...

— Proszę, słucham! — odparł krótko Wielopolski.

— Otóż, zarówno pan margrabia, jak i książę, nie jednokrotnie przy zawiązaniu się naszego komitetu, kładli nacisk, iż cała piecza nad dostojną osobą panującego nam powierzona zostaje, że my, nie kto

inny, nie tylko zorganizujemy uroczystość przyjęcia, ale niejako będziemy odpowiedzialnymi za wszystko!...

— Przepraszam! — przerwał margrabia.

— Pan pozwoli, że dokończę!... Otóż w imię tego zaufania zwróciliśmy się do całej ludności! Za hasłem, że najjaśniejsi państwo powierzają się zaufaniu Polaków — poruszyli się wszyscy. Składki na dar dwóch milionów z górą dosięgły. Najskrajniejsi uci-chli, a teraz... nastrój uroczysty, godowy, harmonię, z takim trudem, z takim nakładem pracy obudzoną, zaczynają nam zakłócać pacholkowicie policyjni!...

Wielopolski szarpnął się niecierpliwie i odpowiedział z uniesieniem.

— Słowem, to, za co ludność cała, a wy panowie w szczególności powinniście być wdzięczni... to was dotyka, to powoduje wasze zniechęcenie!

— Za pozwoleniem, komitet obywatelski, panie margrabio, nie jest instytucją pomocniczą policji, ani też policja nie może stanowić współczynnika komitetu obywatelskiego!

Wielopolski zmarszczył się.

— Panie mecenasie... jest to bardzo logiczny wywód... tylko... ja pozwolę się was zapytać, czy w istocie czujecie się na siłach zaręczyć, że nie znajdzie się człowiek opętany, zbłąkany, któryby się nie poważył podnieść ręki!? któryby w ten czy inny sposób nie starał się zbezczęścić, zakłócić tyle nam drogich chwil?!... Co?!... Wątpię, czy bylibyście w stanie zaprzysiądź wierność w imieniu milionów! No, i nikt tego nie żądał!... Razi was policja? A toż ona ułatwia wam zadanie, ona strzeże was od niespodzianek! Ona daje

wam rękojmię urzeczywistnienia wszystkich zamiarów! Władza, podejmując kroki zapobiegawcze, staje na straży waszego programu... Panie mecenasie, to... nader skrajny pogląd, to przeczulenie zbytczne.

Przyborski chciał odpowiedzieć, lecz margrabia wstrzymał go ruchem ręki.

— Jeszcze kilka słów. Jeszcze dam wam dowód, panowie, że nie się nie zmieniło dotąd w życzliwym usposobieniu dworu petersburskiego... Skarżyliście się, że nie wyznaczono wam miejsca dla wypowiedzenia się!... Więc właśnie i w tej mierze mam dla was pocieszającą, radośną wiadomość... Cesarz raczy panów przyjąć w pałacu Łazienkowskim na oddzielnem posłuchaniu... Tam będziecie mieli okazję powitania go, wręczenia mu daru i wysłuchania miłościwych słów!... Po zatem, przy powitaniu na dworcu, na galowem przyjęciu w zamku, w teatrze, i tak dalej, wszędzie stosowne będzie wam wyznaczone miejsce! Widzicie więc panowie, że nie jest tak źle... że intencje najjaśniejszego pana nigdy nie mogą być przyjaźniejsze, względniejsze!...

— Toż samo powtarzam! Ciągłe powtarzam toż samo! — wmieszał się Waszewicz. — A przychodzi mi to tem łatwiej, że na chwilę nie wątpię o poświęceniu mecenasa Przyborskiego. Zapewne, przyznaję, iż gdyby nie światło wskazówki pana margrabiego, to mimo woli moglibyśmy się zaplatać w reakcję!... Niemniej cieszę się szczerze z tego, że pan mecenas, jako przewodniczący, ujął się za budzącą się opoży-

cyą, bo to doprowadziło nas do wyjaśnienia, to usunęło wątpliwości...

Odezwanie się profesora załagodziło rozdwojenie. Przyborski chciał bronić jeszcze bodaj dla zasady swych opinii, lecz margrabia ujął go pod ramię i odciągnął na stronę.

— Szanowny mecenasie! — rzekł tonem przyjacielskim Wielopolski — muszę panu powiedzieć, że osobą jego interesują się bardzo... i nie tylko książę ale i dwór petersburski.

— Ach! czemuż mam to przypisać! — zauważył mecenas, prostując swą wyniosłą figurę i w konwencyonalnym uśmiechu starając się ukryć wewnętrzne zadowolenie.

— Proszę mi wierzyć! — zapewniał margrabia. — Nie zwykłem powtrząć wiadomości nie grunto-wnych!... Zresztą nie w tem nie ma dziwnego... jesteś pierwszą figurą, stojącą na czele reprezentacji polskiej...

— A! Nie! — odparł z ugrzecznieniem Przyborski. — To miejsce przynależne panu margrabiemu!... Wielopolski zaśmiał się swym dobronudszym basem.

— Nie — nie! Ja stoję po za frakcyami... Wam sprzyjam, naturalnie, ale wpływać nie chcę i nie mogę! Zagadywano mnie już niejednokrotnie! Kazałem zawsze mieć w pamięci pańskie nazwisko!... I... co tu długo mówić! Pojmuję doskonale, iż powodują panem najszlachetniejsze uczucia miłości kraju i pragnienie jego dobra... Wdzięczność współziomków ominąć pana nie może. Ale niech to pana nie dziwi.

że i panujący chciałby również okazać mu swoją łaskawość... Gdybyś więc pan, panie mecenasie, miał jakieśkolwiek życzenia... sądzę... że znalazłbym okazyję wspomnieć o nich we właściwej porze...

Przyborski wydał usta, poprawił monokl, i zasunął końce palców lewej ręki w kieszeń kamizelki, namysławiając się nad odpowiedzią.

Orderu i stopnia dworskiego bał się... Bał się dlatego, że obydwa, jako po raz pierwszy go spotykające, musiałyby ograniczyć się na początkowych klasach, a z drugiej strony mogłyby wzburzyć przeciwko niemu opinię. Przyborski z opinią się liczył bardzo. Ona ze skromnego choć ambitnego zawsze adwokata, wprowadziła go między arystokrację, szczerple dochody podniosła do wysokich potężnych odsetek, postawiła go na pierwszorzędnym szczeblu w rozwoju społecznym Warszawy, dała mu imię, o którym nikt nie mógł powiedzieć źle. Nie o takich lada nagrodach myślał Przyborski.

Margrabia, zauważywszy wahanie się mecenas, dorzucił po małej pauzie:

— Gorąco by mnie szanowny mecenas zobowiązał, gdyby zechciał być ze mną szczerym zupełnie! Wszelkie krępowanie się jest zbytecznem. Pozostanie to między nami. A wierz mi pan, da mi pan tylko sposobność do sprawienia monarsze prawdziwego zadowolenia. Bo cóż może być przyjemniejszego dla panującego od spełnienia życzeń wiernego sługi.

— Pan margrabia łaskaw bardzo! Ale, w obecnej chwili... nie umiem skorzystać z jego względów i nie

widzę dla siebie zaszczytów czy nagrody, o którą chciałbym i mógłbym się ubiegać.

Wielopolski wytrzeszczył silniej swe już i tak wylupiąste oczy i spojrzał ze zdumieniem na Przyborskiego.

— Więc, w takim razie, ministerjum dworu obmyśli stosowne odznaczenie, bo jak panu może wiadomo, najjaśniejszy pan od nikogo nie przyjmuje żadnych usług, któreby nie były wynagrodzone odpowiednio.

Przyborski skinął twierdząco głową.

— Ja też właśnie chciałbym prosić o wstawienie się za mną pana margrabiego...

— Ależ jestem gotów...

— Więc... Tym razem... Pragnieniem mojem jest i poczytywać sobie będę to za objaw szczególnych względów monarszych, jeżeli żadna mnie nie spotka nagroda!...

— Jak to mam rozumieć?! — zagadnął sucho Wielopolski.

— Że... chcę podkreślić w ten sposób moje niezależne stanowisko... Czasy, panie margrabio, są jeszcze mgliste. Lecz, o ile system administracyjny ulegnie tyle upragnionym zmianom — wówczas przypomnieć się nie omieszkam. Cesarz i kraj znajdzie we mnie zawsze gotowego do pracy...

— Ależ, panie mecenasie! — upomniął Wielopolski. — To, daruje pan... to się mija z przekonaniem, jakie powinny ożywić przewodniczącego w obywatelskim komitecie!... Pańskie żądanie jest niepodobnem do

powtórzenia! Jest to niezrozumiała dla mnie prowokacya! Order panu, mimo wszystko, przyznany być musi...

— Nie, panie margrabio. Ja wierzę, że pan do tego nie dopuści, nie zezwoli...

— A... niech się pan nie łudzi, żebym się ważył na jakieś przedstawienia w tej mierze!... Chyba pan nie zna stosunków dworskich!...

— W takim razie — rzekł z naciskiem mecenas — zmuszony jestem pana zapewnić, że odmówię przyjęcia orderu.

— Panie... toż za to grozi panu...

— Mam dostateczne środki, środki, aby żyć spokojnie zagranicą!

Wielopolski próbował tłómaczyć nierozsądek takiego oświadczenia i jego bezcelowość, lecz Przyborski trwał przy swoim, wiedząc z góry, że margrabia wszelkich sił dołoży, aby nie dopuścić do rozdrażnienia.

Komitet obywatelski pozostawał, bądź co bądź, pod cichym przewodem Wielopolskiego, a mecenas Przyborski był właściwie przez margrabiego powołanym, ten ostatni więc, mimo całego wzburzenia, musiał zapobiedz skandalowi, któryby wywołało nieprzyjęcie orderu. Przyborski wybornie zdawał sobie z tego sprawę i nie ustępował.

Na żywą sprzeczkę margrabiego z mecenasem, nadszedł młody Turojski. Wielopolski w uniesieniu przyzywał ordynata do współdziałania w przekonaniu mecenasa. Przyborski atoli z całą wytwornością swych arystokratycznych manier, pozostał przy swoim.

Wiadomość o zrzeczeniu się nagrody przez mecenasa, stała się w kilka minut tajemnicą komitetu obywatelskiego... a jeszcze tego samego dnia tajemnicą całego miasta.

Imię Przyborskiego nabrało uroku, opowiadano sobie ze szczerem przejęciem szczegóły rozmowy mecenasa z margrabią, nie żalując pochlebnych słów prezesowi komitetu obywatelskiego.

Historya o orderze równocześnie podniosła zaufanie i wiarę w czystość intencji twórców ugodowej polityki, bo jasno przekonywała wszystkich, że ci, co tem u steru stoją, nie o swoich myślą korzyściach.

Wiesław był jednym z pierwszych, którzy z niekłamana radością a dumą przyjęli nowinę o pełnym godności postępku mecenasa.

A mecenas? Mecenas był zadowolony z siebie zupełnie. To uznanie, ten szacunek, ta popularność była mu lepszą od dekoracyi państwowej. Stawiała go nieskończenie wyżej od kawalerów wstęg Andrzeja, Włodzimierza czy Anny. Nadto mecenas był dobrym patriotą, dobrym Polakiem. Niekiedy ambicya i owa chęć obracania się w kołach arystokratycznych brała w nim górę, niewoliła go do służalczych półusmiechów i przedstawiania z figurami rosyjskiej administracyi, lecz... gdy ambicya nie miała ujęcia, to w Przyborskim budziła się starszylachecka natura, pełna impetu, fantazyi a werwy.

Więc i w tym razie, gdy margrabia Wielopolski wspomniał Przyborskiemu o hrabiowskim tytule, senatorskim mundurze, lub jakiejs wielkiej gwiazdzie...

możeby się Przyborski okazał mniej Spartaninem, możeby, zrezygnował z popularności gawiedzi.

Komitet obywatelski, jak każdy komitet, choć ogarniał bardzo szerokie sfery, był atoli prowadzony przez jednostki — przez dwóch ludzi — profesora i Ziemięckiego. Oni tu decydowali, oni zwalczali trudności, oni zajmowali się wszystkim, a poniekąd sterowali ugoda. Margrabia o szczegóły mało dbał, pamiętając tylko o tem, aby nie zbaczano z raz wytkniętej przez niego drogi.

Przyborski prowadził zebrania, wypowiadał mówki, a choć tu i ówdzie żywą toczył dyskusję z Waszewiczem, lecz w końcu ustępował mu, ulegał.

Na Wiesława spadł cały ciężar porozumiewania się z władzami rosyjskimi.

Dnia prawie nie było, żeby nie miał bądź korespondencyi, bądź konferencyi to z oberpolicmajstrem Gresserem, to z jego referentami, to z naczelnikiem biura żandarmeryi Margrafskim, to z Jaczewskim i całym legionem przedstawicieli najrozmaitszych dykasteryj.

Pewnego razu, szukając prywatnego mieszkania którejs z figur żandarmskich, idąc za wskazaniem, znalazł się na ulicy Hożej przed szeregiem pawilonów koszarowych.

Była zaledwie dziesiąta godzina rano. Ulica świeciła pustkami. Wiesław spojrział na zanotowany na kartce adres, sprawdził numer z numerem zawieszonym przy furcie muru, okalającym rozrzucone wśród skwerów i klombów zabudowania i ujął za rączkę dzwonka.

We drzwiach furty ukazał się brodaty kacap. Ziemięcki zapytał go o mieszkanie żandarmskiego urzędnika, a otrzymawszy krótką odpowiedź: „trzeci pawilon na prawo, lewa sień, pierwsze piętro“, zapuścił się w labirynt zabudowań.

Cisza tu panowała głęboka. Na obszernych podwórzach nie było widać żywej duszy. Gdzieś w oddali rozlegały się miarowe kroki sztyldwacha.

Ziemięcki rozglądał się ciekawie dokoła.

Pawilony te, pobudowane przed laty na pomieszczenie wielkich zakładów fabrycznych, przechodziły już rozmaite koleje. Przez długi czas, z roku na rok młotek komornika dawał im nowego właściciela. Wielki czworobok, zanurzony w ogrodach, a sześcioma obszernymi gmachami zabudowany, miał zawsze chętnych nabywców... Łada kapitalista łakomiał się na tak piękną posiadłość, położoną przy zbiegu Hożej i Marszałkowskiej... Lecz posesya ta była zarazem otehlanią, bo wymagała dużego nakładu kapitału, aby rozległe sale pawilonów przeistoczyć na lepiej procentujące pokoje, czy łatwiejsze do wydzierżawienia ubikacje... Nabywcy zmieniali się szybko. Każdy przystępował do licytacji z dobrą wiarą w „wrobienie się“ interesu i, po krótkim przebiegu czasu, wyzbywał się tej „żarłocznej kobyły“... rad jeszcze, gdy mógł licytacji przymusowej uniknąć, a choć połowę wycofać gotowizny.

Posesya długo wiodła życie gorączkowe, niepewne. Każdy właściciel coś w niej przerabiał, coś modyfikował, coś przeinaczał, dobudowywał. Z roku

na rok równe, symetrycznie rozstawione pawilony, przystrajały się w ładajako sklecone przystawki, oficynki, kryte kurytarze, a drewniane sienie. Nie zmieniło to sytuacji, posesya potrzebowała kapitałów i w końcu ze znalazła. Bankier Bloch stanął do licytacji. W rok niespełna lewą stronę pawilonów zajęły bataliony piechoty, na tyłach rozstasowali się kozacy, prawą stronę wydzierżawiono na mieszkania żandarmery i na jakieś nieokreślone biura.

Wiesław, choć pamiętał o instrukcyi odzwiernego — jednak znalazłszy po prawej stronie dwa pawilony, a w każdym z nich po kilka sieni, zablądził. Wszedł więc w pierwszą z brzegu, mając nadzieję odnalezienia bodaj napisu na drzwiach, lub zasięgnięcia informacyi u kogoś z mieszkańców. Tu mimo kołatania do wszystkich po kolei napotkanych drzwi od parteru aż do drugiego piętra, żywej nie znalazł duszy. Pawilon, jakby był zgola niezamieszkałym. Nie zrażony tem Wiesław, wszedł do sieni następnej i stanął wobec drzwi szczelnie suknem obitych, z po których dochodził go przyciszony gwar głosów. Nie namyślając się, ujął za klamkę i znalazł się w ciemnem przepierzeniu. Ziemęcki po omacku natrafił na drugie drzwi i otworzył.

Strumienie światła uderzyły weń. Wiesław rzucił niepewnym wzrokiem w głąb. Była to wielka czworokątna sala, zapełniona tłumem mężczyzn, prowadzących między sobą żywe rozprawy. Po środku na małym wzniesieniu, stał szpakowaty jegomość w tużurku i coś mówił do otaczającej go cizby.

Wiesław przetarł oczy, postąpił krok naprzód i naraz ujrzał w oddaleniu Czesia Rzązewskiego obok Cisa...

Ziemęcki wzrok wyteżył, lecz w tejże chwili w sali rozległ się krótki gwizd. Tłum umilkł i jakby na komendę, odwrócił się plecami do Wiesława, nie wyłączając mężczyzny na podniesieniu. Równocześnie barczysty wachmistrz żandarmeryi zbliżył się do Ziemęckiego i bacznie mu się przyglądając, zagadnął cicho:

— *Wasze zdrowie!*

Ziemęcki spojrział ze zdziwieniem i odparł mimowoli.

— *Dziękuję!*

— *Choroszo!* — potwierdził żandarm. — *Kakoj gubernii?*

— *Warszawskiej* — odrzekł Wiesław, coraz bardziej zdumiony niespodziewaną indagacją.

— *Choroszo!* — mruknął znów żandarm.

— *W kakom godu rodiliś?*

— *Ja... w roku siedemdziesiątym!...*

Tym razem wachmistrz otworzył szeroko oczy.

— *W kotorym!* — mruknął z nieukontentowaniem. — *Kotorym i wasza fotografia?...*

— *Nie rozumiem, nie wiem, o co panu idzie!*

— *Iz kotoroj wy brygady?* — rzucił zniecierpliwiony wachmistrz.

— *Z brygady? Co pan mówił?*

Żandarm zmieszał się.

— *Czto wy tutaj? Czego?...*

— *Chciałem zapytać się o mieszkanie urzędnika żandarmeryi... pana... pana...*

— I tu pan przyszedł? *Aha! Ponimajem!*

— Tak jest, wszedłem, bo nie mogę znaleźć...

Wachmistrz spojrział szyderczo.

— *Uwidim! Posmotrim!* Proszę stąd za mną.

Żandarm wyprowadził Wiesława z sali do sieni i tu ozwał się ostro.

— Ja was aresztuję!

— Mnie? Za co? Jakiem prawem?

— Zaraz pan zobaczy. Chodźmy do zarządu!

— Chyba panu się zdaje... Bierze mnie pan za kogo innego.

— Dalej — dalej!... Moja rzecz!...

Ziemęcki chciał tłómaczyć się, przekładać, lecz żandarm nie pozwolił mu przyjść do słowa. Wiesław rozumiejąc, że wszelki opór nie wyjaśni pomyłki, której najwidoczniej staje się ofiarą, udał się za żandarmem.

Wachmistrz wprowadził Wiesława do obszernej, a szczególnie zamkami i kratami opatrzonej izby i oddał go pod dozór młodemu żandarmowi, a sam wyszedł.

Ziemęcki nie posiadał się z irytacji. Najniespodziewaniej oto aresztowali go i trzymają pod strażą... Za co? Dlaczego? Wszedł tam! Cóż u licha mogło to być za zebranie? Cis i Rzążewski byli tam... przysiągłby, że ich widział.

Dobra godzina upłynęła, zanim wachmistrz powrócił i powiódł Wiesława korytarzami do kancelaryi jakiegoś cywilnego urzędnika.

Zaczęło się natarczywe sprawdzanie tożsamości osoby Wiesława. Próżno Ziemęcki co chwila zmierzał

do wyjaśnienia oczywistego *qui pro quo* — urzędnik nie dał mu przyjść do słowa.

— Mówcie prawdę i odpowiadajcie na pytania! — powtarzał flegmatycznie. Wreszcie, gdy arkusz cały bez mała zapisał danemi, dotyczącemi stanu, wieku, miejsca urodzenia Wiesława — zapytał raptownie:

— A teraz... proszę mi powiedzieć, co pan robił tam?

— Gdzie?

— Pan się jeszcze pyta!... W sali! Ostrzegam, że wykrety na nie się nie zdadzą! Zanim pan stąd odejdzie... zmuszę pana do wyznania prawdy!...

Ziemęcki jął tłómaczyć, w jaki sposób znalazł się w tych zabudowaniach, powoływał się na urzędnika żandarmeryi, który miał udzielić mu odpowiedzi na zapytanie komitetu obywatelskiego, wreszcie zaczął zasłaniać się swoim stanowiskiem...

Urzędnik słuchał cierpliwie, zapisywał odpowiedzi, a gdy Wiesław skończył, spojrział mu w oczy i roześmiał się.

— Doskonale! *Łowko!* Bardzo... *łowko!* *Ot persona!* Członek obywatelskiego *komiteta!*... Cha — cha!... Nie szkodzi, i taki do kozy może pójść... Cha — cha! A nie spotkał pan tam swoich znajomych w sali? Co?...

Ziemęcki zmieszał się.

— Nie odpowiada pan!... Co?

— Nie — nie spotkałem! — skłamał bez wahania Wiesław, czując, iż grunt usuwa mu się pod nogami.

— Aha! No... to dosyć!... Proszę ten protokół podpisać! Za parę dni powie pan więcej! *Ptaczka się znalazła!*

Urzędnik skinął. Wachmistrz popchnął brutalnie Wiesława ku drzwiom i zaprowadził go znów do tej samej izby i oddał pod straż żandarmom.

Ziemęcki sam nie wiedział, co czynić. Żądał, aby mu pozwolono zawiadomić o niespodziewanej przygodzie Waszewicza, odwoływał się do stawienia go natychmiast przed pułkownikiem Margrafskim, lecz wszelkie prośby i protesty nie odniosły skutku. Żandarmi kiwali głowami, uśmiechali się do siebie i ani im w głowie było zadość uczynić wezwaniom aresztowanego.

Godziny upływały. Wiesław tracił resztę cierpliwości, w którą starał się uzbroić. Niepokoiło go zadane mu przy badaniu pytanie... czy nie poznał kogo ze znajomych w sali, a bardziej jeszcze trwożyła własna odpowiedź.

Jeżeli Cis spostrzegł go... to kto wie, co z tego może wyniknąć!... Chociaż Cisowi może nie być na rękę przyznanie się do znajomości. No, a Rzążewski? Co ten tu robił, co go łączyło z Cisem?

Wiesławowi cała przeszłość żywo stanęła przed oczyma...

Czyżby go teraz mieli karać za dawno minione czasy? Czego chcieli od niego, o co go podejrzewali?!...

O zmierzchu wachmistrz znów się zjawił w izbie i z uprzejmym ukłonem poprosił go do kancelaryi.

Urzędnik powitał tym razem pierwszy Wiesława z odcieniem żalu w głosie.

— Ach! Moje uszanowanie! Ot... nieporozumienie. Pan będzie łaskaw... spocznie... Igor Iwanowicz na-
dejdzie niebawem... a pan do niego miał interes!...

— Więc się pan nareszcie przekonał — rzekł Wiesław, nie mogąc pohamować rozdrażnienia. — Macie panowie dziwny zwyczaj... Może pan być przekonany, że poproszę we właściwym miejscu o wytłomaczenie mi samowolnego zatrzymania mnie pod strażą, nie uwzględniając tłumaczenia.

Urzędnik uśmiechnął się ironicznie pod wąsem.

— Pan sobie życzy... pisać skargę?! Może panu służyć papierem?...

— Zbytek łaski. Zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni... Znajdę sprawiedliwość... — odgrażał się Ziemęcki.

— Sprawiedliwość? O to nietrudno... Tak, podać skargę, koniecznie...

— Możeby mnie pan zwolnił od swojej rozmowy?...

— Owszem! Tylko z aresztowania uwolnić nie mogę — odparł zimno urzędnik, zaczem zwracając się do stojącego przy drzwiach wachmistrza, rozkazał surowo:

— Wyprowadzić ich do przedpokoju!

Wiesław zmierzył z bezsilną złością urzędnika i wyszedł za wachmistrzem do sieni.

W dobre pół godziny nadszedł urzędnik, którego mieszkanie stało się powodem tej całej przygody. Igor Iwanowicz Chołodenko znał już Ziemęckiego z konferencji u Margrafskiego, przywitał się po przyjacielsku z Wiesławem i odrazu dalsze usunął wątpliwości.

— To pan, panie Ziemećkij? Prawda, toż dziś miałem od pana otrzymać spis korporacyj i stowarzyszeń, które wezmą udział w obchodzie. No, widzi pan. Pamięć krótka. I ot nieprzyjemność. Proszę do gabinetu, do mnie. Na myśl mi nie przyszło, że to pan. Posyłali do mnie z wiadomością, że się ktoś mojem nazwiskiem zaslania, ale, niech się pan nie dziwi... byłem przekonany, że to wybieg... U nas ciągle się zdarza. Osoba zatrzymana broni się nazwiskiem oficera, z którym kiedyś tam przy jednym stole siedział. Cha-cha!... No, ja przepraszam. Ot, niespodzianka!...

Ziemećki pospieszył wyrazić swoje zdziwienie, że tak dużo potrzebowano czasu na sprawdzenie tożsamości jego osoby, a nadto jął uskarżać się na bezwzględność kancelisty i wachmistrza.

Chołodenska ujął Wiesława łagodnie za rękę.

— Stało się, *moj druhu!* Głupstwo się stało. Oni nie winni. Rozkaz! A złych ludzi nie brak, co umieją się podszyć, co umieją udać. Tu zaś było *dielo sierjoznoje!*

— Ależ doprawdy nie pojmuję. Chyba istnieje jakiś mój sobowtór?!

— Nie to. Nie to! Był pan tam... w sali? No, a tam wchodzić nikomu nie wolno! Musiało być śledztwo! Trzeba było dowodu, że wszedł pan tam przypadkiem... Teraz czasy takie!...

— Cóż bo tam u licha jest za sala?!

— Sala i nie więcej!... Co wam z tego wiedzieć?... Mało sal różnych w Warszawie?

— Domyślam się, że tajni agenci.

Chołodenko się niecierpliwie poruszył.

— Panie Ziemećki. Ja was szanuję i dlatego radzę niezego nie domyślać się... To nie dla pana! Pan człowiek spokojny... Co pan widział, niech pan zatrzyma przy sobie i nawet nikomu o tem nie wspomina, bo ludzie narobią plotek, a plotki mogą panu zaszkodzić...

Wiesław zrozumiał, że dalsza rozmowa w tym kierunku mogłaby tylko skomplikować sytuację i wrócił się do przedłożenia Chołodence sprawy, z którą przybywał. Igor Iwanowicz odebrał papiery, przejrzał i zauważył z dwuznacznym uśmiechem.

— Ot, patrzysz na to i prosto... nie wierzysz! Pan, panie Ziemećkij, daruje! Ot, robi się wielka uroczystość, wszysej chcą iść. Ba, a tu praca czeka nas wielka! Tak, bo właśnie będą nam potrzebne listy wszystkich osób, które tylko będą brały udział w szpalerach na ulicy.

— Wszystkich osób? Panie, toż prawie niepodobna!

— Tak być musi! Panowie dacie nam listy, my je sprawdzimy i odpowiemy, kto może być dopuszczonym a kto nie! I tylko osobom, przez nas zatwierdzonym, wydacie bilety.

— Ależ... to przecież idzie o całe tłumy.

— Prawda, prawda! Co robić. Robota nie lada! — przytwardził Chołodenko. — A przytem — dodał konfidencyjnalnie — robota niewdzięczna.

— Czy pan pewny jest, że to stanowcza decyzja? Ja, naturalnie, zakomunikuję ją, lecz nie zdaje mi się możliwa do wykonania. Będziemy musieli zwrócić się do księcia.

— Owszem, zwróćcie się panowie. Nie moja rzecz. Chociaż wątpię. My odpowiadamy tutaj!

— Mówi pan o komitecie obywatelskim?

Igor Iwanowicz roześmiał się dobrodusznie.

— Pan Ziemęckij! Co wam? Wy człowiek — dusza! Wam się zdaje „komitet“... A nam za to nie ma wytehnienia. Gdyby was nie było, to nam byłoby lżej. Wojska w trzy szeregi na ulicach, okna zamknięte i koniec. Tu zaś przyjęcie. Komu bieda? — żandarmery! Ona wszystko, bez niej nie się zrobić nie może. Ciężka służba, bardzo ciężka służba! Gonia człowieka i w dzień i w nocy. Spokoju nie ma! I jeszcze trzeba robić ceremonie... jeszcze powiedzą ci, żeś hałasu narobił!

— Być może! — odparł Wiesław, uderzony wyjaśnieniami Chołodienki. — Lecz mnie się zdaje, że przedsiębrane przez panów środki ostrożności są zbyt teczne. Nastrój społeczeństwa obecny, a nadto współdziałanie obywateli, którym istotnie zależy na tem, aby najmniejszego nie dać powodu do niezadowolenia...

Chołodenko skrzywił się.

— Eheh! To się tak mówi, to jest taka poezja polska. Czyta się gładko, tylko natura, fijołki, zapachy, słońce, gwiazdy, a zastanowić się lepiej, to w każdym wierszu siedzi anarchia, bunt, rewolucya! Naczytałem się jej dosyć, to wiem. Wam teraz lojalizm, a pojutrze przyjdzie socyalizm. W głowie się mięsza. Nam samym aż dziwno! Nu, *gosudar* dobry, ot i nieboszczyk, spoczywający w Bogu, także był dobry... i co? Pan Ziemęckij, *czestnoje słowo*, z wami, pano-

wie Polaki, żyć miło, ale i *tugo*. Wy naród wesoly, grzeczny, przyjemny, ale i do poznania trudny. Tu się uśmiecha, a tam spiskuje. Dziecko jeszcze mówić nie umie, a już się od matki uczy... „niebłagonadiożności“...

Ziemęcki zęby zacisnął i wyjąkawszy kilka konwencyonalnych odpowiedzi, jął się żegnać.

Chołodenko spojrział nań z tryumfem.

— A co, widzi pan... tylko szczerzej mówić... już i pana to dotyka. Niech pan się nie obraża. Każdy ma swoje zdanie... Ja zaś myślę tak — dać wam panowie Polaki swobodę, dać prawa, to i koniec będzie waszego lojalizmu... nie dać, także musi być koniec... Dziś wam się chce, bo ja wiem, pomnika Mickiewicza... a jutro... zażądacie pomnika Kościuszki, a tam Kilińskiego!... i potem konstytucyi Trzeciego maja! My to znamy!

Wiesław chciał odpowiedzieć, lecz rzuciwszy okiem na mundur Chołodienki, wstrzymał się i odrzekł wymijająco:

— Długo by można o tem mówić!... Muszę wracać i tak moja bytność u pana przedłużyła się ponad program...

— Cha — cha! Pan Ziemęckij na drugi raz będzie ostrożniejszym! Co?

Wiesław, znalazłszy się znów poza murami pawilonów, na ulicy, odetchnął głęboko i podążył wprost do Waszewicza.

Profesor, wysłuchawszy opowiadania Ziemęckiego o przygodzie, jaka go spotkała, zasepił się i ozwał się pierwszy.

— Okropne stosunki, niktzemne!... Mnie samego czasem takie zniechęcenie, taka złość ogarnia... że ręce mi opadają! Nawet ci... jeszcze nas podejrzewają i nie wierzą!

— To jest szelmstwo!

— Nie — nie, mój kochany... to tylko wyrafinowana polityka partii rosyjskiej, która drży, aby nasz lojalizm nie wywalczył sobie praw, która wszelkich środków używa, byle nasze zabiegi w niwecz obrócić!...

— A jeżeli im się to uda? Co z nami będzie?

— No! — no! Nie taka to łatwa sprawa, jak ci się zdaje!... Przedewszystkiem księżę Imeretyński sprzyja nam... dalej, margrabia Wielopolski współdziała! Lecz nie koniec na tem, w Petersburgu jest jeszcze księżę Uchtomski...

— Czy prawda, co o nim mówią?

— Pytasz się! Powiem ci... nie ma w tem sekretu! Uchtomski jest osobistym przyjacielem cara, jego doradcą niemal!... Człowiek światły nadzwyczaj, zapatrywań liberalnych... W jego *Petersburgskich Wiedomostiach* wieją zawsze prądy postępu. Nie dość na tem... ukazują się w nich artykuły, o autorstwo których świadomi wprost posądzają... cesarza! Nie mam czasu... ale przejrzyj sobie choć kilka ostatnich numerów *Wiedomosti* a przekonasz się, że tam mówi się wprost o potrzebie przyznania nam praw!... Prócz Uchtomskiego jest Witte, minister skarbu, osobistość bardzo nam przychylna, dalej Goremkin, minister spraw wewnętrznych, na niego także nie mamy prawa się uskarżać! Teraz jeszcze księżę Chilkow, minister

komunikacji! Jest się na kim wesprzeć! Nadto uważasz, kwestya polska była niedawno omawiana w notach półurzędowych Rosji z Francją... Ta ostatnia ma zawsze pewne moralne względem nas zobowiązania... One dotąd nie pozwalały jej prosto spojrzeć w oczy Europie... Dzisiaj...

— Profesorze! Czy to nie złudzenie przypadkiem... Teraz... kwestya polska w ministerstwie francuskim?...

Waszewicz poprawił niecierpliwie okulary i odparł z naciskiem.

— Nigdy z zasady nie powtarzam żadnych plotek i nie mam zwyczaju budować zamków na lodzie. To, co mówię, jest oparte na pozytywnych danych. A zatem mogę cię upewnić, że Francja w bardzo delikatnej formie wspomniała, że złagodzenie stosunków polsko-rosyjskich wzmocniłoby niezmiernie alians francusko-rosyjski! To nie są żarty!... Banda urzędnicza może nam wiele zrobić złego, ale nas nie zmoże. Szykanują nas na wszystkie strony, mniejsza o to... jeden rozkaz i wszyscy panowie w rodzaju Chołodienki powrócą do swego Jarosławia czy Saratowa. Nawet sądzę, że rola Imeretyńskiego jest tylko przejściową. On ma tylko utorować drogę. Po Hurce — hrabia Szuwałow, po hrabi — księżę półkrewi, a po nim ktoś z rodziny cesarskiej. Wysiedziałaś się dzisiaj, biedaku... Trudno. Do serca brać tego nie trzeba.

— A co zrobimy z Rzązewskim?... Kręci się ciągle około nas.

— Nie, nie zupełnie! Udać musimy, że o niczem nie wiemy! Niech Bóg broni, żebyśmy go mieli pło-

— 242 —
szyć!... Pilnować się, aby tu sieci nie rozciągał i na tem koniec.

— Szpiega mieć około siebie?... Ustrzedz się niepodobna!... Nie się u nas nie robi takiego, co by ostatecznie mogło nas kompromitować, ale niejednokrotnie prowadzone rozprawy...

— Głupstwo. Dam ci sposób!... Przy rozsyłaniu zaproszeń na zebranie pomijaj go stale!... Wiele już sesyj nie będzie... możemy się półurzędownie naradzić u mecenas!...

Na kilka dni przed zapowiedzianym przyjazdem cesarskim, spadł na komitet obywatelski nowy kłopot. Bo to margrabia przyniósł wiadomość, że ministerjum dworu zapytuje konfidencyonalnie, na jaki cel ludność Królestwa chce złożyć owe miliony, gdyż cesarz ma zamiar pójść za życzeniem ogółu...

Postawione pytanie zaskoczyło wszystkich członków komitetu. Owe dwa miliony rubli z górą miały być doreczone cesarzowi na uroczystej audyencji...

Nikt nie wątpi o tem, że Mikołaj przeznaczył je na jakiś cel użyteczności publicznej, ale nikomu nie przyszło na myśl, iż zasięgać będzie zdania ofiarodawców...

W jednej chwili powstał rozdzwiek w komitecie. Ilu członków, tyle było zdań. Margrabia doradzał odpowiedzieć, że obywatele Królestwa chcieliby mieć pomnik, wyrażający ich wiernopoddane uczucia dla tronu rosyjskiego, mecenas proponował wybudowanie rozległego szpitala, Wórski, klerykał, doradzał, iż tylko kościół mógłby zadowolnić wszystkich... Przemysłowiec Emer dawał do zrozumienia, że ko-

— 243 —
ściół, wobec różnorodności wyznań, byłby nie na miejscu, natomiast schronisko dla bezdomnych nędzarzy lepiej odpowiadałoby potrzebom kraju. W powodzi projektów nie brak było i myśli śmiałych, jak przywrócenie zamkniętego podczas powstania Towarzystwa przyjaciół nauk, lub przystrojenie Ogrodu Saskiego spiżowymi posągami wszystkich królów polskich z... Mikołajem na ostatku...

Propozycje margrabiego i Wórskiego upadły w łonie komitetu, inne rozchwiały się w pierwszym starciu z Jaczewskim, kilka znów zostało uznanych za nieodpowiednie przez Imeretyńskiego... Najwięcej szans zdawał się mieć projekt utworzenia instytutu politechnicznego, projekt, gorąco wspierany przez część członków komitetu, z Waszewiczem na czele.

Prasa żywy udział wzięła w naradach. Codziennie ukazywać się zaczęły obszernie artykuły, omawiające potrzeby kraju. W artykułach tych, naturalnie, nie mówiło się nic o darze, o milionach, ani o carze, atoli Warszawa je rozumiała.

Równocześnie w komitecie przygotowywało się przemówienie do cara, które miał wygłosić mecenas Przyborski. Kilka godzin zeszło nad sklejeniem kilkunastu zdań, mających wiernopoddane uczucia połączyć z... postawieniem warunków ugody. Mowa wypadła świetnie. Trudno było wyrazić się jaśniej, dobitniej a delikatniej. Wiesław skwapliwie pojechał przedstawić ją Jaczewskiemu. Tym razem konferencja długo nie trwała. Mowa uznana została za... niemożliwą do wygłoszenia. Komitet, zrażony niespodziewaną przeszkodą, zabrał się natychmiast do nowej

redakeyi, zdobywając się na jakąś muślinową robotę, na słowa, w których nie łatwo było domysleć się aluzji do swobód... Lecz i tego było jeszcze za wiele. Jaczewski odniósł się do Imeretyńskiego, ten ostatni naradził się z ministrem dworu i przemówienie znów zostało skasowane.

Jaczewski z właściwą sobie uprzejmością zakomunikował tę wiadomość Wiesławowi.

— Panowie — rzekł — kochacie się w wyrazach zbyt technicznych... Powitanie monarchy nie może żadnych budzić wątpliwości, ani żadnych domysłów... Myśli muszą być ujęte w karby. Wszelkie przymiotniki, wszelkie akcentowanie jest zbyt techniczne...

— Panie — podchwycił żywo Ziemęcki, rozdrażniony nowem niepowodzeniem — nie wiem, czy potrafię wyłożyć komitetowi, co właściwie jest w tem przemówieniu niestosownego.

— Hm, w takim razie... mogę kazać wyręczyć panów i polecić zredagowanie mowy któremu z urzędników...

— Bezwątpienia, lecz wówczas mowa nie będzie odbiciem uczuć...

— Panie, panie! — upomniał Jaczewski tonem wyrzutu. Dlaczego pan tak sięga daleko. Pamiętajcie, że tu przyjeżdża nie jakiś obcy mocarz na zawieranie z wami traktatów, ale pan, władca ziemi tej, wasz cesarz. Zresztą, książę chce wam dopomóc, tylko, że wy, panowie, przedstawiacie projekt przemówienia w języku polskim. To utrudnia nam zadanie! My musimy ją mieć w oryginale, w formie, w ja-

kiej będzie wygłoszona, a nie w tymczasowem tłumaczeniu. Pan, widzę, mnie jeszcze nie rozumie. A przecież chyba tutaj nie powinno być żadnych wątpliwości. Do cesarza Wszechrosyi poddany rosyjski... może tylko przemawiać po rosyjsku.

Wiesław zmieszał się. Jaczewski uśmiechnął się łagodnie.

— Ile to czasu marnuje się na te drobiazgi... Komitet, o czem nikt nie waży się wątpić, ma jak najszersze chęci. Książę to ocenia lepiej, niż panom się zdaje i będzie umiał tam, gdzie należy, zdanie swoje wypowiedzieć, tylko już nie róbcie mu panowie przykrości. W takiej chwili nie powinno być kwosów! Tu nie idzie przecież o małąstkowe kwestyjki!... Musicie traktować wiele spraw zimniej, pamiętając, że polityka musi mieć swoją logikę. Na przyjazd najjaśniejszego pana Europa będzie miała zwrócone oczy, a i tak w ościennych państwach daje się zauważyć pewne nieukontentowanie. Pan mnie zrozumiał?...

Wiesław skinął machinalnie głową.

Jaczewski ujął go za rękę i uściśnął życzliwie.

— Panie Ziemęcki, im lepiej pana poznaję, tem większą dlań czuję sympatyę. Pan jest człowiek młody, gorącego serca. Pan jest oddany sprawie tak, jak może nikt inny. Tylko rozważaj więcej! Koniecznie rozważaj! Książę niejednokrotnie zapytywał mnie o pana. Tu nienależy zniechęcać się pozorami.

Słowa Jaczewskiego ujęły Wiesława.

— Jestem przekonany o prawdzie słów pana — ozwał się poważnie. — Lecz niech pana nie dziwi może pewna gorycz, od której powstrzymać się nie

mogę. Tyle dobrych chęci widzieć rozbitych, o formalistykę dworską, patrzeć, że pomimo harmonii, obraz uczuć polskich nie znajdzie pełni swego odbicia, bo sprzeciwiają się temu przyczyny, które może powinny by zejść na plan drugi. Panie! O cóż tu idzie! O przekonanie monarchy, że wszystkie uczucia, wszystkie serca zgodnem uderzają tętnem, że powierzą się jego wspaniałomyślności.

— Wybornie! Doskonale powiedziane! — przyznał Jaczewski. — Chcecie wyrazić swe wiernopoddane uczucia? Prawda? Więc dlaczego ta chęć podkreślania ciągłego swej narodowości.

— Bo... przecież jesteśmy Polakami!

— A! No tak! O tem wiedzą wszyscy, o tem pamięta monarcha! Nie potrzebujecie się panowie silić na przypomnienie. Z drugiej zaś strony, czyż może coś więcej ucieszyć najjaśniejszego pana, jak widok, że pojęcie o przynależności państwowej Polaków Królestwa zapuściło głębokie korzenie. Nie ma złego bez dobrego. Te ograniczenia, to, co wam się zdaje być skrepowaniem, obstrzeniem... wyjdzie tylko wam i całej ludności na dobre. Zasłoni was przed napaściami i insynuacjami tych, którym zmiana stosunków tutejszych może być nie na rękę.

Z ciężkiem sercem powrócił Wiesław od Jaczewskiego do obradującego w późną noc komitetu. Odpowiedź księcia, wypowiedziana ustami urzędnika do szczególnych poruczeń — zmroziła wszystkich, ścięła krew w żyłach nawet największym optymistom.

Mecenas Brzyborski porwał cię z miejsca.

— Składam mandat przewodniczącego! — zawołał w uniesieniu!

Waszewicz próbował perswadować.

— Nie — za nie! — bronił się mecenas. — Od-mawiają nam wszystkiego, ubezwładniają nas, schodzimy do roli manekinów!... A przecież czeka nas odpowiedzialność przed społeczeństwem! Niech kto inny obejmie moje miejsce!... Z chwilą, gdy stajemy się biernem narzędziem, ja muszę się zrzec zaszczytu przyzywania.

— Mecenasie, nie podobna! W tak stanowczej chwili! — perswadował profesor.

— Słusznie pan nazywa ją stanowczą! Czas wielki zastanowić się głębiej! Zresztą na co ten komitet, na co obrady, na co ten cały aparat narad, protokołów, dyskusyj, wniosków... uchwał — kiedy nie samodzielnie postanowić nam nie wolno. O wiele byłoby nam wygodniej i właściwiej wprost otrzymać instrukcję z biura generał-gubernatora...

— Racya! Racya! — odezwały się pojedyncze głosy.

Profesor, widąc, że zanosi się na zupełne rozprężenie, wysłał posłańca do margrabiego z prośbą, aby przybył ratować sytuację.

Przyborski perorował dalej i już nie tylko potępił stosunek komitetu do władz, ale jął w zapale dowodzić jego niedorzeczności.

— Bo czemże my jesteśmy? — mówił — Czy reprezentantami narodu? Nie zdaje mi się! Nikt nam mandatów nie dał, zorganizowaliśmy się sami, usurpując sobie prawa przedstawicieli! Taka samowola

w pewnych wypadkach nie jest grzechem... byleby nam wolno było działać, byle nie trapiło nas na każdym kroku! Deputacya, która powinna by powitać panującego monarchę na granicy ziemi, staje się jakąś sekcyą, zajmującą się zbieraniem składek na dar!... Zgodziliśmy się i na to lekceważenie... aż tu każą nam przemawiać po rosyjsku! Panowie, czy pośród was znajdzie się ktokolwiek, któryby się ważył na coś podobnego?

— Mecenasi! Na miłość Boską! — szeptał półgłosem profesor. — Zimnej krwi więcej! Cała sprawa może pójść na manowce. Przyborski ostygł nieco. Wśród zgromadzenia powstał gwar.

Rzązewski, który nieznacznie zjawił się na sesyi, przysunął się do Wiesława i zaczął po cichu ze zwykłą swą żartobliwą dobroduszością:

— Nasz kochany mecenas coś bardzo przejęty. Gorąco tu, widzę, gorąco!... Doskonale mówi... Zuch! zuch... tylko tak mówić, to nie bardzo zdrowo...

— Pana to dziwi! — odrzekł lodowato Wiesław.

— Mnie? Kochany panie Wiesławie! Dlaczego tak oziębło?... Niehumorek znów!... Nie mam do was szczęścia... Dla mnie? Owszem. Lubię bardzo słuchać mecenasa... ale to za śmiało, za śmiało...

— Istotnie. Trzeba darować Przyborskiemu, nie przypuszcza, żeby go tu kto szpiegował.

Rzązewski zarumienił się zlekka i spojrzał podejrzliwie na Ziemęckiego, a nadrabiając miną, przyznał pośpiesznie:

— Naturalnie. Cóż znowu. Jesteśmy sami swoi. W naszym kółku wolno wszystko. Nieprawdaż? Nie mam racyi?

— Ściany mają uszy.

— Cha, cha! Dobrze powiedziane. Prawda! Ściany mają uszy! Kochany pan Wiesław facecyonista zawsze.

Ziemęcki chciał się odciąć, lecz przy drzwiach zrobił się ruch niespodziewany.

Margrabia Wielopolski, zaalarmowany listem Waszewicza, nadjechał właśnie i nie sam, lecz w towarzystwie ochmistrza dworu Pęcherzewskiego.

Zebrani powitali zjawienie się margrabięgo głuchem milczeniem.

Wielopolski na uboczu zawiązał żywą rozmowę z profesorem i Przyborskim. Pęcherzewski sunął tymczasem ze słodkim uśmieszkiem wśród zgromadzonych i witał się służalczo.

Ochmistrz dworu petersburskiego, Pęcherzewski, a jak go popularnie tytułowano w kołach rosyjskich: „miły Iwan Aleksandrowicz“, był typem parweniusza, trzymającego się, jak to mówią, rękami i nogami swego urzędu i kłamki generał-gubernatora. Pucłowata, obrzękła twarz ochmistrza rozpyływała się w ciągłych półuśmieszkach, ciężki kadłub gwałcił się na pałkowatych nogach, a obwisłe wargi wyciskały z różnym zapalem pocałunki na żółtej, kościstej, drapieżnej ręce Maryi Andrejewny Hurko, jak i na delikatnej, drobnej rączce księżny Imertyńskiej.

Ochmistrz Pęcherzewski był żywym obrazem starego targowiczana, co dla tytułu rosyjskiego, dla

uświatnienia podejrzanej tarczy herbowej, a przede-
wszystkiem dla zysku zaprzedał ciało i duszę, zdra-
dzał ziemię, wiódł do zguby najbliższych.

Wielopolski miał imię, miał w spadku po ojcu
odebrany program polityczny, miał jeszcze dumę ro-
dową, a będąc wiernym sługą cara, nie zniżał się do
kompromisów z łażą pacholkiem. Pęcherzewski pła-
szył się nawet przed stójkowym. Zbyt płytki na to,
aby zdobyć się na jakieś lawirowanie ze swoją pol-
skością, obchodził się po macoszemu, w każdej chwili
gotów do zaparcia się swego pochodzenia, wiary
i swoich związków rodzinnych.

Pysnił się swoim mundurem, haftowanym suto,
pysnił się tem, że znajdował się tam, gdzie polskie
nazwiska nie miały wstępu, pysnił się, że on jeden
dostał pohańbienia zostania członkiem komitetu
rosyjskiego Czerwonego Krzyża, stowarzyszenia, które
w niczem nie ustępowało pruskiej hakacie, pysnił się,
że podczas przyjęć na zamku drzwi otwierał pani
generał-gubernatorowej.

Pęcherzewski bodaj był jedynym urzędnikiem
dworu, którego tytuł nie był czcym zaszczytem.
Każda galówka, każdy obiad u wielkorządcy, każde
zebranie zastawało ochmistrza na stanowisku.

Oczywiście, Pęcherzewski miał wpływy swoje,
miał stosunki. Zbyt samolubny, by je na dobro czyje-
kolwiek obracać, pamiętał tylko o sobie. Generał-
gubernatorzy umieli cenić zasługi ochmistrza, uzna-
wali jego lojalność, więc raz wraz rzucano *miłomu*
Iwanowi Aleksandrowiczowi kość do ogryzienia.

Obrusitieli warszawscy nazywali go więc ma-
łym, kraj sprzedawczykiem, a arystokracji
lokajem.

Mecenas Przyborski, pod wpływem przedsta-
wień margrabiego, ostygł zupełnie, żałował prawie,
że zbyt gwałtownie zmanifestował swoje ustąpienie.
Bronił się jeszcze Wielopolskiemu, lecz już tylko po
adwokacku, dla zasady umotywowania swego po-
stępu, nieszczerze.

Margrabia, zauważywszy swoją przewagę nad
mecenase, obwieścił przystąpienie do obrad. Człon-
kowie komitetu otoczyli zwartem kołem stół przy-
dualny, z niepokojem oczekując na słowa Wielopol-
skiego i na starcie, jakie niewątpliwie nastąpi z me-
cenasem.

Tymczasem margrabia zdobył się na niespodzie-
wany wybieg; oto, jakby nie wiedząc nic o burzy,
która zawisła w powietrzu, oświadczył zebrany, że
właśnie przybyły z nim razem ochmistrz dworu Pę-
cherzewski odczyta ważniejsze punkty ceremoniału
przyjęcia i wskaże miejsca, jakie przypadną w udziale
członkom komitetu obywatelskiego.

Ochmistrz Pęcherzewski rozwinął zwój papierów
i rozpoczął odczytywać długi ceremoniał, pełen dro-
biazgowych szczegółów, pouczający prawie nietylko
kto, jak i przed kim ma stać, lecz w którą stronę
patrzyć. Z tego ceremoniału zebrani dowiedzieli się,
że w czasie przejazdu cesarskiego wyznaczono im
miejsce na ulicy pod bramą obywatelską, na Kra-
kowskiem Przedmieściu, że audyencya w Łazienkach
nastąpi na drugi dzień po przyjeździe... podczas któ-

rej wszyscy członkowie komitetu będą mieli szczęście być przedstawionymi parze cesarskiej... Dalej, że otrzymają zaproszenie na raut w Zamku i na przedstawienie galowe w teatrze.

Gdy ochmistrz skończył, margrabia ozwał się z przejęciem.

— Widzicie, panowie, że, pomimo poważnych przeszkód... zapewniono nam... poczesne miejsca w ceremoniale... A proszę nie zapominać, że są to duże ustępstwa, bo nie każdy z nas ma kwalifikacye do przedstawienia u dworu...

Pęcherzewski skinął twierdząco głową.

Margrabia spojrział znacząco na mecenasa i ciągnął dalej:

— Słyszałem, że redakcyja słów powitalnych sprawia panom nielada kłopot... Otóż zapytuje, czybyście panowie nie raczyli mnie zaufać i powierzyć to przemówienie! Mogę was zapewnić, że nie dodam do tego, coście nakreślili, ani jednego wyrazu, ani też... nie ujmę... Czy panowie zezwalają?

Lekki szmer powstał w zgromadzeniu. Wielopolski obrócił się, utkwiał swe wylupiaсте oczy w skromnej figurce Bergszmidta i rzucił niedbale:

— Spróbujmy głosować! Panie Bergszmidt, czy pan godzi się?

— Ależ, panie margrabio — odrzekł pomieszany milioner — naturalnie!

— Dobrze?... Panie Emer!... Panie Dunt!

— Zgadza się — odpowiedzieli przemysłowcy, zaskoczeni wprost do nich skierowanym pytaniem.

Ordynat Turojski i hrabia Dziunio także dali przyzwolenie. Wielopolski napierał po kolei wszystkich. Większość nie ważyła się otwarcie zaoponować margrabiemu. Dziennikarze Radosław i Dobromir ustąpili głosów Waszewiczowi — ten oddał je bez wahania Wielopolskiemu. Przyborski odrzekł wymijająco, że wobec poprzedniego oświadczenia i uchylenia się, nie przeciwko propozycyi margrabiego nie ma. Rzązewski przeważył szalę głosów.

Wielopolski wydał z zadowoleniem policzki. Jakieś przykre milczenie powiało nad stołem obradujących. Ten i ów patrzył przed siebie, jakby bojąc się spotkać czyjego spojrzenia. Waszewicz protokółował uchwałę. Wielopolski szeptał coś do ucha Pęcherzewskiemu.

Ziemęcki, który na końcu stołu siedział zamyślony, powstał nagle i rzucił krótko:

— Za pozwoleniem! Upoważniliśmy pana margrabiego, lecz sądzę, że należy nam się jeszcze odpowiedź i zapewnienie, że pan margrabia będzie przemawiał po polsku.

Zebrani zwrócili pomieszane twarze w stronę, skąd ich ten niespodziewany głos dochodził. Mecenas sięgnął po monokl. Waszewicz pobladł lekko, margrabia nerwowo jął bębnić wielkimi palcami po stole prezydyalnym. Na twarzy Pęcherzewskiego osiadł wyraz zgrozy.

Ziemęcki, nie zrażony milezieniem, mówił dalej:

— Panowie darują, że głos samowolnie zabieram, wobec atoli tak ważnego pytania, sądzę, iż tę sprawę właśnie przedewszystkiem trzeba wyjaśnić... bo jak

slusznie pan mecenas Przyborski zauwazyl, schodzimy na funkcyonaryuszow, pozbawionych samodzielnosci...

Przyborski zielenial i spojrzal ze zloscia na Wieslawa, ze mu najniepotrzebniej przypominal to, czego on juz prawie zalowal.

Waszewicz chcial zalagodziec wystapienie swego pupila.

— Proszę panów... zdaje mi się, iż osoba pana margrabiego jest dla nas dostateczną rękojmią tego, że wszystko będzie załatwionem tak, jak tylko można najlepiej.

Mecenas już usta roztworzył, aby poprzeć profesora i złośliwą uwagą ukarać niepowołanego opo-
nenta — gdy Ziemięcki odciął się Waszewiczowi gwałtownie.

— Bezwątpienia! Nikt o tem nie wątpi, najlepszy dowód, że odstąpiłszy od razu od narad nad sprawą, która nam tyle zabrała czasu... A zdaje mi się, że nie będzie to naruszeniem pokładanego w panu margrabi zaufania, jeżeli nas objaśni już nie, co będzie mówił, ale w jakim języku!...

Szmer lekki powstał wśród zebranych. Waszewicz przypadł z tyłu do Wiesława i rzucił półszeptem:

— Wiesu! Co ty wygadujesz! Oszalałeś!

— Być może! — odrzekł flegmatycznie Ziemięcki.

Wielopolski chrząknął niecierpliwie i odezwał się ostro.

— Nie będę w to wchodził, czy interpelant ma w ogóle... prawo głosu... w waszem zebraniu i wierzę, iż moje wątpliwości są błędne, lecz odpowiadam! Będę więc takim językiem przemawiał, jaki zna mo-

narcha i to chyba powinno by panom wystarczyć! Dla nas ważniejszą bezwątpienia od przemowy samej jest odpowiedź, jaką odbierzemy z ust cesarza... tam dopiero każde słowo, każdy wyraz będzie stanowił o naszej przyszłości...

Czy panowie życzą sobie jeszcze zastanawiać się dłużej nad tą kwestyą?

— Za pozwoleniem — wmięszal się znów Ziemięcki. — Ponieważ pan margrabia wyraził wątpliwość, czy mam prawo głos tu zabierać...

Mecenas zadzwonił niecierpliwie i przerwał:

— Przepraszam... w tej chwili mówi pan margrabia!

— Najwłaściwiej będzie znów zarządzić głosowanie — kończył z pogardliwym uśmiechem Wielopolski. — Panie Bergszmidt, czy godzi się pan na zamknięcie dyskusyi w tej kwestyi?

Milioner pochylił bezmyślnie głowę. Emer i Zent skwapliwie poszli za Bergszmidtem. Głosowanie tym razem udało się znakomicie. Ziemięcki błady, a dotknięty słowami margrabiego, dopominał się o prawo głosu.

— Zapóźno! Dyskusya zamknięta! — odmówił mecenas.

— Ja chciałem tylko objaśnić pana margrabiego!...

— Nie pora po temu! Porządek dzienny! — zao-
piniował energicznie Przyborski.

Ziemięcki zaciął zęby, czekając na odpowiedniejszą chwilę, gdy będzie mógł wypłacić się za obelgę.

Literat Nitecki, który siedział tuż obok Wiesława, dotknął łagodnie jego ramienia i rzekł cicho tonem przyjacielskim:

— Pan ma rację! Ale, co robić? Zimna krew tu rozstrzyga, rozważa inaczej postąpić nie zezwala! Przysporzyłoby się tylko drażliwości bezcelowych. Musimy brnąć dalej. Spokoju, więcej spokoju, kochane panie, ani pan, ani ja tu nie poradzimy. Większość nas zmusi do milczenia. Lepiej się nie odzywać wcale.

Wiesław spojrział z szacunkiem w poczeiwe, szlachetnie patrzące oczy głośnego pisarza i odrzekł:

— Przecież to, co się dzieje teraz...

— Ciszej! ciszej! — upomniiał Nitecki. Zapóźno na protesty. Nikt tu nie wesprze opozycji. Patrzmy końca. Wszystko być może. Pozwól pan, zdaje się, iż znów się czegoś nowego dowiemy.

Jakoż margrabia po cichej rozmowie z ochmistrem Pęcherzewskim, zabrał znów głos.

— O nowej, szczególnej względności ministerstwa dworu, muszę panów zawiadomić. Mianowicie, raczyło ono uwzględnić moje prywatne przedstawienie i zezwoliło, aby wszyscy członkowie komitetu przywdziali mundury obywatelskie. Mam nadzieję, iż panowie nieznaczny ten wydatek poniosą chętnie. Mundur warunkowo uwydatni nasz charakter reprezentacyjny i niejako ujednolajni naszą grupę — równocześnie zaś ułatwi w czasie uroczystości poznanie się wzajemne i stosunek z władzami.

— Ja zaś — odezwał się z kolei Pęcherzewski — muszę panom przypomnieć, że według statutu cesarza Aleksandra I., mundur ten przysługuje tylko szlachcie rodowej, dziedzicznej — atoli w pewnych razach, zresztą bardzo rzadkich, dwór robi wyjątki, i o ile

kto raz z nieuprawnionych do tego pochodzeniem dostąpi zaszczytu włożenia go, może już i nadal przywdziewać mundur na wszystkie uroczystości! Wobec tego może... dla którego z panów okazała się ta stać się źródłem niemałego zaszczytu...

Zebrany projekt przywdziania mundurów szlacheckich przypadł niezmiernie do gustu. Bergszmidt, bankierzy, przemysłowcy nie umieli ukryć zadowolenia.

Wielopolski jeszcze zagadywał o szczegółach przyjęcia, lecz już na słowa jego nawet nie zwracano uwagi, głośno akcentując, że „pan margrabia raczy załatwić według swojego uznania“...

Członkowie komitetu rozbili się na grupy i kółka i nawiązywali ożywioną rozmowę, a przedmiotem jej były debaty nad szczegółami munduru... Zdania były podzielone, lecz ochmistrz Pęcherzewski pospieszył z wyjaśnieniem.

— Mundur ciemnozielony, kołnierz i mankiety okładane czerwonym aksamitem, na nim haft złoty, według rysunków i wzorów dla urzędników ósmej klasy. Guziki złote z orłami. Zapięcie na jeden rząd dziewięciu guzików oznaczających symbolicznie imię „Ekaterina“, po dwa mniejsze na rękawach, co oznacza „wtoraja“... Kapelusz stosowany czarny z czerwono-białą kokardą, szpada... spodnie czarne.

Ziemęcki oburzył się na tę małostkowość członków komitetu i rzucił Niteckiemu sarkastyczną uwagę. Powieściopisarz skrzywił się pobłażliwie.

— Pan się czego spodziewał po nich. Obejrż się pan! Przyjrzyj się tym ludziom z bliska i nie żądaj od nich tego, czego oni dać nie mogą! Lecz

tu o nich nie idzie! Byłoby robota na marne nie poszła. Lalki są wszędzie potrzebne!

— A pan?

— Nie rozumiem pytania!

— Czy i pan przywdzieje mundur?

— Ja? A to po co?

— No, przecież biorąc udział w pracach komitetu.

— W pracach, jeżeli to się pracą nazywa — tak!

Ale podczas tych uroczystości wolę być w tłumie. Jeden więcej, jeden mniej, nie zaważy wiele! Przedstawienie i tak będzie miało dosyć aktorów!

— Słuszna — słuszna uwaga... Pójdę za pana przykładem!

— Pan? Nie. Pan jesteś człowiekiem młodym. Nie pomijaj sposobności. Bądź co bądź, chwila będzie ciekawa, może przybrać charakter wielkiego aktu historycznego, albo bolesnej tragedii.

— Czy pan przypuszcza możliwość podobnego zakończenia.

— Czy przypuszczam? Nie! Bo nie znajdowałbym się tutaj! Ale obawiam się. Polityka nie zna względów, nie ma litości — polityka Rosji była zawsze najnikczemniejszą. Gdyby nieuczciwość w polityce była przestępstwem, to Rosja powinna być zburzoną. Refleksje nieco spóźnione. Nie czas się cofać, trzeba iść.

Zebrania zaczęły się rozchodzić. Czesz Rzązewski podszedł z uśmiechem do Wiesława i ujął go za rękę.

— Ja jestem z wami! Słowo daję! Pytanie było słuszne i uzasadnione. Ucałowałbym był was za to.

drogi panie. Taki margrabia sobie myśli... Gdzie sobie myślicie zamówić mundur?... Co?...

— Nie wiem.

— Ja idę do Skwierczyńskiego. Drogi, bo drogi, ale majster nielada. Cóż, nam mundur taki nie nowina. Właściwie sam nie wiem, czy kupować, bo mam przecież mundur dworski imienia cesarzowej Maryi Teodorówny.

— Czy tylko ten jeden? — zauważył ironicznie Ziomecki.

— Dwa! A jakże...Więc mundur i gala.

— Tak. Ja myślałem, że może jeszcze gdzie w innym urzędzie służyście równocześnie.

Rzązewski odwrócił niespokojnie oczy i roześmiał się dobroduszenie.

— Kochany pan Wiesław! Facecyjki ma zawsze na zawołanie. Bliźniemu lubi łatkę przypiąć. Cha — cha! No, nie szkodzi. Ja mam zawsze wielką dla drogiego pana życzliwość... słowo honoru... Podczas uroczystości będziemy się trzymali razem! Co? Zgoda?...

— Żałuję bardzo, lecz nie będę mógł skorzystać.

— Szkoda! szkoda! No, już my się znajdziemy...

Sala opróżniała się coraz bardziej. Wreszcie Waszewicz wyprowadził Przybórskiego i pozostał sam z Ziomeckim.

Wiesław czuł, że profesor będzie mu robił wywódki. Uzbroidł się więc w zimną krew i postanowił sobie nie ustępować tym razem.

Waszewicz nie dał na siebie długo czekać. Przejrzał nerwowo kilka porzuconych na stole papierów,

potrącił niecierpliwie zawadzające mu krzeselko i uciał, hamując rozdrażnienie.

— Ładną zrobiłeś mi niespodziankę!...

— Niespodziankę? — odrzekł Wiesław, siląc się na obojętność. — Nie rozumiem pana.

— Nie rozumiesz? Proszę?! Zachowałeś się, jak warchoł! Zamiast bronić sprawy, o mały włos nie sprowadziłeś skandalu!

— O czym pan mówi?...

— Pytaj się jeszcze? Już i tak wnętrzności mi się przewracają! Ja cię tu wprowadziłem, zdawałeś się być w zupełności mnie, a właściwie komitetowi oddanym, a tu w krytycznej chwili taki paszтет!... Margrabia trząsł się z oburzenia i to jeszcze przy kim, przy Pęcherzewskim... Ładną ci markę wyrobi...

— Mało mnie to obchodzi!...

— Zapewne. Od ciebie innej odpowiedzi spodziewać się nie można było. Piękna logika... Można ci powinszować!...

Wiesław poczerwieniał.

— Do czego pan zmierza?

— Żeby ci powiedzieć, że... że tak się nie postępuje... że trzeba się dobrze zastanowić nad tem, co się mówi, bo tu... każdy wyraz może zaciężyć nad losami kraju...

— I dlatego uważałem za słuszne pójść za mecenasem.

— Za mecenasem! Mecenase to jest dudek, deklamator i nic więcej... Jednakże sam się przekonałeś, iż opatrzył się w porę... ledwie się z nim skończyło, ty wyrwałeś się, jak Filip z konopi...

— Nie mówmy o tem! — przerwał ostro Ziemęcki. — Nie chcę pana narazić po raz wtóry na taką przykrość i ustępuję... Od dziś... usuwam się od wszelkich związków z komitetem.

Profesor ochłonął.

— Co? Co? Co ty wygadujesz?

— Że mam dosyć tych narad, tej polityki i tych kompromisów.

Waszewicz przyskoczył do Ziemęckiego blady, drżący ze wzburzenia.

— Co ty sobie myślisz? Za kogo ty mnie bierzesz? Za szpiega, za sprzedawczyka? Ty jeden masz dyplom na patriotę? A ja co? Ja się zasługuję moskalom? Ja liżę im łapy przez wdzięczność za moją nędzę tyloletnią, za więzienie? Co? Gadaj!

— Nie — tego nie mówię i tego nie myślę... jednak wolę się usunąć.

Waszewicz osunął się na fotel i oddechał ciężko, z ust wyrwały mu się krótkie, gwałtowne słowa.

— Człowiek zaparł się wszystkiego! Swego ja. Swoich myśli. Dla kogo? Zdaje ci się, że mnie to nie boli? Że ty jeden masz serce, które czuje za wszystkich? Że ja zgadzam się na ustępstwo bez walki? Teraz odejdz, wyprzej się, umyj ręce i obwieść światu, że twoje poczucie narodowe nie pozwoliło ci, zmusiło do zerwania z ludźmi takimi! Gdyby to zrobił kto z tej bandy komitetowej — bo, z małymi wyjątkami to bezmyślna banda — to bym się nie dziwił nawet — im przecież co innego w głowie, ale ty? ty? w ostatniej chwili?

— Profesor sam przecież uznał, że nie potrafię... zachować się.

— Gryź! Gryź! Wysiłaj się na złośliwości. Masz wyborną okazję! Powiedziałem i sto razy powtórzę, żeś się wyrwał niestosownie, bo wobec stada takich kwestyj się nie porusza, bo zaszliśmy już tam, gdzie cofać się nie wolno, gdzie cofać się niepodobna!

— Choćby nawet! Jednakże to nie upoważniło Wielopolskiego do wycieczki osobistej przeciwko mnie! Mam tego dosyć!

— A cóż ciebie obchodzi margrabia? Czy służysz jemu, czy sprawie? Stosunek z nim skończony. Jutro odbędzie się walne zebranie z przedstawicielami wszystkich stanów i instytucyj i koniec. No... Więś! Co tam! Ojcem twoim mógłbym być. Od lat tylu stosunki mnie z tobą wiążą. Zgoda i koniec. Zapalczywy jesteś, a tu nie gwałtownością, nie oburzeniem zrobić się nie da! Dokuczyłeś i tak dosyć margrabiemu.

III.

Był ciepły, jasny dzień wrześnieowy. Warszawa zbudziła się weześniej, niż zwykle i jęła kończyć swą szatę świąteczną, w jaką na cześć pary carskiej się stroiła.

Ulice, prowadzące od dworca kolei petersburgskiej do Łazienek, tonęły w powodzi państwowych kolorów, bijących od flag, chorągwi, festonów i draperyj. Dwa rzędy suto przybranych masztów dźwigały nieskończone girlandy zieleni. Co kilkadziesiąt kroków wglębień domów, a balkony pod młotkiem dekoratorów, zamieniały się w narodowe ołtarze z bustami cara i carycy. Na rogach ulic wznosiły się wielkie obeliski o liniach czystych, ateńskich z orłami, a przedziwnie wiązаныmi inicjałami.

Purpurą a złotem biła wspaniała brama obywatelska na Krakowskiem przedmieściu, amarantem otuliła się brama korporacyj gimnastycznych, godząc z tą barwą nie tylko herby państwowe, ale i podobną cara.

Pod Bernardynami zwieszały się bogate herby miast Królestwa, dziwnie smutne, a miejscami umiejętnie kryjące swoją polskość... Na Nowym Świecie brama ziemiańska błyszczała jasną strzechą i świe-

ciła u szczytu skrzyżowanemi kosami... godło Kościuszkowskich żołnierzy, oręż z pod Racławic i Stoczka, za sprawą ugody stawał się jednym emblematem wier-nopoddaczym więcej...

Do południa pracowały jeszcze młoty i młotki, sznury a drabiny — ostatnie zawieszano chorągwie, ostatnie układano fałdy, ostatnie nabijano cyfry, orły a godła.

Potem nastąpiła chwila ciszy głębokiej... a za nią z początku lekki zgiefk, pogwar, a wreszcie szum niezmiernego tłumu, przybranego odświeżnie, uroczyscie, tłumu patrzącego życzliwie nawet na przeciągające oddziały wyćwiczonego wojska, — tłumu, układającego się w karne linie za lada skinieniem członka komitetu w szlacheckim mundurze, — tłumu, którego jedyną troską było, aby nastrój godowy nie został zakłócony żadnym dyssonansem, aby jego wierność... żadnych nie pozostawiała wątpliwości, aby harmonia była pełną.

Fale ludu warszawskiego dążyły do ulic, któremi para cesarska miała przejeżdżać i wyciągały się w dwie zbite, szare wstęgi, szepejąc między sobą i ostatnie zwiastując sobie nowiny. A była ich taka moc niezliczona, że aż dziwić się należało, skąd się jawiły, z jakiego płynęły źródła.

Opowiadano sobie, że cesarz prosto z kolei wstąpi niewątpliwie do jednego z licznych na drodze kościołów i że w tym celu właśnie duchowieństwo polskie przygotowało się do odpowiednich powitań, dalej, że pod bramą obywatelską cesarz wysiedzie i wysłucha

przemowę, którą komitet opracował, że wogóle cały wjazd będzie miał charakter tryumfalnego pochodu, i że przy każdej bramie spodziewać się należy miłościwych zapytań i słów. Prócz tego komunikowano sobie słowa okrzyku, które miast rosyjskiego „hura!“ — miały się wyrażać w zawołaniu: „Niech żyje cesarz i król!“ Lepiej poinformowani twierdzili z powagą, że przywrócenie języka państwowego jest pewnem, a manifest, nadający samorząd królestwu w granicach zmodyfikowanego nieco programu Wielopolskiego — nastąpi niewątpliwie jeszcze...

Komun...
jaki...

jak oddychali żądzą przypodobania się monarsze, za-
służenia sobie na jego skinienie, jak zgasili wspo-
mnienia kajdan, katorgi, knuta i całej ohydnej ro-
boty „obrusitielej“ i „wieszatielej“ — śmiało rzec
można było, iż, jak dom Romanowych istnieje, jak
„czapka Monomacha“ wieńczy skronie — nigdy nie
spotkali na drodze swych wjazdów tryumfalnych ludu
tak porwanego, tak przejętego chwilą oglądania po-
mazańca synodu, tak rozplaszczzonego.

Gdyby w tłumie tym poważał się ktoś słowem
powanym, gdyby chciał
szutki, zanim
tego car
na

to zawieszał bodaj brązowy krążek, rozrzucony ob-
ficie na pamiątkę panowania Aleksandra III., lub
blaszkę „za pierwszy spis jednodniowy“.

Ci zaś, którzy nawet tak skromnych emblema-
tów nie posiadali — starali się szlacheckim mun-
durem, a w ostateczności nieskazitelną szlache-
ckiego munduru dostroić się do całości. Pod tą wła-
śnie bramą, członkowie komitetu obywatelskiego obrali
sobie stanowisko, wyłączając tych, którzy na linii
przejazdu podjęli się czynności organizacyjnych, pod
dozorem mecenasa Przyborskiego, Waszewicza i Zie-
męckiego. Mecenasa szczególnie rozwinał niezwykłą
działalność i energię. W opiętym mundurze szlache-
ckim, w stosowanym kapeluszu, na bakier zasunię-
tym, z monoklem w oku, przejeżdżał miasto w różnych
kierunkach, stojąc w otwartym faetonie i wydając
ostatnie rozkazy.

Przyborski wyglądał pysznie. W jego wysokiej,
sztywniej postaci, niedbale wspartej ręką o żelazo ko-
zła powozowego, było coś niezwykle pańskiego i pol-
skiego. Tłum witał go wszędzie życzliwym szeptem,
oficerowie policyi i żandarmeryi pilnie słuchali jego
uwag, ba, sam oberpolicmajster Gesser godził się na
wszystkie żądania mecenasa i bez ociągania się naka-
zał, aby policya usunęła się nie tylko po za kordon
honorowy, uformowany przez przedstawicieli stanów
i korporacyj, ale i po za tłum, stojący za kordonem.

Profesor Waszewicz również miał obowiązek do-
zoru ogólnego, czynił to wszakże bez ostentacyi, bez
okazywania i manifestowania swego mandatu. Wie-

ślaw miał sobie powierzona przestrzeń od Wareckiej ulicy do Łazienek.

Ziemęcki przejęty swoją rolą, ze spisem w ręku, ustawiał nadpływające kolumny uczniów i uczenie szkół, wioślarzy, cyklistów, lyżwiarzy, członków klubów myśliwskich, dzieci z ochronek i przytułków, bractw z obrazami i proporcami, duchowieństwa w szatach uroczystych z krzyżami i światłem. Zwierał szeregi, rozsuwał, nawoływał, porozumiewał się z przedstawicielami poszczególnych deputacyj, ostatnich udzielał wskazówek.

Na przygotowaniach tych upływały godziny. Wiesław, stojąc pomiędzy dwoma zwartymi szeregami deputacyj, coraz goręczkowiej spoglądał w stronę Pragi, oczekując na ukazanie się dworskich pojazdów... Ulice świeciły pośrodku pustką. Niekiedy ukazał się pędzący na koniu ordynans, czasem powóz wygalonowanego dygnitarza rosyjskiego przesunął się w pełnym galopie, ścigany głośnieci uwagami tłumu.

Ziemęcki niecierpliwił się. Program urzędowego ceremoniału zapowiedział przybycie pociągu cesarskiego na godzinę piątą. Tymczasem piąta minęła, a wystrzały armatnie, mające zwiastować Warszawie wjazd cara w mury stolicy Królestwa, spaźniały się...

Zniecierpliwienie udzielać się już zaczęło i tłumom. Tu i owdzie łamano linię i spoglądano ku stronie, z której wjazd miał nastąpić, rozprawiając głośno i dziwiąc się...

Najnie spodziewaniej od Zamku nadjechał profesor Waszewicz i dopadł Wiesława.

— Wieś, chcesz jechać na dworzec?...

— Gdzie, po co?

— Odpowiadaj! Chcesz jechać?... Mecenas potrzebuje mieć kogoś pod ręką!... Ja ledwo żyję!

— Jeżeli potrzeba? Jadę!

— Jedź! Zobaczysz najciekawszą część programu! Masz mój powóz! Siadaj! Stangret ma białą kartę — puszcza cię wszędzie!

— Ale co się właściwie stało? Dlaczego wjazd się tak opóźnia?

— Bo ja wiem — ofuknął rozdrażniony profesor. — Niczego dowiedzieć się nie można! Wracam stamtąd! Jak wiesz, cesarz jedzie trzema pociągami! Dwa już podobno nadeszły, lecz cesarza w nich nie było!...

— Nie rozumiem!

— Ach! Ty zawsze masz coś! Przecież to jasne!... „Ochraha“ taki porządek zaprowadziła oddawna!...

— Co za porządek?

— Widzę, że się nie odczepię od ciebie! Więc słuchajże! Dla bezpieczeństwa dostojnych osób idą trzy pociągi dworskie w pewnych odstępach czasu... Pociągi te o zupełnie jednakowym składzie taboru wiozą cesarską rodzinę, no, cesarza, dwór i służbę... ale nigdy nie wiadomo, czy cesarz siedzi w pierwszym pociągu, czy w drugim, czy w trzecim. Rozumiesz!

— Nie z tego nie rozumiem, co za cel?

— Cel? cel? Bezpieczeństwo! W razie ukartowanego zamachu, jedna szansa więcej, że przestępcy... nie trafią na pociąg cara.

— Aa! Więc dlatego i teraz!

— Przecież! Jesteś nudny, jak flaki z olejem. Każda rzecz trzeba ci *ab ovo* wykladać! Dosyć tego! Siadaj i jedź... a w razie, gdybyś zobaczył, że już pochód rusza, to skreć w boczną ulicę.

— A gdzie znajdę mecenasa?

— Jedź tylko prosto na dworzec, a już go znajdziesz... zobaczysz!

Wiesław wskoczył do powozu Waszewicza, konie ruszyły z kopyta przez Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, most na Wiśle ku dworcowi kolejowemu.

Teraz dopiero Wiesław mógł przyjrzeć się i ocenić cały ogrom i wspaniałość przyjęcia, zgotowanego carowi. To, co widział, przeszło jego wszelkie oczekiwania, przeszło nawet zamysły komitetu obywatelskiego. Prawda, ten ostatni agitował usilnie, niczego nie zaniedbał, co by mogło rozbudzić w ludności uczucia lojalne, wierno-poddane, co by mogło wzniecić sympatię dla młodego władcy... i Warszawa poszła za temi wezwaniami. Stawiła się w pełnym swym składzie... nikogo nie brakło! Od duchowieństwa ze światłem, krzyżami i proporcami, od cechów rzemieślniczych z chorągwiami, aż do najwższych warstw społeczeństwa, aż do arystokracji rodowej i duchownej. W szeregach tych stali i robotnicy fabryczni i kupcy i obywatele i rzemieślnicy i ziemianie i chłopci i przedstawiciele wolnych stanów.

Wystrzeliste dzwonnice kościołów czekały znaku, aby dźwiękami swymi uczyć upragnionego... gości... porozstawiane na drodze orkiestry czekały tylko sygnału, aby zabrzmieć tryumfalnie hymnem carskim.

a lud jakby gotował się już do pełnych zapалу i uniesienia okrzyków.

Ziemiecki jechał pośród fali ludu, pośród powodzi chorągwi, kwiatów, zieleni, dekoracyj, przybrań, bram, łuków, obelisków, monogramów i orłów, i patrzył z odcieniem zadowolenia na to dzieło komitetu obywatelskiego, na dzieło poniekąd i jego... Dumny był z tego zgodnego wystąpienia, dumny był z tej jednolitości, z harmonii, jaka panowała... Partya ugody święciła tryumf wielki, przechodzący najśmielsze oczekiwania, najbujniejsze rojenia. Przed jej hasłem ukończyli się wszyscy, ugięli nawet najzaciętsi wrogowie pojednania i w ostatnim dniu zdobyli się na bardzo wyraźne artykuły w swych organach... nie kryjąc się z tem, że lada chwila gotowi są paść do nóg... monarsze...

Powóz, wiozący Wiesława, pędził wyciągniętym klusem. Biała karta na kapeluszu stangreta roztwierała mu wszędzie, nie liczne zresztą posterunki żandarmerii...

Okolo Bernardynów konie u powozu Wiesława spięły się nagle i zdarły przed jaskrawością chorągwi cechowych. Stangretowi udało się je uspokoić i ruszyć dalej, lecz tok myśli Ziemieckiego przerwany nagle został... Wiesław podniósł oczy — spojrzał na wieżę zamku królewskiego i naraz jakiś lęk, jakiś przestрах go ogarnął...

A jeżeli wszystkie te przygotowania do zamierzonego nie doprowadzą celu? A jeżeli... system obecny żadnej nie ulegnie zmianie? Co wówczas będzie! Jeżeli to tylko zręczny manewr rosyjskiej polityki?!

Na samą myśl o tak fatalnem rozwiązaniu tych zabiegów, tych agitacyj, nawoływań, przedłożeń — krew wszystka uderzyła Ziemęckiemu do głowy.

To byłoby okropne, straszne... tego niepodobna przypuścić! Nie! Przecież nawet Rosyane nie mogą zezwolić na takie rozczarowanie całego ludu polskiego! Na to nie zezwoli cesarz... już to jedno przyjęcie musi go porwać, musi unieść! Cesarz jest młody, więc skłonniejszy do porywów serca, uczucia.

Wiesław bronił się zawzięcie zwątpieniu i umacniał się.

Niewątpliwie w przekonaniach tych jest wiele przesady. Państwo, mimo najlepszych chęci, musi ostatecznie liczyć się, z pewnymi względami, niepodobna ludzię się, aby za jednym pociągnięciem pióra przeistoczono system państwowy! Autonomia bezwątpienia będzie musiała jeszcze zaczekać kilka lat, nie mniej... ustępstwa będą, prawdopodobnie na początek językowe!

O Wielopolskim można tak i owak mówić, można się z nim nie godzić, ale w rezultacie uważa się go za Polaka i jest nim. Zbyt blisko stoi dworu, aby rozpoczął i prowadził grę, nie będąc pewnym wygranej. Niechybnie impuls do tego musiał odebrać z góry. No, a przecież stało się więcej, niż żądano, niż chciano, niż myślano.

Powóz mknął już przez Pragę.

Wiesław znów nabral otuchy i przyglądał się z zajęciem. Naraz zdało mu się iż gdzieś poza linią tłumy zobaczył wykrzywioną sarkastycznie twarz Janka Żabskiego — wzdygnął się mimowoli. Nie

koniec na tem — dalej wychyliła się ku niemu złośliwie uśmiechnięta twarz Cisa. Wiesław wpatrzył się przenikliwie, lecz mężczyzna, którego był za Cisa wziął, odwrócił głowę. W tejże prawie chwili powóz zatrzymał się przed gmachem dworca petersburskiego, w pobliżu zasłanych dywanami i zastawionych kwiatami schodów.

Ziemęcki wyskoczył z powozu, minął szereg dostojników w mundurach i dojrawszy zdaleka stojącego mecenasa Przyborskiego — podszedł ku niemu.

Przyborski był niezwykle wzburzony i niespokojny.

— Panie mecenasie — zaczął spiesźnie Wiesław. — Profesor mnie przysłał, potrzebuje... pan...

— Dobrze, dobrze, że pan jeste! — przerwał gorąckowo Przyborski. — Nie wiadomo, co wypadnie... może pan być potrzebnym. Chodź pan za mną na peron.

Przyborski zawrócił w głąb dworca i wyprowadził Wiesława na obszerny peron, wypełniony symetrycznie ugrupowanymi tłumami dostojników wojskowych i cywilnych. Wiesław ku wielkiemu swojemu zdziwieniu zobaczył błyszczący pociąg cesarski, stojący na linii wzdłuż peronu. Nie domyślając się, co by to mogło znaczyć, zagadnął półgłosem mecenasa.

— Panie mecenasie, pociąg musiał się spóźnić!

— Jakto? Nie widzisz pan, że stoi przed panem!...

— No, tak. Lecz mówię o pociągu, wiozącym cesarza. Miał przybyć o piątej...

— I przybył.

— Nie rozumiem...

- Cesarz od piętnastu minut w Warszawie...
- Od piętnastu minut?...
- Tak, powiadam panu... skandal! Patrz pan, co się ze mną dzieje...

Wiesław spojrział na twarz Przyborskiego i dostrzegł na niej istotnie ślady niezwykłego zdenerwowania.

Ziemęcki chciał go zagadnąć o przyczynę, lecz w tejże chwili mecenas ujął go pod ramię i zaczął nerwowo.

— Panie! Powiadam panu, mnie to pali, morduje, ustać już nie mogę... Tam pół miliona ludzi czeka... Jeszcze kilkanaście minut, a wszystko się rozprzęgnie. Przeklinam godzinę, w której podjąłem się tej roboty!...

— Mecenasie! Prezesie! Cóż więc się stało?...

Przyborski odciągnął Wiesława na stronę i zaczął gorączkowo.

— Powiem panu, muszę, bo mnie dławi już to. Mocuję się z samym sobą, żeby stąd nie uciec... Słuchaj pan. Kwadrans, dwadzieścia minut temu, pociąg cesarski zajeżdża, muzyka konwoju gra hymn, przystawiają dywanowe schody do wagonu... Czekamy. Mija parę minut — wychodzi Imeretyński, który czekał na cesarza na granicy okręgu swego i z nim razem przyjechał.

— Wychodzi, woła mnie i pyta się, czy jestem pewny, że wszystko jest w porządku i że najjaśniejsi państwo mogą bezpiecznie przejechać. Co za pytanie! Domyślasz się pan mojej odpowiedzi... Tymczasem do wagonu wszedł minister Goremykin i minister

dworu, którzy przyjechali tu pozawczoraj. Imeretyński poszedł za nimi, po małej chwili, po raz drugi wezwano mnie i znów toż samo pytanie. Imeretyński sam był zirytowany. Zagadnąłem wprost o powód pytań. Objął mnie bez ogródek, że ktoś tam z dworu plotek narobił i z tego powodu monarcha się waha.

— Waha się?!

— No, po prostu... jeżeli pan chce wiedzieć, naopowiadali mu okropności jakichś i boi się wjechać! Uważasz pan? Tam lud czeka, lud, doprowadzony do tego, że mu gotów do nóg upaść, a on podejrzewa zdradę, nie wierzy mu...

— I cóż będzie?

— Nie wiem! Czekam jeszcze a mnie gotuje się wszystko, kipi! Każda sekunda wiekiem mi się być wydaje!... Zobacz pan, spojrz na miny tych wszystkich pacholków... wyobrażam sobie, jak się cieszyć muszą!... Takiego zakończenia, co prawda, się nie spodziewałem — czekam jeszcze, no i... uciekam... niech się dzieje, co chce!... Za to nie mogę przyjąć odpowiedzialności!... Czekaj pan! Imeretyński wychodzi znów z wagonu...

Mecenas obrócił się szybko i zbliżył do Imeretyńskiego. Wiesław podsunął się za Przyborskim.

— Panie Przyborski — rzekł pospiesznie książę — więc jesteś pan pewnym... porządku!

— Najzupełniej!

— Pamiętaj pan, że przyjąłem odpowiedzialność za życie i zdrowie najjaśniejszych państwa!...

— Chyba książę nie wątpi?!

— Nie wiem! Sam nie wiem nie! Skotłowali głowę! Przyjaciele!... Przepraszam! Pan jedzie naprzód powozem! Przed oberpolicmajstrem?!...

— Jeżeli potrzeba?...

— Jedź pan — jedź... koniecznie!... Odechodzę!... Najjaśniejsi państwo wyjdą lada chwila z wagonu... Niech pan da sygnał zaraz!...

Imieretyński odszedł pośpiesznie ku drzwiom wagonu — w tejże prawie chwili na stopniach ukazali się czerwoni leibkozacy, wielcy książęta... za nimi cesarz z cesarzową, a w końcu damy dworu z dwógiem wielkich księżniczek na rękę.

Orkiestra zaczęła grać hymn. Zebrani na peronie cywilni urzęnicy odkryli głowy — wojskowi wyprężyli się, salutując.

Mecenas schwycił Wiesława za rękę.

— Panie! — Ja pojedę naprzód, a pan swoim powozem jedź zaraz za wielkimi książętami.

— Czy mnie puszcza!

— Muszą!... Lecę dać znak rakietom! Pan tu zostań!... idź tuż za orszakami!

Przyborski zniknął w głębi sali dworca. Wiesław został na miejscu, przypatrując się niezwykle mu dłań widokowi.

Największą ciekawość budziła w nim para cesarska. A mógł jej przyjrzeć się z bliska.

I oto zobaczył drobną, wątłą prawie twarz cesarza Mikołaja, ginącą pod szeroką, białą czapą barankową. Miał czas dokładnie objąć całą jego nikłą postać, wzrostem ledwie ramienia cesarzowej sięga-

jącą. Jakaś bladeść dziwna widniała na twarzy samodziścy rosyjskiego, w płowych oczach niepokoju czy lęku. Mikołaj prowadził cesarzową, lecz dość było spojrzeć na szlachetną powagę, cechującą równe, pociągłe rysy Aleksandry Teodorówny, na wolą zarysowaną usta, na spokojnie podniesioną głowę, żeby się przekonać, iż ona to właściwie prowadziła męża.

Wiesława ogarnęło przykre zdziwienie. Nie tak wyobrażał sobie cesarza, owego młodego władcy, ową nadzieję ugody. Spodziewał się znaleźć w twarzy jego dużo czoła, dużo pogody, dużo hartu, siły... tymczasem była to twarz może dobra, łagodna, nie pozbawiona szlachetniejszych linii... ale tak blade... tak niepewnie patrząca...

Para cesarska zwróciła się w stronę warty honorowej. Cesarz puścił na chwilę ramię żony... salutował ręką do zebranych i wysłuchał banalnej formułki raportu, złożonego mu przez komendanta fortecy warszawskiej Komarowa.

A potem skierował się w stronę, gdzie prezydent miasta Bibikow na czele kilkunastu obywateli czekał z chlebem i solą.

Cesarz przyjął podaną mu tacę — a potem odezwał się cichym, zdenerwowanym głosem, zacinając się nieznacznie.

— Bardzo rad jestem, że wypadło nam razem z najjaśniejszą panią przybyć po raz pierwszy na pobyt do Warszawy! Ze szczególnem zadowoleniem przyjmujemy wasze... powitanie.

Deputacya odpowiedziała okrzykiem „hurra!” Muzyka znów zaczęła grać hymn. Cesarz, prowadzony przez ministra dworu, poszedł wraz z cesarzową, książętami i świtą do salonów, przygotowanych na dworcu. Wiesław, śledząc każdy ruch pary cesarskiej, każdy szczegół stereotypowego ceremoniału, doznawał coraz przykrzejszego wrażenia. Wszystko tu zakrawało na bezduszny, czczy, wyuczony szemat. Ani jednego ruchu wyrażniejszego, ani jednego akcentu żywszego ponad formułkę dworszczyzny, ani jednego drgnienia powiek, po za ułożonym może od kilku miesięcy programem. Prawda, w tego rodzaju obchodach, osoby ukoronowane muszą poniekąd zawsze i wszędzie schodzić do stanowiska aktorów — jednak i aktor nawet, o ile odczuje rolę, potrafi tenąć w nią ducha, martwe wyrazy ożywić, podnieść. Tu nie podobnego nie miało miejsca. Słowa cesarskie ani razu nie zadrgały szczerością, przekonaniem, bodaj akcentem wyraźniejszym.

Po przejściu pary cesarskiej do salonów dworca, Wiesław pobiegł szybko na drugą stronę przed podjazd i dostał się do powozu, stoczywszy żywą utarczkę z jakimś oficerem policyi, który chciał mu wzbrowić przejścia. Usadowiwszy się w powozie, czekał.

I znów chwila długa upłynęła. Na szerokim placu przed dworcem, po za szpalerami pułków gwardyi, tłum falował się niespokojny, oczekując upragnionej chwili. Przed pojazdami dworskimi, w faetonie, stał Przyborski.

I znów na schodach ukazali się Czerkiesi i dali znak brodatemu kuczerowi cesarskiemu. Kuczer tar-

gnął lejcami. Dwa kare, muskularne rysaki, z wysiłkiem ruszyły z miejsca szeroki a dziwnie ciężki powóz.

Cesarz wyszedł nareszcie na schody. Mecenasa dał znak ręką. Rakiety wystrzeliły pod mostem, cytadela zatrzęsała się od powitalnych wystrzałów armatnich, w Warszawie we wszystkie naraz uderzono dzwony.

Cesarz podał rękę cesarzowej, wszedł do powozu za nią. W twarzy monarchy nie było jednej kropli krwi.

Z ukazaniem się cesarza, tłumy ludu zabrzmiały powitalnymi okrzykami, orkiestry, porozstawiane co kilkaset kroków, zaczęły grać hymny.

Minister dworu spojrzał na brodacza kuczera i rzucił ostro:

— *Trogaj — Rysiu!*

Kuczer zaciął konie krótkim batem i sznur powozów w jednej chwili wyciągnął się zwartym łańcuchem.

Przodem jechał mecenas Przyborski, stojąc w powozie z odkrytą głową — za nim w tej samej pozycji oberpolicmajster warszawski Gresser, za nim tuż para cesarska, mająca za sobą ks. Imeretyńskiego ze stryjem cesarskim Włodzimierzem Aleksandrem, dalej jeszcze kilku książąt, wreszcie ministrowie, frejliny z małemi księżniczkami, a na końcu powóz Ziemieckiego.

Rysaki cesarskie mknęły tak szybko, że konie oberpolicmajstra, a i mecenasa, ledwie nadążyć mogły przed naporem powozu, wiozącego cara.

Za mostem, około królewskiego zamku, gdzie dopiero zaczynał się sznur deputacyj, okrzyki powitalne przeszły w wybuchy gwałtownego rozpaczliwego entuzjazmu.

Chyliły się głowy, powiewały chustki i kapelusze, zniżały chorągwie, gorzały serca, zapaleń tryskały oczy.

Przed kościołami drżały krzyże. A powóz cesarski pędził, nie zatrzymując się nigdzie. Rozgrzane rysaki rwały coraz gwałtowniej. Zdawało się, że to nie wjazd tryumfalny, lecz jakaś ucieczka i od tych światła i flag i od tych tłumów rozemocjonowanych, porwanych, rozgorączkowanych.

Lud polski witał cesarza tak, jak może witał swoich własnych królów, a bohaterów — lud polski witał Mikołaja II. tak, jakby żaden z potomków rodu Romanowych nigdy o wynarodowienie go się nie kusił, jakby krom dobrodziejstw, niczego innego od nich nie zaznał, jakby oni wszyscy, od Aleksieja począwszy, byli światłem Polaków. Lud polski witał cesarza Wszechrosyi, wyrzuciwszy z serca wszystkie żale, gorycze i skargi, zapomniawszy o prociach swych najdroższych cieniów, zapomniawszy o swej dumie, o godności!

W tym okrzyku Warszawy była jakaś wybuchowa nadzieja, dźwięczała i skaraga i modlitwa. Zdawało się, iż lud ten mówił: Tyś młody, tyś wspańiałej duszy, wejrzyj na nas! My chcemy żyć! Panuj nam, lecz nie morduj, nie dław, nie ciemięż, oddal kohorty siepaczy!

Cesarz okrzyków tych nie rozumiał. Blady, z ustami zaciśniętymi, kurczowo zasunął się w głąb factonu i salutując nerwowo tłumy — rozglądał się zaskoczony, przerażony widokiem, który się oczom jego przedstawiał. W wyrazie twarzy monarchy rysowało się zdumienie i nieufność, lęk i bojaźń. Wzrok Mikołaja zanurzał się w tłum i odwracał się nagle.

Inaczej zachowywała się cesarzowa. Ona wrażliwością kobiety odczuwała szczerotę okrzyków, rozumiała zapal i żywymi ukłonami witała lud, maskując tem samem zachowanie się swego małżonka.

Powóz carski pędził coraz szybciej, rysaki uciekały od zgotowanego przyjęcia, uwożąc parę cesarską za kordon otoczonych łańcuchem straży Łazienek. A za powozem szły okrzyki długie, gorące, życzliwe, przy ukazaniu się pojazdu księcia Imeretyńskiego, entuzjastyczne wobec dwóch małych księżniczek, witających rączkami Warszawę.

Wiesław, według rozporządzenia mecenasa, jechał tuż za księżniczkami, a nie wiedząc, gdzie kończy się jego służba, podążył za parą cesarską aż do Łazienek — tu, przed tarasem pałacu znalazł Przyborskiego i widział, jak cesarz, wysiadłszy z powozu, ocierał pot, spływający mu po twarzy i widział, jak cesarzowa, dając folę tłumionemu wzburzeniu, lzy roniła.

Para cesarska robiła wrażenie, że tylko co przeszła przez wszystkie piekła i męki, jakby tylko co uniknęła zawieszonego nad ich głowami niebezpieczeństwa.

Przed pałacem ostatnie jeszcze punkty ceremoniału dworskiego czekały na cesarza. Więc znów powitanie warty, znów hymn, a w końcu czołobitność zarządu pałacu i służby.

Wiesław zbliżył się do mecenasa, stojącego na uboczu.

— Pan mnie nie potrzebuje?

Przyborski jakby zbudził się z zamyślenia.

— Ja? — Nie!

— Więc tymczasem ceremonia skończona?

— Najzupełniej! — odrzekł krótko mecenas, a po chwili dodał z wybuchem:

— Ładna ceremonia. To były wyścigi... a nie wjazd. Ledwie mogłem zdążyć. Okropne! To jest... fiasko, straszne fiasko... pan to rozumie?

— Bałem się go już oddawna.

— A ja boję się oczu pokazać... tam... boję się wracać do miasta.

— Takiego wjazdu nie można było przewidzieć. A co będzie dalej?

— Dalej — rzucił ironicznie Przyborski — jeżeli i pozostała część programu równie się powiedzie, to możemy sobie powinszować! Jestem zmordowany, zgnębiony tą fagasowską służbą. Panie Ziemecki, proszę, wyświadczyć mi łaskę.

— Owszem, czem mogę?

— Zastąp mnie dziś wieczorem! Oto karta wstępu do Łazienek. Dziś ma, jak panu wiadomo, śpiewać na krypie „Lutnia“. Ktoś musi być! Kogo tu prosić? Waszewicz ma jakąś pilną dziennikarską robotę, chce

pewno na cztery strony świata rozgłosić o naszych tryumfach ugodowych... a ja nie mam siły!...

Wiesław spojrział ze współczuciem na Przyborskiego, którego wyniosła, imponująca zwykle postać zdawała się być zgnębioną, przytłoczoną ciężarem.

— Zgoda! Może pan na mnie liczyć.

— Dziękuję panu! Ale pan masz do mnie żal z powodu mego wówczas wystąpienia? Panie, gorączkowaliśmy się wszyscy! Złe mam przeczucia. Nie wiem zresztą, cesarz zdawał się być wzruszonym... tylko niewiadomo czem. Gdy stałem w tym powozie, nogi mnie paliły! Zdawało mi się, iż lada chwila powóz cesarski się zatrzyma — bodaj przed kościołem... Gdzietam! Cóż?! Chodźmy! Jeść mi się chce! Od rana nie miałem w ustach. Patrz pan, już weszli do pokoi, na tarasie nikogo nie ma!

— Prawda — przytwardził Wiesław, usuwając się przed powozem cesarskim, który stępa zawracał w stronę Belwederu.

— Idźmy! Konie nasze czekać muszą za odwachem!

Mecenas chciał skrócić w boczną aleję, lecz w tejże chwili z pod kolumnady pałacu wybiegł Imeretyński bez czapki, a dojrawszy Przyborskiego z daleka — dał mu znak ręką, że chce z nim mówić.

Mecenas postąpił ociężale kilka kroków naprzód, Imeretyński podszedł żywo.

Na suchej, żółtawej twarzy Imeretyńskiego malowało się zadowolenie.

— Panie Przyborski! — zaczął Imeretyński po francusku. — Odb było się wspaniale! Sam sobie tego tak nie wystawiałem! Najjaśniejsi państwo głęboko

wzruszeni, polecili mi wyrazić swe „najwyższe, a szczególniejsze zadowolenie z powodu tego wszystkiego, co widzieli na drodze od dworca aż do pałacu...” a to całej ludności Warszawy. Ja zaś, wiedząc, ile pan w to włożył pracy, dziękuję mu od siebie. Widok był wspaniały. W życiu mojem podobnej uroczystości nie byłem świadkiem.

— Chociaż mogłaby ona być o wiele podnioslejszą...

— Jakto? Dlaczego?

— Gdyby powóz najjaśniejszych państwa jechał nieco w wolniejszym tempie...

Imeretyński uśmiechnął się dobrodusznie.

— Ach tak! Panie! Powinniśmy się czuć szczęśliwi, że tak się ułożyło. Mogłaby się zdarzyć niespodzianka! Jeden głos mógłby być zniweczyć wszystkie zabiegi.

— Nie, moiści książę, głosu takiego w tłumie nie było.

— Wierzę! Wierzę! — przyznał Imeretyński, ścisnąc rękę mecenasa. — Ale i tak było dobrze! Bardzo dobrze! Więc wieczorem „Lutnia“! Najjaśniejsi państwo dziś nie wyjadą z pałacu. Muszą wypocząć po podróży. A ten pan... to pański pomocnik?

— Pan Ziemięcki!

— Aha! Pan Ziemiękij! Przypominam sobie... bardzo przyjemnie! Muszę pana pożegnać. Najjaśniejsi państwo są „szczególnie zadowoleni“!

Imeretyński z całą dworską grzecznością pożegnał się z mecenasem, skinął uprzejmie Wiesławowi i oddalił się. Mecenas z Ziemięckim zawrócili w stronę stojących za odwachem powozów. Gęsto rozstawione strażę, domyślając się w Przyborskim jakiejś wielkiej

figury, salutowały go co chwila, rozumując, że wśród ciżby dworskiej lepiej oddać jeden ukłon wojskowy za dużo, niż jeden za mało.

Ziemięcki z mecenasem zapuściwszy się w aleję, rozpoczynającą się od dwóch wykrzywionych satyrów, ujrzeli tuż przed sobą niezwykle widok.

Oto w bocznej alei stał powóz cesarski. Czterech stajennych otrzepywało go starannie, podczas gdy dwóch innych wycierało potem a pianą okryte rysaki. Inny zaś posługacz ścigał z brodatego kuczera *armiaka* i przygotowywał dlań wykwinny strój cywilny. Kuczer zamieniał się powoli w eleganckiego dżentelmana.

Przyborski zainteresowany tą sceną, podszedł z Wiesławem przyjrzeć się z bliska zaprzęgowi cesarskiemu. Mecenas był amatorem koni, jedną z jego słabostek było właśnie udawanie znawcy. Lecz kare rysaki cesarskie były tak pięknej budowy, tak przeździwnie kruczo-granatowej maści, że mogły podziw budzić nawet w profanie.

— Pyszne zwierzęta! Co za budowa! Jakie lby kształtne... Jakież to łagodne stworzenia — mówił półgłosem mecenas, założywszy monokl. Kuczer uśmiechnął się nieznacznie i rzucił uprzejmie czystą polszczyzną:

— Ładna para! Chodzi jak wiatr!

— Prawda — odrzekł kwaśno mecenas — pędziła najniepotrzebniej... Zdawało mi się, że to bardzo młode konie...

— Zdaje się panu! Muszą chodzić, jak potrzeba!

— Tak? Byłem pewny, że się strachały...

— One? Panie, idę o zakład! Może pan im strzelać nad głową — koń taki ani drgnie. To panie tresura! Cesarski zaprzęg, inaczej być nie może. *Zwieszda!*... O, widzi pan, jak łeb wyciąga! Koń taki trzy lata musi się uczyć, zanim najjaśniejszego pana pociągnie...

— Jednakże konie te muszą być słabe! Droga nie tak daleka... a jak się zgrzały!

Kuczer uśmiechnął się pobłażliwie.

— Pana to dziwi! Taki ciężar!... Panie, zaręczam panu, że nie każda czwórka koni ruszyłaby go z miejsca!

— Chyba żarty! Prawda, faeton mocno zbudowany, lecz para takich koni!

Kuczer zbliżył się do powozu, odrzucił z dna jego dywan pluszowy i uderzył weń końcem laski — dno odpowiedziało przeciągłym, metalicznym dźwiękiem...

— No, rozumie pan teraz? Płyta stalowa dwucalowej grubości... pod całym pudłem... teraz pan rozumie, co to jest za ciężar!

Mecenas zainteresował się bardzo konstrukcją powozu cesarskiego, a następnie spojrzał uważnie na kuczera, który w eleganckim stroju cywilnym w niczem nie przypominał charakterystycznie — rosyjskiego stangreta dworskiego.

— Pan Polak? — zagadnął mecenas.

— Polak, panie!

— I dużo też na dworze jest Polaków?

— Teraz mniej trochę!

— Zapewne Rosyan więcej.

— Rosyan wcale nie ma! Służba prawie cała, to Tatarzy... z wyjątkiem kilkunastu kozaków... Jeszcze za nieboszczyka taki porządek zaprowadzono. A w zimowym pałacu ani jednego prawosławnego nie znajduje...

— I dlaczegoż tak?

— Dlaczego? — powtórzył przeciągle stangret. — Rozporządzenie! Nie moja rzecz... musi być w tem racya!... Mnie nie do tego.

Mecenas chciał jeszcze o coś zapytać, gdy wtem stanął przed nim jegomość czarno ubrany, z gwiazdką w klapie tużurka, uklonił się grzecznie i wyciągając notes, zaczął po rosyjsku:

— Pańskie nazwisko?

— Przyborski.

— Miejsce zamieszkania? Dowody legitymacyjne?...

— Nie rozumiem — odparł zdenerwowany mecenas. — Na jakiej zasadzie zadaje mi pan podobne...

Jegomość uśmiechnął się słodko.

— O... to nie ma znaczenia. Taki porządek... Formalność prosta — nic więcej. Obręb pałacu cesarskiego.

— Ależ panie, za kogo mnie pan bierze! — oburzył się mecenas. — Jestem prezesem komitetu obywatelskiego.

— To nie zmienia postaci rzeczy. Pan będzie łaskaw nie uchylić się. Przepis...

Mecenas, a za nim Wiesław, okazali swoje karty.

Jegomość zanotował imiona i nazwiska obywateli, a po chwili pisania zapytał znów:

— Co panów skłoniło do rozmowy ze stangretem cesarskiego pojazdu i oglądania jego konstrukcji?

Mecenas poczerwieniał.

— To są niewłaściwe żarty!... Panie, ja zażądam kategorycznego wyjaśnienia, za kogo mnie pan bierze! Cóż innego skłonić mnie mogło? Zwykła ciekawość.

— Bardzo dobrze — odrzekł potulnie nieznajomy. — Ja też piszę wyraźnie — „ciekawość“ — *lubopyłstwo*... i nie więcej. Teraz poproszę panów o podpisanie tego protokołu.

— Protokołu?!...

— Forma. Nic więcej. Proszę, niech pan będzie łaskaw przeczytać, słowa jednego nie ma nadto. A ten protokół musi być przedstawiony naczelnikowi służby pałacowej.

— Stanowczo odmawiam...

— W takim razie będę musiał panów poprosić na odwach...

Mecenas próbował jeszcze się opierać, lecz wobec groźby nieznajomego, uległ żądaniu, poczem skinął na Wiesława i podążył do stojących w oddali powozów.

— Siadaj pan ze mną. Powiozę pana. Pański powóz niech jedzie za nami.

Gdy konie ruszyły, Przyborski odezwał się półgłosem.

— Ładna historia! Niewiele brakło, zdaje się, aby nas nie zabrali do cytadeli. Przyjemne stosunki!... Szkoda, trzeba było może dopuścić do starcia! Piękne zaufanie mają do nas.

— Ja się tem oddawna przestałem łudzić.

— Ten biedny stangret może stracić służbę... Wołałbym o tem wszystkim nie wiedzieć. Okropne stosunki być cesarzem...

— Panie mecenasie, niech pan mówi ciszej — upomniał Wiesław.

Przyborski oburzył się.

— Co? Dlaczego?!

— Niech się pan obejrzy uważnie!

Mecenas spojrział bystro wgląd parku Łazienkowskiego i już chciał powiedzieć Ziemięckiemu, że nie rozumie przestrogi, gdy naraz tuż po za pnem rozłożystego kasztana, dojrzał cień przytulonej do niego ciemnej postaci... Im baczniej się rozglądał, tem cieni tych przybywało. Cisza parkowa miała wzrok wyteżony i nadstawione uszy.

— *Tielochranitiele!* — mruknął przez zęby Przyborski.

— Filary *samodierżawja!*

— Wolę moje mieszkanie na Krakowskim od pałacu.

— I ja także!... Nie miałem o czemś podobnem pojęcia!

— Mój panie! Z małemi zmianami dzieje się to wszędzie! Tylko gdzieindziej potrafią nadać temu bardziej europejską formę! Tu się nie kryją nawet z podejrzliwością! która się nazywa urzędowo szczególniejszem zaufaniem! Czekajmy końca!... Zobaczymy.

Powóz odjechał w aleje Ujazdowskie. Zmierzchać się zaczynało. Sznury światel, lampionów, gwiazd gazowych i monogramów zapalały się już, zalewając ulice morzem blasków. Tłumy ludu ciągnęły alejami. Tłumy rozradowane, rozpromienione. Tu i ówdzie dawały się słyszeć szeptyczne uwagi o wjeździe ce-

sarskim, lecz jeszcze nie przestano się ludzić, jeszcze wierzono, ufano. Gdy o cesarzu nie wiele miano do powiedzenia, wymieniano i uprzytomniano sobie wszystkie uśmiechy, które obdarzyła tłum warszawski carowa i rozechwytywano nadzwyczajne dodatki czasopism, zwiastujące ludowi miłościwe słowa podzięki. Opowiadano sobie tysiączne a fantastyczne szczegóły o każdym drgnienu monarszego oblicza, a nadto stwierdzono fakt, że cesarz Mikołaj, dojrzawszy pod bramą obywatelską — margrabię Wielopolskiego — obrócił się do niego twarzą i pozdrowił go okrzykiem:

— *Zdrastwuj markiz!*

Lud płynął ulicami, ocierając się o nieprzerwane sznury pojazdów. Chwilami tłok był tak wielki, że musiano komunikację kołową przerwać. Warszawianie zachowywali się kornie — nigdzie zamieszania, nigdzie dyssonansu, któryby zakłócił na chwilę dzień uroczysty. Głowy tłumu co chwila zwracały się ku Łazienkom w nadziei, iż z siedziby królewskiej wyjedzie pojazd, wiozący parę cesarską, która może zechce naocznie raz jeszcze przekonać się o świetności zgotowanego jej przyjęcia. Pałac Łazienkowski milczał, utonął w mrokach zarośli — zarośli, które słuchały i patrzyły.

Wiesław powróciwszy do miasta, miał tyle zaledwie czasu, żeby się posilić, uporządkować odzież zakurzoną i powrócić do Łazienek na stanowisko pod teatrem na wyspie, przy którym mieli punkt zborny członkowie „Lutni“ warszawskiej, zaszczytzeni monością popisu wobec pary cesarskiej.

Śpiewacy zbierali się powoli z legitymacyami w rękę i sadowili się na krypie, mającej ich powieźć na środek stawu przed taras, na którym para cesarska w otoczeniu świty najbliższej, księcia Imeretyńskiego i margrabi Wielopolskiego, zabawiała się rozmową.

Ziemęcki za wskazówką zarządzającego pałacami Iwanowa, dał sygnał „Lutni“. Krypa wypłynęła z po za wyspy i słowa pieśni polskich rozległy się na wodzie.

Wiesław podsunął się ku tarasowi i słuchał.

Na tarasie zapanowała cisza. Cesarz raczył zwrócić uwagę. Dwór umilkł. Gdy dalekie echa pierwszej pieśni skonały wśród stuletnich lip, dębów a sosen, pamiętających może czwartkowe zebrania królewskie, na tarasie rozległ się cichy okłask. Cesarz wyraził swoje zadowolenie.

Ziemęcki niepostrzeżenie zbliżył się tak ku tarasowi, że niemal odgłos rozmowy go dochodził. Stojący tuż obok sztyldwach, wobec munduru szlacheckiego, nie śmiał bronić Wiesławowi przystępu, ile że widział rozmawiającym go z generałem.

Cesarz siedział na fotelu przed stolikiem, zastawionym przyborami do kawy i palił apatycznie papierosa, mając po za sobą na krześle Imeretyńskiego, z drugiej strony siedziała cesarzowa; a po za nią margrabia Wielopolski. Wielcy książęta Włodzimierz, Paweł i Mikołaj stali na uboczu z ministrami dworu i spraw wewnętrznych, ochmistrzą dworu księżną Goliceyn, księżną Imeretyńską i frejlinami Boriatyńską i Obaleńską prowadzili przyciszoną rozmowę. Rej

tam wodził głównie księżę Włodzimierz, pozwalając sobie na dość pikantne dykteryjki. Ochmistrzyni dworu strofowała niby wielkiego księcia, lecz ten ostatni odpierał zręcznie uwagi, czem braci swoich do serdecznego pobudzał śmiechu. Ministrowie z wprawą starych dworaków śmieli się także, bacząc jednakże, aby przypadkiem nie pójść o pół tonu wyżej w objawie dobrego humoru.

Pieśń „Lutni“ ucichła nagle. Pierwsza część programu została wykonana.

Cesarz Mikołaj odezwał się nagle do Imeretyńskiego:

— *C'est pas mal!*

— *Tres bien!* — przyświadczyła cesarzowa Aleksandra.

— To polscy śpiewacy?

— Tak jest, wasza cesarska mość... to członkowie towarzystwa... amatorzy...

— Podobą mi się — zaopiniował cesarz Mikołaj. Nie wiedziałem, że Polacy mają takie melodie. Chciałbym zobaczyć tego ich dyrektora... czy jak tam...

Imeretyński podniósł się szybko.

— Czy wasza cesarska mość życzy sobie natychmiast?

— Ach, nie! — odrzekł z grymasem cesarz. — Potem! Niech śpiewają jeszcze!

Cesarzowa tymczasem zwróciła się do margrabi Wielopolskiego i zagadnęła niedbale, nawiązując przerwana rozmowę.

— Przyjęcie nas wzruszyło. Te masy ludzi sprawiały wrażenie... Ale powiedz mi, margrabo, gdzie

był lud... a właściwie dlaczego nie było go wcale? Ja przynajmniej nie widziałam.

— Prawda — podchwycił cesarz. — Ludu nie widzieliśmy wcale. To nie dobrze! Szlachta, kupecy, mieszczenie... a lud być powinien!...

— Najjaśniejszy panie! — odrzekł swym chropowatym głosem Wielopolski. — Ośmielam się zapewnić waszą cesarską mość, że lud brał żywy udział... pełno go było wszędzie... Biorę oto księcia Imeretyńskiego na świadka!...

— Tak jest! O ile mi wiadomo... rzeczywiście! — potwierdził z ukłonem Imeretyński.

— Dziwna rzecz! — upierała się młoda cesarzowa. — Rozglądałam się uważnie i nie zauważyłam ani jednej „rubaszki“ czerwonej!

— Ani ja!

— Wasza cesarska mość... łatwo się to da wytłumaczyć — ozwał się margrabia. — Tutaj zatarły się różnice kastowe... zwłaszcza zewnątrz... Wyrobnik, robotnik... w stroju odświętnym nie różni się niczem prawie od kupca czy mieszczanina zamożnego.

— Więc to tak, jak w Darmsztadzie!

— Tak jest, wasza cesarska mość — wmięszal się z kolei Imeretyński. Margrabia ma słuszość. Jedyne włościanie utrzymali dotąd swój strój — ludność miast i osad złała się już w tym kierunku! Przypomina to trochę wielkie miasta zagraniczne. Przyczynił się do tego dobrobyt ogólny... wielka liczba zakładów przemysłowych.

— Tak! Przeglądaliśmy twój raport, księżę... cieszy nas bardzo rozwój przemysłu w tutejszym kraju!

— 294 —
A więcej jeszcze cieszy nas to, cośmy dziś widzieli! Chcielibyśmy bardzo dać dowód naszej pieczołowitości tutejszym mieszkańcom!

— Najjaśniejszy panie... szkół mało — zauważył margrabia.

— Mało? Hm! Owszem, ja sam za tem obstatuję... Szkół jak najwięcej!

— Nadto — wtrącił znów margrabia — ludność marzy o tem, aby wolno jej było powrócić do dawnych łask monarszych jakimi zaszczycał ją dostojny, a w Bogu spoczywający dziad waszej cesarskiej mości... Cesarz Aleksander II.

— Przyjdzie to, przyjdzie... powoli! Nie odrazu! Owszem poleciliśmy komitetowi ministrów!... Już się nie obawiajcie. Imeretyński dokucza tak Goremykinowi, że ten rady sobie dać nie może! Goremykin!

Minister spraw wewnętrznych stanął z ukłonem przed cesarzem.

— Ile ci Imeretyński nadesłał projektów i żądań?

— Wasza cesarska mość... już cztery nowe sekcye musiałem uformować dla rozpatrywania papierów księcia.

Imeretyński uśmiechnął się i odparł spokojnie:

— Pan minister doprawdy ma za szczupłą kancelaryę, bo ledwie w cztery miesiące papier załatwionym zostaje.

— Prawda!... Bo odczytać te wszystkie romanse...

— Więc rzeczywiście składki na fundusz pamiątkowy dosięgły dwóch milionów rubli? — zapytała cesarzowa Aleksandra.

— Najniezawodniej — zapewnił margrabia.

— Bogaty kraj!

— I chcieliby mieć za te pieniądze politechnikę? — zagadnął cesarz.

— Jeżeli się to zgodzi z wolą waszej cesarskiej mości! — odrzekł margrabia.

— No! Możnaby im tę politechnikę stworzyć! Niech się uczą! Goremykin! Co?!...

— Bezwątpienia! Dobroć waszej cesarskiej mości nie ma granic... jednakże nasuwa się tu pewna poważna okoliczność.

— Jaka? Jaka?! — rzucił niechętnie cesarz, sięgając po papierosa.

Minister pospieszył podać cesarzowi ognia i rzekł, ważąc ostrożnie każde słowo.

— W zasadzie, politechnika byłaby tu może pożądaną, toli Warszawa nie jest odpowiednim punktem... tu powinniśmy mieć jak najmniej wyższych zakładów naukowych... Młodzież tutejsza, o ile jedzie do zakładów naukowych wgląd państwa, korzysta pod każdym względem... Przeto, o ile by nie małym pożytkiem było założenie jeszcze jednej politechniki, co zresztą oceni lepiej pan minister oświaty... o tyle ja z uwagi na wewnętrzny porządek muszę obstawać za założeniem jej w której ze środkowych gubernij!

— Ot macie, już znalazł — przerwał niechętnie cesarz.

— Pyszny figiel! — wmieszał się nagle książę Włodzimierz, który poszedł był zwabiony zawołaniem ministra. — Znakomity! Warszawa będzie miała swój instytut politechniczny w Samarze! Doskonały pomysł!!!...

— Wasza cesarska mość! — tomaczył się minister. — Naturalnie to jest mój pierwszy sąd... kwestya ma być wzięta pod rozwagę na najbliższej sesyi komitetu, która ma już raport księcia Imeretyńskiego w opracowaniu...

— Dosyć! — przerwał z odcieniem rozdrażnienia cesarz. — Mnie ani twój sąd, ani opinia komitetu jest niepotrzebna! Politechnika stanie w Warszawie... taką jest moja wola!

Minister skłonił się. Zebrani z pokorą pochyłili głowy. Po małej pauzie cesarz oderzwał się znów, jakby usprawiedliwiając swoją stanowczość.

— We wszystkim musi być miara! Przecież im trzeba coś zrobić!...

— Wola waszej cesarskiej mości jest dla mnie święta — usprawiedliwiał się Goremykin — sądziłem się być przyzwanym do wypowiedzenia...

W oddali, na stawie, dał się słyszeć chór lutnistów, cesarz przerwał Goremykinowi ruchem ręki.

— Przestań! Chcę słuchać.

Minister cofnął się i rzucił ostre spojrzenie na Imeretyńskiego, ten ostatni uśmiechnął się nieznacznie i powstawszy z miejsca, zwrócił się ku miejscu, gdzie po za mostem stał oparty Wiesław.

Ziemęcki, który nieomal był świadkiem całej rozmowy, jeszcze nie zdołał otrząsnąć się z pierwszego wrażenia, gdy tuż koło niego rozległ się głos księcia Imeretyńskiego.

— Czy nie ma tu kogo z członków komitetu?

— Proszę, czem mogę służyć? odrzekł Wiesław.

— Najjaśniejszy pan życzy sobie, aby mu był przedstawionym prezes, czy dyrektor „Lutni“... Kto tu jest?

— Jest dyrektor i wiceprezes.

— Więc niech będą gotowi tutaj. Dam im znać... Mogą iść obadwaj.

Imeretyński odszedł. Wiesław podążył ku wyssepce na stawie, przedostał się do niej po pomoście i zakomunikował wolę cesarską wiceprezesowi Wołowskiemu i dyrektorowi Maszyńskiemu. Przedstawiciele „Lutni“ strapili się niepomalu niespodziewanym zaszczytem i bezzwłocznie po wykonaniu programu udali się za Ziemęckim. Przy moście czekał już książę Imeretyński, a z nim starszy referent ministra dworu. Ten ostatni wyrecytował im elementarne zasady etykiety dworskiej, które brzmiały dosyć dziwacznie.

— Niezapytany nie wolno się odzywać do najjaśniejszego pana. Jeżeli cesarzowa podaje rękę, to się ją całuje w przedramię, a nie w kiść. Gdy cesarz lub cesarzowa mówi, należy głowę pochylić. Odchodząc, pięć kroków trzeba się cofnąć, nie obracając się — plecami.

— Imiona i nazwiska panów? — przerwał szybko referentowi książę.

— Filip Wołowski i Piotr Maszyński.

— Zaraz, więc pan... jesteś Wołowski? A pan... Maszyński? Dobrze, proszę za mną. Zatrzymacie się za mostem i zaczekacie aż wam dam znak ręką. Wówczas podejdziecie panowie do najjaśniejszego pana i zatrzymasz się o cztery kroki, złożycie głęboki ukłon! Idziemy! Kapelusze proszę zdjąć...

Wiesław zatrzymał się na poprzednim stanowisku i obserwował dalszy przebieg przedstawienia.

Dwaj kierownicy Towarzystwa „Lutnia“ szli blado i przejęci ważnością chwili. Według polecenia zatrzymali się tuż za mostem. Książę Imeretyński podszedł do cesarza i szepnął coś półgłosem. Cesarz skinął, cesarzowa podniosła szklę do oczu. Imeretyński dał znak Maszyńskiemu i Wołowskiemu, a gdy ci zbliżyli się i ukłony złożyli — przedstawił.

— Filip Wołowski, wiceprezes towarzystwa śpiewackiego! Piotr Maszyński, dyrektor chórów!...

— Bardzo ładnie! Zaśpiewajcie jeszcze co!... Dzięki wam... — odezwał się cesarz i odwrócił głowę...

Przyjęcie było skończone...

Minister dworu notował już nazwiska zaszczyconych i słowa największej pochwały. Maszyński i Wołowski cofnęli się według instrukcyi i pośpieszyli do swych współtowarzyszy, zadość uczynić życzeniu cesarskiemu.

Książę Włodzimierz zapytał się znienacka Imeretyńskiego:

— Czy nie śpiewają przypadkiem „po Wolgie, po matuszkie“! to na chór doskonale wychodzi!

— Ale nie na polski... — zauważył książę Paweł.

— Dlaczego? — zainteresował się cesarz, nie rozumiawszy dwuznacznika. — Może umięją...

— Bezwątpienia! — przytwardził książę Imeretyński. — Ale nie są przygotowani do odśpiewania!...

— Złożenie takiego chóru wiele bardzo pracy wymaga! — zagadał margrabia.

— Więc niech śpiewają, co im się podoba! — zakończył cesarz oziębło.

Rozmowa na tarasie urwała się. A po chwili cesarzowa, a za nią cesarz, podążyli do pałacu, odprowadzeni przez książąt i świtę... Imeretyński z Wielopolskim odjechali ku miastu. Śpiew „Lutni“ umilkł, światła iluminacyi gasły. Ziemęcki czas jakiś stał jeszcze zadumany, zastanawiając się nad tem, co był widział a co słyszał na własne uszy. Lecz z chwilą wyludnienia się tarasu, cichy a w uśpieniu pogrążony park Łazienkowski ożywił się nagle. We wszystkich jego kierunkach, niby ze smyczy spuszczone brytany, zaczęły krążyć patrole, każdy krzak, każdy zakątek starannie oglądając. Wiesław ani się obejrzał, jak go pierwszy z nadchodzących rontów zagarnął i na odwach zaprowadził. Tam po krótkim wyjaśnieniu, oficer służbowy polecił odprowadzić Ziemęckiego do powozu, który nań czekał.

Okolo dziesiątej wieczorem Wiesław powrócił do Warszawy, kipiącej jeszcze życiem i jakby napawającej się wspaniałością zgotowanej przez samą siebie iluminacyi.

Ziemęcki udał się był jeszcze do Waszewicza, zastał go już napół rozebranego i szykującego się do udania na spoczynek.

Profesor przyjął go z pogodnym uśmiechem.

— Cóż ty bałamucie!... Teraz dopiero wracasz? Myślałem, żeś się zawieruszył!... Oto nie trudno!...

— Wracam z Łazienek!...

— Czy być może!... Mówże, jak się odbyło!...

Wiesław zdał krótką sprawę ze wszystkiego, co widział, aż do czasu otrzymania misji od Waszewicza, nie mogąc powstrzymać się od sceptycznych uwag. Gdy skończył, profesor odrzekł żartobliwie.

— Oj-ty-ty puszczyku niepoprawny! Drobiazgi cię trują, drobiazgi obchodzą... a nie chcesz widzieć tego, że my tu tryumf święcimy dzisiaj! Tryumf, o jakim marzyć nie śmiałem! Co za jednomyślność, co za statek polityczny, co za godność wysoka i jaka dojrzałość... Ani jednego dyssonansu!... Zobacz tylko wieczorne wydanie dzienników. Wszystkie pomieściły powitalne artykuły i jak śmiało, jak odważnie... Rozumiesz?... Nie ma poprostu różnic. Najsłabsze siłą naszego pociągu... musieli pójść za nami!... Nasza rola ustala w tej chwili zupełnie! Wszyscy należymy do jednego obozu!... Czytaj tylko, przekonaj się, ty niewierny Tomaszu!...

Wiesław przebiegł podane sobie gazety i przyznał niechętnie:

— Prawda! Niespodzianka to wielka! Ale jednak...

— Ale i ale! — przerwał niecierpliwie profesor. — Wiesz, to mnie zaczyna już gniewać! Ty, który powinien być obrońcą naszego sztandaru, apostołem poniekąd... ty masz co chwila jakieś „ale“, którem i siebie i mnie dręczysz!... Gdybym cię od lat tyłu nie znał, to, mówię ci szczerze, wyrzekłbym się ciebie... Przecież w naszym gronie przynajmniej powinna być jednomyślność...

— Prawda, profesorze!... Lecz nie moja w tem wina, że teraz właśnie, kiedy ten, jak mówisz, tryumf obchodzimy — mnie gnębią ciągle wątpliwości...

A ten wjazd... ta scena na tarasie, której byłem mimowolnym świadkiem, usposobiły mnie sceptycznie... Za gorąco wystąpiliśmy... a nas przyjęto za zimno!...

— Zawczasie! Zawczasie na wywody! Patrz końca!... Jutro na wpół do ósmej zapowiedziane jest przyjęcie członków komitetu. Dostałem właśnie zawiadomienie od ochmistrza Pęcherzewskiego. Jutro zobaczymy.

— Kto będzie mówił?!

— Margrabia! Tak, jak było postanowione!

— A w jakim języku?!

— Jesteś nieznośny! — oburzył się szczerze profesor. — Nie rozumiem, doprawdy, o co tobie chodzi, czy o romanse nie nie znaczące, czy o wyjednanie ulg!... Bo zastanów się tylko!... Niepodobna iść za daleko i myśleć, aby język urzędowy mógł się zmienić tak prędko!...

— Cesarz zna prawdopodobnie język polski, ale zna go niedostatecznie... a tu chodzi przecież o wyrażenie się właściwe, a głównie o podkreślenie pewnych ustępów, aby cesarz mógł odpowiedzieć... Cesarz nie może przecież mówić po francusku na urzędowym przyjęciu swoich poddanych... Powiem ci tylko tyle... Mowa, pomimo skreśleń, poczynionych przez kancelaryę, wypadnie niezłe! Lepiej, niż myślałem! Słowa „Królestwo Polskie“ i „naród polski“ zostały!... Uważasz! Co tu gadać — jutro — jutro się przekonasz!

Wiesław chciał jeszcze jakąś uwagę zrobić, lecz profesor przerwał mu niecierpliwie.

— Ach! Dajże pokój temu wszystkiemu. Jeszcze parę dni! Denerwujesz siebie i mnie, bo dla mnie nie są to przyjemne dyskusye!... Ale! Chcesz być jutro na manewrach wojskowych? Dam ci bilet do łoży?...
 — Dziękuję!

— Jak chcesz?... Zbieramy się jutro u margrabiego o trzeciej punktualnie, a stamtąd już pojedziemy do Łazienek!

Wiesław pożegnał profesora i wrócił do siebie.

Nazajutrz Ziemecki nie bez walki wewnętrznej ubrał się znów w mundur szlachecki i pojechał do Wielopolskiego.

W drodze jeszcze brała go wielka ochota kazać nawrócić pojazdowi, ciekawość atoli przemogła. Zwłaszcza, że Wiesław musiał przyznać sobie w duchu, iż protest jego byłby poniekąd aktem spóźnionym i niekonsekwentnym. Zabrął zbyt daleko, aby się cofać. Nieobecność jego, czy obecność, nie już na szali nie zaważy...

U margrabiego, gdy Wiesław zajechał, wszyscy prawie członkowie komitetu byli zgromadzeni. A ku niemałemu zdziwieniu, pierwotna ich liczba prawie że się podwoiła. Niemal cała arystokracja, nie mająca dworskich tytułów, pospieszyła skorzystać z okazji, byle dworowi petersburskiemu się przypomnieć, a może i tytuł dla siebie wyjednać. Z drugiej strony mnóstwo osób ze świata finansów, przemysłowego, również starało się o przypuszczenie ich do tego grona...

Wiesław oglądał się starannie, nikogo nie zabrakło, a nadto co krok widać było twarze intruzów...

Profesor spostrzegłszy Ziemeckiego, odciągnął go na stronę.

— Wiś, masz swój powóz?

— Przyjechałem dorożką.

— No, mnie się trzymaj, zabierzemy cię z mecenasem. Powiadam ci, miałem z nim mękę. Istny twój *alter ego*... Aż mnie złość ogarnęła, bo w końcu czego wy chcecie odemnie!... Ja taki sam człowiek tylko, jak i wy! Może konsekwentniejszy i bardziej trzymający się raz obranej drogi! Prostu zmyłem mu głowę... Przyborski powziął dla ciebie wielką sympatyę! W kocu maku żeście się szukali... No, zdaje się, ruszamy!...

Do sali wszedł był właśnie margrabia, w kąpiącym od złota mundurze wielkiego łowczego, skłonił się zebranym i odezwał się sucho:

— Panowie! Czas jechać!... Mecenas Przyborski raczy ruszyć pierwszy... i rozpocznie korowód dorożek!...

Zebrani ruszyli ku drzwiom. Mecenas, a za nim Waszewicz z Wiesławem podążyli do pojazdu. W kilka chwil później sznur powozów wyciągnął się ku Łazienkom. Na końcu jechał margrabia Wielopolski z synem, niby pastuch tego dającego sobą powodować stada.

W Łazienkach ochmistrz Pęcherzewski za wskazówkami mistrza ceremonii, księcia Dołgorukiego, przyjął zebranych i ustawił na tarasie przed pałacem,

Minęła długa i nużąca chwila oczekiwania. Wreszcie we drzwiach pałacu ukazał się minister dworu; kilka osób świty, a za nimi wyszedł cesarz Mikołaj z cesarzową. Członkowie komitetu zdjęli kapelusze.

Para cesarska postąpiła naprzód ku stojącemu na czela deputacyj Wielopolskiemu. Ten ostatni powitał ją dworskim ukłonem i ozwał się czystą... ruszczyzną...

„Najjaśniejszy Panie! Dzięki u stóp Twych z głębi duszy składamy, że darzysz nas radością oglądania Ciebie i Najjaśniejszej Cesarzowej pośród nas! Dzięki Najjaśniejszy Panie, że nie odrzucasz skromnego grosza naszego kraju... Wedle sił niesiona chętna ofiara wszystkich miast Królestwa Polskiego bez różnicy stanu i pochodzenia, niechaj będzie rękojmią ufności wszystkich Twych poddanych, złączonych miłością monarchy i ojczyzny...”

„Weź też w darze, Najjaśniejszy Panie, miliony serc naszych z nieograniczoną ufnością ku Tobie wzniesionych...”

Tu chropowaty głos margrabiego złamał się nagle. Wielopolski zaczerpnął gwałtownie powietrza i kończył z zajądłą zapalczywością:

„W twojem wspaniałomyślnem samowładztwie, w pokoju wewnętrznym państwa, w potęgze i chwale monarchii... naród polski całą widzi przyszłość i chce, czy w szczęściu, czy pośród losu zmiennych kolei służyć Tobie, ukochanemu swemu monarsze...”

Margrabia skłonił się i doręczył w bogato oprawnej tece dokument na złożone miliony.

Na tarasie zapanowała cisza. Członkowie komitetu stali bladzi, jakby w ziemię wrosli. Słowa margrabiego przeraziły najspokojniejszych.

Cesarz odchrząknął... w tejże chwili wśród deputacyi rozległ się szept cichy, ledwie dosłyszalny...

— Tar-go-wi-ca!

Równocześnie prawie apatyczna twarz cesarza ożywiła się. Z ust monarchy rosyjskiego zerwały się słowa odpowiedzi, słowa, które miały być wyrokiem dla milionów. Brzmiały one krótko i lakonicznie.

„W imieniu cesarzowej i mojem, wyrażam wam panowie nasze szczere podziękowanie za ten dar szczodry, w którym wzięły udział wszystkie stany kraju i za uczucia przywiązania, któreście mi wyrazili. Ja wierzę zupełnie w ich szczerość. Wczoraj byliśmy głęboko przejęci powitaniem. Raz jeszcze serdecznie dziękuję wam, panowie.”

Cesarz umikł. Ochmistrz Dołgorukij skinął na Pęcherzewskiego i zaczęła się nudna prezentacya, polegająca na ukłonach, składanych pojedynczo przez każdego z członków komitetu i wywołaniem głośnem jego nazwiska.

Cesarz kiwał apatycznie głową, cesarzowa uśmiechała się, jakby próbowała przekonać wszystkich, że ją to bardzo zajmuje.

Gdy ostatni z członków komitetu się uklonił, para cesarska zawróciła do pałacu, myśląc może, iż czekały na nią jeszcze setki podobnie nudnych figur.

Tego dnia jeszcze po całej Warszawie zaczęły kursować odpisy przemówienia Wielopolskiego i odpowiedzi cesarza. Słowa „ja wierzę zupełnie w ich

szczerłość“, dały powód do licznych komentarzy i stały się niemal fundamentem, na którym budowano całą Polskę w granicach Chrobrego. Wprawdzie niektórzy członkowie dosyć pesymistycznie opowiadali szczegóły przyjęcia, a nawet najgorętsi przemilczali wiele okoliczności i niechętnie wspominali o charakterze i tonie mowy margrabiego. Żadne z czasopism nie považowało się zamieścić wzmianki, że wiernopoddani-cze oświadczenia były wypowiedziane w języku rosyjskim. Nikt nawet nie zdawał się zwracać uwagi na ten drobiazg. Opinia bała się wnikać, bała się rozstać z uludą.

Ów szept śmiały, przerażający, który skądś spłynął na członków komitetu obywatelskiego, zamarł wśród nich. Czyby go nie usłyszeli?! Nie! Tylko on tak ich spiorunował, tak upokorzył, że żaden przed sobą samym nie był w stanie przyznać się, iż go usłyszał, iż go zrozumiał. A może im się zdawało istotnie! Bo któżby się ośmielił wymówić ten wyraz tam, przed obliczem cesarza, samowładcy.

Ziemęcki powrócił z Łazienek milczący, zamysłony, z mecenasem i profesorem. Ci dwaj ostatni także wydawali się być dziwnie zamknięci w swych duszach.

Na Krakowskiem Przyborski zaproponował Waszewiczowi i Ziemęckiemu przekąskę u siebie.

Wiesław chciał się wymówić, lecz mecenas pociągnął go przymocą prawie.

Przy zaimprovizowanym a wykwinnym bardzo stole, rozmowa się nie kleiła. Waszewicz spoglądał niedbale na zegarek. Mecenas zagadywał o tem i owem,

lecz sam rwał co chwila wątek rozmowy. Po przekąsce profesor chciał się żegnać, lecz Przyborski zatrzymał go.

— Co tam profesorze! Chodźcie do mnie jeszcze do gabinetu, na kawę i likiery... musicie się posilić... bo tam w zamku na raucie nie wiele nam się dostanie!...

Waszewicz próbował się uśmiechnąć.

Przeszli do gabinetu. Wiesław usiłował zająć się bogato oprawnymi sztychami i obrazami, których w wytwornie urządzonej mieszkaniu Przyborskiego było pełno. Mecenas rozsiadł się w fotelu, zapalił cygaro i odezwał się zniemacka:

— No! panie Ziemęcki, cóż, pójdzie pan dziś na raut do zamku?...

— Czy pójdę?... Bezwarunkowo!...

— Dlaczego by nie miał iść!? — wmieszał się profesor.

— Hm!... To zależy... Co do mnie ja mam dosyć!... Jak sobie chcesz profesorze. Wolałbym ani wczorajszych uroczystości ani dzisiejszego przyjęcia nie być świadkiem. A w każdym razie to, co widziałem i słyszałem, wystarcza mi zupełnie...

— Ja tego nie powiem! — odezwał się Wiesław. — Wrażenie byłoby nie pełne!... Wczoraj burzyłem się, dzisiaj już tylko chcę się na własne oczy przekonać, jak dalekośmy zaszli... Nie spodziewam się niczego... a gorycz, która mnie tam czekać może, uważam za zasłużoną nagrodę!...

— Dobrze powiedziane! — przyznał mecenas.

Profesor poprawił niespokojnie okulary.

— Widzę... że dzisiejsze przyjęcie nie sprawiło dodatniego wrażenia... a przecież w słowach cesarza czuć było nieco więcej, niż urzędową odpowiedź...

— Lecz tego dla mnie było za mało! — uciał Przyborski.

— Zapewne... nie zapominajmy wszakże, iż polityka, dyplomacya, innym przemawia językiem... Taki jeden akcent znaczy czasem więcej, niż długa tyrada pustych słów i obietnic!... Cesarz jest z natury flegmatykiem. Stwierdzono to oddawna!... To przecież dało powód do tylu komentarzy w czasie pobytu pary cesarskiej w Paryżu... A tam chyba nie miał powodu do oziębłości... Powiem więcej... ci, co znają cesarza Mikołaja bliżej... przypisują wielką wagę do nacisku położonego wczoraj już w podziękowaniu za przyjęcie...

Mecenas podniósł się z fotelu, a przeszedłszy się, stanął przed profesorem i położył mu rękę na ramieniu.

— Panie Waszewicz, czy mogę liczyć, że... mi szczerze odpowiesz na pytanie?!

— Proszę!... Bardzo proszę!...

— Czy wierzysz głęboko, że nasza sprawa pomyślny wzięła obrót?

Profesor zawahał się, a po chwili z wysiłkiem odrzekł.

— Nie!

— Więc dlaczego starasz się jej bronić?!

— Mecenas pyta jeszcze? Bo skłania mnie do tego obowiązek, bo dopóki cień nadziei zostanie, cofać mi

się nie wolno. Bo tego wszystkiego za mało jeszcze, abym miał prawo się wycofać. Co tu mówić? Wycofać mi się nie wolno. Zresztą, mecenasie, jak mnie pan tu widzisz żywego, ja wierzę w przyszłość naszej sprawy... może nie teraz, nie zaraz, lecz to przyjdzie, to nastąpi!...

— Za dalekie terminy wyznaczasz profesorze. A mnie zdejmuję lęk po prostu. Zastanów się. Dzisiaj tłum jest rozbałwaniony, dzisiaj jeden wyraz, jedno słowo, jeden błysk jaśniejszy entuzjazmuje go, rozpala jego wyobraźnię, utrzymuje go w ekstazie, ale gdy przyjdą dni wytrzeźwienia, dni rozważgi — na kogo rzuci kamieniem? Czy nie zaprotestuje, czy nie zaprzeczy słowom margrabiego?

— Ależ mecenasie! Nie sami dziś jesteśmy. Poszli wszyscy. Najsłabsze czasopisma idą za nami. Dwóch zdań nie ma. W komitecie, w obradach brały udział wszystkie warstwy.

— Nie wierzysz w to, co mówisz! Profesorze! może nigdy nie znajdziesz mnie skłonniejszym do szerszego wypowiedzenia. Mówię, bo muszę! Dławi mnie coś, dręczy! Powiedzmy sobie prawdę!... W komitecie naszym jest przede wszystkim arystokracya, ta podobno na całym świecie zawsze jest zwolenniczką ugody — o niej nie mówimy. Są wyjątki... Nie przerywaj mi pan — o wyjątkach się nie mówi! Następnie mamy plutokrację, która podążyla chętnie, bo lubi zawsze tam się kręcić, gdzie jest dużo koron i mitr. Arystokracya jej imponuje, a lada okazyja do figurowania obok nazwisk rodowych wyprowadza tych trzeźwych skądinąd ludzi z równowagi.

— Potem znajdziesz bardzo wielu takich, którzy mają jakieś interesy do załatwienia, a na końcu kilku uczonych wyznawców kierunku, świadomych celu, do którego dążą, no i garść tych, co może nie od dziś żalują, iż się dali wciągnąć. Weź mnie! Przrzekłem szczerłość. Idea była śmiała... myślałem, może na coś się przydam... może, jeżeli ci o to idzie, miałem jakieś ambicje! Z tych grup wyłączyć muszę pana, profesorze i Wielopolskiego. Wy pozornie tylko do jednego celu zmierzacie i łudzicie się... Margrabi zdaje się, iż pan jesteście pożytecznym w jego rękę narzędziem, a panu, że margrabia pójdzie za tobą! Wielopolski jest arystokratą dumnym, chciwym władzy, tem dumniejszym, że nie może się mierzyć ze starożytnością rodów Potockich, Zamojskich czy Sanguszków, a pan myślisz o Polsce socyalnej, usamowolnionej, republikańskiej, demokratycznej! Gdyby wam dano władzę, jeden z was musiałby ustąpić.

— Lecz do czego pan zmierza? — przerwał niepokojnie Waszewicz.

— Do tego, że w tem wszystkim brakuje nam najpoważniejszego czynnika — narodu! Że uzurpowaliśmy władzę, że naród wyprze się słów Wielopolskiego... A wyprzeć się musi, ponieważ skutków przemówienia się nie doczeka.

— Ależ, mecenasie! Te tłumy na ulicach nie nie znaczą!

— Bardzo wiele! Że odpowiedzialność tem większa spada na nas wszystkich! Tlum jutro może się wyprzeć wszystkiego i wyprzeć się musi!

Profesor tarł niespokojnie czoło:

— I co pan radzi teraz?

— Nic. Stało się! Obowiązkiem naszym jest studiować teraz zapalę i gasić płomienie. Niechże powiedzą o nas, iż daliśmy się unieść, lecz spostrzegłszy niebezpieczeństwo, pierwsi uderzyliśmy na trwogę.

— Nie będę się z panem sprzeczał. Szczerłość za szczerłość. Czekajmy!... Zobaczymy!... Przekonamy się!...

— Bardzo słusznie. Może jeszcze likieru? Ósma godzina. Za godzinę trzeba się już wybierać. Hm! Może i ja na ten raut pójdę...

— Nawet należałoby — podchwycił Waszewicz. — Moglibyśmy zwrócić uwagę. Dałoby to powód do niepotrzebnych wniosków. Wytrwajmy do końca!

— Zgoda! Do końca!...

Profesor zaczął się żegnać. Wiesław poszedł za jego przykładem, lecz mecenas znów go zatrzymał.

— Zostań pan ze mną. Pojedziemy razem. Będzie nam weselej. Na co pan masz wydawać na remizę czy dorożkę?

— Wieś, nie wzdragaj się — upomniął profesor. — Ja się zabiorę z jednym z radców. I także się sprułam dobrze na te wydatki!...

— Naturalnie. Przebierać się nie potrzebujemy. Ta szlachecka liberya nam wystarczy.

Ziemęcki nie opierał się dłużej. Profesor oddał się. Wiesław z mecenasem został sam. Przyborski z wyszukaną grzecznością dotrzymywał Wiesławowi towarzystwa, nie okazując mu ani swej wyższości, ani nie imponując rozległością wpływów, stosunków, czy majątku.

Ziemęcki im bliżej poznawał mecenasa, tem większego nabierał dlań szacunku i sympatii. Łatwość w obejściu, lekko ironiczny ton, z jakim mecenas prowadził dyskusję, wreszcie pewna doza szlachetności, godności w ruchach, obok imponującej postawy — przypominała jakby tych dawnych wielkich panów polskich.

Może w tem wszystkim była i potężna doza udania, zręcznej pozy... Wiesław jednak jej nie odczuwał. A mecenas zaś powziął jakąś rzeczywistą, nieklamana życzliwość dla Ziemęckiego.

Około godziny dziewiątej zajechał powóz Przyborskiego. Mecenasa z Wiesławem ruszyli wkrótce do zamku.

Ulice Warszawy były strumieniami świateł. Fale przechodniów płynęły drogą, którą miały przejeżdżać powozy uczestników cesarskiego rautu. Zamek królewski tonął w morzu ognia, szeroką łuną znacząc swoje gody na zachmurzonym stropie niebieskim.

Powóz mecenasa sunął noga za nogą, dążąc w nieprzejrzanym sznurze karet i powozów, ciągnących Krakowskiem przedmieściem. Chwilami konie zatrzymywały się i stawały. Zaproszeń rozesłano około dwóch tysięcy, a nie było podobno takich, którzyby je odrzucić się ważyli, lub swego przybycia odmówili.

Całe towarzystwo warszawskie stawilo się w szeregu, przetykane obficie papuziem i strojami „generalsz” rosyjskich i „barin”. W każdym pojeździe lśniły bogate galony, wstęgi, order, a ostatecznie białe krawaty i wyglancowane cylindry.

Przed podjazdem kilkunastu oficerów policyjnych czyniło staranny przegląd gości... zważając, aby sakramentalne białe karty, rozdane stangretom zaproszonych były wszędzie; zwracając uwagę, aby ktoś z niepowołanych nie chciał wstąpić w progi zamkowe. W westybulu druga lustracja na wszelki wypadek, a przy wejściu na salę, ochmistrz Pęcherzewski, segregujący zjeżdżających się i wskazujący miejsca, które komu wolno było zająć. Czyny grupowały się tutaj z czynami. Urzędnicy jednej dykasteryi musieli stać i trzymać się porządku.

Sala kolumnowa przeznaczoną była dla członków komitetu i dworskich urzędników, przylegała ona do sali, w której miał odbyć się koncert zapowiedziany, a w której stały przygotowane fotele dla pary cesarskiej i najbliższego otoczenia.

Wiesław z zacięciem przyglądał się salom zamkowym, a pilnie studyował charakter całego przyjęcia. Książę Imeretyński z żoną pełnił tu rolę gospodarza, kręcąc się między zebranymi i udając, że ta zygmuntońska siedziba, pełna wspomnień historycznych, jest jego pałacem, czy udzielną rezydencją w jego kaukaskiej Imeretii... Ze ścian i stiuków, od fresków Bacciarellego, od orłów białych, które ocalały przed parweniuszowską drapieżnością pani Hurko, wiała jakaś powaga, jakiś smutek, a amaranty sali „malinowej” w powodzi świateł spływały krwią.

Wiesław nieznacznie, aby nie manifestować wyłamania się z ceremoniału, wyszedł na taras zamkowy, skąd doznaczał się przepyszny widok na Wisłę, na

most zamieniony w jeden wielki słup ognia, na migotliwe światelka korowodu iluminowanych łodzi...

Na tarasie kręciło się kilkadziesiąt osób, dzieląc się wrażeniami. Wiesław rozejrzał się i nagle drgnął. W cieniu cyprysu dojrzał znaną sobie twarz doktora.

Ziemęcki oczom własnym nie wierzył. Byłżeby to on — tutaj!... Lecz nie — wzrok go nie mylił. Wiesław zawahał się, wreszcie zebrał się na odwagę i poszedł śmiało do Wortmana.

— Dobry wieczór panu! — odezwał się ze drżeniem w głosie.

Zagadnięty spojrzał badawczo na Wiesława i zbladł.

— Dobry wieczór! — odrzekł z wysiłkiem.

— Pan tutaj?!

— Jak i pan...

— Ależ... nie rozumiem! — jękał Wiesław zdetonowany oschłością odpowiedzi. — O ile sobie przypominam pańskie poglądy!... Proszę sobie źle nie tłómaczyć mego pytania, lecz doprawdy jest to dla mnie niespodzianką!... Inaczej sobie wyobrażałem...

Wortman uśmiechnął się ironicznie.

— Jeżeli panu to robi przyjemność, wolno mu się dziwić!... — a potem dodał z goryczą: — Czy nie piękny wieczór, czy nie wspaniałe widowisko?!... Takiego chyba jeszcze nie było!... Jaka harmonia; ile szczęścia w tych rozpromienionych twarzach!...

Wiesław patrzył na Wortmana, nie rozumiejąc intencji uwag — a raczej jeszcze nie mogąc w umyśle swoim pomieścić dwóch tak sprzecznych pojęć jak ten... doktor tajemniczy i raut dworski.

Naraz Ziemęckiemu błysnęła myśl straszna — a jeżeli... on tu jest dla wykonania...

Pod wpływem tego przypuszczenia nachylił się ku Wortmanowi i szepnął z naciskiem.

— Panie, ja muszę wiedzieć, muszę znać cel pańskiego przybycia! Ja nie dopuszczę — nie pozwolę... ja muszę w tym wypadku podejrzyc...

Wortman zmierzył pogardliwym spojrzeniem Ziemęckiego.

— Pan, widzę, przejmujesz się swoją rolą! Jestem tutaj, bo chcę się na własne oczy przekonać, gdzie leży kres waszego upodlenia, waszego lokajstwa!... Lecz to jedno pan sobie zapamiętaj, że my zbrodniarzami nie jesteśmy, walczymy z systemem, z państwem, lecz nie z manekinami!... Rozumiesz pan teraz?... Radzę ci być ostrożniejszym na przyszłość!...

Wiesław chciał coś odpowiedzieć, lecz w tej chwili z sali wybiegł na taras zamkowy Czesławski i przystąpił z ukłonami do Wortmana.

— Sługa pana radcy dobrodzieja! Sługa najniższy! Jak zdrowie szanownego radcy? Kochanego pana Wiesława witam!...

— Dziękuję! — odparł chłodno Wortman.

— Śliczny raut mamy! Cudowny! Nikogo z nas nie brak. Wielcy książęta już przyjechali... lada chwila... spodziewamy się najjaśniejszych państwa! Raut można już teraz uważać za udany! Nieprawdaz?... —

O, z pewnością! — przytwardził Wortman i zawróciwszy nagle, skierował się do sali. Czesławski chciał za nim podążyć — lecz Wiesław go zatrzymał.

— Panie Czesławie! Powiedz mi, proszę... co to za jeden ten jegomość?...

— Nie znacie go? A rozmawialiście z nim przed chwilą?...

— Zagadał do mnie. Zamieniliśmy kilka zdań zaledwie!...

— Więc nie znacie radcy... Krenna?

— Kto to taki?

— Henryk Krenn!... Rzeczywisty radca stanu! Bardzo wpływowa osobistość! Ma Włodzimierza na szyję! Nie widział pan! Bywa wszędzie! Bogaty niezmiernie! Z pochodzenia podobno Kurlandczyk! On tu jest jak u siebie!...

Ziemiecki słuchał, własnym uszom nie wierząc. Chciał jeszcze o coś zapytać Rzązewskiego, lecz w głębi sali rozległ się donośny głos Pęcherzewskiego:

— *Messieurs! Leurs Majestés sont arrivés!*...

W salach rozległ się przeciągły szmer.

Cesarz Mikołaj w mundurze ułańskim wszedł, prowadząc cesarzową — poprzedzany przez wielkiego mistrza ceremonii, księcia Dołgorukiego...

Na estradzie równocześnie rozpoczął się popis braci Reszków, Barcewicza i orkiestry Wielkiego teatru... Służba wysunęła się tacami chłodników i zaczęło się coś, co nawet dla tych, którzy po raz pierwszy byli świadkami przyjęcia z cesarzem, stało się nudnem.

Cesarzowa Aleksandra starała się być uprzejmą, aż kilka pań z pośród polskiej arystokracji zaszczyliła rozmową. Cesarz zachowywał się dosyć apaty-

cznie. Kiwnął głową kilku generałom, wysłuchał cierpliwie długiej tyrady księżnej Imeretyńskiej, oderzwał się raz do ministra wojny Wannowskiego, przyjął łaskawie margrabiego... i starał się okazać, że go koncert interesuje.

Gdy w sali muzycznej zebrani tam mieli jeszcze przed sobą niezwykły widok, bo monarchów, w pozostałych salach panowała nuda i znużenie. Ludzie stali tam wysnurowani, zapięci na wszystkie możliwe guziki najodświętniejszych mundurów, nie nie widząc, nie nie słysząc.

Śmielsi wysuwali się po cichu do urządzonych w bocznych pokojach bufetów.

Tam ruch zawrzał trudny do opisania. Szampan się lał, a najwyszukańsze delikatesy jeść wolno było łyżkami...

Ddziwić się też należało, skąd się te stosy frykasów brały na bufetach, przedstawiciele bowiem i przedstawicielki „rosyjskiego“ towarzystwa nie zaniedbali i tutaj zastosować rabunkowego zwyczaju. Cukry, sardynki, kawior nikły w chustkach do nosa. Co chwila dawały się słyszeć głosy:

— *Z carskowo stoła dietiam podaroczek.*

Służba traciła głowę, bo i talerze z herbami i łyżeczki także zaliczone zostały do przedmiotów, mogących ucieszyć dzieci.

Wiesław, kołując tu i owdzie, znalazł się był wraz z całym tłumem w jednym z bufetów.

Już chciał usunąć się od tego dosyć przykrego widoku, gdy naraz chwycił go ktoś pod ramię.

— Dobry wieczór panu.

Wiesław obejrzał się. Przed nim stał Murowski, znany dziennikarz.

— Witam.

— Co pan ze sobą robisz?

— Uciekam od tego spustoszenia.

— Panie Wiesławie! Kto słyszał!? Powiadam panu, znakomity kawior gruboziarnisty. Zjadłem ośm kanapek. Choć pan, zjemy jeszcze. Szampańskie wyborne.

— Winszuję apetytu. Dziękuję.

— Ot! Oryginał z pana. Chyba my nie potrzebujemy robić ceremonij. Patrz pan, ci Rosyanie sięgają nie po swoje — ale my... Dalej... Co tu za kanapki... śliczności!...

— Jakto?

— Jeszcze się pytacie — jak! rozochocony dziennikarz, połykając gwałtownie kawał homara. — Przecież daliśmy dwa miliony gotówką... nie licząc innych kosztów, które bodaj więcej wynoszą. Lampeczkę szampusia... Droga przyjemność... Pijcie... dobrze choć z tego całego interesu ugodowego bodaj coś w naturze wycfać.

Wiesław roześmiał się serdecznie z tego oryginalnego dowodzenia. Było w niem wszak tyle prawdy.

Okolo godziny dwunastej para cesarska odjechała, a za nią wyciągnął się powoli łańcuch pojazdów, rozwożąc gości rautowych po wszystkich krańcach miasta.

Dalszy ciąg uroczystości w niczem nie różnił się od pierwszych dwóch dni — ani razu nie prze-

kroczywszy ułożonego i dawno przewidzianego przez ministerstwo dworu programu.

Warszawa do ostatniego dnia pobytu pary cesarskiej ludziła się najrozmaitszemi przypuszczeniami. Zapewniano z głębokiem przekonaniem, że cesarz ma odwiedzić aż trzy polskie domy arystokratyczne, że bezwarunkowo przyjedzie na festyn wydany przez Józefa hrabiego Potockiego, że przybędzie do kilku rdzennie polskich instytucyj, a co najmniej, zainteresuje się pamiątkami Willanowskiemi!

Dni mijały. Para cesarska nie zrobiła ani jednego kroku naprzód po za utartymi drogami stereotypowych dróg, zapoczątkowanych po r. 1863 przez Aleksandrów II. i III.!

Aż nadszedł ranek ponury, chłodny... para cesarska dążyła na dworzec kolejowy... Niby żegnano ją jeszcze okrzykami, lecz okrzyków tych było mało, żegnających skapo... a w okrzykach tych brzmiały echa gorzkiego zawodu, smutnego rozezarowania.

Prasa, która dała się porwać entuzjazmowi, ostygła nagle i zaczęła się bawić w kazuistykę... Tu i owdzie podnoszono bardziej ludzkie głosy dziennikarstwa rosyjskiego! Jeszcze nie wątpiono, że coś się stanie.

Rzecz nie do uwierzenia. Polacy z Królestwa tak umieli samych siebie zsugestyonować, tak się zamagnetyzować, że nawet *Dziennik warszawski* nie mógł się oprzeć żywiołowi i zdobył się na szeroki artykuł o „przeżywaniu chwili historycznej“!...

Wprawdzie artykuł ten można sobie było dwojako tłómaczyć — bądź w myśl nadziei Polaków,

байд в розуміені *Świeta* moskiewskiego, który codzień wołał z ukontentowaniem — „nareszcie Polacy przestali być Polakami! — nareszcie zlanie się Prywiślinja na właściwe weszło tory“.

Opinia warszawska pracowała usilnie i rozważała starannie wszystkie wspomnienia z pobytu pary cesarskiej — a choć już sceptyzm górę brać zaczynał, niemniej jeszcze broniono „aktu politycznego“, jeszcze szukano doniosłych słów.

Miłość własna Polaków starała się wesprzeć bodaj na fakcie, że bukiet podany cesarzowej przez księżnę Imeretyńską był przepasany litym pasem słuckim — zabytkiem szczerze ofiarowanym przez kogoś z arystokracji!... Ten bukiet z pasem... był jedynym z tych właśnie symbolów, ciężkich do zrozumienia, lecz Warszawie wystarczających.

Drugim, równie niezbadanym faktem była okoliczność, że na dworcu kolejowym w chwili przyjazdu cesarskiego, wartę honorową trzymał sto siedmdziesiąty ostrołęcki pułk, a w Łazienkach sto siedmdziesiąty pierwszy grochowski. Prawie polskie pułki.

Świadomi twierdzili, że formacja tych pułków datuje się właśnie od krwawych polsko-rosyjskich rozpraw, ale to, co w każdym innym czasie poczytywanemby było za przykre wspomnienie, teraz nabierało charakteru pochlebiaenia Polakom! Władze rosyjskie nie miały w tym razie ani złej, ani dobrej intencji. Porządek służby garnizonowej wypadł na te dwa pułki — nie nadto.

Lecz i tych dowodów zmiany stosunków polsko-rosyjskich możeby nie wystarczało — na szczęście miała ich Warszawa więcej.

Mundur ułański, w którym cesarz występował kilka razy — poczytano za chęć przypodobania się Polakom, którzy pomni na uniform księcia Poniatowskiego, mundur ułański witają życzliwiej; brama Zamku królewskiego była udekorowana draperiami w kolorze białym i czerwonym, czyli w barwach niemal polskich. Brakło może temu szkarłatowi jarosławskiemu odrobiny fioletu, ale bądź jak bądź, czerwien jest podobniejszą do amarantu, niż *bleu de prusse*!

Na ten temat snuto całe historie, komunikowano sobie niestworzone rzeczy. Dziennikarstwo pierwsze uległo się tych nowych prądów. Maszyna tak łatwo zahamować się nie dała jeszcze. Rozpedzone koła niosły. W pobycie ministra Goremykina widziano niechybny znak zamierzonych reform.

Z drugiej strony tymczasem iść zaczęły głosy spokojne, które z nieubłaganą logiką cytowały nie dające się niczem obalić fakta. A ilość ich co dnia wzrastała.

Cesarz Mikołaj ani słowa nie wymówił po polsku podczas całego swego pobytu w Królestwie, i ani razu nie pozwolono do niego odezwać się w języku polskim.

W czasie przejazdu cesarskiego do fortu pod Służewem, gubernator Martynow nie pozwolił ustworzyć deputacji chłopskiej. A ośmioletnia dziewczynka, mając bukiet wręczyć cesarzowej, czytała z kartki rosyjskie powitanie.

Cesarz ani razu nie zdradził ochoty do odstąpienia od ceremoniału, czy uchylecia bodaj jednym słowem urzędowości przyjąć. Po za margrabią Wielopolskim i kilku wyrazami, zamienionymi z hrabią Branickim, prawie że unikał wszelkiego zbliżenia się do Polaków! Na przyjęciu cesarskiem w Łazienkach na dwustu generałów, pułkowników i czynowników, było... osób polskiego pochodzenia... pięć!

Wiesław zdawał sobie sprawę z położenia i czuł nadciągające na głowę ugody chmury. Rozgoryczenie jego tem było większe, że po dniach gorączkowej nieustannej pracy, która pochłaniała go, nie pozwalała niekiedy zbyt długo zastanawiać się i ważyć, przyszły dni puste, czeze, bezbarwne. Komitet obywatelski rozchwiał się... niby kilka osób zostało powołanych do rady, mającej zająć się budową politechniki, lecz wszelkie korespondencje i zajęcia bieżące ustały. Profesor po całych dniach pracował nad artykułami dla czasopism, sprzyjających nowym prądom, do biura komitetu nawet ciekawy zawsze Cześ Rzażewski przestał zaglądać.

Po tygodniu waleśania się, Ziemęcki postanowił rozmówić się z profesorem co do dalszych swych zajęć, bo nie chciał rujnować Waszewicza na płacenie pensyi z własnej teraz kieszeni, no i czuł, że słowa jednego za ugoda wymówić nie potrafi.

Profesor wysłuchał cierpliwie Ziemęckiego i rozeźmiał się pocziwie.

— Oj ty — nudziarzu! Zrzędo nieznośny! Na własne utrapienie wyrwałem cię z konserwatyzmu... no i cierpię teraz!

— Teraz wobec mego...

— Cyt! Wieś! Ani słowa więcej! Buntujesz mi się! Cierpliwości! Zdaje ci się, iż będziesz zawalidrogą u mnie? Nigdy! Moje plany, ciebie dotyczące, zmieniły się o tyle, że to co do niedawna było projektem, przybrało formę rzeczywistości!... Ależ nie rób tak zabawnej miny.

— Powtarzam wyraźnie — rzeczywistości! Formalna koncesya na nowy dziennik przyjdzie najdalej za dwa tygodnie. Pieniądze na zapoczątkowanie już mam! Roboty huk! Od jutra zabierzemy się na dobre. Pismo codzienne. Zdarzenie przełomowe. Od dziesięciu lat nie dano ani jednej koncesyi na polskie pismo. Margrabia dotrzymał przyrzeczenia. Słowo szepnął Goremykinowi i historia skończona. Dziś już winshaw mi jeden z cenzorów! Poszło wszystko piorunem! I to, uważasz, nawet mi zapomniano wszelkie zarzuty o *blagonadiożności*!

— Chyba nas byłoby trudno posądzać!

— Wszystko możliwe! Koniec końców jest pismo, jest organ, w którym można się wygadać, za pomocą którego można działać na masy.

— Prawda! Lecz w jakim kierunku?

Waszewicz rzucił się niecierpliwie.

— Cóż ty ciągle z tym kierunkiem wyjeżdżasz! Dogadać się niepodobna! Jedno w koło mam ci powtarzać?...

— Nie. Tylko obecnie, mając najbliższe rezultaty przed oczyma.

— Gdzie są rezultaty?

— W tem, że ich nie ma!

— A tyś myślał, że to, co się ma stać, zrobi się we dwa dni! Napiszę sobie kilka słów i już zwałą całe tomy rozporządzeń i zastąpią je śpiewką „Jeszcze Polska nie zginęła“... Powiem ci więcej, machina państwowa, to instrument z konieczności bardzo skomplikowany!... Masz na przykład dowód, że do dnia dzisiejszego wszystkie polakożercze rozporządzenia nie zdołały znieść praw i przywilejów z czasów pruskich, z czasów księstwa Warszawskiego, z czasów komisji organizacyjnej Królestwa Polskiego.

— Nie przeczę... ale...

— „Ale“ żadnego nie ma! Gdybyś starał się docierać do rdzenia, tobyś się przekonał sam, że tu nawet rozstrzyga miejsce pobytu cesarza. Wszelkie manifesty nadawcze muszą być podpisywane w jednej z dwóch stolic...

— A przecież Warszawa jest także stolicą!... Cesarz dotąd tytułu króla polskiego nie porzucił!...

— Chyba żartujesz!? Jesteśmy częścią składową monarchii i musimy podlegać pewnym ustawom państwa! Bierzesz się do roboty?!

— Chciałbym!... Żeby choć cień jakiegś nadziei!...

— Twojem zdaniem więc stosunki nie uległy zmianie?...

— Mam być otwartym?

— Proszę cię o to.

— A zatem przyznaję, że zmiany...

— Widzisz!

— Lecz ja się tych zmian boję! Prostu wolę czasy Hurki z całą jego dziką, a do śmieszności do-

chodzącą polakożerczą zjadłością, razem z wybrykami Maryi Andrejewny, z awanturami jego synów.

— Co... co ty mówisz?...

— Wolę! — potwierdził z przekonaniem Wiesław — Hurko drażnił nas, dokuczał, lecz wszelkie jego wysiłki nie miały i nie mogły mieć żadnych następstw!... Ośmieszał siebie samego wobec Petersburga, a Petersburg wobec Europy... A dziś z tych ustępstw, z tej wyrozumiałości, z tego ugrzecznienia, wieje jakiś chłód, jakaś nieublagana, konsekwentna w rozporządzeniach swoich polityka!...

— Gdzie! Gdzie! masz usprawiedliwienie! Powtarzasz puste frazesy!... No, jak chcesz, przekonywać cię więcej nie będę...

— Chciałbym być przekonany!...

— Odpowiem ci krótko! Rozwój samoistny narodowy i społeczny, obok uznania państwowości rosyjskiej! To mój cały program! Literę z niego nie ustąpię!... Skłamałbym, gdybym miał dowodzić, że pobyt cesarski mnie zadowolnił, ale nie mam powodu, nie mam racji rąk opuszczać dlatego, że to i owo ulega zwłoce! Czekajmy! Bądźmy cierpliwi. Mamy swój organ! Mamy naszą placówkę!...

Ziemęcki uległ i czekał. Nie on jeden tylko — czekała Warszawa, czekało całe Królestwo, wszystkie ziemie polskie rozkrzyżowane, a obstawione granicami, czekały i nadsluchiwały.

W dziesięć dni po wyjeździe pary cesarskiej z pola manewrów, pod Brześciem litewskim, spadły na Warszawę dni uroczyste reskryptów!

Pierwszy, na imię wielkorządcy Królestwa, raz jeszcze dziękował Warszawie za przyjęcia — drugi... adresowany do ex-kacyka Hurki, wspominał o jego pracy na polu państwowem w Królestwie... To zestawienie dawnych rządów generał- gubernatorskich zmroziło najzagorzalszych, w jednej chwili zburzyło cały gmach nadziei, skłoniło prasę do zasklepienia się w swej skorupie...

Doza otrzeźwienia była za silna.

Nawet Petersburg to spostrzegł i znów zdobył się na rzucenie przynęty. Książę Imeretyński ogłosił najwyższe zezwolenie utworzenia instytutu politechniki... i zatwierdził zasadniczy projekt uroczystości Mickiewiczowskich i odsłonięcia pomnika.

Umysły uspokoiły się powoli. Pocieszano się teraz, że coś zawsze zyskać się dało. Sfery arystokratyczne były bardzo zadowolone, bo aż sześciu przed stawicieli polskich rodów otrzymało nominacje na kamerjunków a cztery hrabianki na frajliny.

Wiesław zakopał się w robocie organizacyjnej nowego dziennika. Wątpił był z początku w jego rzeczywistość i przypuszczał, że Waszewicz znów dał się zwieść pustemu przyrzeczeniu — lecz niespodziewanie słowa jego się sprawdziły, koncesya z Petersburga nadeszła! Profesor nie posiadał się z ukontentowania. Po całych dniach omawiał przyszlą organizację redakcyi, projektował artykuły, które miały wstępnym bojem zdobyć setki prenumeratorów, przeprowadzał wstępne korespondencje, prowadził układy z drukarniami, naradzał się z nimi nad stworzeniem

nowego „typu“ pisma a zbierał brakujące mu jeszcze kapitały.

Nowy dziennik, noszący miano „Patryoty Warszawskiego“, miał wszelki widok powodzenia. Sama jego nazwa bowiem obudziła powszechną życzliwość, będąc zmartwychwstałem imieniem słynnego pisemka rewolucyjnego z czasów wojny roku tysiąc ośmset trzydziestego pierwszego. Nadto dziennik nowy zapowiadał coś niezwykłego, coś, czego dotąd jeszcze nie było. „c“, które tem więcej interesowało, im mniej było zrozumiałem. Firma Waszewicza zapewniała mu powagę. Tu i ówdzie opowiadano sobie o ugodowym kierunku zakładanego organu, nie żałując domysłów o tem, w jakiej formie i na jakich zasadach ów prąd wyrażonym będzie.

Ziemęcki pracował szczerze i gorliwie. Dziennik miał się ukazać pierwszego listopada. Zadanie było nie lada. „Patryota“ nawet niedzieli i świąt nie chciał opuszczać. Ukazanie się więc pierwszego numeru było początkiem pracy codziennej, nieustannej, całe lata trwać mającej. Do pracy więc tej należało się przygotować, aby od samego początku wystąpić z dobrze zorganizowanym aparatem redakcyjnym i administracyjnym jak przystało na wielki programowy dziennik.

Profesor miał wiele doświadczenia, Ziemęcki każdej pracy oddawał się duszą i ciałem — praca robiła tak szybkie postępy, że w końcu października redakcyja, administracyja i drukarnia czekały tylko sygnału, aby rozpocząć wyrzucanie setek i tysięcy egzemplarzy.

Waszewicz miał już gotowy wstępny artykuł, zatytułowany „Polskość“, a silnie charakteryzujący barwę i sztandar pisma. Wiesław zwracał uwagę profesorowi, że to za gwałtowny pocisk, sprzeczał się z nim, dyskutował, lecz profesor ustąpić nie chciał...

Tak zeszło do dnia, w którym pierwszy numer „Patryoty“ miał ujrzeć światło dzienne. Ziemęcki od rana śleczął razem z „metrampażem“ nad kasztami, odrabiając nudną robotę łamania szpalt, przymierzania i przygotowywania przyszłego szablonu dziennika. Profesor siedzi nad korektą, żona Waszewicza z kuzynkami pomagała administratorowi i formowała listy pierwszych prenumeratorów dla roznosicieli. — W redakcyi kilku dziennikarzy i reporterów wykończyła ostatnie telegramy i wiadomości... Gorączka wrzała nie do opisania. Co chwila ktoś z miasta zjawiał się bądź z ofiarowaniem swego „talentu“, bądź z gotowym utworem, bądź ze skromną propozycją „zaczepienia się“ w nowej redakcyi, bądź z furą uwag, rad, wskazówek, projektów i „myśli“... Procesy tych „interesentów“ zdawiała zamieszanie i podwyższała skalę zdenerwowania nawet u znudzonego nieustannemi pytaniami woźnego.

Wreszcie ostatnia forma została skończona. Metrampaż podłożył ją pod ręczną maszynę, zakręcił korbę i... pierwsza odbitka numeru była gotową. Ziemęcki poniósł ją do Waszewicza.

Profesor ze wzruszeniem jął odczytywać swój pierwszy artykuł, I naraz zagadnął niespokojnie:

— Wieś! Czy maszyna już idzie?...

— Nie, skądże! To dopiero ręczna odbitka. Po przejrzeniu... zaczniemy natychmiast bić!...

— Zatrzymaj się! Trzeba.. muszę jeszcze poprawić artykuł!...

— Byle nie wiele, bo całą formę będziemy musieli przerabiać!...

— Choćby!... Trudno!... — rzucił niecierpliwie profesor, schwycił gwałtownie za ołówek i gorączkowo zaczął w artykule swoim całe ustępy wykreślać. Artykuł kureczył się, bładł!... Profesor raz jeszcze go odczytał i sam pobiegł z nim do metrampaża. Wiesław czekał długo na Waszewicza, dotknięty nieco tem, że profesor nie porozumiał się z nim, nie zasięgnął zdania co do zmian...

Po godzinie profesor wpadł do gabinetu z numerem „Patryoty“ i rozwinął go z zadowoleniem przed Ziemęckim.

— Patrz, odbitka z maszyny. Doskonała. Druk czysty, doskonale wyrobiona forma! Nie myślałem, że tak wyjdzie! Dalipan niezłe pisemko! Papier znakomity!... Twój artykuł wyszedł świetnie. Masz szczęście!... Za godzinę będziemy mieli tysiące egzemplarzy!... Maszyna chodzi jak po maśle! Nie ma, jak rotacyjna! Świetny wynalazek!...

Ziemęcki pochylił się nad numerem dziennika i zaczął odczytywać artykuł Waszewicza. Ku wielkiemu zdziwieniu przekonał się, iż artykuł był pozbawionym całej swej poprzedniej jaskrawości, że nie było w nim tego, co było zapowiedzią ugodowych idei. Gdy skończył czytać, nie mógł się powstrzymać od uwagi.

- Ależ to zupełnie co innego, niż było!...
- Nie podoba ci się?... — zagadnął z przekąsem profesor.
- Przeciwnie, teraz nie mam do zarzucenia!...
- Proszę!... Dziękuję ci za komplement!...
- Tylko...
- Co... tylko?...
- Nie zgadza się on z poprzednio wygłaszanymi poglądami!...

Profesor poczerwieniał.

— Mylisz się! Nigdy nie byłem silniej przekonany... ale widzisz... drukowane słowo ma swoje prawa!... Niechętnych nam nie brak... Gotowiby przekreślić wniosek i ogłosić nas za sługi rosyjskie!... U nich o to nie trudno! Musimy działać ostrożnie, żeby być dobrze zrozumiałymi!...

— Zupełnie podzielam to przekonanie. „Patryota“ wygląda tak, jak tego szczerze pragnąłem, wyodrębnia się żywością od innych pism, a w tonie im nie ustępuje!...

— Drwisz sobie ze mnie!...

— Broń Boże!... Przekonałem się tylko, że pan profesor jest dobrym...

— Dziękuję, nie ciekaw jestem! Musimy zabrać się do numeru drugiego... Czas leci!...

Tymczasem „Patryota“ wydostał się na miasto... Warszawa wyrывała go sobie i odczytywała od deski do deski, szepejąc ze zgrozą — co za artykuły!... co za polityka... chcą nas zaprzedać Moskalom do reszty! Wprawdzie „Patryota“ niczem się nie różnił

od najskrajniejszych organów „czerwoności“, ale... opinia zbyt długo była suggestyjonowaną zapowiedziami o ukazaniu się rosyjskiego organu, aby nie poczytała każdego wyrazu za zdradę!...

Niechęć społeczeństwa polskiego wyraziła się we wręcz odwrotnym stosunku do prenumeraty!... Ta ostatnia popłynęła szybko. Każdy chciał się dotykać przekonania, dokąd zajdzie „przewrotność“ tego „subwencyjonowanego przez rząd rosyjski pisma“...

Kiedy po kilku numerach i unormowaniu roboty redakcyjnej, Wiesław wyszedł na miasto, uląkł się tego, co słyszał. Gdzie tylko się obrócił, tam wszędzie witano go zimno, niechętnie, z odcieniem widoznej pogardy, nie żałując ani docinków, ani aluzji. Ziemęcki zapalał się, bronił Waszewicza, bronił redakcyi, nie to nie pomogło. Przydomek „ugody“ już przysrośł i do niego samego.

Warszawa tu i ówdzie jeszcze się wahała... jeszcze nie była pewną, czy ma twórców nowej polityki za zupełnych zdrajców poczytać, czy znaleźć dla nich łagodniejszy tytuł.

W początkach listopada problem ten został rozstrzygnięty stanowczo.

Ziemęcki siedział, jak zwykle, w redakcyi, czekając na ostatnie telegramy agencyjne. Profesor wyszedł był na obiad. „Patryota“ zaczął się dawno drukować. Wiesław miał przejrzeć depesze i w razie pilniejszej wiadomości, usunąć odpowiednią ilość wierszy z kroniki brukowej, a umieścić depesze.

Telegramy nie nadechodziły. Wiesław się niecierpliwił i zabierał się powoli do wyjścia, ile że i tak

ubrany, gdy woźny podał mu telegramy. Na druk było już zapóźno. Ziemęcki rozerwał machinalnie kopertę, aby rzucić okiem na treść.

Telegram był z Petersburga i zaczynał się od uroczystych słów: „My z Bożej łaski, cesarz i samowładca wszechrosyjski, król polski, wielki książę finlandzki, etc...” — Ziemęcki gorączkowo przebiegł treść telegramu...

Był to manifest na imię księcia Imeretyńskiego, zalecający mu pieczę o wprowadzenie systematyczne rosyjskiego języka do instytucyj i stowarzyszeń, tudzież nakazujący ściśle przestrzeganie używalności tegoż języka we wszystkich dykasteryach administracji... kraju...

Pod manifestem była odezwa warszawskiego generał-gubernatora do naczelników rozmaitych wydziałów, powołująca się na rozkaz najwyższy i przypominająca cyrkularz generała Hurki...

Ziemęcki nie zdołał się otrząsnąć jeszcze z pierwszego wrażenia, gdy do redakcyi wpadł Waszewicz.

— Wieś! Jeszcze siedzisz? Zamordujesz się! Idźże na obiad!

— Czekalem na telegramy...

— Jest co nowego?

— Więcej niż potrzeba!...

Profesor rzucił okiem na telegram i zbłądł.

— Miła niespodzianka! — bąknął. — Co się to mogło stać!... Chyba jakiś przewrót w Petersburgu... zmiana kierunku polityki... Nowy prąd!... Bo... bo... to zakrawa na szykanę!...

— Nie ma wątpliwości!...

— W głowę zachodzę!... Jakaś intryga... Jakaś plotka...

— Telegram według *Prawitielstwienawo Wiestnika*.

— Prawda! Lecz ktoś nam buty uszył! Ktoś podkopał nas... po tem wszyskiem taki... taki... pa-sztet!...

Ziemęcki raz jeszcze wziął do rąk depeszę i drgnął nagle.

— Panie! pan się myli! Tu nie nadzwyczajnego nie ma: To od dawna rzecz przygotowana...

— Ale, cóż znowu!

— Proszę, niech pan zobaczy na datę i podpis „dan w Peterhofie dnia 31 lipca 1897 roku, a panowania naszego trzeciego“... więc podług kalendarza naszego w połowie sierpnia.

— Tak, tak, masz słusność — jękał niespokojnie profesor, mnąc w rękę papier.

— A zatem w chwili, gdy nas łudzono nadziejami, gdy zasypywano nas półsłówkami i nadziejami, równocześnie kręcono na nas nowy bież, myślano nad wynalezieniem jeszcze jednego narzędzia wynaradawiającego. Haniebna polityka!...

— Lecz taka zakrawa na drwiny. Spodziewałem się wszystkiego, lecz nigdy takiego załamania się.

Profesor rzucił się na drwiny. Spodziewałem Wiesław mierzyl przez czas jakiś krokami pokój redakcyjny, a wreszcie zatrzymał się nagle przed Waszewiczem i zapytał znienacka:

— Co pan robić zamierza?

— Cóż! Nie ma co ukrywać. Wszystkie pisma musiały równocześnie odebrać ten telegram. Damy go jutro.

— Nie o to mi idzie. Ja pytam się o stanowisko, jakie pan zamierza...

— I cóż chcesz, żebym robił?

— Jabym... zamknął pismo...

— „Patriotę“?

— Tak. Byłaby to najwymowniejsza odpowiedź. Zwijamy sztandar i koniec.

Profesor pokiwał smutnie głową.

— Nie, nie, mój Wiesiu. Taki postępek żadnego nie sprawi wrażenia, a wydrze nam jedno narzędzie więcej z rąk. Wiesz, jakie kolosalne trudności stawiają przy udzielaniu koncesyi na pismo. Nam nie wolno tego uczynić. Nie wolno opuszczać zajętej pozycyi. Będziemy się bronić... A zresztą ja wierzę, nie teraz, to za lat dziesięć, dwadzieścia musi kierunek się zmienić...

— Co do mnie usuwam się natychmiast z redakcyi.

— Wiesiu! Czy możesz co dotąd zarzucić „Patriocie“? Czy artykuły jego różnią się czemkolwiek bodaj od .. artykułów „Dnia“ czy „Dziennika Powszechnego“? Odpowiedz!

— Stanowczo nie!

— Widzisz i bądź pewien, że, o ile system się nie zmieni, ja... także nie skory będę... do pojednawczych wystąpień.

— Nie wątpię, panie profesorze! Jednakże przydomek „ugodowcy“ tak zrósł się z „Patriotą“, że nie

prędko zdoła się pan odeń uwolnić! Wobec tego ja ustępuję, ponieważ dzisiaj każdy cień, dający powód do uważania mnie za lojalnego wyznawcę polityki, byłby mi nieznośnym! Wierzę w prawość zasad pana profesora, lecz mnie już i na pozorach zależy... Nie chcę być na chwilę posądzonym, że cośkolwiek łączy mnie z obozem margrabiego Wielopolskiego.

Profesor nachmurzył się i odrzekł zimno.

— Mój Wiesiu, tyle razy wyrzekałeś się stosunków ze mną, że nie mam prawa dłużej cię zatrzymywać! Rób, jak uważasz za właściwe! Liczyłem na ciebie! Miałem przekonanie, że znajdę w tobie więcej niż pracownika! Nie nalegam, nie zatrzymuję! Nie śmiem! Zostanę sam!... Skończone.

Waszewicz umilkł. Ziemęckiemu żal się zrobiło profesora.

— Niech profesor za złe mi nie bierze. Inaczej nie mogę!

— Nie nalegam. Od kiedyż zatem masz zamiar ustąpić?

— W tej chwili.

— Prawda, jest to zgodne z waszą dziennikarską etyką! Ale nie mam pretensyi. Na co mielibyśmy znów może irytować się nawzajem? Im prędzej, tem lepiej. Każę ci na jutro przygotować rachunek.

— Nic mi się nie należy.

— O... za pozwoleniem. Ślęczałeś po nocach, siedziałeś kamieniem...

— Wybrałem pensję do końca miesiąca...

— To nie nie znaczy!... Należy ci się jeszcze!... Pozwól tylko. Mówię już nietylko jako kierownik pisma, lecz jako dawny twój nauczyciel. Nie wzdragaj się. Może nie odrazu znajdziesz posadę, czy zajęcie... Pieniądze mogą ci się przydać.

Oddasz mi, chcę ci pożyczyć!... Oj ty, dzieciaku uparty!... Daj mi rękę! Cóż, zgoda? Rozchodzimy się jak przyjaciele! Ty wyjdiesz znów na prawego syna Ojczyzny, a ja zostanę może wkrótce całym zdrajcą, szpiegiem, wisicielem... taki to los!...

— Profesorze!

— Nie przecz tylko! Zdaję sobie sprawę z tego, co mnie czeka... lepiej niż myślisz... Sądziłeś nieraz, że ty jeden odczuwasz wszystkie podmuchy, że ten Waszewicz jest tak znieczulonym, opętanym sławianofilem, że wszystko bierze za dobrą monetę!... I stawiałeś mi zarzuty, nie przypuszczając zapewne, że ja je samemu sobie stawiałem wcześniej... Co robić!?... Ludzę się może, lecz działałam w dobrej wierze! Odsunę się, zasklepię... i będę czekał... Rosya musi się odrodzić, musi zdobyć się na przewrót... a wtedy...

— Na to zgoda! Wtedy mogą się stosunki zmienić, ale prawdopodobnie bez programu Wielopolskiego...

Waszewicz machnął ręką.

— Nie mówmy o nim! Ani o tem. Na dziś mam zanadto!...

Ziemęcki spojrzał na zegarek.

— Ósma dochodzi. Czas!

— Odchodzisz?

— Muszę!...

— Będziesz miał jutro popołudniu obliczenie... Nie sprzedaj się!... Dziękuję ci, pracowałeś szczerze... W razie czego, możesz zawsze na mnie liczyć.

Ziemęcki wyszedł z redakcyi podniecony. Wstał do pobliskiej restauracyi, aby zaspokoić dokuczający mu głód i zawrócił wprost do domu. W drodze zastanowił się nad przebiegiem ostatnich wypadków. Profesora żal mu było. Przyzwyczaił się do niego, nawykł, ale, ale cóż... iść z nim nie mógł... Wiesław rozumiał dobrze, że Waszewicz ani odrobinę nie był gorszym patriotą od takiego Buleckiego... atoli wszystko było przeciw Waszewiczowi. W mieście bez ogródek mówiono o nim, jako o słudze Wielopolskiego!... A Ziemęcki chciał być teraz jaknajdalej od tego nazwiska...

Zerwanie z Waszewiczem zmusiło go do zastanowienia się, co pocznie z sobą dalej... Profesor wypłacał mu pensję bardzo regularnie, tak, że Wiesław nigdy nie potrzebował kłopotać się o nie... o grosz. Sto rubli przy dochodziku z procentu pozwalało mu żyć dostatnio. Uroczystości cesarskie wypłoszyły mu sporo pieniędzy z kieszeni, zmusiły go do zaciągnięcia długu u krawca, lecz byłoby to nie nie znaczącym uszczerbkiem, gdyby był pozostał w redakcyi „Patrioty“. Teraz musiał poważnie zająć się wyszukiwaniem pracy. Nie zdawało mu się to rzeczą trudną. Bądź co bądź był już wyrobionym dziennikarzem... przedstawiał poniekąd „siłę“, a takiej nigdy nie jest za wiele.

Nazajutrz, aby czasu daremnie nie tracić, poszedł wprost do redakcyi „Dnia“ i bez wykretów zaoferował swoje usługi Buleckiemu, szczerze wyznając, co go skłoniło do opuszczenia nagłego „Patryoty“. Bulecki z niedostrzegalnym uśmiechem wysłuchał Wiesława, a po namyśle odezwał się tonem protekcyjnym:

— Kochany panie Ziemecki, prawdziwie współczuję jego położeniu. Prawda, inaczej panu postąpić nie wypadało, ale czy pan nie brał rzeczy za gorąco?!...

— Pod jakim względem!?

— Hm!... Opuścił pan korzystne miejsce!... Takiego pan łatwo nie znajdzie!...

— Bez wątpienia! Lecz nie mogłem brać pod uwagę względów materyalnych.

— To źle! — odpowiedział oschle Bulecki. — Zawsze należało pamiętać o tem. Dziś pieniądz ciężki. Przepełnienie... prenumerata, mimo czwartego kwartału... ledwie się wlecze!... I tak wszędzie... Zniechęcenie... ludzie już i czytać nas nie chcą!... Wątpię, czy się znajdzie redakcyja, któraby pana mogła zaangażować na tych samych warunkach!...

— Mniejsza o to! poprzestanę na najskromniejszym, byle nie być z sobą samym w niezgodzie... Jeżeli redaktor łaskaw, w takim razie...

— A nie!... nie mogę!... Nie śmiałyby!... Przytem mój „Dzień“ tak daleko stoi od „Patryoty“, że przeskok mógłby być i dla mnie i dla pana zbyt gwałtownym!... Ale... może pan uda się do... „Wiadomości Powszechnych“, tam, zdaje się, potrzebują ludzi...

— Dziękuję za wskazówkę. Przepraszam, że ośmieliłem się niepokoić pana...

— Bagatelna rzecz! Zresztą jestem do rozporządzenia pańskiego... Ale jeszcze słowo! Niech pan wierzy, iż ja jego poglądu nie podzielam!... Chociaż muszę się liczyć z tem!... Czy pan czytał korespondencyę z Warszawy, zamieszczoną w krakowskim „Słońcu“?...

— Korespondencyę?... Nie! Nie odbieraliśmy „Słońca“.

— Bo... „Słońca“ nawet do redakcyi cenzura nie puszcza. Ja dostałem numer ten przypadkowo. Piszą tam o panu, jeżeli to go... interesuje, mogę dać do przeczytania! Chociaż na prawdę nie ma na co zwracać uwagi! O kim bo już tak nie pisali... Bez wątpienia kalumnia — najczarniejsza pod słońcem — lecz co robić. Niestety, ja naprzykład, pomimo woli, pomimo, że najmocniej jestem przekonany o intencjach plotki, pomimo, że chciałbym pana drukować, nie mogę. Zarzuty są zbyt ciężkie, to jest zbyt wyrafinowanie ułożone... Pan mnie rozumie...

— Ależ panie redaktorze! — przerwał żywo Wiesław, nie mogąc pohamować zdziwienia, nie rozumiem zgola... z tego wszystkiego! Nie odmówi pan... chciałbym się naocznie przekonać!

— Ach, skoro pan tak koniecznie chce, w takim razie nie śmiem, nie mam prawa odmówić!... Hm!... Może lepiej, że pan pozna istotę rzeczy... z ust żywciliwych...

Bulecki przy tych słowach sięgnął do biurka, wyjął z dobrodusznym uśmiechem wycinek z zakor-donowego „Słońca“ i podał Ziemęckiemu.

Wiesław nerwowo jął przebiegać wiersze poda-nego mu artykułu — nie będąc w stanie zrozumieć jego treści... lecz nieomal instynktownie odczuwając całą jego nikczemność. Nazwiska Waszewicz, Wielo-polski, Przyborski.. Ziemęcki z każdego wiersza wy-zierały, przeplatane co chwila epitetami... „szpieg“, „karyerowicz“, „sprzedawczyk“, „targowiczanie“, „ugodowiec“. Wiesław zmiął gniewnie wykrawek gazety. Bulecki ujął go delikatnie za rękę i odebrał mu go.

— Ach! Panie Wiesławie — rzekł przytem. — Nie niszczy pan tego, bo to rzadkość!!

— Zapewne — zauważył sarkastycznie Wie-sław — z takim bezmiarem nikczemności nie co-dzień się spotkać można i dlatego chce pan to prze-chować...

— Ha! Cóż pan chcesz!... To bądź co bądź zna-mienne... i... i... powiem panu otwarcie... to jest gałganstwo, ale... ale samiście na to kazanie dzwo-nili...

— Co — co takiego?

— Pan się unosi... więc mówmy o czem innym...

— Nie — nie unoszę się! Przeciwnie, pragnąłbym wysłuchać zarzutów!

— Dzisiaj — nie ma już o czem mówić! Stało się... Popełniliście fatalną pomyłkę — teraz musicie znieść wszystko cierpliwie! I powiem bez ogródek, żeście na nie zasłużyli! Nie — nie, panie kochany —

nie przecz mi — nikt, prócz was, tu nie zawinił... Nawet biorąc rzecz najzimniej... przesoliliście te uro-czystości, te owacye nie były potrzebne...

— Ależ panie, przecież i pan nawet w swoim or-ganie nie szczędził...

— Jakżeś pan myślał! — przerwał niecierpliwie Bulecki. — Inaczej postąpić nie mogłem! Mój dzien-nik jest i był i będzie zawsze odbiciem nastroju chwili... Musiałem mimo wstrętu Wam schlebiać... trudno... lecz i koniec na tem... Za szczerość mo-głaby mnie spotkać koza albo zamknięcie dziennika — wolę nie próbować!... Pan to rozumie?! Lecz, do-prawdy, nie mówmy o tem! Na co się denerwować napróżno...

— Ma pan słusność — odrzekł zimno Wiesław, chwytając za kapelusz. — Pozwoli się pan poże-gnać!...

— Za pozwoleniem. Tak nie pozwolę! — zawołał Bulecki, przybierając ton dobrodusznej rubasznosci. — Rozstać się w ten sposób nie możemy. Co tam piszą, to piszą, a my zostaniemy zawsze dobrymi przyja-ciołmi. Pracowaliśmy wspólnie, nigdy żadnych niepo-rozumień między nami nie było. Możemy sobie śmiało oddać tę sprawiedliwość.

— Zapewne, zapewne — bąkał Wiesław.

— Otóż na zakończenie przyjmij-że choć raz do-brą radę.

— A... rada! Proszę, słucham.

— Otóż ja na twojem będąc miejscu, wróciłbym bez wahania do Waszewicza.

— Pan chyba sobie żartuje.

— Broń boże! Jabym inaczej nie zrobił. Jak się już tak daleko zabrnęło, to trzeba iść dalej — nie ma rady! Trzeba! Teraz już wszystko jedno, czy na prawo, czy na lewo. Przylepiło się i koniec!

— Panie!...

— Wierz mi, doświadczenie po mojej stronie. Zaa-wansowałeś się trochę, trzeba lat teraz, żeby się można było nawrócić do naszej partii. Nie wierzysz — spróbuj, przekonaj się. Spierać się nie będę. Zobaczysz sam. Każdy powie ci nieco innego — bo musi. Bo opinia u nas znaczy. Niestety — czasem tą opinią steruje pierwszy lepszy ukryty paszkwilant, co strzela z za płota. Co robić! Musimy się liczyć... koniecznie! Więc panie Wiesławie, wierz mi pan, ufaj. Ja tu więcej tracę, bo wyrzekam się tak zdolnego, jak pan, współpracownika. Ale co robić? Muszę...

— Ależ, niechże redaktor się tak nie usprawiedliwia — wtrącił lodowato Wiesław.

— Panie Ziemecki! Owszem! Bo mi idzie o pana bardzo, ale to bardzo! Porzuć skrupuły. Chwałę wielce twój postępek. To naprawdę szlachetnie, powiedzieć sobie samemu — nie miałem racyi... zgrzeszyłem, lecz zrób, jak mówiłem. Waszewicz ze swoim dziennikiem upadnie, ale to być musi, nie inaczej!

— Dziękuję. Nie wątpię o pańskiej życzliwości... mam właśnie świeży dowód...

— Och! Ja dla pana zawsze...

— Jestem przekonany...

— Rozsądek tak nakazuje...

— Raczy pan to mnie pozostawić. Żegnam.

Wiesław wybiegł wzburzony od Buleckiego.

Nietyle go dotknęły słowa rzuconej na niego kalumni, ile skutek, który zdawała się wywierać. Na współpracownictwo w „Dniu“ liczył — musiał na nie liczyć — tymczasem spotkała go odprawa i to taka, jakiej przewidzieć nie mógł nigdy. Taka, która od razu dawała mu przedsmak przyjęcia, jakiego może spodziewać się gdzieindziej.

Ziemecki, dotknięty do żywego — nie tracił energii. Bulecki był osobistością znaną ze swego egoizmu, pozującą na przewodnika partii, unikającą z zasady wszelkich drażliwości. Z Buleckiego niepodobna brać miary na wszystkich.

Ciężko było Wiesławowi wyrobić w sobie samym to przekonanie, ciężko było zgłuszyć ten głos drwiący, szyderczy, ironiczny, który szeptał mu nad uchem: „sprzedawczyk“, „szpieg“, „ugodowiec“. Przez dwa dni walczył z samym sobą, aby zdobyć się na odwagę i pójść szukać w innej redakcyi punktu oparcia, pracy, chleba — w końcu chcąc samego siebie przekonać, wybrał drogę pośrednią i poszedł do jednej ze znanych cukierni, w której zwykła się była gromadzić grupa dziennikarzy niższego rzędu.

Jakoż znalazł ich w pełnym składzie, obradujących przy stoliku. Wszystkich znał oddawna z imienia i nazwiska, kilku oddał nawet pewne usługi, był do pewnego stopnia lubiany i szanowany — lecz teraz nagle za ukazaniem się jego, wszystkie głowy naraz odwróciły się w przeciwną stronę. Ziemecki nie przywiązywał z początku do tego uwagi i zasiadł

nieopodal przy stoliku, mając zamiar przy pierwszej sposobności nawiązać rozmowę i o stosunki się wypytać. Lecz grono dziennikarskie było czegoś zajęte sobą, tak dalece zajęte, że nikt nie zdawał się spostrzegać jego obecności, co dziwniejsze, jeden po drugim wstawał, żegnał się i tak, że ani razu Wiesław nie zdołał zamienić ukłonu. Ziemeckiego zaczęła ta sytuacja denerwować. A gdy w końcu przy stoliku pozostali dwaj znani mu dobrze reporterzy z „Wiadomości bieżących“, Wiesław powstał szybko od swego stolika i podszedł do nich.

— Witam panów!

— A... pan Ziemecki! — mruknął niechętnie łysawy dziennikarz.

— Pan Ziemecki — powtórzył, niby echo, znany wzmiankarz teatralny.

Wiesław przysiadł się do stolika i zagadnął swobodnie:

— Co słyhać nowego?

— Hm!... Nic... cicho... pogoda...

— Prawda, bardzo ładnie! — przyznał młodszy reporter.

Ziemecki uderzony dziwnym odcieniem tonu, jakim doń przemawiano, umilkł.

Przez chwilę przy stoliku panowała cisza, wreszcie łysawy dziennikarz odezwał się niedbale:

— Więc to prawda, że Waszewicz swój dziennik zamyka?

— Nic o tem nie mogę powiedzieć.

— Jakże, przecież wy...

— Wyszedłem z redakcyi... ustąpiłem.

— A!!

— Różniliśmy się w poglądach.

Łysawy dziennikarz wlepił w Ziemeckiego swe matowe, płowe oczy, jakby nie rozumiejąc tego, że można wogóle różnić się w zdaniu z redaktorem. Wiesław objaśniał dalej.

— Tak jest, różniliśmy się! nie mam potrzeby ukrywać... Wobec ostatnich wypadków ja byłem za zmianą kierunku, Waszewicz postanowił wytrwać przy swoim... Hm! Dla uniknięcia dyssonansu... wołałem ustąpić!...

— Czy rzeczywiście miał pan sto rubli pensyi? — wtrącił niepewnym głosem wzmiankarz teatralny.

— Tak, sto rubli.

— Świetne warunki! — zamruczał łysy. — Skąd taki Waszewicz miał na to wszystko pieniądze?

— Jakto skąd?! Przecież w tem nie ma tajemnicy!... Złożył syndykat z sześciu czy ośmiu osób. Dali mu fundusz na początek... a teraz jedzie sam... prenumeratorów przybywa!

— Zapewne... chociaż, to pewnie bajka, ale głośno mówią niektórzy o subwencyi rządowej... tylko...

— To fałsz! — przerwał gorąco Wiesław. — Profesora znam od lat. Jest to człowiek, który może się mylić, ale który ma ręce czyste... Wolno zwalczać każdemu jego poglądy, zarzucać mu nieopatrzność, zaślepienie, ale... byłoby nikiemnością stawiać mu zarzuty...

— Wszak mówiliście przed chwilą, że ustąpiliście z redakcyi! — zauważył wzmiankarz teatralny, nie pojmując obrony.

— Mówilem i nie cofam. Żadne dzisiaj nie wiążą mnie stosunki z Waszewiczem.

— Cóż zatem wam szkodzi?...

— A darujcie, nie mogę pozwolić na plwanie na człowieka, zasługującego na szacunek!...

Łysawy reporter uśmiechnął się ironicznie.

— Ale koniec końców Waszewicz pismo zamyka?

— Nie o tem nie wiem... Rozstaliśmy się przed trzema dniami, wówczas mowy o tem nie było. Pismo szło jak najlepiej. Znajac Waszewicza, mogę i temu zaprzeczyć śmiało... Materyalnie stał i stoi na pewnych nogach, a moralnie należy do ludzi, którzy się nie cofają...

— Przed niczem! — zakończył łysawy dziennikarz.

— Jak to mam rozumieć?! — rzucił groźnie Ziemięcki.

— A... wy zaraz łapiecie za słowa!... Z wami trudno się dziś dogadać! Raz mówicie, że was żadne stosunki nie wiążą, a potem znów gotowi jesteście pójść na noże dla Waszewicza... Lepiej nie mówmy... A... po piątej, korekta na mnie czeka. Do widzenia... żegnaj!...

Łysy wzmiankarz podniósł się szybko, podał Wiesławowi dwa palce do uściśnienia i wyszedł.

Ziemięcki bębnił nerwowo palcami po stole. Wzmiankarz teatralny patrzył bezmyślnie na koniec własnego buta. A po dłuższej pauzie odezwał się:

— Więc mieliście chryję z Waszewiczem?!...

— Dlaczego? nie rozumiem?!...

— No, no! Z tantym nie mówię, ale ze mną możecie mówić zupełnie szczerze, otwarcie... Ja nie mam

zwyczaju rozpowiadać zaraz. Po co?... Każdemu może się to i owo przytrafić... Ba, ja sam przed dwoma laty miałem awanturę z Buleckim, mało brakło, abym go poturbował na prawdę!... W ogóle oni wszyscy są jednakowi.

— Przepraszam, nie wiem, do czego pan zmierza.

— O... o!... Cóżby tak górnolotnie! Mnie możecie wszystko powiedzieć, papla nie byłem i nie będę.

— Ależ, o czem pan mówi?...

— Kochany panie Wiesławie, przecież za stary wróbel jestem, abyś mnie brał na sprzeczność poglądów! Miejsca za sto „fajgli“ tak się znów nie porzuca dla byle czego... Niby ja to nie wiem!...

— Ma pan rację! — odrzekł ostro Wiesław. — Dla byle czego... się nie porzuca!... Pan zdajesz się być tylko zwolennikiem zasady: wszystko jedno, co piszę, byle mi za to dobrze płacili! A ja znów jestem jeszcze tak zacofanym, że... piszę tak, jak myślę... a nie jak sobie życzy redaktor. Tam więc tylko mogę pracować, gdzie poglądy moje zgadzają się z poglądami redaktora i pisma naturalnie.

Wzmiankarz teatralny udał, że nie zrozumiał dwuznacznej odpowiedzi i zmieniając przedmiot rozmowy, zapytał ze źle ukrytą intencją:

— Czytujecie zakordonowe „Słońce“?

— Z zasady nie — odrzekł sucho Wiesław.

— Zaraz „z zasady“!... Ja przeciwnie. Ja lubię bardzo... w ostatnich czasach było kilka bardzo interesujących korespondencyj.

— Chce mi pan dać do zrozumienia, żeś czytał paszkwil, ukuty na mnie...

— Prawda, coś sobie przypominam! Zrobili wam reklamę grubą!

— Jeżeli to ma być żart, to dosyć niesmaczny.

— Żart? Słowo daję! Powtarzam tylko zdanie redaktora Liskiego — ten mówi, że w prasie zarówno pochwała, jak i wielka napaść do jednego prowadzą celu... do rozgłosu, czyli inaczej do reklamy. Ogół zapomina prędko, czy o kim mówiono źle czy dobrze, tylko pozostaje mu w uszach nazwisko... wobec którego zachowuje się z szacunkiem, bo o tem nazwisku „mówiono“.

— Zapomina pan wszakże...

— Wiem, co pan chce powiedzieć!... Jest to przykra historia, bardzo przykra... ale trudno!... Żał mi was szczerze... być tak publicznie ogłoszonym za szpiega... i to najniewinniej, to nie rozkosz.

Wiesława brała ochota plunąć w twarz wzmiankarzowi, pohamował się jednak. Ten ostatni zaś kończył, nie zwracając uwagi na rozdrażnienie Ziemęckiego:

— Słowo uciwi! Cała moja sympatya po waszej stronie! Cała! Bo to, co z wami robią, to przechodzi pojęcie... Znaną wam pewnie także musi być odezwa młodzieży uniwersyteckiej.

— Co za odezwa!?

— Nie wiecie nic o niej! Czakajcie, to ja wam jej dostarczę! Niby toż samo piszą, co w „Słońcu“, tylko gorzej nieco. Jest tam mowa i o was!... Nie ważnego, gołosłowne zarzuty! Musicie mieć poprostu nieprzyjaciół!... bo, uważacie, to, co pisze takie „Słońce“, to sobie pozostaje za granicą i koniec. Kilka numerów

w redakcyach, kilka ktoś tam przywozi ze sobą, jako *curiosum*... i w kilka dni słychu nie ma! Ale co cyrkularz studentów, to nie! Ba!... Ten rozrzuca się w setkach egzemplarzy po całym mieście... trafia wszędzie i burzy opinię... A z nią nie ma żartów!... Ale, nie pojmuję, co naprzykład miał przeciwko temu taki Waszewicz, przecież...

Wiesław zerwał się z miejsca.

— Daruj pan... naprózno bym chciał mu tłómaczyć!... Stoimy za daleko od siebie, abyśmy mogli się zrozumieć! Niech pan zostanie przy swoich mniemiach!... Ani pańskie zdanie, ani tysięcy mu podobnych mnie nie dosięgnie! Z takimi zaś podłościami czy głupstwami, jak ten artykuł w „Słońcu“ i tamten cyrkularz do narodu, nie walczy się.

— A... mojem gadulstwem wyrządziłem panu mimowolną przykrość... Zupełnie mimowolną! Złe się wyraziłem! Mogę pana zapewnić, że bardzo wiele osób... nie dają temu wiary!... więcej powiem jeszcze, słyszałem wczoraj na własne uszy, jak Bulecki mówił głośno, że to... jest... przesadzone!... Widzi pan, ja jestem bezstronnym bardzo!... Z Buleckim jestem źle, a mimo to, gdy idzie o pana... oddaję mu sprawiedliwość... To... to jest stanowczo przesadzone...

Ziemęcki zatrząsł się z irytacji. Ta pociecha zjadliwa dotknęła go do żywego. Zmierzył wyniośle wzmiankarza i rzekł z wybuchem:

— Nie wiem, czy mam podziwiać więcej pańską głupotę, czy nikiemność...

— Panie!... Co pan sobie myśli!?

— Myślę, że rozmowa nasza jest skończona!
— Proszę cofnąć słowa... bo żądać będę...
— Nie cofam i... przyjmuję zupełną odpowiedzialność!
— Cha, cha! Zapewne... jeżeli kto jej od pana w ogóle może zażądać.

Wiesław nie dosłyszał ostatnich słów, wyszedł z cukierni. Był zły na samego siebie, że w ogóle wdał się w rozmowę w takimi marnymi „figurami“, Śmiałość ich tak była wielką... Przed miesiącem jeszcze zginali się przed nim w pałak, a dziś!... Dziś mu okazują wyraźnie swoją wyższość... Traktują go z jakąś łobuzowską arogancją!...

Przez kilka następnych dni Wiesław prawie nie wychodził z domu, lecz w końcu uspokoił się — a wreszcie myśl o jutrze zmogła go. Nie ma czasu na rozmyślanie, fundusik uciulany wyczerpywał się, kończył, trzeba było co tehu myśleć już nie o pracy, lecz o zarobku. Tem znów podniecony, po dłuższem zastanawianiu się, zdecydował się iść do redakcyi „Wstęgi“, pisma obrazkowego, unikającego wszelkich kolicyj, będącego faktycznie ze wszystkimi stronniactwami w zgodzie. Wzdrygał się Ziemęcki na samą myśl tych wodnistych, a mdłych artykułów, jakie będzie musiał pisać, ale wyboru nie było. Tam przynajmniej nie będzie się potrzebował wysilać, ani być ze sobą w rozterce. Błahe kwestye mogą go znużyć, zmęczyć, lecz usunawszy się po za obręb wszelkich prądów, odetchnie lżej, swobodniej, a może do jakiejś poważniejszej pracy się zaprzęgnie.

Ziemęcki samemu sobie powinszował projektu. „Wstęga“ cieszyła się nadto mirem w Warszawie, a naczelny jej redaktor i wydawca Dulewicz był lubiany powszechnie i prawie że nie miał nieprzyjaciół. Wiesław wiedział doskonale, czemu Dulewicz zawdzięczał to usposobienie dobre.

Wiedział z góry, że będzie miał do czynienia z człowiekiem miękkim, słabym, unikającym każdego ostrzejszego słowa, kłaniającym się zginającym kark przed każdym, potakującym wszystkim zawsze, pierwszym do pochwały, a ostatnim do podniesienia kamienia; człowiekiem, którego choć nikt nie brał na seryo, jednak rósł na powagę, na nestora, na patriarchę literatury, dziennikarstwa, łamigłówek, szarad do nagrody, no i zadań szachowych. Z Dulewiczem było nadto tem łatwiej, że go znał od dawna i cieszył się jego szczególniejszymi względami.

Prawda, współpracownictwo we „Wstędze“ nie mogło być ani poważnem, ani usprawiedliwiającem zapale społeczne Wiesława, lecz o nie mu już nie chodziło... Będzie pisał o życiu na Marsie, o plamach na księżycu, o Alaryku, Hannibalu, bakteryach, obyczajach chińskich, byle wyżyć, byle przetrzymać ów nikiemny ostracyzm, pod jaki go podciągnąć usiłowano.

Jakoż przecucia, ani kalkulacye go nie zawiodły. Dulewicz przyjął Wiesława bardzo serdecznie, obsypał go komplementami za artykuł z przed roku jeszcze, treści którego Ziemęcki, ani rusz, nie mógł sobie przypomnieć i w ogóle traktował go, jak najlepszego swego znajomego, przyjaciela.

Ziemęcki ośmielony obejściem, nie wdając się w dwuznaczne omawiania, przedstawił mu całą tragedję swego położenia. Dulewicz wysłuchał go uważnie, cierpliwie, a gdy Wiesław skończył, porwał go żywo za rękę i rzekł wzruszony:

— Dzielnie! Wybornie... drogi panie!... Tego się po panu spodziewałem. Ludzi złych na świecie więcej niż dobrych, ale tak zacnie myślących mało! Rzadkość. Mówię bez obłudy... szczerze, taka moja natura! Ja inaczej bym nie zrobił!... Co tam, niech pan pamięta, że są jeszcze... tacy, co go oceniają należycie... Błądziliśmy wszyscy, jeżeliśmy błądzili... a tu winę chcą przypisać jednostkom, i w dodatku najmniej zasługującym... Ja się na ludziach znam!... Sześćdziesiąt lat na karku — nie żarty!... Dużo się rzeczy widziało, dużo przeżyło! Cała sympatya moja po pańskiej stronie!...

— Dziękuję panu redaktorowi serdecznie... To daje mi otuchy, wytrwałości!...

— O, właśnie! Doskonale powiedziane, wytrwałości... Wierz mi pan, to minie, przejdzie. Znów po dawnemu będą się wpraszać o uścisk pańskiej ręki. Robić swoje i koniec!...

— Prawdziwie jestem wdzięczny... To mnie ośmiela poniekąd do wystąpienia do pana redaktora z prośbą...

— Mów, pan, słucham, wszystko, co będę mógł tylko...

— Czy nie dógłbym znaleźć zajęcia we „Wstędze“...

— Zajęcia we „Wstędze“!...

— Czasy ciężkie... pan się domyśla?...

— Ba, rozumiem! Hm! We „Wstędze“... naturalnie tego... dla pana!... Chociaż, coby pan mógł u mnie

pisać... Tygodniczek ubożuchny... a pan siłą publicystyczna. Drogi panie, niech pan nie oponuje, skromność skromnością... a pan jest siłą poważną. Takiego współpracownika mieć to skarb!... Dzwignia dla pisma. Coby tu panu dać?... Fejleton!... Piszę go sam od dwudziestu lat!... „Lusterko pożyteczne“ robi stary Muchalski!... Powieść... no, powieść mam na kilka lat! Tak, ja już na kilka lat naprzód zbieram materyały!... Radbym bardzo! Sprawozdanie literackie... to pisze Falnert. Nie mogę pozbawiać go zarobku!... Biedny człowiek, żona, dzieci! Mam, jak panu wiadomo, dział luźnych uwag o tem i owem, no... ale to sto wierszy tygodniowo po sześć groszy... zarobek nie dla pana! Pismo biedne... niby prenumeratorów sporo, ale cóż?... Komorne, drukarnia... papier! Strach, ile ja za papier płacę... Administracya, a porta, klisze... roznosiciele... premia... bez premii teraz ani rusz, nie można zrobić!... Kolosalne wydatki! Dobrze, jak się koniec z końcem zwiąże! — Ludziska po mieście lubią opowiadać — a Dulewicz ma pieniądze, a Dulewicz majątek zebrał! Panie, a to gdzie! Odłoży się na czarną godzinę... bo bez tego ani rusz — no i koniec na tem... a razem tyle, coby kot napłakał! Tak, mój panie, tak!

Długa przemowa Dulewicza ostudziła nagle Wiesława, nie tracąc jednak nadziei — bez wahania natarł nań żywiej.

— Więc, panie redaktorze, sądzi pan zatem...

— Ach! Chciałbym, bardzo gorąco, lecz na razie... Ale to nie straconego, może znajdzie kombinacyę. Przy-

puszczam nie tak prędko, jakbym chciał, ale znajduję bezwątpienia, inaczej być nie może! Kombinacja znaleźć się musi! Dla pana szczególnie! W takim małym tygodniku, to jak w pudełku — każdy skrawek zajęty, a znów panu nie mogę lada czego proponować!

— Na początek przystanę na cokolwiek.

— Ani mowy! Ani mowy! Na to nie pozwolę. Pan dziennikarz szerszego pokroju miałby się mnie marnować na szablonie! Oho! Za nic. Cierpliwości, drogi panie, zobaczmy!

Ziemęckiemu wobec tego oświadczenia nie pozostało nic więcej, jak podziękować serdecznie za względy mu okazane. Wprawdzie żegnając się z Dulewiczem, doznał wrażenia instynktownego, jakby miał przed sobą wyrobionego niesłychanie komeantyanta... Ale Wiesław zbyt dobrze pojmował zasadę, że do sztuki życia należy umiejętność poczytywania komedii za prawdę. Niemniej odpowiedź go przygnębiła, zasmuciła, była ona bowiem miarą, czego może się spodziewać w innych redakcyach. Przychodziła mu na myśl wprawdzie rada Buleckiego, aby powrócić do Waszewicza, lecz dumny charakter Wiesława nie dopuszczał podobnego nawrócenia się dla interesu.

Ziemęcki nie namyślał się długo nad tem, co z sobą pocnie teraz! Przecież tyle porobił znajomości, tyle zawiązał stosunków, że zginać nie może. Z uniwersyteckiem wykształceniem zawsze przecież, nie tu to owdzie zaczepić się zdoła. A z publicystyki zrezygnuje, gdy inaczej być nie może!

Jakoż przyszedł Wiesławowi na myśl Przyborski ze swymi rozległymi wpływami. A że już do Dulewicza wybrał się był w tużurku — więc bez wahania udał się na Krakowskie Przedmieście i zameldować się kazał Przyborskiemu. Upłynęła długa chwila, zanim zjawił się kamerdyner z odpowiedzią, że pan mecenas przeprasza, ale nie może przyjąć.

Ziemęcki zagryzł wargi i dla upewnienia się w intencji odpowiedzi rzucił rodrażniony.

— Więc kiedy będę mógł widzieć się z panem mecenasem?

— Nic nie wiem! — odrzekł sucho lokaj. — Jaśnie pan kazał powiedzieć, że nie może pana przyjąć!

Oświadczenie było jasne. Ziemęckiego złość nagle i pasya ogarnęła. Wprost od Przyborskiego kazał się wieść do bankiera, ofiarodawcy stu tysięcy rubli na dar dla cesarza.

Bankier, o dziwo, przyjął Wiesława bardzo grzecznie, wysłuchał nader cierpliwie, a w końcu zapewnił go, że na razie nie ma widoków dla niego, jednak nie odmawia, przyrzec nie może, atoli zachować go w pamięci.

Rezultat i tu nie pozwalał się spodziewać niczego pomyślnego. Wiesława ogarnęła nagle jakaś gorączka. Chciał jakby wyzbyć się od razu wszelkich nadziei — wszelkich złudzeń. Najął dorożkę na godziny i jął objeżdżać wszystkie znane sobie figury, a przedewszystkiem te, które tylekrotnie oświadczyły mu się ze swoją sympatyą i usługami, i jakąś dziwną przyjemność znajdował w studyowaniu tych roz-

maitych pozorów, wynajdywanych dla uchylecia się od podania mu ręki. Śmielsi bądź wręcz odmawiali, bądź nie przyjmowali go zupełnie, trwożliwi wykręcali się frazesami, używali wszelkich środków, byle nie zobowiązać się do niczego, byle nie nie przyrzec, coby mogło wymagać ofiary...

Późno wieczór Wiesław powrócił do siebie. Zrzucił tużurek, kazał sobie przynieść herbaty z cukierni i zadumał się.

Więc odsunęli się od niego wszyscy. Nie miał nikogo prawie, coby mu podał rękę, co szczerze, bez obłudy chciałby mu pomódz!

Nikezemni, podli ludzie! A tak niedawno jeszcze ściskali go za ręce, wpraszali się ze znajomością! I za cóż spotykało go to prześladowanie? Czy w tem smutnem zaślepieniu, jakiemu całe Królestwo Polskie uległo — on był pierwszym, czy on tylko dzwonił na tę uroczystość — czy istotnie nie był wstrzemięźliwszym, bardziej przewidującym od innych? Wreszcie może zblądził, może omylił się — lecz przecież intencye jego były czyste, uczciwe — a cele, mające dobro istotne na celu!... Ba! Tamci inni... Przecież zyskali na tem...

Bankier został baronem, arystokracja wystroiła się w mundury dworskie, przemysłowcy pozalatwiali swoje interesy!... A na niego rzucano przekleństwo! Odsądzono go od czci i wiary. Może dlatego, że był najsłabszym, że nie miał za sobą majątku ani wpływów!

Gorycz zalewała Wiesława. To społeczeństwo, w którem wyrósł, które tak ukochał, któremu służyć

chciał — wypierało go się — odsuwało — nazywało „zdrajcą“, szpiegiem „rosyjskim...“ A to dlatego, że pierwszy z brzegu nikezemnik, czy zaślepieniec rzucił na niego kamieniem w cheiwym na skandal świstku zakordonowym! Pisemko to, które w ciasnym swym szowinizmie w rozdawaniu tytułów na zdrajców ojczyzny — w kilku wierszach insynuacyi zniszczyło całą jego przyszłość! Zamknęło przed nim drogę pracy, zmarnowało, zwiechnęło!...

Wiesław machinalnie sięgnął do portmonetki i obliczył swoje fundusze — były bardzo szczupłe, Po opłaceniu mieszkania, które zalegało — pozostała mu zaledwie mała sumka na jakie takie życie w ciągu dwóch tygodni! A potem? Potem będzie bez grosza prawie!...

I po raz drugi znów znajduje się w położeniu, że musi przeżywać gorzkie chwile rozczarowania, że praca dla dobra drugich nawet nie przynosi mu w zysku zadowolenia moralnego, nawet tej satysfakcyi, iż istotnie coś zrobił, coś utworzył, że przyłożył rękę do pracy pożytecznej.

Znów ideały widzi swoje rozbite, wykołejone!

Wiesław wspomniął na dawne czasy, na dawne zabiegi. Lecz w tejże chwili ukazała mu się uśmiechnięta szyderczo twarz Cisa! Ziemięcki się wzdrygnął i z zadowoleniem wspomniął, iż z człowiekiem tym nie go już nie łączy.

Równocześnie prawie przyszła mu na myśl Stefka... A z nią ten cały dramat, który nosił w sobie

wyryty głęboko, o którym nie mógł wspomnieć bez wzruszenia.

Godziny upływały. Wiesław siedział nieporuszony, przebiegając myślą wszystkie przeżyte chwile. Zdawało mu się, że jest bardzo stary, że już ani czasów gorszych, ani położenia świetniejszego doczekać się nie może.

Moralnie i materyalnie poniósł porażkę. Losy nie miały względów ani dla jego idei, ani zabiegów, ani nadziei, ani wyrachowań. Wszędzie zawód, na każdym kroku rozczarowanie, boć nawet i ta Stefka nie dla niego była.

Wiesław spojrział na zegarek — było po północy. Podniósł się ociężale z krzeselka, myśląc, o śnie, jako o należnej mu chwili zapomnienia. Ustawił zwolna lampę na stoliku przy łóżku i zaczął zabierać się do snu.

Naraz do drzwi wchodowych ktoś energicznie zapukał.

Ziemęcki podszedł apatycznie ku drzwiom i zagadnął machinalnie:

— Kto tam?

— Swój! — dał się słyszeć głos za drzwiami.

Wiesław, zdziwiony nieco spóźnionymi odwiedzinami — uchylił zlekka drzwi — lecz równocześnie ktoś je pchnął szybko, tak, że Ziemęcki znalazł się na środku pokoju.

We drzwiach ukazały się mundury żandarmeryi.

Wiesław na widok ten raczej zdziwił się niż przeląkł. Boć rzeczywiście musiała to być jakaś pomyłka. Zresztą on, teraz „szpieg“ przecież... chyba nie powinien się obawiać żandarmeryi...

Na środek pokoju wysunął się tymczasem kapitan żandarmeryi i zagadnął uprzejmie dobrą polszczyzną:

— Czy mam przyjemność mówić z panem Wiesławem Ziemęckim?

— Tak jest, panie, lecz nie rozumiem, co panów może do mnie sprowadzać?

— Formalność, panie łaskawy — ot, nic więcej... drobna formalność i koniec na tem.

— Lecz to chyba pomyłka... Ja nie należę do ludzi, których przekonania mogłyby podlegać...

— Ach panie łaskawy! Naturalnie! Ale — ot formalność panie... nic więcej... pan pozwoli... Muszę rozpocząć swoją czynność...

Kapitan skinął. Z sieni weszło do pokoju ośmiu żandarmów i, jak stado dobrze wyćwiczone, rzuciło się do rewizyi.

Gdy dwaj zabrali się do obszukiwania łóżka, rozpruwania materaców i poduszek, reszta podzieliła między siebie biurko, bibliotekę, opukiwanie ścian, rewizję pieca, ubrań, wiszących w szafie, wentylatorów... nawet podłogi i sufitu.

Kapitan tymczasem rozsiadł się przed stolikiem Wiesława i roztworzywszy tekę, poprosił Ziemęckiego siedzieć.

Wiesław spełnił żądanie w milczeniu, spoglądając ze spokojnem zaciekawieniem na uwijających się żandarmów.

Kapitan zaczął pisać protokół.

— Pańskie imię, nazwisko... imię ojca — zaczął indagować.

— Ależ panie! — odezwał się z łagodną perswazją Wiesław. — To farsa!? Cóż znowu!... Rewizya u mnie... chyba pomyliliście się...

— Tak — tak! Ale pan pozwoli! Taka forma.

— Dostyc dziwna? Co? Pruja mi pościel!... lecz...

— Pan będzie tak dobry... pozwolić! Nie im nie będzie, tylko się przetną — poduszkom to nie zaszkodzi wcale! Mały ambaras — nic więcej.

— Kiedy bo drą wyraźnie! — zaprotestował zirytowany Wiesław, powstając z miejsca, lecz stojący za jego krzeselkiem żandarm przytrzymał go brutalnie i rzekł ostro:

— Nie *szewielisz!*

— Jakto! Więc nie wolno mi?...

— Taki porządek łaskawy panie... forma! — objaśnił kapitan żandarmeryi. — Wszystko musi mieć swoją formę! To tylko chwila czasu, nic więcej!

Ziemęcki rzucił się apatycznie na krzesło a dla uspokojenia rozdrażnienia sięgnął po papierośnicę, którą miał w kieszeni — ale po raz drugi spotkał się z potężną ręką pilnującego go żandarma.

— Przecież papierosa.

— Owszem, służę panu, może pan będzie tak dobry zapalić mego! — poczęstował kapitan. — A swoich teraz nie można! Taka forma!

Wiesław oparł się w milezeniu na łokciu i siedział nieporuszenie. Protokół, prowadzony przez kapitana, rósł, wydłużał się, przybierał postać jakiegoś nieskończenia długiego i drobiazgowego referatu.

Równocześnie żandarmi ze wszystkich kątów mieszkanka wyciągali zwoje papierów, listów starych, każdy skrawek ważąc w rękę i oglądając. Książki takiemu samemu uległy losowi. Ziemęcki widział, jak nie darowano nawet rosyjskim wypisom, które od czasów gimnazyalnych jeszcze płatały się w jego bibliotece.

Więc od czasu do czasu nie mógł powstrzymać się od głośnego protestu, lecz spotykał się za każdym razem z dobrodusznym uśmiechem kapitana i tą samą odpowiedzią.

— Panie łaskawy, ot forma! We wszystkim musi być forma!

Po dwóch godzinach przetrząsania mieszkania Ziemęckiego, żandarmi bez ceremonii ściągnęli z łóżka Wiesława prześcieradło i złożywszy weń wszystkie podejrzone papiery i dowody, związali je i opieczętowali.

Wiesław, który, o ile mógł, każdy ruch żandarmów śledził — widział jak w fałdach prześcieradła zniknęła paczka pożółkłych listów dziadka nieboszczyka, listy matki, pisane do Ziemęckiego, gdy jeszcze do szkół uczęszczał, nawet książeczka z przepisami

302

kucharskimi tejże uznaną została za niezasługującą na zaufanie. Lecz obok tych niewinnych zgoła papierów — żandarmerya zabrała całe paczki listów z różnych czasów i rozmaitej treści. Wprawdzie Ziemęcki umacniał się w mniemaniu, że w tych paczkach nie było nic takiego, co by mogło go skompromitować — mimo to niepokój go ogarnął.

Od lat miał zamięłowanie do rupieciarstwa, do przechowywania lada świstka... Po zerwaniu stosunków z dawną partią wprawdzie zniszczył był wszelkie ślady... ale jakaś kartka mogła się zawieruszyć, mogła wsunąć się między papiery i skompromitować go!...

Wprawdzie tego całego zajścia tragicznie nie brał..... bo w obecnym jego położeniu jest niepodobieństwem, żeby poważano go się dotknąć! Skądże jego, ugodowca, członka komitetu obywatelskiego!!... Chciał mu zabrać ten stos rupieci — mniejsza o to.

Wiesław z ulgą patrzył, że rewizya zbliża się ku końcowi. Jakoż kapitan zakończył protokół i zwrócił się do Wiesława, aby ten go podpisał. Ziemęcki, byle nie przedłużać pobytu żandarmeryi, bez wahania podpisał protokół. Kapitan uśmiechnął się przyjacielsko, zabrał swoje przybory pisemne, złożył je do teki i powstawszy z miejsca — odezwał się dobrodusznie:

— Panie Ziemęcki.... pan będziesz łaskaw się ubrać!...

— Jakto?

— Przecież to jesień... wilgoć... mgła! Tak może się pan przeziębć!...

— Więc jestem aresztowany?

— Tak... muszę pana poprosić, żebyś się pan pofatygował... forma!

— Za pozwoleniem, lecz na jakiej podstawie?

— Trzeba... trzeba, łaskawy panie! No! Sidor! które palto dla pana Ziemęckiego?

Barczysty żandarm z długą ryżawą brodą — podsunął się do Wiesława, lecz ten nie dał się zbić z tropu.

— Żądam wyjaśnienia — rzekł zirytowany. — Na jakiej podstawie, za co mnie pan aresztuje?!

Kapitan zmarszczył się i odparł groźnie.

— Pan będzie łaskaw nie namyslać się... Aresztuje pana w imieniu prawa! Jeżeli dłużej każe mi pan czekać... to pana zwiężą!

Wiesław zbladł i mruknął przez zęby:

— Ustępuję przed siłą!... Ale bądź pan przekonany, że potrafię znaleźć sprawiedliwość i upomnieć się o siebie!

— Owszem — owszem!..... A tymczasem proszę!.....

Żandarmi otoczyli Wiesława, sprowadzili go w milczeniu na dół do bramy, przed którą stała już dorożka z zapuszczoną budą. Dwóch żandarmów wsiadło do dorożki, trzeci usadowił się na koźle.

— *W Citadiel!* — rozkazał kapitan wystraszonego woźnicy. Dorożka potoczyła się z chrzęstem ku Wiśle.

Ziemęcki, siedząc między żandarmami i mając dwie pary przenikliwych oczu przed sobą — jeszcze nie dał się opanować niepokojowi...

Wszystko świadczyło, że tu zejść musiała prosta pomyłka. Dość mu będzie powołać się na kilka osób, dać kilka błahych wyjaśnień i to *qui pro quo* skończy się niebawem.

Już naprzód uśmiechał się do samego siebie, wyobrażając sobie skonfundowane miny „panów“ z Cytadeli.

A bądź co bądź położenie jego było komicznem nieco... Tam w „Słońcu“ ogłosili go za szpiega, zdrajcę ojczyzny, przesiąkniętego rusofilstwem, tu znów wątpią o jego lojalności? a może gotowi zarzucić mu nadmiar patryotyzmu!

Obydwa krańce są niezadowolone, no, a może i środek także!

Całego zajścia niepodobna traktować poważnie! Przygoda! Mniejsza o nią. Ma dosyć czasu do stracenia!...

Droga do Cytadeli wydała się Ziemęckiemu nieźnośnie długa. Zasunięta buda i gęsta mgła, unosząca się w powietrzu, nie pozwalały mu się zorientować, w którym punkcie miasta się znajduje. Bruk wyboisty i gwałtowne zakręty pozwalały przypuszczać, że go wiozą jakimiś bocznymi uliczkami. Ziemęcki raz i drugi chciał zagadać do żandarmów, lecz ci wszelkie jego pytania pozostawiali bez odpowiedzi. To rozdrażniło Wiesława — poruszył się więc niespokojnie i odezwał się grubijańsko.

— Macie zamalowane gęby!

— *Molczycie i nie szewielisz*, a to was związem! — mruknął surowo żandarm i podsunął Wiesławowi do oczu pęk łańcuchów.

Ziemęckiego dreszcz przeszedł. Rozwaga nakazała mu unikać bezużytecznego oporu i zajścia, zwłaszcza z prostymi pacholkami. Tacy mogliby się z nim obejść po macoszemu... jak ze zdecydowanym przestępcą politycznym!

Dorożka nareszcie zadudniła głucho na drewnianym moście... byli przed fortecą... Wiesław się nie mylił.

Hałaśliwy klekot kopyt końskich przypominał mu echo długiej sklepionej bramy, przed którą tyle razy przejeżdżał, poszukując Stefki! Ale teraz dopiero zauważył, że jeszcze od bramy do dziesiątego pawilonu jest kawał drogi...

Dorożka się zatrzymała. Żandarmi pomogli Wiesławowi wysiąść i wprowadzili go do znanej mu sieni, a stąd do tej samej kancelaryi, z tą różnicą, iż popełnili go ku wąskiej niszy, której był Wiesław nie zauważył, a która formowała w głębi mały sklepiony pokoik.

W kancelaryi, oświetlonej słabo kopącymi lampami, był tylko wachmistrz żandarmeryi. Na widok Ziemęckiego podniósł się ociężale, odebrał podany mu przez jednego z towarzyszków Wiesława papier i znikł za wąskimi drzwiczkami.

Upłynął dobry kwadrans, zanim wachmistrz powrócił w towarzystwie zaspanego widocznie kancelisty.

Kancelista zmierzył Wiesława od stóp do głów, rzucił okiem na papier — rozłożył wielką księgę i z miną znudzoną jął w rubrykach coś notować. Ziemęcki zniecierpliwiony tem milczącym zachowaniem, się, odezwał się:

— Za pozwoleniem... z kim będę się tu mógł rozmówić, aby mu przedstawić sytuację, w której najnieśluszniej...

Kancelista podniósł brwi, wpił w Wiesława obojętne stalowe spojrzenie, a po chwili zwrócił je z flegmą ku książce.

— Czy raczy mi pan odpowiedzieć?

Kancelista tym razem nawet oczu nie podniósł.

Wiesław chciał podejść do stołu, lecz ręka zandarma dotknęła jego ramienia.

— *Stoj!*

— Proszę mnie nie dotykać! — targnął się Ziemęcki. — Przyprowadziliście mnie, dobrze. Jestem! Lecz chyba mam prawo żądać, żeby mnie wysłuchano? Chyba to mi się należy... jestem ofiarą mistyfikacji...

— *Mołczat!* — przerwał kancelista. — Jak przyjdzie czas, to będzie tłómaczenie! *Kończeno!*

Ziemęcki chciał coś odpowiedzieć, lecz kancelista nacisnął guzik dzwonka elektrycznego i dodał ironicznie:

— Zaraz będzie tłómaczenie.

Ziemęcki chciał zapytać, co miała znaczyć ta drwiąca odpowiedź, lecz naraz tuż obok siebie zobaczył dwóch krępych, barczystych zbirów, którzy bez

żadnych wstępów zaczęli mu przetrząsać kieszenie i drobiazgi wszystkie układać na stole przed kancelistą. Ten ostatni oglądał je, zapisywał i segregował. Rewizya była bardzo drobiazgową i posuniętą do tego, że odjęto Ziemęckiemu wszystko, co miało pozor narzędzia. Nawet spinki przy mankietach uznane zostały za przedmiot niepożądany w cytadeli.

Gdy rewizya dosięgnęła każdej części odzieży, gdy spruto wiesławowi podszewkę surduta, a sprawdzono, że podeszwy butów nie innego... prócz skóry nie zawierają, kancelista skinął na Ziemęckiego i wskazując mu miejsce w książce, bąknął:

— *Podpisz!*...

Wiesław spełnił rozkaz w milczeniu i spojrzał znacząco na kancelistę, jakby pytając, co jeszcze dalej będzie.

Nie czekał długo na odpowiedź. W korytarzu zadzwoniły klucze. Przed Wiesławem stanął chudy, czarno ubrany dozorca.

Kancelista machnął ręką niecierpliwie i sięgnął po papierosa.

— *W pierod!* — zakomenderował wachmistrz za plecami Ziemęckiego.

Dozorca ruszył naprzód, wskazując drogę.

Zandarmi z Wiesławem skierowali się powoli do tej samej sieni i przeprowadzili go w zabudowane wysoko podwórze pośrodku pawilonu... Dalej wąskimi schodami żelaznymi na piętro i wąskie, niskie korytarze, tu i owdzie słabo oświetlone.

Ziemęcki rozglądał się, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem. Dwa szeregi ciemnych, okutych

żelazem drzwi, znaczyły cele; rozstawieni gęsto żołnierze z karabinami i żandarmi z gołą bronią wskazywali, że mimo tej ciszy pozornej — „pawilon“ czuwa.

Pochód przez korytarze zdawał się nie mieć dla Wiesława końca.

Dozorca się zatrzymał. Klucz zgrzytnął chrapliwie!... Drzwiczki się uchylily. Żandarm pechnął ostro Ziemęckiego.

Wiesław zrobił krok naprzód...

Drzwi więzienia z łoskotem się zatrzasnęły.

CZEŚĆ TRZECIA

Wiesław rozejrzał się dokoła z pewnem zacięciem.

Cela, w której go zamknięto, nie wydawała mu się tak straszną, jak sobie to wyobrażał. Był to raczej wysoko sklepiony, wąski pokój, wybielony starannie, z łóżkiem żelaznem, przymocowanem do podłogi, ze stolikiem przyśrubowanym w pewnej odległości od okna i stolikiem. Wisząca pod sufitem w rogu pokoju lampka rzucała jakieś krwawe blaski na ściany celi.

Okno umieszczone w górze, okratowane mocno, a opatrzone z zewnątrz blaszaną zasuwą — odsłaniało ledwie rąbek czarnej powłoki niebieskiej.

Ziemęcki rzucił raz jeszcze okiem po celi. Teraz dojrzał już i drewnianą spluwaczkę i białą kartę, wiszącą na ścianie, i koc fioletowy, okrywający siennik, i pękata, słomianą poduszkę.

Zrobił krok naprzód i drgnął. Podłoga jakby usuwała mu się pod nogami. Spojrzał uważniej i spostrzegł, że stoi na pochyłości. Podłoga bowiem szła spadzisto od drzwi ku oknu, tworząc tępy kąt.

Ziemęcki wzruszył ramionami. Konstrukcyja ta wydała mu się niebywale naiwną, wprost komiczną — bo równocześnie podłoga była nabijaną równoległymi listwami, idącymi w przeciwnym kierunku pochyłości, co czyniło chodzenie

Ziemęcki nie zastanawiał się nad tem. Zdoła inne myśli cisnęły mu się do głowy. Tak jak stał, rzucił się na łóżko.

Bądź co bądź sytuacja wydała mu się przykrą. Brutalność żandarmeryi jeszcze teraz burzyła go. Czego oni od niego chcą? Jakież zarzuty mogą mu postawić? Żadnych! Najdziwaczniejsze *qui pro quo!* Byle dnia doczekać, sprawa wyjaśnić się musi... Zabrali mu papiery! i cóż z tego! Dowiodą mu, że należał do partii — ależ on nie ma powodu temu przeżyć! Należał! Lecz oddawna usunął się — przeszedł do obozu legalnych!

Tu Wiesławowi przyszło na myśl „Słońce“ zakordonowe. Nie ma wątpliwości, że jutro wieść o aresztowaniu gruchnie po mieście — no, i wydostanie się za granicę.

On — szpieg, sprzedawczyk, rosyjski pacholek aresztowany! Co za miny wydłużone! Jak tu pogodzić zarzuty z faktem tym?

Wiesław uśmiechnął się do samego siebie.

Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło! Trudno byłoby znaleźć lepszy argument na zabicie rzuconych na niego insynacyj. Żandarmi po prostu oddali mu rzetelną usługę. Zmazali zeń piętno ugody, przyczynili się do jego odrodzenia. Teraz Bulecki pierwszy doń się zwróci. Ogłoszą go za męczennika... Pyszna farsa!... Żandarmom należy się podziękowanie uczeiwe!

do rozkosznych nie należy — lecz
to nie jest.

Jutro... powołają go na śledztwo!...

Sprawa się wyjaśni — nawet nie będzie potrzebował wysilać się na argumenty!...

W blaskach, padających skośnie na łóżko od skwierczającej lampki — ukazała się Wiesławowi smutnie uśmiechnięta twarz Stefki.

Ziemęcki westchnął ciężko.

Dla niej, biednej, takie przejście musiało być okropne!... Ta rewizya, te twarze ponuro cyniczne a mileżące...

Biedna! Stokroć biedna dziewczyna!

A on?... Zaniedbał ją, zapomniał, nawet nie próbował później pytać się...

Przecież takie zamknięcie, w tej głuszy, może zdenerwować... Zgnębić...

Ziemęcki wzdrygnął się... A gdyby jego tu uwięzili? Śmieszne przypuszczenie! Skądże? Za co? Nawet niepodobna! Dzieciństwo!...

Wiesław poruszył się niespokojnie. Doznał dziwnego wrażenia. Zdawało mu się, że ktoś przy nim stoi i mierzy go przenikliwym spojrzeniem. Złudzenie to posiadało taką niepojętą wyrazistość, taką moc, że Ziemęcki podniósł się na łóżku i rozejrzał się trwożliwie dokoła siebie.

Cela była pustą! Co za halucynacya! Ziemęcki rzucił się na poduszkę, głowę przytulił, usiłując zasnąć, lecz wtem, przymrużony jego wzrok padł na mały, ciemny otwór w drzwiach. W otworze tym błysnęła para małych, świecących oczu, świdrowała go nawskróś, każdy ruch chwytala.

Po chwili otwór zakryła zasuwą, rozległy się ponure kroki i ucichły w głębi korytarza.

Wiesław odetchnął swobodniej i znów zmrużył powieki. Sen morzyć go zaczął, lecz wtem znów ten wzrok zimny, ostry uczuł na sobie.

Brzask dnia powitał Ziemecki z ulgą. Była to niechybna zapowiedź, że nareszcie uwolni się, że sprawa cała się wyjaśni!

Wiesław podsunął krzeselko ku oknu i jał wpatrywać się z zadowoleniem w skrawek nieba, szarzejący w górze. Patrzył na przesuwające się płachty ołowianych chmur, przyglądał się wystrzępieniom obłoków, cieniom mgieł — i jakieś uspokojenie go opanowało.

Chwilami wzrok jego błądził po celi, jakby starając się zapamiętać każdy kąt, boć niechybnie pożegnana ją wkrótce.

Równocześnie zaczął Wiesław zgadywać godzinę. Listopad — mogła być co najwyżej ósma. Badanie może mieć miejsce w porze godzin biurowych, więc około jedenastej, drugiej. Jeszcze cztery... sześć godzin, choćby ośm. Niewielka rzecz!

Znudzony szarą jednostajnością, Ziemecki jał mierzyć krokami celę, starając się stapać tak, aby wystające listwy go nie uciskały. Przeszedł się kilka razy i przysiadł na łóżku zmęczony. Spojrzał na kartę przyklepioną do ściany, podniósł się i zaczął ją czytać — był to regulamin więzienny, podzielony na 10 punktów. W pierszych mówiło się o „prawach“, przysługujących więźniom, drugie pięć zawierały ry-

gory. Więc z regulaminu tego dowiedział się Wiesław, że w razie żądania czegoś ma prawo zapukać do drzwi i zażądać dozorcę, a następnie temu wyjawić życzenie, że w razie choroby wolno mu żądać doktora, a na wypadek nieporządku skarżyć się inspektorowi pawilonu, że przysługuje mu przywilej przechadzki 15-minutowej i posiadania własnej bielizny, że wszelkie nadzwyczajne ustępstwa, jako to książki, palenie papierosów, papier i przybory do pisania itp. mogą być dozwolone po śledztwie za zezwoleniem inspektora, a podczas śledztwa za decyzją prokuratora. Część druga zaczynająca się od groźby poddania uwięzionego karze porządkowej i przeniesienia do ciemni i kończąca się na takiejże groźbie, ostrzegała i zabraniała wszelkiego hałasowania, śpiewania, prowadzenia głośnych monologów, stukania, wdawania się w rozmowę z szyldwachami lub wogóle zwracania się do nich z zapytaniem, przysuwania krzeselka do okna i wspinania się po murze, dotykania lampki, wiszącej za okratowaniem lub gaszenia jej, rysowania ścian i... „mebli“ i wszystkiego tego, co w najmniejszym stopniu naruszać będzie lub może spokój i... *blagoustrojstwo* pawilonu.

Karta z regulaminem była pożółkłą ze starości, zrudziałą, zardzewiałą. Rogi z dwóch stron były naddarte.

Wiesław spojrzał pod światło, na powierzchnię karty były jakieś rysy, coś jakby doły. Chciał im się przyjrzeć bliżej, lecz naraz poza drzwiami rozległ się szezęk kluczy i łomot otwieranych zamków. Zie-

mękiemu jakby ciężar spadł z piersi. Nareszcie go wzywają!

Drzwi się otwarły — wszedł posługacz w bluzie z koszem. Tuż za nim ukazały się dwa karabiny...

Posługacz z kosza płaskiego wyjął kubek, wypełniony brunatną herbatą, położył obok kubka kawałek cukru, łyżeczkę i kromkę chleba. Następnie wyszedł na kurytarz — przyniósł stołek, miskę cynową — konewkę wody i mruknął sucho:

— *Chcesz myisia?*

Wiesław spojrzął na zbrukaną miednicę, na ścierkę przewieszoną przez ramię, mającą prawdopodobnie zastąpić ręcznik i odsunął się ze wstrętem. Posługacz wzruszył obojętnie ramionami i wyniósł ruchomą umywalnię, pobrzekując kluczami...

Wiesławowi pot zimny wystąpił na czoło.

— Słuchajcie-no! — rzekł zdenerwowany. — O której godzinie będzie śledztwo?

Posługacz uśmiechnął się głupkowato i najspokojniej sprawdzał kluczem, czy zamek dobrze funkcjonuje.

— Więc kiedy będzie śledztwo? — natarł Ziemęcki.

— *Uwidzisz!*

— Żądam, żeby mnie stawili przed inspektorem!... Rozumiecie! Mam prawo!

Drzwi zatrzasnęły się ze zgrzytem. — Klucz jęknął. Równocześnie posługacz ryknął na kurytarzu:

— *Nu wot tiebie i prawo teraz!*

Ziemęcki z bezsilną wściekłością spojrzął na rygle... lecz w tejże chwili się opamiętał. Tu złością nie nie zwojuje! Trzeba uzbroić się w cierpliwość... Taki nicpoń nie odpowie, bo mu nie wolno... Trzeba czekać.

Wiesław rzucił okiem na stół. Kubek wypełniony ciecżą, mającą imitować herbatę i kawałek chleba z cukrem — przypominał mu o głodzie!...

Brała go ochota zjeść chleb, ale powstrzymał się. Cała ta komedia długo trwać nie może!... A jedzenie przyniesione wydało mu się dziwnie nieapetycznem i cuchnącem kordegardą.

Wiesław coraz niecierpliwiej spoglądał ku drzwiom. Uplywały godziny, nikt się nie zjawiał. Tylko w ciemnym otworze drzwi od czasu do czasu odmykała się zasuwka i para oczu spoglądała nań bawczo.

Zniecierpliwiony do ostateczności Wiesław, idąc za informacją regulaminu, zapukał w okienko. Zasuwka odchyliła się a równocześnie rozległ się bawowy głos:

— *Czewo tiebie?*

— Chcę widzieć starszego dozorcę!

Zasuwka zapadła głucho. Wiesław zdenerwowany brakiem odpowiedzi, zaczął dalej stukać. Zasuwka raz jeszcze otworzyła się a tenże sam głos ozwał się znowu:

— *Milczeć! Chcesz się doigrać?*

— Żądam starszego dozorcę!

— Powiedziałeś. Milcz, czekaj!

Zasuwa zgrzytnęła. Wiesław rzucił się na łóżko, szarpiąc gwałtownie koldrę i pasując się z samym sobą, aby powstrzymać się od bezużytecznego wybuchu a dla skrócenia oczekiwania, starając się chwytając dochodzące go dźwięki.

Po kilkakroć rozróżnił brzęk kluczy i chód, różny od miarowych kroków szyldwachów, lecz te go zawodziły. Coś w godzinę posłyszał stapanie pod drzwiami. Nie mylił się. Drzwi z trzaskiem otworzyły się. Znow wszedł posługacz, tym razem przyniósł naczynie, wypełnione zupą i rozgotowanym mięsem i nową kromkę chleba, leżącą na stole wraz z cukrem schował obojętnie do kieszeni, herbata wylała do spłuwaczki i kubek wrzucił do kosza.

Wiesław przyglądał się posługaczowi, patrząc nań pytającym spojrzeniem, a widząc, że ten zmierza ku drzwiom, zastąpił mu drogę.

— Żądałem starszego dozorca!

Posługacz skrzywił się pogardliwie i odepchnął gwałtownie Wiesława tak, że ten potoczył się po pochyłej podłodze ku oknu. A do stojącej we drzwiach warty rzekł objaśniając:

— *Opasnyj niegadaj!*...

Ziemęcki rzucił się ku drzwiom, lecz te były już zamknięte. Wściekłość go opanowała.

— Słuchaj, ty, łotrze! — wołał wzburzony. — Opowiesz ty mi za to! Skargę wniosę do prokuratora!...

— Milczeć! — rozległ się bas za drzwiami.

— Chcę się natychmiast widzieć z dozorcą!

— Ostatni raz mówię ci, milcz!

— Ani myślę! Cały pawilon wam do góry nogami przewrócę! Żadam tego, czego mam prawo żądać! Wołać dozorca!

— Przyjdzie czas to go zobaczysz! A teraz, na pierwszy raz, nie wyjdiesz na spacer i nie dostaniesz kolaacy!

— Bierz ją licha! Dozorcę wołajcie. Słyszysz?!

— Jeszcze słowo i każę ci usta zakneblować!

Wiesław zadrżał. Nie wątpił, że groźba będzie spełnioną. Z wysiłkiem zaciął zęby i znow opadł na łóżko i leżał zdęty.

Powoli na szare ściany celi jęły słać się mroki wieczorne, skrawek nieba ciemniał, czerniał. Posługacz wszedł zapalić lampkę. Ziemęcki ani się nie poruszył na łóżku. Posługacz wychodząc, sprzątnął skwapliwie nietknięte naczynie z obiadem i chlebem i wyszedł.

Noc zapadła. Wiesław trwał jeszcze w odrętwieniu. Oczy miał nieruchomo utkwione w przeciwną ścianę celi, a w głowie wirowały mu myśli bezładne, rozproszone. Co chwila sięgał pamięcią do lat dziecinnych i przebiegał wszystkie koleje życia, przechodząc przez wszystkie ognie przeżytych bólów. Niekiedy jakaś twarz ukazywała mu się silnie, wyraźniej... Czuł, prawie tuż przy sobie żółtą, pomarańczową a skurezoną twarz Cisa i pogardliwie zwieszoną głowę margrabiego. Zdawało mu się, że stara Wortłowa stoi w kącie i pokazując mu zawiątko, mówi doń błagalnie: Jesteś tam przecie, od-

daj jej..... ona tam biedactwo..... opuszczona, może głodna!

Pot kroplisty wystąpił na czoło Wiesławą. Brnił się myślom, odpędzał je od siebie. Oczy zmrużył, by te widziadła oddalić; zgłuszyć ten bunt, który się pod jego czaszką zrywał...

Nad ranem sen zwyciężył. Wiesław usnął.

Spał długo, nie słysząc, jak posługacz przyniósł mu herbatę z chlebem, jak go zapraszał z głupkowatą służbistością do mycia, jak drzwi zatrzasnął a potem w kilka godzin znów sprzątnął śniadanie i zostawił obiad.

Dopiero gdy dzień zaczął chylić się ku zachodowi a Wiesław na poły rozbudzony przecierał oczy, drzwi celi rozwarły się z silniejszym niż zwykle trzaskiem, a do Ziemęckiego przypadł posługacz i szarpnął go gwałtownie za ramię.

— Wstawaj!... *Nadziratiel* idzie!

Wiesław podniósł się apatycznie, nie rozumiejąc, kto i czego chce od niego.

W drzwiach celi ukazał się barczysty mężczyzna z długą czarną brodą. Posługacz stanął o dwa kroki przed nim, jakby odgradzając go od Ziemęckiego. Za nieznanym stanęło dwóch żandarmów i żołnierz z karabinem.

— Co pan masz mi do powiedzenia? — zagadnął ostro *nadziratiel*.

Wiesław spojrział ze zdziwieniem na czarny mundur nadzorcy, na żandarmów i, skupiając z trudnością rozpierzchłe myśli, odrzekł cicho:

— To pan? Tak, prawda... zwywałem pana... chciałem rozmówić się!...

— Na rozmowy tu nie ma czasu! Czego potrzeba?

Ten suchy, groźny głos nadzorcy wrócił Ziemęckiemu przytomność.

— Potrzeba mi sądu, śledztwa, badania. Jestem ofiarą fatalnej pomyłki! Stawcie mnie przed władzą! Niech wiem, o co mnie oskarżają... czego chcą!

— Nie moja rzecz! To wszystko?

— Panie! — rzekł Wiesław tonem prośby. — Aresztowali mnie, uwięzili bez słowa! To, o co proszę, jest najzupełniej...

— Jesteś pan pod śledztwem. Rzec do mnie nie należy. Na wszystko przyjdzie czas...

— Więc może mógłbym się odnieść do prokuratora?

— Co panu się zdaje, że prokurator nie innego nie ma do roboty? Dosyć tego! Czekać i słuchać. Na pana już była jedna skarga!

— Na mnie?!

— Pana to dziwi? — zauważył ironicznie nadzorca. — Kto się wczoraj awanturował? Radzę się zastanowić, po ciemku będzie gorzej!

Nadzorca się odwrócił ku drzwiom.

— Więc może... wolno mi napisać kilka słów z prośbą o wstawiennictwo?

— Jak się skończy śledztwo! Zamykać!

Wiesław postąpił krok naprzód, lecz znów gwałtowne pchnięcie kulakiem zepchnęło go ku oknu.

Ziemęcki zatrząsł się.

— Panie! — zawołał — ten niepoń pozwala sobie na grubiaństwo! Jak śmie mnie dotykać?!

— Milczeć i stać zdaleka na drugi raz! — odrzekł z po za drzwi dozorca, a zniżając głos, ozwał się do posługacza: Miej się na baczności! A o najmniejszym zającie dać mi znać.

— Słucham, wasze *blahorodje!* Nie ugryzie. Posiedzi, w baranka się zamieni! Nowicyusz!

Rozmowa z nadzorcą zgnębiła Wiesława. Marzyć widocznie nie mógł, aby ta heca prędko się skończyła. Pewno i tydzień jeszcze przyjdzie mu czekać, zanim go wezwą.

Tu Wiesław rzucił okiem na zapadający zmrok i usiłował przypomnieć sobie, który to był dzień. Aresztowali go w nocy, z czwartku na piątek, więc piątek i sobota: Czy tylko sobota?... Spał długo... czy jednak mógł był przespać tyle czasu? Niepodobna! Był zdenerwowany, rozdrażniony... Nowe złudzenie! Aresztowali go wezoraj!

Wiesław uczuł gwałtowną czezość... Na stole stała blaszana menażka z zupą i chleb. Podniósł się i postąpił krok naprzód. Spojrzał na drzwi. Para oczu patrzyła nań złośliwie... Zatrzymał się i zaczął. Gdy otwór się zasunął... podszedł do stołu... porwał łapczywie chleb i zaczął go jeść!... Brała go ochota na zupę, lecz wstrzymał się — oczy znów ukazały się w otworze.

Leżąca obok menażki łyżka zwróciła uwagę Wiesława. Była to istotnie niezwykła łyżka. Wielkości graniczącej między zwykłą łyżką stołową a łyżką

dziecinną, z pogiętym, okrągłym prawie czerpakiem, z trzonkiem odchylonym gwałtownie ku tyłowi i z jednej strony silnie zaostrozonym. Łyżka kiedyś widocznie była pokryta białym metalem, o czym świadczyły resztki jego w obwódce żłobionej, dzisiaj stanowiła już tylko żółto-zielonawy szkielet.

Ziemęcki przypatrywał się z zajęciem tej łyżce, obracał ją na wszystkie strony — przyglądał się rysem... aż w końcu dostrzegł na spodniej stronie trzonka... szpilką wyklutą literę „B“, a pod nią rok 1863!...

Więc to była taka weteranka! Przez ile rąk przejść musiała... ilu ofiar była nieodstępną towarzyszką!...

Ziemęcki odwrócił się ku oknu i badał łyżkę ze wszech stron... Naraz oczy roztworzył szerzej, wyężdżając wzrok... Na czerpaku były niedostrzegalnie wydrapane litery „S. W.“.

Ziemęckiemu przyszła na myśl... Stefka!... Były to wszak jej początkowe litery imienia i nazwiska!...

Co za zbieg okoliczności! Nie — tego niepodobna przypuścić!... Skądże ona tutaj!... Pewno jeden z dawnych... może powstańców.

Zdawało się wprowadzić Wiesławowi, że nacięcia liter wyglądają, jakby były niedawno wydrapane... a przynajmniej znacznie później niż litera „B“ — lecz sprawdzić tego nie mógł... zmrok coraz silniej zapadać zaczął.

Wiesław odłożył łyżkę na bok i zwrócił się do uprzątomnienia sobie czasu, który mu się tak popła-

tał, że znów miał wątpliwość, czy istotnie przespał cały dzień... czy tylko obudził się po chwilowem odrętwieniu!

Lecz tu wspomniał na słowa dozorey, który mówił wyraźnie o wczorajszem... jego awanturowaniu!... Więc w takim razie byłaby to sobota!...

Ziemęcki jeszcze nie był pewnym... lecz w końcu znalazł sprawdzenie. Wszak wczoraj pozbawiono go kolacyi... więc, jeżeli dzisiaj mu ją przyniosą... nie będzie wątpliwości co do daty!...

Rachunek Wiesława nie zawiódł. Drzwi się otworzyły. Posługacz zapalił lampkę i postawił na stole kubek herbaty z chlebem i kawałkiem cukru.

Ziemęcki spojrzał z zadowoleniem na ten posiłek, i już nie ociągając się — zabrał się do jedzenia. Herbata miała smak cierpkiego, stęchłego wywaru. Oślizły, a lepiący się kubek budził odrazę, wstręt — pragnienie i głód były silniejszymi.

Wiesław jął spokojnie nieco zastanawiać się nad swoim położeniem i rozumowaniem zgłuszyć w sobie rozstrój.

Powód opóźnienia się w przeprowadzeniu badania, teraz dopiero wydał się Wiesławowi jasnym zupełnie. Został uwięzionym w piątek... przed świętem prawie... Nie chcieli rozpoczynać w końcu tygodnia... Nadto, co bardzo możliwe... mogło wypaść jakieś półświęto prawosławne... rocznica!... Jest ich pełno. Lub, co pewniejsze, święto orderu, czy rocznica którego zamachu!... Zatem jeszcze jutro myśleć mu nie wolno o uwolnieniu, lecz w poniedziałek, a pra-

wdopodobnie we wtorek lub środę... śledztwo się zaczyna.

Uspokojony nieco tem wyliczeniem, jął rozmyślać, jakby tu czas zabić, który dłużył mu się nielitościwie. Ddybyż dozwolono mu palić.

Tak czy owak Wiesław silił się o zaprowadzenie ładu w tej beczynności — bez niego rozumiał, że ten potok myśli rozsadzi mu czaszkę, doprowadzi go do szaleństwa, do jakiegoś bezcelowego wybuchu.

Niedzielę Ziemęcki spędził dosyć spokojnie, będąc zajęty całe rano skrobaniem na murze kalendarza... Zadanie to było bardzo trudne, bo możliwe tylko w czasie tych krótkich pauz, gdy w otworze w drzwiach tych nie było oczu żandarma.

Teraz dopiero Wiesław ocenił całą wartość łyżki i jej zaostzonego trzonka. Ona była jedynem narzędziem, którem rozporządzał... Ona zastępowała mu znakomicie nóż przy jedzeniu, co ważniejsze, była twórcą kalendarza. Układ tego ostatniego był bardzo prosty. W rogu celi zrobił Wiesław trzy nacięcia, dwa krótsze znaczyły piątek i sobotę, trzecie, dłuższe niedzielę. Ciężej o wiele było z ustaleniem daty i w końcu Ziemęcki musiał zdecydować się na określenie warunkowe, że piątek był siedmnastym lub najwyżej dwudziestym dniem listopada.

W niedzielę po raz pierwszy wyszedł Wiesław na spacer.

Smutne, przygnębiające wrażenie sprawił na nim ten spacer...

Posługacz popołudniu otworzył drzwi i mruknął apatycznie:

— *Chcesz na pragulku?!*

Dla skrócenia jednostajności Wiesław wstał. Do celi weszło dwóch żandarmów z obnażonymi pałaszami; pierwszy stanął przed Wiesławem — drugi za nim i wyszli ponurymi, sklepionymi nisko korytarzami.

Ziemęcki oglądał się dokoła — lecz nigdzie śladu życia. Pawilon zdawał się wymarłym. Ciężkie, szczelnie okute drzwi wзираły groźnie z wgłębień i nisz. Rozstawione gęsto strażę i kręcący się tu i owdzie posługacze z pękami kluczy, nakoniec żandarmi, snujący się od drzwi do drzwi i zgrzytający zasuwami otworów, świadczyli, że pawilon jest zamieszkały.

Po kilkuminutowem kołowaniu wśród korytarzy, Wiesław znalazł się na wąskim podwórzu, zamkniętem z trzech stron murami pawilonu, a z czwartej osłoniętem spadzistą fosą i murem na wale. Pośrodku podwórka był wydeptany chodnik.

Żandarmi się rozstąpili. Pierwszy stanął pod wałem — drugi po stronie jedyne go wyjścia z tego podwórka, to jest wąskiej sieni, którą wprowadzono Wiesława.

Ziemęcki obejrzał się dokoła, sam nie wiedząc, co ze sobą począć — lecz w tejże chwili żandarm, siedzący na ławce pod ścianą, którego z początku Wiesław nie zauważył — kiwnął mu głową.

— *Nu, praguliwajsia. Gulaj!*

Ziemęcki machinalnie jął mierzyć szybkimi krokami chodnik.

Wilgotne a zimne powietrze listopadowe wskróś go przejmowało. Wiatr silny, wpadający niemal pio-

nowo do tej studni, rozwiewał mu włosy, targał nimi, lecz równocześnie jakby krzepił go, odświeżał. Tylko te mury ciemno-czerwone, krwawo piętrzące się ze wszech stron i ten wał poólkły, na poły zezerniały, były straszne.

Tuż za nim, o kilka kroków zaledwie, chodzą ludzie swobodni, wolni, mając przed sobą przestrzeń — horyzont. A on tu, odcięty od świata, jakby pogrzebany żywcem.

Wiesław spuścił wzrok ku ziemi, byle nie patrzeć na te zagrody nieublagane.

Naraz, żandarm na ławce spojrział na zegarek i odezwał się spokojnie:

— *Dowolno!*

Żandarm stojący pod fosą, podszedł do Wiesława i huknął niecierpliwie:

— *Stoj!*

Wiesław znów znalazł się między żandarmami a za chwilę drzwi celi znów się za nim zamknęły.

Pierwszy błysk światła poniedziałku, po nieznośnie długiej nocy — powitał Wiesława ze szczerem zadowoleniem, radością. Umył się po raz pierwszy, spożył skrzętnie chleb do ostatniej okruszyny i czekał.

Okolo południa pod drzwiami rozległy się kroki czyjeś — drzwi się otworzyły... Wiesław zerwał się z łóżka.

— *Nareszcie!...*

W celi ukazał się stary wachmistrz żandarmów ze strażą i kiwnął na Ziemęckiego.

Wiesław nie dał sobie rozkazu drugi raz powtórzyć. Szedł uradowany, prawie ucieszony.

Więc dowie się, czego od niego chcą, co mu zarzucają, wytłumaczy im... wreszcie pozbędzie się tej dręczącej niepewności, która go po prostu oglupia, obezwładnia.

Jakież atoli było zdziwienie Wiesława, gdy po kilkuminutowem kluczeniu kurytarzami znalazł się na tem samem, co wczoraj, podwórzu.

Ziemęcki spojrzał pytającym wzrokiem na idącego obok niego wachmistrza.

Ten zrozumiał go, bo wskazał mu stojące na środku podwórza krzeselko i rzekł rozkazująco:

— Siadaj tam!

— Co? po co!

— Zobaczysz. Siadaj! A nie — to ciebie posadzą!...

Ziemęcki obojętnie wzruszył ramionami i podszedł do krzeselka — lecz tu znalazł wytłumaczenie zagadki.

O kilkanaście kroków przed nim stał aparat fotograficzny, przy którym uwijali się żandarmi.

Ziemęckiego śmiech nagły porwał.

— Chcecie mieć mój portret? Cha! cha! No... Dalej!... Tylko... ty wachmistrzu odejdz... bo patrząc na ciebie nie będę miał przyjemnego wyrazu twarzy.

— No, no! Nie rozprawiaj! — upomniał wachmistrz łagodnie. — Siedź spokojnie!

Jeden z żandarmów, operujących przy aparacie, zbliżył się do Wiesława i zaczął go pozować, a gdy ułożenie wydało mu się dobrem, zawołał na pomocnika, aby przyniósł żelazny postument z klamrą żelazną. Zanim Wiesław zdążył się zorientować — obręcz

metalowa ścisnęła mu głowę tak silnie, że wszelki ruch szyi stał się niemożliwym.

— Na co to? — rzucił się gniewnie więzień. Potrzeba wam mojej fotografii? Owszem! Wyrywać się nie myślę.

— No, nie zaszkodzi klamerka! Tobie głupstwo strzeli, a nam szkoda klisz!

Fotografowanie nie było taką prostą manipulacją, jak się na pierwszy rzut oka zdawało Wiesławowi. Żandarmi nie zadowolnili się jednym zdjęciem. Potrzebny był im profil i popiersie i pełna figura Wiesława. Gdy wreszcie zdjęcia zostały ukończone — wachmistrz dał znak warcie.

— Odprowadzić do celi!

— Wachmistrzu! — odezwał się Wiesław w tejże chwili.

— Czego?

— Kiedy wreszcie będzie moja sprawa?

— Zobaczysz!

— Ależ ja chcę być stawionym przed władzą! Przed prokuratorem, czy pułkownikiem. Jestem ofiarą jakiejś pomyłki, jakiegoś fatalnego błędu waszego. Uwięziliście mnie niewiedomo za co? Żądam sądu, badania!

— Ot! ot! Już język rozpuścił! — przerwał niecierpliwie wachmistrz. — Wyście wszyscy tacy! Baranki! Teraz nie pora. Siedź cicho i czekaj! Przyjdzie na ciebie kolej!

— Ależ! — zaoponował żywo Wiesław, starając się nadać swemu głosowi odcień łagodnej perswazyi. —

Dajcież powiedzieć! Co do mnie, nie może być wątpliwości. Łatwo wam mówić, czekać... gdy...

— Chcesz nie chcesz, musisz! Jesteś pod śledztwem i koniec.

— Więc prowadźcie mnie do prokuratora!

— Nie bój się! Jak będzie potrzeba, to go zobaczysz, a teraz dalej... na miejsce!

Żandarm, stojący za Wiesławem, pchnął go lekko.

— *Idi, idi!*

Ziemęcki powłókł się ociężale za wartą. Żadna opozycja, żadne tłumaczenia, prośby ani opór nie mu tu pomódz nie mogły. Musiał czekać.

Lecz czekanie to stawało się morderczym, nieznosnie dokuczliwym, zabijającym. Myśl jego kręciła się w błędnym kole, środkowym punktem którego był jeden wyraz „śledztwo“. Ono jedno zdolne było przywrócić mu równowagę, ono rozwiązałoby zagadkę niespodziewanego uwięzienia. Czyby... chciano teraz go ścigać za przeszłość? A może to skutek jego opozycyjnego zachowania się w komitecie? Może. Cis wplątał go w jaką awanturę umyślnie? Lub po prostu któraś z takich osobistości, jak Rzązewski, podstawiła mu nogę i oskarżyła go dla okazania swej gorliwości.

Tak czy owak, oskarżenie jakieś istniało, musiało istnieć!

Minał wtorek, środa — nadeszła znów niedziela — nie w położeniu Wiesława się nie zmieniło. Jedyną osobistością, którą widywał, był posługacz więzienny, żandarm starszy i kilku zmieniających się ciągle

sztyldwachów. Ludzie ci zresztą byli jakby głuchoniemi. Nie odpowiadali na pytania Wiesława, każde jego odezwanie się przyjmowali z głuchą obojętnością — a gdy Ziemęcki żywiej napierał, zamykali mu usta groźnem:

— Milczeć!

Zdenerwowanie Wiesława z każdym dniem wzrastało — wreszcie doszło pewnego wieczora do tego, że schwycił go jakiś spazm kurezowy za gardło...

Ziemęcki zaczął płakać i łkać, jak dziecko, nie słysząc ani groźnych napomnień z korytarza, ani nadchodzącej warty. Dopiero, gdy żandarm potrząsnął nim groźnie, Wiesław oderwał zalaną łzami twarz od słomianej poduszki.

— Krzyczysz! Awanturujesz się! — strofował żandarm. — Patrz, widzisz te łańcuszki?...

Wiesławowi krew w żyłach zastygła.

— Co wy?...

— Nie! Parę godzin posiedzisz w łańcuszkach, będzie ci zaraz lepiej. Powiedziałem ci — krzyczeć nie wolno!

— Odejdźcie. Chory jestem... głowa...

Żandarm odsunął się.

— Hm! Chory? Może być. Czego nie meldujesz, żeś chory? Nu — zostawię cię, ale pamiętaj, na drugi raz...

Po tym paroksyzmie niemocy i wyczerpania, nastąpiło zobojętnienie. Były chwile, że Wiesław nawet nie łudził się myślą, aby mógł kiedykolwiek z murów tych się wydostać, a równocześnie mimo tego, że na ścianie zaledwie czternaście kresek naznaczył,

zdawało mu się, jakby już lata całe odgradzały go od chwili, w której był wolny.

Im dłużej Wiesław przebywał w celi, tem ta cisza ponura, ta głuchota nużąca, zaczęła doń mówić, codzien stawała się jaśniejszą, wyraźniejszą. Każdy nieuchwytny w pierwszych chwilach odgłos, szmer stawał się dlań zrozumiałym.

Ziemęcki odróżniał doskonale ciężkie kroki posługacza od omdlewającego stąpania szyldwachów i cichego przesuwania się żandarma. Każde zjawienie się w korytarzu obcej osoby, gościa niezwykłego, odgadywał zaraz. Wiedział, kiedy więźniów wyprowadza z cel służba porządkowa, kiedy zaczyna się kolej odbywania spaceru sześciominutowego.

Najwięcej denerwowały go noce. Wówczas tracił zupełnie wątek i gubił się w domysłach. Bywały noce, że krom szczęk broni lub brzęku ostróg gęsto krążącej żandarmeryi — ledwie czasem daleki świst lokomotywy przypominał Wiesławowi, że znajduje się tuż obok wielkiego mrowiska ludzkiego za tymi murami, że i w murach tych dokoła otaczają go dziesiątki ludzi.

Bywały jednak noce straszne. Korytarze huczały od przyspieszonych kroków, zamki i klucze zgrzytały, jakieś echa pomieszanych głosów składały się na groźny pomruk, a czasem coś, jakby jęk, skarga a niekiedy łkanie przedostawało się aż do celi Ziemęckiego.

Wiesław z zapartym oddechem, z biciem serca nadśluchiwał...

Najstraszniejsze obrazy przesuwają się przed oczyma. Może tam, obok, mordują upatrzoną ofiarę, katują, znęcają się, żeby wydobyć z niej zeznanie... może prowadzą na szubienicę.

Były chwile, iżby gotów był przysiąc, że w tym zgiełku i zamieszaniu poznaje głosy znajome, które słyszał nieraz, które pamiętał oddawna. Mimo wysiłku, nie mógł jednak przypomnieć sobie, do kogo należały.

Powoli z tem się oswoił, a poznawszy bezowocność nadśluchiwań a bezsilność swoją nauczył się na pierwszy dźwięk kluczy w noce, głowę owijać kołdrą, byle nie słyszeć, nie wiedzieć, nie zgadywać.

Zaledwie w trzecim tygodniu zamknięcia, ucho Wiesława zaczęło chwytać delikatne a miarowe pukania w ścianę, które czasem dawały się słyszeć. Był żeby to ów słynny telegraf dziesiątego pawilonu. Ziemęcki uważniej zaczął chwytać odgłosy pukania, istotnie czuć w nich było pewien rytm, pewien porządek....

Ziemęcki wspomniął na opowiadania dawnych towarzyszków z partyi i postanowił zbadać zagadkę. Zabrał się do tego tem goręcej, że dawało mu to możność zajęcia się, oderwania się od jednostajności.

Idąc za słyszanemi ongi opowiadaniem, Wiesław zabrał się do wydrapania tablicy na ścianie nad łóżkiem, było to bowiem jedyne miejsce, przy którym leżąc, nie zwracał uwagi patrzących.

Przy tej robocie łyżka z zaostrzonym trzonkiem oddała mu nieocenione usługi. Z jej pomocą zaostrił drzazgę oderwaną od listwy i temperował ją w miarę ścierania.

Dwa dni zeszło i dwie noce, zanim tablica była gotową. Teraz pozostawało sprawdzenie, lecz nie było ono tak łatwem. Pukanie niekiedy było bardzo niewyraźnem, oryentowanie się w ilości uderzeń trudne. Pierwsze uderzenia miały wskazywać numer pionowy rzędu na tablicy, uderzenia drugie numer poziomy... przecięcie tych dwóch wskazanych linii miało wskazać dopiero literę.

Próby pierwsze zawiodły Wiesława i zniechęciły. Wydało mu się niepodobieństwem, aby za pomocą tego alfabetu można było cośkolwiek powiedzieć. Na sklejanie jednego wyrazu trzeba było kilku minut.

Jednak co wieczór, a i w dzień odróżniał wyraźnie pukania, niby szmer, delikatne a nieustające.

Jeszcze jedną próbę postanowił wykonać. Nauczył się wybijać na kółdrze pytania — kto jesteś, a gdy noc zapadła, położył się do łóżka i okrywszy się kocem, zaczął pukać mocno w ścianę.

Upłynęło kilka minut... zanim Wiesław usłyszał za ścianą lekki odzew. Nie wahając się dłużej, wypukał zapytanie, lecz z przeciwnej strony posypała się taka kaskada szybkich uderzeń, że Ziemęcki zgubił od razu wątek. Gdy po kilku minutach pukanie ucichło — zaczął odpowiadać... mając tuż przed oczyma tablicę. Zdobył się na trzy wyrazy.

— Wolno — nie rozumiem!

Sygnal ten poskutkował. Pukanie za ścianą stało się wyraźniejszem i tak wólnem, że Wiesław miał czas literę po literze odnaleźć na tablicy.

— Dawno aresztowany? — wystukał sąsiad za ścianą.

— Dwa tygodnie! — odpowiedział Wiesław.

— Ja rok! Czekam na wyrok!

— Ile czasu będę czekał na śledztwo?

— Zależy! Ale znałeś Żabskiego i Łączewskiego? — zagadnął sąsiad. Wiesław chciał odpowiedzieć, lecz nagle uwagę jego zwróciło nerwowe stukanie z przeciwnej strony... Mimowoli rzucił wzrok na tablicę i zadrżał.

— Milcz, z żandarmem mówisz! Milcz! Milcz! ostrzegano pukanie.

Ziemęcki otarł pot, spływający mu po czole. Więc o mały włos, a wpadł byłby w zastawioną nań pułapkę. Pytania tymczasem za ścianą nie ustawały.

— Znałeś Żabskiego i Łączewskiego.

Wiesław postanowił wyprowadzić żandarma w pole.

— O kim mówisz?

— Przecież byli z nami w partyi?...

— W jakiej partyi? W komitecie obywatelskim? — zagadnął znów Wiesław.

Sąsiad zaczął coraz gwałtowniej pukać.

— Żarty! Mówię o partyi, w której byłeś z Cisem.

— Nie wiem o kogo pytasz.

— Przecież Łączewski mieszkał po tobie u Wortlowej... bywaliście razem...

— Skądże ty mnie znasz?

— Znam... dowiedziałem się o tobie — płatała się odpowiedź — mam tu swoje stosunki.

— To dobrze. Bo i ja znam ciebie wybornie.

— Ciekawy jestem...

— Jesteś bardzo naiwnym szpiclem... dziwię się, że takich trzymają.

Pukanie za ścianą ucichło nagle.

Jakiś czas cisza panowała głęboka, a później tuż obok, na korytarzu, dał się słyszeć trzask otwieranych i zamykanych gwałtownie drzwi. Równocześnie usłyszał Wiesław ciche pukanie.

— Dobrześ mu odpowiedział. Dobrze. Chcesz rozmawiać?

— Chcę.

— Tylko nie pytaj się o nic, ani sam nie odpowiadaj, bo mogą podsłuchiwać, pamiętaj o tem.

— Jedno pytanie...

— Jakie?

— Jestem tu dwa tygodnie, ile czasu trzeba czekać na śledztwo?

— Rozmaicie. Mnie wezwano pierwszy raz po dwóch miesiącach.

— Mękil...

— Czekaj cierpliwie. I nie zdradzaj rozdrażnienia, bo oni właśnie tego tylko chcą, żeby cię zdenerwować. Wychodzisz na spacer?

— Codzień, ale dziś nie wychodziłem.

— Bo deszcz leje. Boją się żebyśmy kataru nie dostali. A wczoraj o której wychodziłeś?

— Po obiedzie, o zmroku, prawie.

— Cytadela jest więc przepelniona.

— Z czego wnosisz?

— Prosty rachunek. Każdy z nas ma pięć minut spaceru, razem z drogą, zamykaniem i otwieraniem...

liczę siedm. Zaczynają wyprowadzać kolejno o dziesiątej rano — policz. Siedm do ośmiu godzin trwa ten spacer — około siedmdziesięciu osób pod śledztwem. Nie licz skazanych. Ci mają osobny oddział i inne zwyczaje. Który masz numer?

— Nie rozumiem.

— Pytam się o numer celi. Bo przecież on jest zarazem twojem nazwiskiem. Służba cała zna cię tylko z numeru.

— Nie wiem nawet, jak się dowiedzieć.

— Jesteś nieuważny. Numer twój jest wypisany na drzwiach. Jak będziesz wracał ze spaceru uważaj przy otwieraniu drzwi. Może ci się ta wiadomość niekiedy przydać. Ale, wiesz, przed tobą celę zajmowała kobieta.

— Kobieta? Co za jedna?

— Ba — pytasz mnie o rzecz niepodobną. Nazwiska tu nie istnieją. Prosta ostrożność zmusza do braku zaufania.

— Rozmawiałeś z nią?

— Raz czy dwa razy. Słabo władała alfabetem a ciągle chorowała przytem, zresztą bardzo krótko sąsiadowała ze mną.

— Dawno to było?

— Ciekawy jesteś... Mniejsza. Rzecz to obojętna dosyć. Może ze cztery miesiące. Z pewnością cztery, mam dokładne wyliczenie. Przyznam ci się, że byłem kontent, iż ją przewieźli. Miewała napady histeryi czy ataków sercowych. Nocy spokojnej nie miałem. Jęki, płacze, użerania z żandarmeryą... Nieszczęśliwa!... Nikomu tu nie bywa lepiej.

— Wiesz dokładnie, jaki dzień dziś mamy?

— Czwarty grudnia.

— U mnie wypada drugi.

— Mylisz się. Popraw sobie kalendarz, mój sprawdzony. Dzień zaczyna szarzeć, czas się przespać trochę. No! Dobranoc!

— Dobranoc!

— Ale! Ale! Jak będziesz chciał ze mną rozmawiać, to zacznij wystukiwać bezustanku literę „zet”, aż ci się odezwę.

Wiesław usunął się wyczerpany na poduszki. Rozmowa zmęczyła go. To liczenie ciągle i sklejanie liter było nieznośnie powolnem. Ale i te oderwane zdania miały dlań nieskończoną wartość. Teraz już nie był sam. Miał kogoś, z kim będzie mógł zamienić choć kilka słów.

Obok tego zadowolenia, było i smutne rozczarowanie — sąsiad zapewniał go, że śledztwo może i po dwóch miesiącach zaledwie dojść do skutku. Ileż go więc czeka tych jednostajnych, nielitościwie dłużących się dni i nocy? A potem?

Wzmianka, że ceka, w której przebywał Wiesław, była zajmowaną przedtem przez kobietę — zaniepokoiła Ziomeckiego. Bronił się myślom, które go dręczyć jęły i starał się zapomnieć o przejściach, jakie miał z powodu Stefki. Lecz głos wewnętrzny odzywał się w nim coraz silniej, coraz gwałtowniej! W uszach dzwigał mu złowróbnny szept, który powtarzał mu z zaciętością:

— Czterdziesty siódmy! Ona miała numer czterdziesty siódmy! Pamiętaj czterdziesty siódmy...czterdziesty siódmy!

I naraz opanowała Ziomeckiego gorączkowa ciękawość. Podniósł się z łóżka i próbował chodzić po pochyło nabitych szczeblach, poglądając niecierpliwie na szarawy kwadrat nieba, który zaglądał do celi po przez obmarzniętą szybę.

A jeżeli będzie niepogoda? W takim razie... może nie znajdzie okazji do zobaczenia numeru! Chwilami wzrok Wiesława z tłumioną wściekłością padał na żelazne okucia drzwi, jakby pragnąc je przeniknąć.

Próbował uspokoić samego siebie. A gdyby nawet ta ceka fatalnym zbiegiem okoliczności była niedawnem więzieniem Stefki! Czy to zmieni jego sytuację, pogorszy lub polepszy!*

— A jednak — mówił mu głos wewnętrzny — byłoby to okropne, straszne!

Nareszcie doczekał się Ziomecki chleba i herbaty. Wypił ją chciwie, bo pragnienie paliło mu wewnętrżności, chleb i cukier schował do kieszeni, — ucząc się co dnia bardziej go cenić.

Godziny znów wlec się zaczęły. Aż klucz zgrzytnął w zamku. Za drzwiami rozległy się dobrze mu znane kroki warty! Odetchnął. Drzwi się otwarły szeroko — —lecz równocześnie posługacz zasłonił sobą zewnętrzną ich stronę... Wiesław wyszedł — myśląc już o powrocie!

Tym razem zaledwie raz przebiegł wydeptaną, a omiecioną ze śniegu ścieżkę — już zaczął spoglądać

na wachmistrza, niecierpliwiąc się, że znaku na odprowadzenie go nie daje. Niepokój Wiesława aż zwrócił uwagę starego żandarma.

— Che — che! — Co wam?... — mruknął podejrzliwie.

— Nie zdrów jestem!

— Nie zdrów! Może! Hej! A wy tam miejcie go na oku! Głupstwa mu do głowy zaglądają! Przykrzy mu się!

— A cóż wam się zdaje! — rzucił ponuro Ziemęcki. — Jakbym was tam zamknął bez słowa, bez sądu, bez racji...

Wachmistrz oczy wytrzeszczył wpółdziko.

— Co ty!? Zwaryowałaś! Mnie żandarma... Co to? Ubliżasz? Mnie!

— Ani was znać nie chcę! Daję wam tylko przykład! Od jednej myśli złość was ogarnia! A co mnie mówić! Chcielibyście, żebym wam jeszcze miny dobre stroił?

— Ot... się znalazł! — oburknął się żandarm. A tobie może się zdaje że my tu z wami mamy rozkosz! Tfu!... Odprowadzić go! Buntownik! Anarchisty... sobacze!

Wiesław nie odpowiedział na ten wybuch prawomyślności żandarmskiej — i stanął między wartą starając się skupić przytomność, aby numeru nie przeoczyć...

Za chwilę stanął przed drzwiami, ku którym zdążył posługacz z kluczami...

Spojrzał i zadrżał całem ciałem...

Na drzwiach widniały dwie białe cyfry... cztery i siedm!

Drzwi się otwarły. Wiesław spojrzał w głąb i wzdrygnął się. Zdawało mu się, jakby grób przed nim otwierano. Lęk go zdjął nagły — cofnął się od progu, który miał przestąpić.

Posługacz zmierzył go ponuro wzrokiem.

— Dalej! No! !...

Wiesław stał, jak przykuty. Posługacz nie namyślał się dłużej. Żyłastą ręką schwycił go za kołnierz i wrzucił do celi. Ziemęcki zatoczył się i padł na przeciwległą ścianę, kalecząc się boleśnie w czoło.

— Widzisz... masz naukę na drugi raz! — rzucił w ślad za Wiesławem posługacz i drzwi zatrzasnął.

— *Bujnyj stał!* — zauważył żandarm z warty. — Trzeba raport złożyć! !...

Wiesław zwałkł się z pod ściany i rozejrzał się trwożliwie.

Więc tu, w tej samej celi była ona, Stefka! !... Te same mury ją więziły... Przy tym stoliku siedziała... ku temu skrawkowi nieba poglądała... Ta cela była niemym świadkiem jej rozpacz... skargi! !

Ona! Tak dziecinna przecie, tak naiwnie dobra, ufająca i wierząca... między tą zgrają siepaczy pozbawionych uczuć ludzkości!... Tu spędziła miesiące całe — może napróżno wyglądając jakiejś pomocy! Rojąc, że ci, za sprawę których cierpiała... upo-

mną się.... przyniosą jej ulgę, wesprą, wstawią się, uwolnią...

A tu nikt, nikt zgoła!... Cha! On niby sam... starał się, zabiegał, lecz jakże prędko ustał, jakże prędko pogodził się z myślą, że Stefkę nie już uratować nie może...

Więc ta cela!

Wiesław jał gorączkowo oglądać każdy zakamarek swego więzienia, które stało się dlań czemś, co mu ból nieznośny sprawiało, co ścieło mu serce... lecz i jakąś pociechę, jakąś przyjemność przynosiło!.....

Ściany celi stały się dlań w jednej chwili tajemniczymi zasłonami, które dość uchylić... aby całą rozpacz Stefki... wyczytać, aby wykryć niezbite dowody jej tu pobytu!

Tą myślą wiedziony, Wiesław z jakąś trwogą zaczął badać cełę, oglądać stół, stólek, ściany... nigdzie nie nie potwierdzało przypuszczeń... Jedna, jedyna łyżka, która raz rzucona przez posługacza, była jego nieodstępną towarzyszką.... nosiła niezgrabne litery S. W.

Chociaż i te były wątpliwe! Łyżka mogła służyć komuś w innej celi.

Zmęczony, zmordowany temi poszukiwaniami — padł na łóżko...

Paroksyzm rozdrażnienia nerwowego złamał go, odebrał mu wolę, myśl pechnął na wzburzone fale szarpających uczuć.

Skronie pulsowały mu gwałtownie. Ręce zaciśkały się kurezowo około metalowych prętów łóżka.

Chwilami podnosił się i cisnął gwałtownie rozpaloną głowę do wilgotnawej ściany....

Zachowanie się Wiesława nie uszło uwagi „oczuc“ zaglądających do celi...

Nadszedł posługacz z wachmistrem. Potrząsnął kilka razy Wiesława za ramię, rzucił jakieś pytanie. Ziemęcki nie słyszał... leżał bez zmysłów prawie.

Posługacz zaklął, wachmistrz splunął filozoficznie — inspekeya była ukończoną.

Noc nadeszła. Sąsiad zaczął dawać znaki na rozmowę. Wiesław ani drgnął.

Nazajutrz, gdy po przemajaczeniu nocy, obudził się i roztworzył zamglone oczy, ujrzał przed sobą barczystą, obojętnie skrzywioną postać w mundurze lekarza wojskowego, rozmawiającego półgłosem z nadzorcą.

Wiesław podniósł się na posłaniu. Lekarz podszedł doń i zagadnął zimno po rosyjsku.

— Co panu jest?...

— Mnie?! — powtórzył zdziwiony pytaniem Wiesław. — Nic zupełnie...

— Hm! No tak! — zwrócił się doktor do nadzorca. — Mówilem!..... Proszek uspokajający nerwy...

— Pan wie, doktorze — zauważył cicho nadzorca — że... jest to niepożądane...

— A naturalnie!... Rozumiem!... Niech to wszakże zdecyduje... pan pojmuje... Wasza sprawa!...

— Więc tak... jest zdrow?! — pytał dozorca.

— Zdaje się! Zresztą sprawdzę! Proszę podać rękę!... Puls!... No... puls... musi być... Hm!... Gorączka jest! Spacerów zaniechać... Mięsa nie dawać! Kaszę, kleik.....

Ziemęcki rozśmiał się sucho.

— A cóż wy się tak o mnie troszczycie? Zaprowadźcie mnie lepiej na śledztwo, niech się to raz skończy.

— Spokojnie, spokojnie — upomniął nadzorca z powagą.

— Chcecie mnie leczyć? Lepiej pan temu łotrowi powiedz, żeby na bezbronnych się nie rzucił. Patrz doktorze, tu, na głowie, pamiątka od posługacza.

Doktor wzruszył ramionami.

Dozorca spojrzał pytająco na zmieszanego nieco posługacza.

— *Wasze blahorodie awanturnik!* Do celi iść nie chciał... wprowadziłem, a on *spotknulsia* i skargi teraz wnosi. Ciężko z nim wytrzymać.

Dozorca potrząsnął głową.

— Numer ma siniaka. Dosyć. Zapowiedziałem raz na zawsze że siniaków nie wolno. Rozumiesz?

— Słucham, wasze *blahorodie*.

— Pamiętaj. A wy tu skandalów nie zaczynajcie. Miałem już trzy skargi — jeszcze słowo, a wypędzę wam te napady... Nie umiecie czytać? Macie przepisy. A u nas, jak będzie trzeba, to wam naprawdę siniaków nabijają.

— No, no! Zobaczymy... ja i na pana drogę znajde, niech tylko zobacze prokuratora.

Dozorca poczerwieniał.

— Co?! Mnie, mnie będziesz wygrażał, ty... przybłędo! Cha! Ja ciebie rozumu nauczę! Wasyl, przyjdiesz do mnie po instrukcję! Za daleko się posuwasz. Mam ja sposób na takiego ptaszka! Raport złożę do komisji..... Baty na ciebie... kaftan nałożę.

Lekarz pociągnął dozorcę za rękaw.

— Zostawcie, Iwanie Iwanowiczu... co z takim...

— Nu, ja jemu dam lekarstwo...

Wiesław obojętnie odwrócił się do ściany. Nadzorca wyszedł wzburzony z lekarzem, utyskując na swój los.

— Widzicie! ja z tymi nieponiami po ludzku postępuję, dbam o szelmy, krzywdy nie dam zrobić i ot, zapłata. Zwierz taki, żeby mi pokazuje.

Gniew nadzorecy odbił się na Ziemęckim jeszcze tego samego wieczora. Zamiast herbaty dostał kubek zatęchłej wody.

Na drugi dzień posługacz znów tylko wodę przyniósł — a nadto sprzątnął posłanie z łóżka, pozostawiając nagie pręty żelazne. Na obiad podano mu miskę rozgotowanej kaszy. Wyprowadzania na spacer zaniechano.

Ziemęcki w milezeniu zniósł te objawy zemsty, no, i... przepisów dyetetycznych. Najwięcej brakło mu może siennika, który odtąd tylko na parę godzin nocą mu przynoszono.

Ziemęcki wszakże był tak przybity moralnie, tak złamany duchowo, że nie czuł ani gorączki, która go paliła, ani nie przejmował się karami, na jakie go skazano.

Dnie całe spędzał, siedząc na krzeselku przy stoliku pod oknem, odwrócony od oczu żandarmskich.

W tem odrętwieniu zapomniał był i o znaczeniu kalendarza na ścianie i o sygnałach, które mu od czasu do czasu dawał jego sąsiad. Przestało go zajmować pytanie o śledztwie — odbiegły go myśli o przeszłości. Jakaś krwawa, ciemna zasłona padła na mózg więźnia.

Po kilku dniach takiego stanu Wiesław jakby się zbudził z letargu, jakby się zbudził z ciężkiego snu. I znów jał przypominać sobie zaszłe wypadki i znów nowemu uległ atakowi zdenerwowania. Lecz tym razem, równocześnie z atakiem, przyszło osłabienie sił. Osunął się na nabijaną listwami, pochyłą podłogę i leżał, dysząc ciężko.

W nocy podjęto go i rzucono na posłanie, napoiwszy jakimś płynem trzeźwiącym.

Ziemęcki uczył raptowną ulgę. Umysł mu się rozjaśnił, krew żywiej krążyć zaczęła, spokój nań przeszedł niepojęty, niemal humor dobry.

Zaczął śmiać się z samego siebie, ze swego dziecinnego zachowania się, ze swych przesadzonych urojeń, z niemięskich roztkliwień. Bo przecież w tej Cytaдели nikt mu dotąd żadnej nie robił krzywdy. Hm!... Trzymają go pod kluczem... Zapewne!... Lecz to się musi zmienić!... Cóż, oni, działając w imię zasad *samodzierżawia*... postępują logicznie... a on właśnie nie-

logicznie się zachowuje!... Boć tego ani oporem narażać nie można, ani protestem... Dobrowolnie naraża się na grubiaństwa tych prostaków... i pogarsza swoją sytuację!...

A oni są dosyć względni! Dali mu paniński pokoik po Stefce... Czy ma prawo gniewać się o to? Przecież to nawet zabawne! Albo ta łyżka...

Ziemęcki roześmiał się serdecznie do samego siebie i przewrócił na drugi bok, jak człowiek, który pod własnym dachem, zadowolony z siebie zabiera się do snu. Lecz sen jakoś nie nadchodzi. Wiesław wspominał na sąsiada swego i jał wybijać nerwowo literę Z.

Długo nie było odpowiedzi. Nareszcie sąsiad się odezwał:

— Kto mówi?

— Zet! Nie poznajesz mnie?... Rozmawialiśmy już ze sobą przed tygodniem!

— Wątpię. O czym?...

— Ostrzegałeś mnie przed żandarmem... Potem mówiłeś o wyprowadzeniu na spacer, potem pytałeś się o mój numer...

— Więc to pan?!... Teraz wierzę!... Co się z tobą działo? Pukałem tyle razy...

— Nie słyszałem. Byłem cierpiącym, zdenerwowanym. Miałem awanturę z dozorcą i lekarzem.

— Domyślałem się czegoś podobnego. Boś pan hałasował po nocach. Ale to nie dobrze. Strzeż się pan tego stanu!... Przy takim rozdrażnieniu o malignę bardzo łatwo... a wówczas pamiętaj, że „fijołkowy”

anioł stróż nie omieszka wystenografować wszystkiego.

— Żałuję sam! Stało się... Sam nie wiem, jak. Teraz zdaje sobie sprawę z całej nieestosowności...

— Jest już panu lepiej?...

— Wybornie! dali mi dziś lekarstwo.

— Czy nie morfiny?

— Morfiny?

— Tak!... Muszę pana ostrzedz. Widzi pan, okoliczność, że panu dali morfiny, utwierdza mnie w przekonaniu, że śledztwo pańskie ani jutro, ani pojutrze jeszcze się nie odbędzie! Zadaniem ich jest mieć przy badaniu więźnia zdenerwowanego, rozstrojonego, nie mogącego zapanować nad sobą... Taki dopiero wygada im często, czego nie chciałby powiedzieć. Ja to znam. Więc się pan strzeż własnych myśli... no i morfiny także, gdyż skoro działanie jej przechodzi, najczęściej zdenerwowanie wraca silniejsze niż było!

— Nie wiem..... Jeżeli to była nawet morfina, to jestem jej szczerze wdzięcznym!..... Czuję wielką ulgę.....

— Wierzę!... Ale wspomnij pan na moje słowa i przede wszystkim strzeż się rozmyślania... a gdy na ciebie przyjdzie atak, to nie przyjmuj lekarstw...

— Łatwo się mówi!...

— Dam panu sposób. Trzeba abyś się zmęczył fizycznie.

— Pan chyba żartuje! O jakimże to ruchu można myśleć, o jakim zmęczeniu... nawet na spacer przestali mnie wyprowadzać.

— Powoli!... Rób pan to, co ja. Trzy godziny dziennie a pewnie i dłużej, bo zegarka nie mam, uprawiam szwedzką gimnastykę. Wyśmienicie skutkuje! Po tych ćwiczeniach śpię, jak zabity. One skracają mi czas... i przywracają równowagę umysłu. Nie zwlekaj z tem...

— Sproбую... Ale, którego mamy dzisiaj?...

— Jest po północy, a więc dwunastego.

— Niepódobna!

— Tak jednakże jest!

— Czas leci... Muszę poprawić sobie rachubę, bo ją zaniedbałem.

— To się zdarza. Byłem w tem samym położeniu, lecz sąsiad z drugiej strony poprawił mi błąd.

— Ale wie pan, co za zbieg okoliczności!... Wyobraź pan sobie, ta kobieta, o którejś pan wspominał, że zajmowała moją celę... była dobrą moją znajomą... Może więcej jak znalazłem... znalazłem pewne wskazówki... Najważniejsze, że miała ten sam czterdziesty siódmy numer, co i ja...

— Milcz — przerwało pukanie za ścianą. — Nie mów do mnie w ten sposób, bo przestanę cię słuchać.....

— Dlaczego?

— Bo ściany mają uszy!... Chcesz dobrowolnie wpaść?... Co mi do tego...

— Cóż znowu? Wszak to mnie tylko dotyczy. W tem nie ma nic zresztą... poprostu zbieg okoliczności zabawny...

— Nie kończ! Idę spać, zrób to samo, a nie zapomnij o gimnastyce.

Wiesław chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz pukanie za ścianą ozwało się lakonicznie:

— Nie słucham!

Ziemęcki odsunął się od ściany.

— Dziwak, narwaniec jakiś! — mruknął do siebie i próbował zasnąć. Sen nie nadechodził. Nad ranem dopiero zaczęły mu się sklejać powieki, ale równocześnie wewnętrzny niepokój zaczął w nim nurtować...

Ziemęcki wspomniął na radę sąsiada, zwał się z posłania i rozpoczął gwałtownie wypreżać mięśnie rąk i wykonywać ćwiczenia.

Skutek nie zawiódł. W pół godziny sen zjawiał się jako następstwo fizycznego zmęczenia.

Dni znów zaczęły płynąć Wiesławowi w tej przerażającej jednostajności. Jediną rozrywką, jedynym rozproszeniem myśli były te rozmowy przez ścianę z sąsiadem. Ale i tych wkrótce miało mu zabraknąć, gdyż po kilku ostrzeżeniach, uczynionych mu przez żandarma kurytarzowego, który był zwrócił uwagę na porozumienie się więźniów, sąsiada usunięto, przeprowadzono widocznie do innej celi, gdyż na pukanie odpowiadać przestał...

Więzienie znosił Ziemęcki... lepiej, spokojniej. Te sklepienie ścian, wrzeczydzące dzwoniące a trzaskające, rygle i ta połyskująca ciągle stal stłumiła w nim nawet bieg myśli.

Zdawało mu się, że inaczej być, ani stać się nie mogło, że ten pawilon jest jego ostatecznym przeznaczeniem, że po za jego murami świat dla niego istnieć przestał. Przeżyte na wolności lata snem

mu się już wydawały... snem coraz więcej mglistym....

Umysł Ziemęckiego dzielił już wszystkich ludzi na... więźni i dozorców. Ludzi, którzyby nie byli pierwszymi ani drugimi, nie rozumiał.

Chwilami wracała mu przytomność... a wówczas stawał się strasznym... Bunt wewnętrzny zrywał się w nim z taką siłą, że mu się zdawało, iż rozsądzi mu czaszkę. Wiesław w przystępie świadomości bezmiaru męki mu zadawanej, rzucał się jak lew rozjuszony w klatce. Wstrząsał żelaznymi klamrami, a z ust jego padały groźby, przekleństwa, złorzeczenia... prośby błagalne, jęki.

Stan taki trwał po kilka godzin czasem, aż go w końcu powalał, ubezwładniał.

Warta kurytarzowa i posługacz oswoili się już z Ziemęckim. W chwilach wybuchu pozostawiano go własnemu losowi, wstrzymując tylko podawanie jedzenia i donosząc kancelaryi, że numer czterdziesty siódmy *szalit*.

W dwa miesiące po uwięzieniu, gdy Ziemęcki po przebytych tylko co paroksyzmie leżał w półprzytomny na łóżku, w nocy weszła do celi warta z nieznanym mu dotąd wachmistrzem żandarmeryi.

— Hej panie, podnieś się! — zawołał rażno żandarm.

Wiesław podniósł w półnieprzytomne, krwią nabiegłe oczy i zasłonił je przed drażniącym światłem latarek warty.

— Dalej, dalej! — naglił żandarm. Wstawaj pan. Czekają na pana!...

— Co? Na mnie?... Odejdźcie, nie chcę nie!...

— Ot!... Co wy panie!... Śledztwo!... Pójdziecie, a to i uwolnią!... Czekają!...

Ziemęcki zerwał się nagle z posłania.

— Nu tak!... Wody weźcie, twarz obmyć trochę, lepiej wam się zrobi! — tłumaczył żandarm, kiwając na posługacza.

Wiesław zastosował się do rady. Woda orzeźwiła go, wróciła przytomność. Odetchnął głęboko. Więc nareszcie doczekał się... nareszcie!...

Wachmistrz z wyszukaną grzecznością poprosił Ziemęckiego, aby szedł za nim. Wiesław nabrał otuchy. Łagodne obejście napełniło go nadzieją, której sam nie rozumiał. Wachmistrz poszedł przodem, za nim Ziemęcki, za Ziemęckim warta.

Zapuszczono się w kurytarze. Po kilku minutach Wiesław znalazł się za drzwiami, prowadzącymi do innej kondygnacji sklepionych przejść. Wachmistrz szedł naprzód, wskazując drogę.

Wiesław obejrzał się... warty za nim nie było! Jakby ciężar spadł z jego ramion. Z rozkoszą wsłuchiwał się w odgłos własnych kroków, pozbawionych ponurego akompaniamentu ostróg za plecami. Nie czuł tych palących oddechów za sobą.

Wachmistrz idący spokojnie naprzód, zatrzymał się nagle przed wązkimi drzwiami, usunął się na bok i odczwał się uprzejmie:

— Pan będzie łaskaw wejść!

Drzwi się uchylily, Ziemęcki zrobił krok naprzód w powodzi oślepiającego światła, które nań

buchnęło i przetarł oczy, nie wiedząc, czy śni, czy marzy.

Znalazł się oto w obszernym, skromnie ale gustownie umeblowanym pokoju, wysłanym puszystym dywanem.

Pośrodku stał stół, nakryty serwetą wzorzystą, przed nim dwie kanapki, parę krzesetek, obciążniętych kolorową materią. Jakieś biurczko pod ścianą z porzuconymi bezładnie kilku arkuszami białego papieru — kosz zielony z kwiatami. Na ścianach kilka oleodruków, ze znanych mu dobrze obrazów Matejkowskich.

Wiesław z osłupieniem rozglądał się dokoła... Pokój ten tak przypominał te pocziwe, a znane mu dobre „saloniki” mieszczańsko-warszawskie, że wierzyć nie mógł, aby to był dziesiąty pawilon!

Pierwszą myślą Wiesława było, że wprowadzono go tu przez pomyłkę. Odwrócił się więc, chcąc zagadnąć wachmistrza, lecz go nie było. Nawet ślad drzwi, któremi go wprowadzono, zniknął w drewnianych lamperkach, okalających pokój.

Ziemęcki machinalnie posunął się naprzód, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, gdy naraz firanka, zasłaniająca drzwi w rogu pokoju, uchyliła się, — z poza niej wyszedł szybko elegancki, młody oficer żandarmeryi w nieskazitelnie obcisłym mundurze i odczwał się z żywą uprzejmością po polsku.

— A, pan Ziemęcki! Witam pana! Bardzo mi przyjemnie go poznać! Przepraszam, że kazałem na siebie czekać... Niechże pan spocznie!

Wiesław stał przez chwilę oszołomiony tą towarzyską gościnnością oficera.

Oficer nie zdawał się zwracać uwagi na pomięszanie Ziemeckiego — zwrócił się w stronę kotary i zawołał tonem dzielącego się nowiną gospodarza domu.

— Panie Włodzimierzu...właśnie pan Ziemecki!

Kotara uchyliła się po raz drugi dla przepuszczenia drugiego oficera żandarmeryi; starszego rangą, lecz nie mniej ugrzeczniejszego.

— O... niechże pan zajmie miejsce! zapraszał tymczasem pierwszy oficer. — Może papirusika.

Wiesław usiadł przy stole naprzeciw oficerów. jakieś drżenie febryczne napadło go, gdy brał do ust podanego sobie papirusa.

Starszy oficer tymczasem ozwał się przyjemnym basem:

— No panie Ziemecki! Co nam pan powie?

Wiesław spojrział na pytającego z osłupieniem.

— Tak! — objaśnił młodszy — co nam pan ma do zakomunikowania?

— Ja? — szepnął wpół przytomnie Ziemecki. Panowie się mylą... chyba ja mam prawo wymagać, abyście mi powiedzieli, za jakie winy tu się znajduje?...

— Ach, panie Ziemecki! Pan się przejmuję — tłómaczył uprzejmie starszy oficer żandarmeryi — Zdarza się rozmaicie... i tak i owak...

— Więc człowieka niewinnego...

— Dobrze, dobrze panie Ziemecki! Otóż trafiliśmy! Nam o to tylko idzie! Nam bardzo na tem zależy,

żeby pana najprędzej uwolnić z tego otoczenia! Pan człowiek młody utalentowany! Tu miejsce nie dla pana! Aż przykro bierze patrzeć!... Ja wchodzę w pańskie położenie... tam na pana czeka praca umysłowa, literacka! Szeroka, piękna praca! A ot pan!... Nieporozumienie! Przykra rzecz... Pan jest niewinny... zupełnie — ja wiem... Niech nam pan powie o sobie... szczerze, otwarcie, z całem zaufaniem...

— Lecz niech wiem, o co jestem obwiniony, niech wiem, przed czem mam się bronić!

— Panie Ziemecki! Pan wie... ot głupstwo... kruzynka... Jak się mówi po polsku... z igły widły, a tu może i nie ma igły. Niech nam pan powie, co u pana na sercu — to wystarczy...

— Doprawdy, nie rozumiem pytania.

— Ono jasne, proste! Powie nam pan, jak pan do szkoły chodził... jak do uniwersytetu... a potem gdzie był... Niech pan się nie dziwi! Lecz chcemy panu pomódz. Człowieka złość bierze, jak się widzi takiego utalentowanego człowieka...

— Więc chcą panowie poznać moje *curriculum vitae*?

— Właśnie panie Ziemecki... Właśnie... Może papirusika? Zaraz dadzą nam herbatki! Przy herbatce lepiej się mówi.

Starszy oficer klasnął w ręce. Służący wniósł samowar i szklanki. Wiesława opanowywać zaczęła jakaś błogość. Oczywiście, miał do czynienia z jakimiś zacnymi ludźmi, którzy ze stosunku z nimi starają się cień zawistości usunąć.

Wiesław nie dał się dłużej prosić. Samotność, brutalne obejście pachołków więziennych, głusza cytadeli wyrobiła w nim niepowściągniętą żądzę mówienia. Jakoż z ust Ziemęckiego zerwał się potok słów...

Żandarmi słuchali, potakując przyjaźnie głowami, dolewając więźniowi herbaty i posuwając mu papierosy. Ziemęcki szybko przebiegł lata dziecinne, zachaczył się kilkakrotnie w szkicowaniu życia uniwersyteckiego, ominął szczęśliwie dawne stosunki swoje z partią i skończył na szerokim opisie pracy swej w łonie komitetu obywatelskiego.

— A teraz — dodał ze wzruszeniem — siedzę oto zamknięty, znoszę upokorzenie i tysiączne przykrości od prostaków, którzy mnie tu mają za zbrodniarza widocznie! Jestem zdenerwowany, chory. Od dwóch miesięcy kołaczę napróżno... o sprawiedliwość! Panowie — nie przeczę, iż porządek państwowy, każdy porządek ma to do siebie, iż pochłania pewną ilość ofiar, że w konsekwentnej samoobronie swego kierunku musi uciekać się do środków gwałtownych nawet! Ale niechże one nie dotyczą niewinnych. Podejrzenie nie usprawiedliwia! Krzywdy wyrządzonej człowiekowi niewinnemu przez odjęcie mu wolności, nie wynagrodzić nie zdoła!

Oficerowie spojrzeli na siebie.

— Bardzo, bardzo słuszny pogląd — odezwał się starszy.

Przyjemność słuchać pana — dorzucił drugi.

— Więc panowie, mam przekonanie, że teraz znając moje położenie, przyczynicie się do mego uwol-

nienia — nadto pozwolicie mi poznać istotę oskarżenia.

— Tak, tak! Może pan być pewnym... Ale może pan będzie łaskaw napisać nam to wszystko. Tu jest papier, pióro, kałamarz...

— Za pozwoleniem! Co właściwie mam napisać?

— To samo... zupełnie to samo. Nic więcej! Odrazu się wszystko wyjaśni. Słowa ulatują, a tu będzie czarno na białem cała prawda.

Wiesław zasiadł przed biurkiem i zaczął pisać nerwowo, gorączkowo, skupiając myśli, unikając nazwisk i omijając każdą wzmiankę o swoich stosunkach i znajomościach.

Starszy z oficerów zaczął tymczasem przerzucać spokojnie gazetę, młodszy przechadzał się po pokoju, ćmiąc papierosy.

Po dłuższej pauzie stanął za plecami Wiesława i zauważył mimochodem!

— Pan mieszkał przez pewien czas u pani Wortel?

— Mieszkałem — wyjąknął Wiesław, zmieszany niespodziewanym pytaniem.

— Razem z Henrykiem Łączewskim?

Nie... nie przypominam sobie tego nazwiska!

— O nie nie szkodzi.

Wiesław pisał dalej, lecz coraz wolniej. Dwa nazwiska wymienione przez żandarma, zbiły go z tropu, skotłowały mu myśli. Pisał, gubiąc co chwila wątek. W końcu udało mu się wybrnąć z zadania.

Młodszy z oficerów pośpieszył się wnet odezwać!

— Proszę podpisać imieniem i nazwiskiem. Dziękuję panu bardzo. Ale jeszcze jedno słowo, czy pan nie zna tego charakteru pisma?

Ziemęcki wziął do rąk podany mu skrawek zapisanego papieru. Na pierwszy rzut oka poznał kosszlawe, okrągłe pismo Żabskiego, lecz odruchowo prawie odpowiedział szybko:

— Nie panie!

— Nie przypomina pan sobie, aby pan był z osobą tą w bliższych stosunkach?

— Nie panie! Stanowczo nie!

— Jest pan tego pewnym?

— Sądzę tak!

Starszy oficer odłożył gazetę i zbliżył się do Wiesława.

— O cóż idzie? O to pismo? Głupstwo! Pozwól pan, zdaje się, że toż samo... niech pan patrzy.

Ziemęcki zobaczył złożoną starannie ćwiartkę papieru, zapisaną znów przez Żabskiego.

— Istotnie... też sama ręka.

— Tej pan także nie poznaje?

— Nie!

— A to dziwne — zauważył z uśmiechem starszy oficer — bo ten list, jakby był pisany do pana... O, widzi pan, tu jest początek! „Kochany Wiesiu!” — bardzo ładne imię — „Dawno nie pisałem, nie gniewaj się, ale czasem lepiej wcale nie pisać! Na obczyźnie dyabło mi się przykrzy...”

— Prawda, imię toż samo — płatał się Ziemęcki. — Zbieg okoliczności... nie mogę sobie przypomnąć...

— Naturalnie, naturalnie! Chociaż i koperta adresowana do pana... Zdarza się, wszystko się zdarza!

Wiesławowi pot zimny wystąpił na czoło.

Starszy oficer odezwał się dobrodusznie:

— No, dziękujemy panu, panie Ziemęcki, bardzo dziękujemy, na dziś dosyć.

— Kapitanie — zagadnął niespokojnie Wiesław, odzyskując panowanie — kiedyż więc mogę się spodziewać uwolnienia?

— Uwolnienia? Ach, panie Ziemęcki, to przecież pan lepiej może wiedzieć odemnie!

— Pan żartuje.

— Ja żartuję? Panie Ziemęcki, cóż znowu! Skąd ja mogę wiedzieć? Panowie aresztowani sami sobie winni. Trzeba mówić... pan bardzo wiele powiedział, ale czy ja wiem — razem nie wiele...

— Ależ panie kapitanie! Niech wiem, jakie mi zarzuty stawiacie? Mam się bronić, niech dowiem się nareszcie...

— Ba, ba! — roześmiał się dobrodusznie zandarm — ot i gwóźdź! Pan się chce dowiedzieć i my się chcemy dowiedzieć... Trudno! Już dziś nie będziemy pana fatygować, pan zmęczony...

— Myli się pan! — przerwał Wiesław niecierpliwie, rozumiejąc, że znów drzwi celi zatrzasną się za nim na parę tygodni — bynajmniej się nie czuję strudzonym i gotów jestem służyć panom odpowiedziami na wszelkie pytania!

— Hm! Więc może pan pozwoli na chwileczkę do stołu.

Wiesław spełnił rozkaz i zasiadł naprzeciwko kapitana żandarmów, — młodszy oficer rozłożył przed nim wielkie album z fotografiami.

— Może pan będzie łaskaw przejrzeć ten album i wskazać nam osoby, które pan poznaje.

Ziemęcki machinalnie jął przewracać karty. W oczach mu się ęmiło. Co chwila powtarzał sobie w głębi, że mu nie wolno teraz powieką mrugnąć, że jednym wyrazem może zgubić najniewinniejszego człowieka, że nie wolno mu tu nikogo poznać.

Z kart albumowych spoglądały nań twarze wymizerowane, smutne, melancholijne, a równocześnie przenikliwy wzrok żandarmów śledził każde drgnienie mięśni Ziemęckiego.

Po kilkakroć już kapitan zatrzymywał przerzucaną kartę i po kilkakroć pytał natarczywie.

— A tej osoby pan nie poznaje?

Ziemęcki wciąż przeczył. Był tak zdenerwowany, że prawie nie patrzył na fotografie, mając wzrok utkwiony w białe obramowania albumu. Wreszcie przewrócił ostatnią kartę albumu.

— Więc nie znalazł pan ani jednej znajomej twarzy zagadnął natarczywie starszy oficer.

— Nie — ani jednej!

— To dziwne! Mówilem, że pan musi być dzisiaj zmęczony bardzo... przestaje pan poznawać.

— Nie panie — odparł z mocą Wiesław. — Gdybym z osób tych znał kogo, niewątpliwie bym powiedział. Cóż miałbym za cel? Zna się rozmaitych ludzi!

— Zapewne. Ma pan rację. A czy pannę Wortel pan znał?

— Owszem. Mieszkałem tam wszakże. Widywałem ją...

— W albumie jednak pan nie spostrzegł jej fotografii...

— Jest w albumie? — zainteresował się szczerze Wiesław.

— Z pewnością obok wielu pańskich znajomych. O, tu, widzi pan... tu jest panna Wortel... tu pan Żabski, a tu... pan...

Wiesław, goniąc wzrokiem za ręką żandarma, zaprotestował mimowoli.

— Ależ to nie Żabski?

— Ach! Patrz pan, więc pan Żabski nie ma takich wijących się włosów. Prawda, omyliłem się... to ten...

Żandarm szybko przesunął palec i wskazał Wiesławowi chudą, kościstą twarz o czole niskim, o wzroku ponuro patrzącym. Twarz ta nie wydała mu się obcą. Widział ją, lecz gdzie — nie mógł sobie przypomnieć.

— Tej osoby pan nie przypomina sobie? Powinien by ją pan znać dobrze — zauważył młodszy oficer. — Niech pan tylko uważnie przyjrzy się rysom...

— Zastanawiam się, ale nie... nie mogę... Jakby znajome rysy... Tyle twarzy się spotyka rozmaitych! Być może, że i tego jegomości widziałem!

— Lecz to niedobra fotografia! — zauważył kapitan żandarmów — Michale Pawłowiczu... macie, zdaje się, drugi egzemplarz... to ułatwi znacznie panu Ziemęckiemu.

Oficer podniósł się nieznacznie, wyciągnął z biurka dużego formatu fotografię i podsunął Ziemęckiemu.

Wiesław zadrżał... była to fotografia, przedstawiająca wnętrze tramwaju z zabitym konduktorem... przypominała ona tak żywo Ziemeckiemu pamiętną scenę, że nie mogąc pohamować wzruszenia, szepnął cicho:

- To okropne!
- Prawda, że tu lepiej znacznie zrobiony?
- Zapewne... trudno mi powiedzieć.
- Musi pan znać szczegóły wypadku!
- Ja? o tyle, o ile wiadomość o nim doszła do pism!
- Nie więcej? A sam pan mówił przed chwilą, że twarz konduktora wydaje mu się znajomą.

— To przecież jasne, bardzo jasne... konduktor! Jeździłem często tramwajami... a ten zresztą miał tak charakterystyczne rysy.

— Charakterystyczne? Proszę! Co mianowicie charakteryzowały pańskim zdaniem?

— Źle się może wyraziłem! Chciałem powiedzieć... niezwykle rysy.

— Pan często jeździł tramwajami?

— W tych czasach...

— Pan pamięta, kiedy to miało miejsce?

— Przed dwoma laty.

— Czy pan ma tak lokalną pamięć, że i inne podobne temu zajścia równie dobrze pan pamięta?

— Nie, tylko to morderstwo narobiło wówczas duży hałas...

— Które mianowicie?

— No... tego konduktora! — rzekł niecierpliwie Ziemecki.

— Pana denerwują zapytania.

— Bynajmniej, tylko nie wiem, do czego to wszystko zmierza.

— Więc pan często jeździł tramwajem i stąd pan zna twarz zabitego.

— Tak — bezwątpienia!

— A którymi pan tramwajami jeździł?...

— Nie umiem odpowiedzieć, moje zajęcia...

— Tak! Lecz nie pamięta pan, gdzie, na której linii widywał pan konduktora?...

— O ile sobie przypominam — na Nowym Świecie!...

— Dziwne, bo ten biedak właśnie w dniu swojej śmierci po raz pierwszy na Nowy Świat wyjechał!...

— Nie przeczę!... Mogę się mylić!... Panowie pojmują, że na takie szczegóły nie mogłem zwracać uwagi.

Krzyżowe pytania oficerów ustały na chwilę. Spojrzeli na siebie znacząco — w końcu starszy z nich ozwał się z naciskiem.

— I nie więcej nie ma pan nam do powiedzenia?...

Ziemecki targnął niecierpliwie róg serwety.

— Prawdziwie! Indagacya panów jest dla mnie niezrozumiałą!

— Aż tak! Proszę!... A nie przypomina pan sobie, co pan tego wieczora robił?

— Zupełnie ... nie!...

Oficerowie spojrzeli znacząco na siebie.

— Panie Ziemecki, na dziś naszą pogawędkę przerywamy! Dobrej nocy panu... należy mu się wypoczynek!...

Wiesław chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz oficerowie skłonili mu się z równą jak poprzednio uprzejmością i wyszli do sąsiedniego pokoju — równo-

cześniej za ścianą dał się słyszeć ostry głos elektrycznego dzwonka. Drzwi w boazerii się otworzyły raptownie. Wachmistrz żandarmów położył mu rękę na ramieniu.

— Chodź pan za mną! — rzekł surowo — No! dalej!...

Ziemęcki wrócił do celi oszołomiony. Nigdy jeszcze jego celnica nie wydawała mu się tak ponurą, tak złowrogą. Usiłował przypomnieć sobie całą prowadzoną rozmowę, każdą odpowiedź swoją, każdy uśmiech oficerów żandarmy...

Przyjęli go tak... po przyjacielsku... niemal ze współczuciem... Czuł się między nimi zupełnie swobodnie i dobrze... tylko potem... te ich dziwne zapytania... te fotografie... Czyżby go posądzali o współudział w morderstwie tego tam?!

Ziemęcki wzdrygnął się na samą myśl podobnego oskarżenia! Byłaby to fatalność straszna. Wszystkie dowody mogłyby tu świadczyć przeciwko niemu... Niepodobniestwem będzie mu zaprzeczyć, że był tam w tej chwili okropnej, że widział...

Jednak to już dwa lata upłynęło. Niemożliwe, aby byli w stanie udowodnić mu, że w tym czasie jechał tym tramwajem...

A gdyby Cis lub Łączewski spełnili groźbę... To było niepodobnem do przypuszczenia... Od tego czasu nie widział ich przecie, ustępował z drogi... Nawet dla nich takie oskarżenie mogłoby się stać niebezpiecznem, ryzykownem. Położenie Cisa zmieniło się z pewnością. Z jednej ostateczności wpadł w drugą, lecz nawet, gdyby był szefem tajnej policji, to jeszcze nie poważyłby się wszczynać oszczerstwa...

A gdyby ten łotr... podmiejski!?

Ziemęckiego dreszcz zimny przeszedł.

On mógłby przepaść... na zawsze...

Tu wszelka myśl obrony — ustawała prawie. Chyba, że wskaże, wyda istotnych morderców...

Wiesław się wzdrygnął po raz drugi.

Nie — nigdy. Postąpili z nim źle czy dobrze, tajemnica go obowiązuje, zdradzić nie może, nie wolno mu... A jeżeli oskarżenie pochodziłoby od nich?...!

Ziemęcki długą toczył z samym sobą walkę. Rozwagał, jak mu się tłumaczyć należało. Wyrzucał sobie samemu nierozwagę, że zatrzymał wzrok swój na twarzy konduktora. To znów zdawało mu się, że właśnie owo poznanie go śmiało — było dowodem świadczącym o jego niewinności...

Za łada dźwiękiem, rozlegającym się w kurytarzu — Ziemęcki zrywał się z posłania i nadśluchiwał, czy nie idą znów po niego.

Lecz cierpliwość jego miała być na nową i ciężką próbę wystawioną. Dni znów wlec się zaczęły i tygodnie, a wezwania na śledztwo nie było. Wiesław zapadł znów w stan chorobliwego rozdrażnienia, przeplatane apatycznym odrętwieniem.

Coraz częściej przychodziła mu na myśl owa historia, opowiadana w Warszawie w pierwszych dniach rządów księcia Imeretyńskiego, według której książę, zwiedzając cytadelę, kazał sobie pierwsze z brzegu drzwi celi dziesiątego pawilonu otworzyć i znalazł w nim człowieka uwięzionego od lat dwóch, o którym dózorca nie nie umiał powiedzieć. Areszto-

wany na ulicy w czasie jakiejś manifestacji ulicznej — siedział zamknięty bez sądu, znany jako numer.

Gdybyż z nim teraz uczyniono to samo? Nie — to niepodobna. Wszak o nim wiedzą. Wzywali go do badania.

Po pewnym czasie w umyśle Ziemięckiego już się zacierać zaczęły wrażenia z pierwszego śledztwa. Zapomniał prawie, co doń wówczas mówiono, co mu zarzucano. A gdyby go kto zapytał, czy jest pewnym, że istotnie nie było jawą, a nie wizją, nie halucynacją — nie umiałby powiedzieć.

Tymczasem obawy Wiesława, żeby o nim zapomniano, były płonnemi, bo oto po kilku tygodniach znów w nocy wyciągnięto go z celi i zaprowadzono do tego samego saloniku, w którym znów znalazł tych samych eleganckich i wyświeżonych oficerów. Szczególniej kapitan był ugrzeczniony bardzo.

— Panie Ziemięcki, bardzo nam miło... jak zdrowie pańskie?

— Pan bardzo łaskaw — odparł ironicznie więzień. — Tu u panów trudno się czuć dobrze.

— Ach, Boże miły! Słowo panie Ziemięcki! Radbym dopomódz panu. Szczerze bym się cieszył, żeby to się już skończyło. To nie dla pana. Pan człowiek utalentowany, bardzo utalentowany.

— Dziękuję za słowa uznania.

— Prawda. Czytałem umyślnie kilka pańskich artykułów — ślicznie pisane. Gdyby jeszcze nie ta cenzura! Prawda? Ona zabija najpiękniejsze myśli, usuwa, jak to mówią po rosyjsku — *tonkości*. A cóż, artykuł bez *tonkości* traci, wiele traci... Choć pan to potrafi —

tak pan pisze, że przyjemność... niby proste, niby bardzo powszednie, a jest myśl, a jest, jak się mówi u nas *hyperbola* — ot, co! Żeby to raz skończyć, bo to krzywda dla całej prasy... wielka krzywda.

— Mniejsza niż pan może przypuszczać — odpowiedział sucho Ziemięcki

— A, skromność autorska, skromność...

— Myli się pan. Powiem panu krótko. — Wy mnie tu musicie uważać za złego ducha — bo inaczej dawno byście mnie uwolnili, a prasa ma mnie, przepraszam za wyrażenie, za szpiega.

— Przyjemna sytuacja!

— Czy podobna?!

— Powinnibyście panowie o tem wiedzieć, bo przecież czytacie dzienniki polskie zagraniczne.

Żandarmi spojrzeli na siebie pytająco.

— Więc było tam co o panu?

— Na dwa tygodnie przed mojem aresztowaniem.

— Ciekawą rzecz? Panie Ziemięcki, dziś pana długo trudzić nie będziemy... idzie o drobiazg... oto pańskie *curriculum vitae* nam się zarzuciło... więc zmuszeni jesteśmy prosić pana, abyś nam zechciał napisać po raz drugi... Zarzuciło się, co robić... pan nam wybaczy — musimy, musimy pana fatygować... Może pan będzie tak dobry pozwolić tu do biureczka i napisać...

— I znów od początku?

— Tak panie! To bardzo nudne — ale tamto się zarzuciło. Pan będzie łaskaw wszystko... kiedy się pan urodził, gdzie — kiedy pan do szkół wstąpił, kiedy do uniwersytetu — kiedy pan mieszkał u pani Wortel.

Ziemęcki powłókł się niechętnie do biurka i zaczął pisać. Oficerowie usunęli się na bok i wszczepli między sobą pogawędkę.

Wiesławowi pisanie nie szło. Rwał zdania, mylił się, kreślił — gdy skończył, z ulgą odrzucił pióro.

Starszy oficer zbliżył się do niego.

— A, już gotowe!? Co to znaczy wprawa literacka! Ale... może pan będzie łaskaw na oddzielnym arkuszu napisać nam ową historię z konduktorem.

— Ja — mam napisać?!...

— Tak panie Ziemęcki! Wszystko! — Jak pan wsiadł do tramwaju.

Wiesław poczuł zastawione nań sidła.

— Panowie chcą sobie zażartować ze mnie! Skądże ja mogę opisywać to, czego nie widziałem!

— Istotnie... zdawało mi się, że pan nam zeszyłem razem wspominał o tem, że pan był świadkiem?

Ziemęcki zadrżał... Czyżby rzeczywiście był co wspomniał!? Instynktownie wstrzymał się od odpowiedzi, jak człowiek, który brnąc w ciemności... staje nad brzegiem przepaści, nie widząc jej, ale odgadując.

— Więc pan nie przypomina sobie własnych słów!?

— Nie, odparł z wysiłkiem woli Ziemęcki. Tego nie mogłem powiedzieć!

— Panie Ziemęcki! — zagadnął młodszy z oficerów.

— Czy pana nigdy nie okradli?!

— Czy mnie nie okradli?! Kto?!

— Cha-cha! Małe nieporozumienie!... Właśnie mybyśmy chcieli się dowiedzieć. U kawalerów to się zdarza... Wychodzi się z domu na cały dzień... a po-

tem wraca się... a tu drzwi otwarte... garderoby nie ma... zamek wyłamany.

— Nie pamiętam! Nie miałem szczęścia do złodziei albo też trafiałem na dobre zamki. Nie podobnego dotąd mnie nie spotkało!

Oficer zadzwonił. Wszedł służący pół wojskowo ubrany; podał mu zwiniętą stosownie paczkę. Oficer rozwinął ją powoli.

— A tych przedmiotów pan nie poznaje? Ta marynarka, krawat, zegarek.

Wiesław oczom własnym nie wierzył.

— Prawda, to są... moje... rzeczy...

— Nie pamięta pan w jakich warunkach zostały panu skradzione?

Ziemęcki zawahał się i odrzekł po namyśle.

— Owszem! Doskonale! Byłem w zbyt smutnem materyalnem położeniu, aby kradzież taka ujść mogła mojej uwadze!

— Bardzo słuszny wywód! Może więc pan nas objaśni, jakto było?

— Pani Wortel, o czem panowie wiedzą zapewne, dostała w mojem mieszkaniu ataku apoplektycznego. Wezwałem o pomoc. Zbiegł się tłum ludzi... Rzeczy zginęły.

— Hm! Protokół policyjny podpisany wówczas przez pana i zawierający pańskie zeznania, mówił co innego.

— Być może. Śmierć Wortlowej zdenerwowała mnie.....

— Więc tego złodzieja pan widział?

— Gdy był już we drzwiach z tłumakiem rzeczy.

— A przedtem go pan nie widywał?

— Owszem; posługująca mnie kobieta kilkakrotnie zwracała uwagę na włóczęgę, który kręcił się około domu...

Oficer żandarmów umilkł i spojrzał na kolegę z oznakami zdziwienia. Drugi, głosem swobodnym, pospieszył wtrącić:

— To się stało wszystko na drugi dzień po zabójstwie konduktora?

Ziemęcki już miał odpowiedzieć twierdząco, lecz wzrok jego padł na uśmiechniętą ironicznie twarz żandarma — słowa uwieźły mu w gardle.

— Więc pan nie chce odpowiedzieć?

— Owszem, chcę, lecz nie mogę...

— Rozumiem — podchwycił żywo żandarm — pewne względy skłaniają pana do milczenia. O, my wchodzimy w położenie!

— Naturalnie, naturalnie! — przyznał kapitan. — My jesteśmy ludźmi delikatnymi... anibyśmy się wazyli... Przecież ot, co tu mówić... są kwestye, jak się to u nas mówi *szczekotliwe*...

Ziemęcki spojrzał zdumiony na żandarmów, nie rozumiejąc, czy to szczerza z ich strony była intencya, czy nowy podstęp.

Oficerowie nie dali mu ochłonać.

— No panie Ziemęcki — zaczął kapitan żywo. — Właśnie ta wiadomość jest nam potrzebna. Pan nam będzie łaskaw to napisać... Kradzieży sobie nie przypominam, a czy śmierć pani Wortel nastąpiła po zabójstwie konduktora nazajutrz... tego... na to odpowiedzieć nie mogę..... gdyż wkracza to w gra-

nice przyrzeczonej dyskrecyi... Panie Ziemęcki! Prosimy do biurka! Parę słów i ot, pańska sprawa prawie skończona.

Ziemęcki ociągał się jeszcze. Kapitan go zachęcał.

— Niechże pan będzie łaskaw!.... Prosimy bardzo!...

— Ależ w samej rzeczy... nie wiem czego panowie odemnie żądają?...

— Bagatelka. Drobnostka, panie Ziemęcki... małe oświadczenie, po naszymu *zajawlenje*. Ani słowa więcej nadto, co pan powiedział.

— Nie mam wyobrażenia od czego zacząć?!

— Przecież to tak łatwo! Wspomina pan o pani Wortel, o jej śmierci, potem o kradzieży, no, a w końcu o konduktorze... Niech pan pisze, panie Ziemęcki. To pana od razu dobrze postawi. Nieporozumienie się wyjaśni i będzie koniec.

Ziemęcki zaczął machinalnie pisać. Żandarmi stali za jego plecami i śledzili każdy ruch jego ręki.

Wiesław, zapisawszy cały arkusz — drgnął nagle i jał pospiesznie odczytywać napisane przez siebie słowa.

Kapitan przerwał mu.

— Ot, takie wielkie historie! Na co?... podpisać i, jak to mówią u nas — *dielo w szlapię*.

Wiesław nie zwracał uwagi na radę oficera i czytał dalej.

W głowie mu się kręciło, litery skakały mu do oczu i jakoby śmiały się doń ironicznie. Ziemęcki mimo wysiłku, nie mógł być pochwycić wątku własnych myśli. Instynktownie czuł, że to, co napisał, nie

wiąże się ze sobą, że zdania zwalczają się wzajemnie, zbijają i że jakaś zdrada czai się nań, wychyla z każdego przecinka...

Oficer tymczasem uspokajał go łagodnie i podpowiadał.

— Dobrze, panie Ziemęcki, dobrze... podpisać teraz i... skończone.

Wiesławowi zdawało się, że to zły duch jakiś namawia go na zgubę, że chce go zniewolić do podpisania wyroku, który jego, Wiesława, ma skazać na dożgonną katorgę.

Krew uderzyła do głowy Ziemęckiemu, w oczach mu się zaćmiło. Schwycił gwałtownie za zapisany papier, zmiął go i rwać zaczął na drobne kawałki...

Oficerowie pochwycili go za ręce — lecz było już zapóźno — z papieru pozostały ledwie drobne szczytki.

— Muszę wam powiedzieć — upomniął surowo kapitan — że tą drogą niedaleko stąd zajdziecie! Z panem po ludzku nie można. My mamy jeszcze inne sposoby na takich ptaszków...

— Zniszczyłeś pan własne zeznanie — dorzucił drugi żandarm. O tem pójdzie protokół... A ten panu nie pomoże...

— Trudno! — odparł flegmatycznie Wiesław, który zdołał już się otrząsnąć z pierwszego wrażenia. — Nie będę pisał, ani podpisywał zeznań narzuconych mi przez panów...

— Narzuconych! — zawołał ostro kapitan. — Jak pan śmiesz podobnych wyrażen używać?

— Nie cofam ich wcale! Wpieracie we mnie fakty, których ani znać nie mogę, ani stwierdzać.

— Wpieracie!... O, tego już zaudało!... Raport dziś napiszę!... Raport... Niech się z panem inaczej rozprawią, kiedy pan słowa dobrego nie rozumiesz! Bądź tu człowiekiem! Odzywaj się po chrześcijańsku!... Na was bata trzeba!... Bat was może nauczy rozumu!...

Wiesław milczał. Młodszy oficer przyjął na siebie rolę pośrednika.

— Ot, widzi pan, co pan narobił. Kapitana pan obraził po prostu! Sprawę swoją pan zepsuł. Panu się zdaje, że my tu co? Że chcemy jego krzywdy? Pan mówi, ja nie wiem, czego odemnie chcecie? My wierzymy, że pan jest niewinny, my chcemy mu pomóc, a pan... jak dziecko... Doktor przychodzi, chce pomóc dziecku, chce go wyleczyć, chce go do zdrowia przyprowadzić — a ono kopie, wierzga i rzuca się. Panie Ziemęcki, ot, przeprosić kapitana... napisać... podpisać... a będzie lepiej!... Ot, list panu pozwolą napisać... do znajomych albo do rodziny — książki panu przyniosą... na pсылki zezwolą... Pan nie wierzy — proszę, niech pan czyta! Widzi pan, jak panu dobrze życzą. Niech pan czyta sam... Data, numer, a dalej „poleca się panu starszemu dozorczy... uwzględnić żądania numeru czterdziestego siódmego... w granicach instrukcyi o ulgach dla więźniów!“... Co?... Teraz się pan przekonał?... No, dosyć tego! Niech pan posłucha rady.

Wiesław z jakąś instynktowną zaciętością oparł się perswazyom.

— Wierzę słowom pańskim, lecz nie mogę pisać, ani zeznawać tego, co nie miało miejsca, czego nie znam.

Kapitan ze złością spojrział na Wiesława. Młodszy oficer niby to jeszcze chciał to hamować i wstać się za Ziemęckim, lecz gdy ten trwał w uporze, zmienił nagle ton.

— Kiedy pan tak koniecznie chce siedzieć u nas — zauważył ironicznie. — Miejsca jest dosyć... Co kto lubi!...

— Zostaw go pan! — wmieszał się kapitan. — Ma swój rozum. Niech sobie przepadnie! Zdaje mu się, że zdoła coś ukryć przed nami!

Nie kapitanie — odparł Wiesław. Myli się pan... ja...

— Milczeć! — przerwał gwałtownie kapitan.

— A... widzę, że ta uprzejmość wasza była po prostu komedią!

— Milczeć! Powiedziałem! Ani słowa więcej... ja cię tu rozumu nauczę!...

Kapitan zadzwonił gwałtownie.

Drzwi w ścianie otworzyły się szybko.

Wszedł wachmistrz żandarmów.

— Wyprowadzić tego ptaszka na dół!

Wiesław zawrócił za wachmistrzem, rozumiejąc, że nakazano mu powrócić do celi. Żandarm jednak, doprowadziwszy go do czekającej warty — zawrócił był w przeciwną, stronę kurytarza i zbliżył się do wąskich, wijących się węzowato schodów.

Ziemęckiego dreszcz zimny przeszedł.

Wachmistrz zaczął schodzić. Warta, idąca za Wiesławem, popchnęła go naprzód. Schody wydały się Ziemęckiemu nieźnośnie długimi. Zdawało mu się, że kilkanaście piąter już przebył. Nogi ugiwały się pod Wiesławem. Małe, żółte światełka naftowych lampek jakąś złowrogą czerwień słały dokoła, żelazne schody dźwięczały ponuro.

Schody skończyły się. Zatechłe powietrze lodowe owionęło Wiesława. Wachmistrz zatrzymał się nagle i zawołał ostro:

— *Matwiej! Kąkej czort tiebie nosit!*

Z głębi kurytarza wysunął się wielki barczysty chłop z pękiem kluczy. Wachmistrz wskazał na Wiesława.

— Weź go tam! Numer czterdzieści siedm!... Gdzie wolno!

— A ot z brzegu, tu zaraz!

Nazwany Matwiejem zapalił małą, ręczną latarkę — wszedł kilka kroków naprzód, zadzwonił kluczami, otworzył wąskie, ciężko okute drzwi i stanął wyczekująco.

— Nu, dawajcie go prędzej! — mruknął niecierpliwie.

Wiesław postąpił krok naprzód i cofnął się mimowoli.

— Nu! Ceremonije robisz. Dalej... walaj! — krzyknął ostro Matwiej i popchnął ostro Ziemęckiego.

Gdy drzwi się zatrzasnęły — Wiesław znalazł się w zupełnej ciemni.

Nie było tu już ani lampki kopejącej pod pułapem, ani wykrojonego we drzwiach okienka.

Głusza i noc panowały tu nieprzeniknione. Wiesław jął po omacku obchodzić celę — wstrząsając się, ilekroć razy dotknął pleśnią porosłej ściany. Więzienie było dosyć obszerne — prócz garści słomy w rogu, która zaszeleściła pod jego stopami, w celi nie było nawet pryczy drewnianej.

Gdy pierwsze wrażenie przeszło — Wiesław zaczął znów męczącą pracę mózgową.

Tym razem jednak nie dręczyły go już ani dociekania żadne, ani wątpliwości. Czuł się poprostu zgubionym. Naraził się oczywiście tym dwom żandarmom... może najniepotrzebniej w świecie, a teraz oto może tu w lochu tym zginąć, przepaść. A może to tylko kara chwilowa za krnąbrność? A może lepiej było pójść za namową żandarmów, wszak oni mu tyle względów okazywali. A ten kapitan zdawał się nawet być zupełnie szczerym!

Wiesław zaczął nerwowo mierzyć krokami celę. Mijały godziny. Znurzenie coraz większe go opanowywało — lecz walczył z niem zawzięcie. Myśl, żeby ledz na tym barłogu wydawała mu się niemożliwą. Zdawało mu się, że sam wstręt nie pozwoli zmrużyć powiek. Po dłuższej walce oparł się plecami o drzwi i trzymając się klamry żelaznej, próbował drzemać...

Zwolna siły zaczęły go opuszczać. Słaniał się jeszcze bezwładnie, w końcu osunął się na wilgotną polepę i usnął twardo.

Jak długo spał — nie umiał zdać sobie z tego sprawy. Obudził się wśród tej samej ciemni, w której zasnął. Podsunął się ku drzwiom, nadsluchując ażali

go jaki dźwięk nie dojdzie z zewnątrz. Dokoła cisza panowała głęboka.

Głód zaczął dokuczać Wiesławowi, wraz z nim jakiś bunt wściekły, szalony zatrzęsł Ziemięckim. Rzucił się ku drzwiom i jął targać wrzeczadze, klamry żelazne. Uderzał z taką siłą, że zdawało się, iż drzwi się rozpadną. Chwilami ustawał, nadsluchując, ażali go jaki głos nie dojdzie.

Cisza grobowa była mu jedyną odpowiedzią.

Podrażniona wyobraźnia równocześnie snuć zaczęła najdziwniejsze obrazy. Wszystkie dawniej słyszane i czytane opowieści o okropnościach Cytadeli stanęły mu przed oczyma.

Może już wyrok nań zapadł, może tu w tym lochu ma zginąć śmiercią głodową?

Zgrzyt klucza w zamku powitał Wiesław z wybuchem dzikiej radości. A gdy żandarmi wzięli go między siebie, prowadzili schodami na górę, śmiał się jak dziecko.

Po chwili krążenia galeryami, Wiesław znalazł się w swojej dawnej celi. Była noc. Ziemięcki z rozkoszą rzucił się na łóżko. Cella wydała mu się rajem. Prowadzący żandarm nie dał mu atoli spocząć. Wskazał na leżącą na stole kromkę chleba obok kubka herbaty i rzekł ostro:

— Masz — jedz, a spiesz się!

Wiesław bez oporu spełnił rozkaz. Żandarm patrząc na chciwość, z jaką Ziemięcki spożywał posiłek, uśmiechnął się ironicznie.

— Polubieś, co? Ot, jaki to baranek. Ach my, *prochnosty!* Pierwszego dnia rzuca się, a potem ot...

pfy... *Buntowszczyki i bolsze niczewo!* Skończyłeś? Utrzyj gębę i chodź, nie ma czasu.

Ziemęckiego dreszcz przeszedł. Czyżby go znów chcieli zaprowadzić tam, do lochu?

Lecz obawy jego były płonnymi. Tym razem żandarm zawrócił we wręcz przeciwną stronę rozgąleń kurtyarzowych. Po kilku minutach drogi, Wiesław znalazł się w jakimś przedpokoju, słabo oświetlonym, przypominającym jakąś poczekalnię urzędową. Wachmistrz wskazał mu ławkę.

— Siadaj!

— Co śledztwo?

— Zobaczysz, jak zawołają. Ciekawy naród.

— Ciekawy? Bo chciałbym się nareszcie sądu doczekać.

— Sądu? Cha! cha! Braciszku! A wiesz, co tobie sąd może? Ot tak, za gardło i... w fosę! Nie napieraj się! Ma przyjść, to samo przyjdzie.

— Wasze sądy tylko pewno do tego są!

— Jakbyś wiedział jeden z drugim. Kto z wami by do ładu doszedł. Choć wiek cały z jednym byś nie poradził, a tu postronek założą, bez hałasu, bez krzyku i już jednym *złomyszlennikiem* na świecie mniej i żandarmom lżej i *gosudarstwu* spokojniej!

Wiesław uśmiechnął się drwiąco.

— A ty się nie śmiejesz! Na każdego, *socyalista*, czy *nihilista*, u nas jest lekarstwo!

— Wiecie wy wachmistrzu, czego socjaliści chcą?

— Znana rzecz... *buntowszczyki, razbojniki...* ot co! Widziałem ja takich już, co to z pozoru gołąbek, a w mieszkaniu to książek stosy. Jakich książek!

A ot, co nie weźmiesz, to trafisz na *okonomię*, na rewolucję, aż źle powtarzać takie wyrazy, prosto *duszegubstwo!* A ty się nie śmiejesz, bo protokół napiszę i gorzej ci będzie!

Ziemęcki chciał odpowiedzieć, lecz w drzwiach, prowadzących do sąsiedniego pokoju, ukazał się drugi żandarm.

Wachmistrz popchnął zlekka Wiesława.

— Nu, idź ty... *akajannyj...* idź sam

Wiesław znalazł się w dosyć dziwnie urządzonego pokoju. Ściany do sufitu zawieszono były mocno sfałdowanymi, ciężkimi zasłonami, w rogach wielkie lustra, przesyłające sobie i odzwierciedlające jasno płonące gazowe kinkiety. W pokoju panował taki blask, że w pierwszej chwili Ziemęcki aż przysłonić musiał oczy. Po chwili rozejrzał się uważniej. W pokoju po za małą skórzaną kanapką żadnych innych mebli nie było. To urządzenie pokoju nie pozwalało wątpić, że go mają poddać jakiemuś nowemu badaniu. Wiesław umacniał się na duchu i przyrzekał sobie z niczem się nie zdradzić, co ważniejsza unikać wszelkich odpowiedzi gorączkowych, odruchowych. W pokoju tymczasem nie było nikogo. Ziemęcki znużony oczekiwaniem, rozsiadł się na kanapce, przyznając w duchu, że mają tu bądź co bądź dziwnie, a niezrozumiale wyrafinowany sposób prowadzenia śledztwa.

Naraz tuż za plecami swoimi posłyszał dobrze mu znany głos.

— Szanowanie dla osoby! Kopę czasów nie miałem tego szczęścia!...

Wiesław zatrząsł się.

Przed nim stał opryszek z Woli. Ziemecki zrozumiał, że przyprowadzono go na konfrontację, że jeżeli jeden wyraz rzuci niebaczny, ten niepoń stanie się jego oskarżycielem.

Wiesław całą przytomność umysłu skupił, obrzucał rabusia pytającym wzrokiem i rzekł zimno:

— A... a... jesteś. Prawda, to tyś, zdaje mi się, oporządził mi mieszkanie...

— Jako żywo, prawda — potwierdził pospieszenie opryszek. — Tak się rozkochałem w osobie... jeszcze tam, za rogatkami, pamięta osoba?

— Gdzie?

— No, niech osoba nie udaje. Fajgla nie wymawiam, którego wziąłem.

— Oszalałeś chyba...

— No, no. Nie zawracać. Niby co? Mnie tam nie do osoby, tylko aby ten kozik złamany, com go grypsnął osobie z mieszkania, nie robił mi facecyj, do choroby... żem ci paragrafy pogubił...

— Nicponiu jeden...

— Niech się osoba nie rzuca. Kozik miałeś, frajerze, pamiętasz, jak ci chciałem zajrzeć do doliny, jak mi go wyszczerzyłeś. Tfy! Ja ci powiadam, Walek jest i będzie honorowym klawianikiem... z majchrem się nie bawi. A że mnie pokusiło zabrać ci to narzędzie, to sobie od pół roku w brodę pluje, bom nie żaden anarchist, żebym cytadelę poił... Uważasz?

Wiesław namarszczył się.

— Dosyć tego. Co ty tu robisz, nie wiem, ale wiedz, że ci grabierz nie pójdzie płazem.

— Co ma pójść? Łaskę mi chcesz zrobić. Ja tylko powiadam rzetelnie. Garderobę ci wziąłem, sikorę, a jakże, blatów parę, aż nie było się na co łaszczyć... odrobinę galanterii, kapelusz i... nóż.

— Więc przyłapali cię za to — rzekł Wiesław, znakomicie symulując nieświadomość nacisku, kładzionego przez opryszka.

— Gadaj mi tam. Za to. Właśnie za ten majcher. Znasz go, znaczony ci literami, jak ci jaka obrączka. Za ten twój majcher...

— O jakim majchrze mówisz? Co to ! znaczy majcher?

— No... scyzoryk, kozik, do cholery, nóż.

— A, czekaj, prawda... wszak pamiętasz, gdym chciał biedz za tobą, wyciągnąłeś z kieszeni i groziłeś mi, łotrzel!

Opryszek zgrzytnął zębami ze złości.

— Bodaj cię połamało! Przecież to był twój nóż!

— Mój? A może...

— Widzisz, oto ci cały interes.

— Miałem scyzoryk o trzech ostrzach, ale nie, ty groziłeś mi innym. Ale dosyć tej hecy. Tu przecież ktoś się musi znajdować. Bądź pewien, że ci to na sucho nie ujdzie.

Zbir spojrział na Ziemeckiego ze zdumieniem. Wiesław zaś śmiało podszedł do portyer, chcąc odnaleźć przejście do izby, w której był pozostawił wachmistrza — lecz nagle z poza nich wysunęła się figurka w czarnym, opiętym tużurku i zmierzyła Ziemeckiego badawczem spojrzeniem.

— Panie — zaczął szybko Wiesław. — Pewnie należysz do zarządu, otóż racz być świadkiem. Nie pojmuję, skąd się ten niepoń wziął tutaj. Poznałem go. On właśnie przed kilku miesiącami okradł mnie, i jak się sam przyznaje, groził mi nożem.

— No, dobrze! — odburknął gwałtownie opryszek. — Twoim własnym nożem, coś nim zaszlachtował tego tramwajarza.

— Ten człowiek zmysły postradał!

Figurka w tużurku skupiła się i wtuliła suchą, kościstą twarz w szeroki kołnierz.

— Więc pan Ziemecki go poznaje?

— Wybornie. Tak niegodziwej twarzy nie zapomina się.

— Nie podoba ci się? Zamknij gębę, bo ci tu przy wielmożnym prokuratorze żebra porachuję!

Mały człowieczek klasnął w dłonie. Dwóch żandarmów wysunęło się z za portyer.

— Wyprowadzić go — rozkazał człowieczek, wskazując na zbira, a gdy żandarmi spełnili polecenie, rzekł do Wiesława:

— Więc pan zaprzecza, jakoby nóż, znaleziony przy tym łotrze, należał do pana?

— Stanowczo! Nawet nie rozumiem, skąd to pytanie może mnie dotyczyć.

Prokurator uśmiechnął się ironicznie.

— Pana to dziwi? Mnie wcale nie! Zobaczymy wreszcie... zobaczymy... Żegnam!

Wiesław znalazł się po chwili w swej celi. Był dziwnie zadowolonym z siebie. Konfrontacya nie-

wątpliwie wypadła na jego korzyść — czuł to z kwaśnej miny prokuratora i z niepokoju zbira. Ziemecki wprawdzie uczuł coś, jakby wyrzut sumienia, że bądź co bądź tego tam... wpędził w nielada kłopot, że kto wie, czy nie przyczynił się do jego zguby, gdyż żandarmerya posadzać go będzie o rozmyślne gmatwanie zeznań.

Lecz zdawało się Wiesławowi, iż w rezultacie tamtemu łatwiej będzie się uwolnić w końcu z pod zarzutu morderstwa — niż jemu przyznać. Przyznanie się, powiedzenie prawdy z konieczności, pociągnęłoby za sobą aresztowania i ofiary nawet poza sprawcami zabójstwa. A zresztą... może żandarmerya rozporządza innymi jeszcze dowodami? Nawet zdaje się nie ulegać wątpliwości, że mieć je musi...

Na razie Ziemecki jakby nabrał otuchy. Z całkiem zadowoleniem wyciągnął się na swem posłaniu i wodził wzrokiem po czarnych ścianach, oświetlonych migotliwym blaskiem lampki. Cella ta, po lochu, wydała mu się wspaniale, zbyt koźownie nawet urządzoną. Ziemecki, teraz dopiero spostrzegł, że ma do rozporządzenia wcale dostatnią koldrę, a poduszka, choć wypchana sianem, jest nawet bardzo wygodną.

Dnia następnego napadł Wiesława jakiś wileczy apetyt. Śniadanie wydało mu się królewskim posiłkiem, a obiad, którego ledwie, że mógł się doczekać — jakąś ucztą. Po obiedzie Ziemecki spojrzał smutnie na drzwi. Gdyby tak jeszcze wyprowadzono go na spacer... byłby zupełnie zadowolonym. Zale-

dwie zdołał wyrazić to życzenie, gdy już zaczęto rygle odsuwać.

— Na spacer? — rzucił rażno Wiesław żandar-mowi, który stanął przed nim.

— Nie — na śledztwo! — odparł uroczyście żandarm.

Ziemęcki spojrzał zdziwiony na żandarma — po raz pierwszy uprzedzano go o tem, dokąd ma być zaprowadzonym!

Ziemęcki ruszył potulnie z wartą — w głowę zachodząc, o co znów pytać go będą i powtarzając sobie, iż cała jego przyszłość zależy od zimnej krwi i spokojnych, a logicznie wiążących się ze sobą odpowiedzi.

Tym razem wprowadzono Wiesława do obszernego, widnego pokoju, zastawionego pułkami książ najrozmaitszych. Pośrodku za stołem, nakrytym zielonym suknem — siedział podpułkownik żandarmeryi, o krótko przystrzyżonej rudawej brodzie i zaczesanej wysoko czuprynie. Na powitanie skinął głową Wiesławowi i wskazał mu stojące przed stołem krzesło.

— Niech pan siada — rzekł poważnie. — Proszę mi podyktować pańskie imię i imię ojca... nazwisko... miejsce i datę urodzenia.

— Wszak już to podawałem!

— To nie stanowi. Proszę powtórzyć.

Ziemęcki jął recytować kolejno żądane szczegóły. Podpułkownik był nader drobiazgowym — bo w dalszym ciągu badanie posunął aż do notowania daty wstąpienia Wiesława do gimnazjum, ukończenia go, zapisania się do uniwersytetu, rozpoczęcia kariery

dziennikarskiej, a nadto każdej wybitniejszej chwili w życiu Ziemęckiego.

Gdy te pytania zostały wyczerpane, podpułkownik sprawdził je szybko z leżącymi na stole papierami, a potem zagadnął szybko:

— Pan należał do partyi... dawniej... socjalistycznej?

— Nie, nie należałem!

— Pan zaprzecza?

— Tak!

— Hm!... Przypuśćmy! Odłóżmy to pytanie na później!... Pan odegrał w zabójstwie konduktora czynną rolę?

— W zabójstwie? Ja?!*Panie pułkowniku!...

— Proszę odpowiadać wyraźnie?... Tak, czy nie!?

— Nie!

— Pan zna pana Żabskiego?

— Nie znam!

— To dziwne! Bo przecież... panu był pokazywany list pisany do pana. Na zebraniach u panny Wortel pan bywał... naturalnie, mówię o zebraniach socyalistycznych?

— Nie bywałem!

Podpułkownik poruszył się niecierpliwie.

— Panie Ziemęcki! — ozwał się z naciskiem. — Jedna mała uwaga. Pański system obrony jest zły.... Wszystkiemu zaprzeczyć pan nie może! Nie jest pan w stanie. Przecież oskarżenie opiera się na pewnych danych.

— Za pozwoleniem. Jestem już tutaj w Cytadeli trzeci miesiąc, a dotąd nie mam wyobrażenia, o co jestem oskarżony.

— Pan żartuje!

— Przysięgam panu, a chyba mam prawo wiedzieć...

— Najzupełniejsze. Otóż sprawa przeciwko panu toczy się o zamordowanie konduktora... no i o należenie do partii! Co pan ma na swoją obronę?...

— Że jedno i drugie jest nieprawdą!

— Zastanówmy się powoli... Pan przedewszystkiem był w partii... Są na to dowody takie — po pierwsze, w papierach pańskich znaleziono wiele korespondencji z komitetem, po drugie, mam w ręku listę uczestników... po trzecie, wiem, że na przykład Wortłówna była wciągnięta przez pana do stowarzyszenia.

Ziemęcki zbladł. Podpułkownik mówił dalej spokojnie:

— W każdym zeznaniu musi być pewna rozwaga! W pańskim jej nie widzę! Takie przecze nie może się stać zgubnem! Może pańską sprawę popsuć.

— To trudno! — zauważył chmurnie Wiesław.

— Pozwól mi pan skończyć! Otóż niech pan zapomni na chwilę, że pan jest na śledztwie, niech pan oczy zmróży, żeby nie widzieć koloru mego munduru, niech pan się zdobędzie na odrobinę, szczerości, niechże w słowach pańskich będzie cień prawdy.

— Pułkowniku! Sądzę, że rola, jaką niedawno odgrywałem podczas przyjazdu cesarskiego... powinna być wskazówką.

— Istotnie! Niech pan wierzy — to wielki wzgląd... poważny argument! Ja się z nim liczę.

— Więc chyba pan musi przyznać, że człowiek komitetu obywatelskiego nie może być równocześnie uczestnikiem partii wywrotowej!

— Zapewne. Te dwa kierunki nie zgadzają się ze sobą! Chociaż pan mi daruje porównanie. Degajew petersburski był pomocnikiem naczelnika żandarmerii! Bywają wypadki! Nie twierdę, by to miało miejsce z panem!... Ale... pan do partii należał?...

— Należałem!

— A więc przekonał się pan nareszcie. Tem lepiej dla pana, bo nie ma gorszego, jak niezgodność w protokole! Od jak dawna pan wszedł... tam?...

— Zwracam pańską uwagę na to, co powiedziałem — należałem! Dziś zgola żadne stosunki nie łączą mnie z partją. Zmieniłem po prostu przekonania — co nawet wzięli mi za złe!

— Kto taki?

— Pan daruje! Jeżeli się od ludzi tych odsunął, zerwał z nimi stosunki, tem bardziej obowiązuję mnie milczenie.

— Czy ta zmiana przekonań, to usunięcie się, nie miało przypadkiem miejsca po spełnieniu przez pana wyroku na osobie konduktora?

Wiesław chciał zaprzeczyć, lecz w porę spostrzegł się — i odparł pośpiesznie.

— Pan się myli ciągle... żadnego wyroku nie odbierałem, ani nie spełniałem.

— Lecz wyrok był?

— Nie wiem! Byłem młodym towarzyszem — nie dopuszczano mnie do posiedzeń...

— Lecz paragraf trzynasty ustawy pan pamięta?

— Paragraf?

— Ten, który mówi o terrorze!

— O terrorze! Nie przypominam sobie!

— Wyznaj wszystko! Powiedz! Masz cierpieć dla Cisa! Niech tamci giną... Ty powinienes być wolnym!... Śmiało!... Twoim obowiązkiem jest bronić się!... Chcesz paść ofiarą... za co? Dla kogo? Oni cię uwolnią natychmiast...

Pułkownik, jakby odgadł myśli szarpiące Ziemęckiego, bo odezwał się nagle, odrzucając pióro.

— A gdyby pan chciał wyznać prawdę? Czas jeszcze! Szczerść w tym razie... wielką usługę oddałaby panu i bezwarunkowo... zmniejszyła odpowiedzialność!... Panie Ziemęcki, jestem przekonany, że to by panu pomogło, jeżeli nie ocaliło. Iluż to młodych ludzi prawie bezwiednie daje się wciągać... Ja rozumiem. Gdy się raz krok nierozważny zrobi na tej drodze, trzeba brnąć dalej, bo partya potrafi się mścić!... Więc panie, niech pan otwarcie przedstawi całą sprawę.

Wiesław zdołał odzyskać panowanie.

— Nie mogę — rzekł głucho — przyznawać się do czynów niepopelnionych.

— Lecz panie! O tem się nie mówi! Idzie o szczerść, o prawdę...

— To znaczy, że trzeba na wszystkie zarzuty odpowiedzieć twierdząco, kilkudziesięciu najspokojniejszych ludzi oczernić... wówczas panowie raczyli by oświadczyć, że oskarżony zeznawał uczciwie.

— Odpowiedź tę mam uważać za ostateczną?

— Tak panie!... Bo panom nie idzie o prawdę wcale, tylko o uwikłanie każdego aresztowanego niesłusznie.

— Jesteś pan zbyt śmiałym.

— Być może! Sprawdź pan, odkąd jestem uwięziony, a przecież dziś dopiero dowiaduję się o jakimś zarzucie, jakimś oskarżeniu. Przedtem bowiem byłem przedmiotem złe odgrywanych komedyj...

— Śledztwo ma swoje prawa. Nie mówmy o tem więcej. Proszę podpisać protokół. Więcej trudzić pana nie będę. Resztę zdecyduje prokurator, no i sąd!... Ale — wolno panu teraz korzystać do czasu wyroku z pewnych ulg.

— Chciałbym prosić o książki...

— Owszem! Od dziś wolno panu dysponować czytelnia. Nadto — wolno panu za pośrednictwem dozorczy — zakupywać żywność wykwinniejszą.

— Prosiłbym jeszcze o pozwolenie napisania listu.

— Do rodziny?

— Nie — do dawnego mego profesora, redaktora Waszewicza.

Pułkownik skrzywił się.

— Jeżeli redaktor Waszewicz nie jest pańskim krewnym, muszę... odmówić.

— Ależ tak... jest nim.

— Siadaj pan. Oto papier. List będzie odczytywanym przez kontrolę.

Ziemęcki pochylił się nad stołem, ręka mu drżała. Sam nie wiedział co pisać. Chciał prosić Waszewicza o pomoc — lecz listu takiego możeby nie doręczyli...

Po namysle Wiesław nakreślił na skrawku papieru:

„Szanowny Panie Profesorze!

„Zechciej mi nadesłać do pawilonu nieco bielizny i zapas herbaty. Sądję, że nie odmówisz mi swej pomocy. Czekał z niecierpliwością, oddany Ziemęcki.“

Wiesław oddał list pułkownikowi. Ten przeczytał go i usłuchnął się.

— Prawda, że list dosyć lakoniczny... Choć dosyć wymowny... Ale bądź pan spokojny. Dojdzie rąk adresata. Tymczasem zaś ma pan jakie trzy dni do namysłu. Tak długo jeszcze protokół będzie leżał w mojej tece. Pamiętaj pan, że później przyznanie się lub zeznanie dodatkowe nie zmieni pańskiego położenia.

— Jak to mam rozumieć?

— Jak się panu podoba! — odrzekł ośchle pułkownik i zadzwonił na żandarma.

Wiesław powrócił do celi spokojniejszy. Przyszłość wydawała mu się jasną, zrozumiałą. Wyrok potępiający czeka go niechybnie, więc albo dożywotnie więzienie, albo stryżek. Co lepsze, nie wiadomo. Prawda, jeszcze sąd będzie. Ha! jedna ceremonia więcej i koniec. Może go przeprowadzą do innej celi, może wysła na osiedlenie.

Ziemęcki aż dziwił się własnemu spokojowi. Chciał zmusić do zastanowienia nad samym sobą, nad dolą, która go czeka — nie mógł. Myśl z dzieciinną swawolą mówiła doń, że teraz dostanie książki do czytania, a może będzie mógł kupić sobie pomarańcz...

Wiesław aż śmiał się do tych myśli. Skąd mu się wziął ten apetyt na pomarańcze? Nigdy nie był zbyt wielkim ich amatorem. A teraz czuł nieomal aromatyczny zapach mięsistej skóry, smak orzeźwiająco-kwaskowaty, a w miarę słodki.

Nad wieczorem zjawił się w celi Wiesława dozorca.

— Pan ma do załatwienia sprawunki — zagadnął uprzejmie.

— Tak, właśnie — potwierdził nieśmiało Ziemęcki.

— Proszę. Ma pan do dyspozycji 23 ruble i kopiejek 14½. Tyle wszak było w pańskiej portmonetce.

— Tak panie.

— Więc herbaty funt, cukru, bułek, kilka pomarańcz i jeżeli można papierosów.

— Papierosów? *Milosti prosim!*

— Nie wolno!

— Dlaczego nie? Owszem. Z całą przyjemnością! Proszę, niech pan napisze kwit na podniesienie pieńędzy.

— Ależ, czy to potrzeba?

— Porządek prawa!

Wiesław ujął podany ołówek i ćwiartkę papieru. Ręka mu się trzęsła, gdy pod dyktandem dozorca, kreślił formułę pokwitowania.

— A niech pan wypisze sumę.

— Nie wiem ile!

— Napisz pan pięć rubli.

Ziemęckiemu wydawało się to za wiele, lecz podpisał kwit bez wahania, oddałby i wszystkie pieniądze.

W kilka godzin żandarm zjawił się z koszem i rozłożył na stoliku przed Ziemęckim żądane produkty. Więzień rzucił się na nie z rozkoszą. A gdy nadto posługacz przyniósł mu kociołek z wrzącą wodą i czysty kubek, uciecha nie miała granic. Wiesław raczył się herbatą, zjadał bułki, i kiedy zapalił papierosa, błogość go ogarnęła. Cella wydała mu się być

tak miłą, tak zaciszną, że wyobrazić by sobie nie mógł nic lepszego.

Ponure twarze żandarmów, które go ścigały zawsze, zdawały mu się być niezwykle pocziwemi.

Ziemęcki spał tej nocy jak nigdy. Obudził się późno, wypoczęty, orzeźwiony. Na stole leżały jeszcze nie spożytkowane produkty.

Wiesław z mniejszą niż wczoraj ochotą zabrał się do nich. Oglądał opakowanie herbaty, odczytywał firmę handlu kolonialnego na torebkach papierowych, etykietę na papierosach, bibułkę, w którą były owinięte pomarańcze. Resztki szpagatu, napis na zapalniczkach interesowały go, zajmowały, lecz równocześnie budziły w nim wspomnienie wolności swobody.

Po południu przyniesiono mu książki. Były to aż trzy powieści rosyjskie Niemirowicza-Danczenki. Ziemęcki z chęciwością rzucił się na nie i jał chłonąć stronicę. I tu jednakże czekał go zawód.

Niemirowicz-Danczenko, to wróg Polaków, wróg dziki, przesiąknięty niewolniczymi, płaskimi tendencjami, wróg płytki w swych antypatyach — więc nieszkodliwy. Wiesława jednak bodły te typy polskie, które spotwarzały naród, które zresztą przypominały tylko nieskomplikowane charaktery rosyjskiego „czytniczestwa“, wywłoki z Kaługi i Jarosławia, opatrzone ironicznie powtarzaniem słowem „pan“. Odrzucił więc książki z odrazą. Przy pierwszej sposobności poprosił o inne. Dozorca przyrzekł mu dać Gogola.

Dni tymczasem mijały. Fundusik Ziemęckiego się wyczerpywał. Wiesław ze zgrozą myślał, że już

lada dzień nie będzie miał grosza na opłacenie wydatków.

Na list wysłany do Waszewicza nie było odpowiedzi. List mógł być nie doręczonym... albo zresztą Waszewicz przy całej swej zachości zapomniał; nie miał żadnych względem niego obowiązków. Nawet zdziwiło go po pewnie to lakoniczne żądanie...

Co dnia myślał o opuszczeniu, o zapomnieniu, w jakim się znajdował, stawała się silniejszą, rozgoryczała go, paliła.

Dowody uprzejmości, które mu teraz okazywał posługacz, nie robiły nań wrażenia. Wiedział, że po każdym spacerze... zapasy w celi niknęły, topniały. Posługacz dzielił się z nim każdym kęsem.

Wreszcie po raz czwarty dał dozorecy kwit już na resztę pieniędzy. Dozorca zauważył przytem smutnie.

— To już się pańskie kapitały wyczerpały!

— Co robić?

— Nie ma pan kogo z rodziny, coby panu dopomógł?

— Mam siostrę!

— Więc napisz pan! Ja się postaram, żeby pozwolili wysłać. Ot, jak pan teraz spokojny... to i ja człowiek! Dlaczego — nie ma zakazu!

Ziemęcki uczepił się tej myśli gorączkowo i napisał list długi, pełen sentencyj a apatycznych uwag — wystrzegając się zwierzeń z pobytu w Cytadeli.

Dozorca sam przyszedł po list. Obejrzał cztery strony, zapisane makiem i zwrócił je Wiesławowi.

— Ani mowy! Taki list! To cały romans! To skandal. Tu trzeba jasno, prosto, krótko!

— W tym liście nie ma słowa o pawilonie!

— Niech sobie i nie ma! A nie wolno! Taki list! Niepodobna! To „dzieło“ a nie list! Pan napisz wyraźnie — *Dorogaja siestrica!* Potrzebuję *dienieg* na *papiroski*, na *czajek*, przyslij *sotnię* czy *pół sotni* do dziesiątego powilonu! Nu — a potem — pozdrowienie, ukłon, jak pan woli! Można napisać jeszcze — „jestem zdrow“ — „dobrze się trzymam“ — ale co innego nie można! A co miłości a wdychania, to nie! Pod żadnym pozorem, bo na to jest *zakon!* A *zakon* to *zakon!*

Ziemęcki uśmiechnął się mimowoli na ten wykład — dozorca potrząsnął głową.

— A wam w głowie żarty!

— Zdaje się panu! Tylko pan rozumie, że przecież pisząc, choć parę słów dodać potrzeba! Przecież pan rozumie, że tak krótko z góry o pieniądze wołać...

— Hm! To napisz pan, że dziś jest ładne powietrze! Zresztą pan to potrafi.

Wiesław po raz drugi zasiadł do listu i idąc za radą dozorecy, nakreślił zaledwie kilkanaście lakonicznych wyrazów. Dozorca uroczyście przyrzekł natychmiast list przedstawić i wysłać pocztą za pokwitowaniem.

Znów kilka dni upłynęło — długich, jednostajnych. Wiesław już resztkami papierosów gonił. Herbaty braknąć zaczęło. Dozorca raz jeszcze z własnej inicjatywy zajrzał de celi Ziemęckiego.

— Cóż — nie przysyłają nic! — rzucił opryskliwie.

— Nie wiem — nie rozumiem! — bąknął Wiesław.

— Cha! Nie będzie — to przecież mnie nie do tego!

— Panie! Miałem dostać Gogola!

— Gogola! Pilno wam. Codzień się czegoś zachciwiał! *Uwidim!* Nie wy tu jedni w pawilonie!

Ziemęcki ostatniego wypalił papierosa i jeszcze cieszył się myślą, że przecież znak życia dojdzie go z po za murów.

Codzień zarzucał posługacza pytaniami, czy dlań posyłka nie nadeszła i codzień odbierał stereotypową odpowiedź, że nie ma nic w kancelaryi. Odpowiedź ta codzień stawała się suchszą, obojętniejszą, opryskliwszą — aż gdy Wiesław, udawszy się na spacer, zostawił w końcu na stole puste torby. Na drugi dzień posługacz odezwał się bez ceremonii:

— A ty mi głowy nie zawracaj swojemi paczkami! Kto ci tam co przyszle! Takiemu! Ot, pod *nomerom desiatym* jest porządny *buntowszczyk* — jemu codzień to wino, to szynki, to ryby i wszystkiego ślą.

Porządny *buntowszczyk* — nie taki tam *brodiaga* pierwszy lepszy, którego i rodzeni znać nie chcą! Tfy! Wspominać nie warto!

— Milcz i wynoś się!

— Milcz! Nu, ty sam milcz — a to u nas z tobą nikt ceremonij robić nie będzie. Wynoś się? Chociesz bez obiadu. A nie, to do ciemni. Znalazł się „pan“ lobuz taki „*nihilist*“!

Wiesław zaciął zęby.

Położenie Ziemęckiego stawało się teraz nieznośniejszym, niż przedtem. Dawniej zakaz wzbraniał mu wszystkiego — teraz pozwolono mu — lecz był biedakiem, więc i w Cytadeli pozbawionym pomocy możliwości uczynienia więzienia znośniejszym. Gorszą jeszcze była dlań myśl, że nie ma nikogo, ktoby się

nim zajął, toby ozwał się doń, pamiętał, wspomógł. Był tam, wtrącony w te ponure, nieubłagane mury, skazany może na ofiarę... a tam — wrę po dawnemu życie, nie czując uszczerbku, nie troszcząc, że on ubył, że zniknął dla świata!

Prawda. Cekał go jeszcze ów zapowiedziany sąd. Lecz co mu było do niego. Tak czy owak się skończy dlań — czeka go jednaki koniec. Ananke ściga go widocznie. A zresztą — przecież i teraz jest jakby zmarły — gorzej, bo pochowany żywcem. Ten pawilon dziesiąty, to przecież jest tylko wielką mogiłą dla każdej myśli, biegnącej po za szablon ma-chiny państwowej, każdego ducha już nietylko polskiego, ale niezależnego... Tu nie giną ludzie, lecz zamierają dusze — i o te idzie właśnie — bo te by-wają niebezpieczniejsze.

Wiesław co dnia wpadał w silniejsze rozdrażnienie. Ataki nerwowe mordowały go nocami. Wynajdywał sobie zajęcia, chciał zapomnienia, chciał, ażeby myśl w nim zamarła — nie mógł. Zaprzeszał i daty znaczyć na ścianie — odmawiał wyjścia na spacer. Dozorca, zaalarmowany krnąbrnością więźnia — zjawił się bezzwłocznie z surowem napomnieniem.

— Wam znów *gluposti*?... Ostrzegam — jeszcze jedna skarga, a złożę raport! Niech was sobie do lochu zabiorą, ja takich ananasów nie chcę i znać i widzieć!... A Gogola wam się zachciewa!... Nu, dwa dni postu — ot, tobie najlepszy Gogol!

Ziemęcki przyjął obojętnie karę. Chleb i woda, którą mu podano na śniadanie, obiad i kolacya nie zrobiły nań wrażenia. Przeciwnie, wodę pił cheiwie.

Gorączka paliła go wewnątrz. Woda wydawała mu się nektarem.

Drugi dzień postu był dlań przykrzejszym. Ta odrobina odwaru z zielska, którą otrzymywał rano pod mianem „czaju“, orzeźwiała go — woda tylko powiększyła czezość, która mu dokuczała w nocy. Wiesław zaczął myśleć, że według zapowiedzi dopiero jutro wolno mu się spodziewać t. zw. poreyi. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu — w południe przyniesiono mu obiad. A posługacz ozwał się doń przyjacielsko:

— Dalej jedz! Głodnyś pewnie! A kto winien? Nie ja! Ech, wy naród dziki! Kto was wie, jak z wami! Ani dobrem, ani złem!...

Ziemęcki rzucił się cheiwie do jadła — lecz za-ledwie zdążył kilka łyżek przełknąć — wszedł dozorca z uroczystą miną!

— Nu — smacznego apetytu! Ot, wam nowość przynoszę!... Ot, wam list, Jest i posyłka...

Nogi pod Ziemęckim się zatrzęsły. Wziął do rąk rozpieczętowaną kopertę, wydobył z niej ćwiartkę papieru — i przez chwilę słowa odczytać nie mógł. Litera zlewały mu się w oczach w czarne linie — ręce drżały. Było to pismo zygzakowate, koszlawe profesora.

Dozorca tymczasem przerwał łaskawie:

— Wy sobie to pismo później!... A teraz... do *dieta*, bo nie mam czasu!... Przysłali wam wina! Dobrego wina, francuskiego!... Dwadzieścia butelek! Wszystkiego nie dostaniecie odrazu, po jednej na dzień — można! Nu i jest czterdzieści papierków...

To tu pokwitujecie, żeście dali na przechowanie — a teraz... napiszcie kwit na sprawunki!... Cha, cha! Wiem, czego wam trzeba!... Papierosów, herbaty, a tam pomarańcz... cukru, bułek... a jeszcze wędliny!...

— Tak, tak! — jękał pospiesznie Wiesław.

— Nu, dobrze! Pięć rubli!... Bardzo dobrze! A mówiłem wam napisać prosto, jasno... ot, czyja zasługa?...

Dozorca wyszedł. Ziemęcki podsunął się do okna i jął sylabizować list, upijając się każdym słowem. List był lakoniczny.

„Kochany Wiesiu! — pisał profesor. — Pośyłam ci czterdzieści rubli i dwadzieścia butelek wina. Za dni kilka nową posyłkę dostaniesz. Oddany ci Waszewicz.“

Pod listem był podpis i pieczęć cytadeli.

Ziemęckiemu lzy w oczach stanęły.

Zacny, poczciwy Waszewicz — on jeden nie zapomniał o nim, pamiętał — może z własnym uszczerbkiem!...

Do celi wniesiono żądane sprawunki wraz z butelką wina. Ba, nawet i Gogol zjawił się niezwłocznie...

A Wiesław wciąż jeszcze czytał list, choć umiał go na pamięć... Po raz dziesiąty wpatrywał się w pochyło nakreślony adres na kopiercie, po raz dziesiąty odczytywał: „Cytadela. Kancelarya dziesiątego pawilonu, dla Wielmożnego Wiesława Ziemęckiego“...

Życie teraz stało się dla Wiesława o wiele znośniejszem. Wprawdzie te wygodny drogo kosztowały —

ale miał je. Względy dozorecy i posługacza wybuchnęły silniej jeszcze... Zwłaszcza, kiedy w kilka dni nadeszły pieniądze od siostry, a w tydzień nowa ekspedycya od profesora i nowy list.

Tym razem w końcu był dopisek: „w redakcyi wszystko dobrze!“

Dopisek ten zastanowił Ziemęckiego. Czyżby to była dlań zapowiedź nadziei? Czyżby istotnie wolno mu było czegoś się spodziewać? Niepodobna przypuścić, aby Waszewicz istotnie miał zamiar powiadomić go, że pismo się rozwija!...

A jeżeli profesorowi udało się znaleźć drogę! Może i dlań zabłyśną znów dni...

Ziemęcki bał się myśli tych dokończyć — wydawała mu się za śmiałą... Wyrzucał samemu sobie nazbyt wygórowane zamysły! Nie dosęże uczyniono dlań? Gdyby był wolnym?... Wiesław sam bronił się przed tą nadzieją — bo czuł, że ona doprowadziłby go mogła do szaleństwa!...

Teraz po dniach całych zatapiał się w Gogolu, bądź bawił się papierami, co mu niezmierną sprawiało przyjemność... Szczególnę upodobanie miał do mięsistego papieru od herbaty. Godzinami całemi składał go, załamywał, przypominając sobie wszystkie dziecinne figle i robiąc papierowe łódki, czapki, solniczki...

Wreszcie wpadł na znakomity pomysł. Oto skręcił ołowianą kapslę od butelki i zrobił z niej coś w rodzaju ołówka. Kapsla pisała doskonale — gdy nadto po kilku dniach Ziemęcki zebrał większą ilość kapsli — posiadał wyborne narzędzie do pisanja.

W tydzień coś miał już trzy takie ołówki. Gorzej było z papierem. Pomimo oszczędności, ten wychodził szybko — a nadto torby od cukru, klejone często z szorstkiego, ciemnego papieru, nie nadawały się do pisania...

A co pisał Ziemęcki? Pisał! A co? Tego sam nie umiałby określić. Jakieś sentenye, dewizy, oderwane myśli, uwagi — nasuwały mu się same — i pisał je z dziecinną zaciętością, bawiąc się następnie ich odczytywaniem. Brała go ochota zacząć pisać pamiętnik — ale nie wiedział, na czym — posługacz bowiem za wdaniem się żandarma, który śnać podpatrzył Wiesława przez okienko — zażądał zwrotu wszystkich papierów, pozostałych z torb i opakowań. Dozorca przyrzekł wprowadzić wyrobić Ziemęckiemu pozwolenie na papier, pióra i atrament, lecz dni płynęły, a pozwolenia nie było, chociaż podpułkownik mu przyrzekł to — jeszcze na śledztwie.

Zwitki ołowiu zostały mu jednak. Za ich pomocą, Wiesław zaczął wydrapywać na ścianach litery — a w ostatku jął wyskrobywać zdania całe na lakierowanej powierzchni stolika. Razu pewnego gdy nieomal połowa blatu stanowiła porysowaną drobno mozajkę, Wiesław nacisnąwszy mocniej ołówek, spostrzegł, iż lakier wypryskuje całemi kawałami i, że pod lakierem białe warstwy kitu pokrywają głęboko idące nacięcia. Ziemęcki jął ostrożnie zeskrobywać lakier i po kwadransie delikatnego podważania kitu spostrzegł wyraźnie odbijającą się literę *F*.

Ogarnęła go niepokonana ciekawość odcyfrowania wszystkich napisów, które bezwątpienia farba kryć musiała. Z całą ostrożnością jął od samej krawędzi zdrapywać powierzchnię lakieru — ażeby zaś wyzierającemu kitowi odebrać pozór świeżyzny, zwilżył go winem.

Robota postępowała spiesźnie — gdyż najwięcej zawadzały mu okruszyny kitu i włókniste płatki lakieru, które z łatwością zdradzić go mogły. Bardzo zaś stosunkowo małą ilość mógł Ziemęcki rozrzucić, starłszy ją na pył, po podłodze celi.

Ostrożność zachowywać musiał tem większą, że posługacz dostrzegł go, jak operował stolik i upomniał.

— Drapiesz meble! Ej, pilnuj się! Bo niech cię żandarm zobaczy, to przepadniesz — odbiorą wszystko, a i zamkną, że dnia od nocy nie odróżnisz!..... Mnie tam nie do tego!... No — daj papierosów!

Wiesław, jak żak złapany na psocie — wyparł się wszelkiej myśli o kaleczeniu stołu.

— Może być — może być! Kto was wie!? Cztery miesiące siedzi i zdaje ci się, że się ze stołka nie ruszył, a potem to ci prawie na suficie znajdziesz różne „niebłagonadiożności“. Ej — wy nihilisty!

Wiesław uznał za właściwe zaprotestować przeciwko tytułowi, nadawanemu ryczałtowo wszystkim więźniom w cytadeli.

— Cóż ty wszystkich masz za nihilistów?

— Wszystkich! Na co wszystkich? Ot, tych, co tu siedzą! A tu innych nie ma! Ja was znam. Innym razem chłopaczek, duszka, niewiniątka, a potem *akazywajet sia*, że trzeba powiesić!...

— Więc tobie się zdaje, że jak kogo wieszają, to już musi być winnym?

Posługacz oczy otworzył szeroko.

— Macie! Ot i zawalił naukę! Słuchaj, kiedy ja do ciebie z dobrem słowem! Dawaj papierosa — nie pleć i nie *bezcinstwuj*!

Po tej rozmowie Ziemecki bardziej się wystrzeżał — a chcąc uniknąć podejrzeń, rozkładał książkę na stole, pochylał się nad nią, a równocześnie prowadził swoją robotę.

Po tygodniu lakier był zdartym zupełnie — pozostawał jeszcze do usunięcia kit. Ta część roboty była trudniejszą — zwitki ołowiu gięły się, kit stwardniały opierał się.

Nadto pod zaimprovizowanym rylcem ukazywać się zaczęły litery, które mu krew ścinały w żyłach.

Obok litery *f* — wyrastały kolejno *e, t, s* — a z drugiej strony *a, n, j, a...* Wiesław ze drżeniem serca wpatrywał się w te litery.

Więc Stefka była tu w tej celi!... Jak on kołatała się w tych ścianach, jak on przechodziła przez te wszystkie męki!... Dawniej wątpił — teraz miał oto dowód namacalny, widomy.

Ileż pracy ją te litery kosztowały! — Toż on miał o tem pojęcie... tygodnie całe ryc musiała!...

Ziemecki zdwoił energię, chcąc jeszcze więcej liter z pod kitu wydobyć. W kilka dni obok imienia „Stefanja“ znalazł nazwisko „Wortel“ — za niem słowa „panna lat 22, obwin. propag. socyal. areszt. 15 Marca 189...“

Wiesław skrobał dalej — lecz stół był pusty. W trzech czwartych częściach usunął kit — a nigdzie ani rysy nie było, prócz tej klepsydry.

Ziemecki zaniechał roboty dalszej, jako bezowocnej, a natomiast jął bacznie przyglądać się ścianom i każdy cal badać, przypuszczając, że może tam znajdzie ślad jaki, wryty przez Stefkę. Po kilku dniach zdołał natrafić na niewyraźne wydrapane wyrazy „dziś wyrok“... Wiesław szukał dalej — lecz pomimo troskliwych opatrywań, znalazł ledwie parę zygzaków, zatartych wapnem i farbą. Cela musiała być po... wyjściu z niej Stefki bieloną świeżo.

Machinalnie zwrócił się Wiesław do stołu — już nie, żeby się napis jaki znaleźć spodziewał — lecz by dłużący się nieznośnie czas zabić i poza książką, nad którą ślęczał, znaleźć jakieś zajęcie. Zdrapywał więc dalej kit z reszty stołu.

Jakież atoli było jego zdziwienie, gdy doszedłszy do samej krawędzi, znalazł znów odcinające się wgłębienie, wypełnione kitem — chociaż nader nikłe, drobne. Po dwóch dniach Wiesław mógł odczytać wyraźnie — niezrozumiałe dosyć skrócenia „piec, róg prawy“...

Czyżby tam mogła być jaka skrytka.

Wiesław teraz dopiero spojrzał na niski czworogranny piec — wystający ze ściany, prowadzącej na

korytarz. Piec z cegieł, pomalowany olejną zieloną farbą — z drzwiczkami od korytarza.

Ziemieckiego brała ochota sprawdzić, czy istotnie nie znajdzie tam czego — ale aby sięgnąć — musiałby przystawiać stół — a tem samem zwrócić uwagę szyldwacha, zaglądnącego co pół minuty przez okienko do celi.

Bądź co bądź — chciał jednakże dostać się do pieca.

Próbował więc przystawić krzeselko — lecz z nieubłaganą stanowczością zbliżające się kroki szyldwacha płoszyły go i zmuszały do przestawiania krzesła. Myśl jednak, że tam na tym piecu może znaleźć się przedmiot jakiś porzucony przez Stefkę, nie dawała mu spokoju.

Powtarzał więc dalej ćwiczenia z krzeselkiem, starając się w odstepie czasu między jednym podniesieniem klapy w okienku, a drugim, przystawić krzesło do pieca, wskoczyć na nie, sięgnąć ręką i powrócić do poprzedniej pozycji przed stolikiem. Ewolucye szły mu coraz zgrabniej. Już dwa razy zdążył podnieść rękę do krawędzi pieca — i cofnąć się w porę. Lecz zaledwie na drugi dzień dostał się do powierzchni pieca i przesunął ręką — krom pyłu, nic nie znalazł. Postanowił mimo to systematyczniej zabrać się do zbadania i zaczął w miarę doskakiwania, coraz to inne opatrywać miejsce. Chwilami odpoczywał — zniechęcał się — lecz po małej pauzie powtarzał znów ewolucye. W ostatku prawie cały pokład pyłu poruszył — nic nie znalazł — został mu tylko

wklęsły narożnik. Prawie przekonany był, że się ludzi próżną nadzieją — bo jeżeli nawet Stefka porzuciła cośkolwiek, to z pewnością przy porządkowaniu celi, musieli zabrać.

Raz jeszcze wspiał się Wiesław i aż zatrząsł się na krzeselku, uczuwszy pod palcami gruby zwitek. Pochwycił go szybko i zeskoczył — lecz tak niezręcznie, że krzeselko przewróciło się wraz z nim. Wiesław porwał się z miejsca i zaledwie przyciągnąć zdołał krzeselko na środek pokoju, gdy za drzwiami rozległ się ponury głos:

— Co robisz?

— Nic, krzeselko się przewróciło!

— Zobaczmy... Dyżurny!

Na korytarzu rozległy się przyspieszone kroki, drzwi się otworzyły — żandarmi weszli do celi. Wiesław ledwie zdążył ukryć zwój papieru za pazuchę.

— Co tu? Hałasujesz? — indagował surowo wachmistrz.

— Krzeselko się przewróciło! Widzicie sami, po-
dłoga pochyła!

— Krzeselko — mruknął wachmistrz, opatrując celę. — No, pamiętaj! Mieć go lepiej na oku! Kto go wie!

Gdy żandarmi wyszli — Wiesław odetchnął głęboko.

Pierwszą jego myślą było rozwinąć zwój — ostrożność go powstrzymała w porę — zapadający zmrok nadto tworzył poważniejszą przeszkodę. Szyldwach niemal z oka go nie spuszczał. — Wiesław —

tyle tylko zdołał dojrzeć, że był to rulon wąskich, drobno zapisanych wstęg papierowych.

Tej nocy prawie oka zmrużyć nie mógł. Pałała go ciekawość a i strach zdejmował przed temi zwierzeniami! To znów wyrzucał sobie samemu brak energii, brak przedsiębiorczości, energii... bo ileż czasu potrzeba było, żeby zdobyć się na myśl zdrapania lakieru! Ten zwój leżał tam, na piecu od tak dawna!

Był tuż obok niego — zawierał może to, czego nie mógł dotąd przeniknąć — był kluczem, rozwiązującym ponurą zagadkę — a on spał, wylegał się, odchodził od zmysłów z bezczynności, a pomimo tak jasnych wskazówek, jak numer celi, litery na łyżce — wskazówki więźnia obok — nie starał się szukać, badać.

Nazajutrz rano Wiesław jeszcze leżąc na łóżku a przysłoniwszy się kołdrą — jął rozwijać zwój — było w nim ośm pasków zapisanych ołówkiem, każdy z pasków był zaopatrzony numerem porządkowym. Ośmy z jednej strony był prawie nieczytelny, gdyż owijając inne, położył od pyłu i żaru. Wiesław rozdzielił paski — złożył starannie i schował, zatrzymawszy tylko w wierzchniej kieszeni ten, który nosił numer pierwszy, czekając już tylko na chwilę, gdy posługacz przyniesie wodę do mycia — na herbatę i dokona zwykłego porządku.

Dnia tego posługacz dłużej się kramarzył, niż zwykle, a nadto objawił chęć do gewędy. Wiesław zbywał go monosylabami. Posługacza to zdziwiło.

— Cóż wy dziś nie w budzie! Przyszło znów! I z czego? Co wam brakuje? Palić jest co, wypić

jest, pieniążki przesyłają! Ciepło! Rozkosz! Phi! Lepiej wam jak mnie.

— Może!

— Nu nie może — ale tak jest! Ot — co, baby wam tylko brakuje! He! Jak ja to wiem! Prawda? Cha — cha! Tego by wam jeszcze! Co myślicie, że u nas tego towaru mało! Jest *buntowieszczyc* dowolna! A nieraz prosto *prelest* — ani zrozumieć, jak ci taka ładna nihilistka została! A to poszczęściłoby się, to poszłaby w *kupczychy* albo w *kapitańcze*! Ba! Ot, wiecie, tu w tym samym *nomerze* była jedna... nu, niech ją, *proklala*, bo by gryźć chciała, ale...

Wiesław drgnął, i tamując wzruszenie, zagadnął napozór obojętnie:

— Była mówicie... i cóż się z nią stało?

Posługacz chciał odpowiedzieć, lecz nagle przymknięte drzwi celi skrzypnęły — ukazała się głowa żandarma.

— Zaczynasz znów rozmowy prowadzić? — Chcesz, żebym raport złożył!

— Co wam w głowie! — obruszył się posługacz. Więzień pyta o dozorcę, to i odpowiadam! Mnie do niego? Niech zdycha!

— No — no! Pamiętaj!

Posługacz splunął pogardliwie i wyszedł, trzaskając drzwiami. Wiesław zasiadł przed stolikiem, rozłożył zwitek i zaczął odczytywać pierwszą kartkę. Równe, okrągłe litery odznaczały się i dały z łatwością rozpoznać, chociaż ołówek ledwie nikłozłazami liniami je określał.

Z zapartym oddechem, ze ściśnionem sercem Wiesław pochylił się nad pamiętnikiem Stefki.

„Dziś podczas badania ukradłam ołówek i arkusz papieru — sama dziwię się, skąd mi się tyle wzięło odwagi. Piszę. Sama nie wiem co — czy pamiętnik czy testament. Może jeden i drugi!... Nazywam się Stefania Wortel, lat 22 — nauczycielka. Aresztowano mnie w marcu, roku 189... w Warszawie. Zostawiłam matkę — samą opuszczoną, schorowaną! Co się z nią dzieje... Nie wiem. Błagałam, prosiłam, aby mnie pozwolili choć kilka słów napisać — daremnie. Myśl o niej mnie zabija! Mnie jedną miała na świecie... Już chyba cztery miesiące minęło, jak jestem uwięzioną... Kiedy się to skończy!...

„Znów mnie badali, znów fotografie, nazwiska, listy... Sama już nie wiem, co mówię! Powiadają mi, że prowadziłam propagandę, że przechowywałam papiery, że w naszym mieszkaniu zbierał się komitet. Ani tego spisać niepodobna! Powiedziałam im dzisiaj, że przynam się do zbrodni nawet — byle mnie zaprzestali mordować!... Kapitan zapewnił, że tylko raz jeszcze będę wzywana!...”

„Dziś musi być śliczny dzień! Ciepło. Byłam na spacerze... Rok temu o tej porze... Nie mogę pisać. Matka, on... nie schodzą mi z oczu! Co oni tam robią... Gdzie się podziewają... Uciekam od myśli, żeby nie oszaleć!

„Noc miałam okropną! Znów śniła mi się matka — blada, zmizerowana, z rękoma wyciągniętymi błagalnie... przepaść nas przegradzała — straszne widziadło!... Byłam dziś na śledztwie. W innym pokoju niż zwykle. Naprzeciw mnie było lustro. Gdy

zobaczyła siebie w niem, nie mogłam oczu podnieść na żandarma... Co ze mną się stało?... Wyglądałam jak upiór! Patrzyłam na siebie i nie byłam w stanie zdać sobie sprawy, że to ja jestem.

„Nigdy nie uważałam się za piękną — jednakże dziś!... Pułkownik dał mi słowo, że mi przyśle grzebień do celi... Grzebień...

„Ale szpilek do włosów oddać mi nie chcą... Uczeszę się na *bébé*! Żebym miała odrobinę papieru, zakreśliłabym sobie papiloty... Mam papier — ale tego mi szkoda. I tak niknie w oczach... już jest jeden pasek zapisany!

„Boże, ile pracy kosztuje każdy wyraz! Urywam co chwila. Dwa dni nie pisałam wcale. Te oczy przekłete w tych drzwiach ubezwładniają mnie! Posługacz — to zbir! Miałam z nim rozprawę... Nie dali mi obiadu!... Skarżyłam się!... Śmieją się!... Nikczemni!

„Ciekawa jestem, czy nasz oleander już kwitnie? Chyba dała za jeden kwiat!... Jeden!...

„Boże! Przez jakie męki przechodzę!... Zawołali mnie dziś... Wehodge — nie było nikogo... Drzwi się otwierają — i staje przedemną — on!... Nogi się ugięły podemną... Chciałam upaść mu do nóg. Ledwie oczom uwierzyć mogłam... Przywitał się ze mną obojętnie, zimno! Usiedliśmy... Chłód jakiś zimny, szdreczy wiał od niego. Zarzuciłam go pytaniami — nie odpowiadał. Ciągłe mnie dręczył pytaniami i rozmową o tym komitecie, o zebraniach... o socyalistach. Aż mnie to zniescierplawiło... Wszedł pułkownik!... Straszne!... On — jest szpiegiem!... Od zmysłów od-

chodzę! To niepodobna!... Przywidziało mi się. Jestem chorą — bardzo chorą... Nie odróżniam rzeczywistości od złudzenia, od halucynacji!... On — szpiegiem! Ja mu ufałam ślepo. Wierzyłam! Poświęciłam wszystko... wszystko!... Podły!...

„Nie ma dla mnie świata, jutra! Nażyłam się dosyć!... Nie myślę. Czasem tylko, gdy wspomnę na dawne czasy, to mnie taki śmiech serdeczny porywa, pusty śmiech! Jakaż ja byłam dziecinna... Bo właściwie!... Teraz, w tej chwili... śmieję się... szczerze! Ta historia niezrównana... Naiwności!... Zebrania, szept, idee... składki, a potem epilog... Cha — cha!...

„Właściwie dlaczego i na co jeszcze czekają? Na wyrok! Więc jeszcze inny wyrok będzie? Mnie zdawało się, że tego wystarczy mi na całe życie!

„Był doktor! Milcząca facjata... Dali mi dzisiaj mleka... Upiłam się niem!... Gdybym mogła zasnąć... Nie mogę... Ledwie oczy zmrużę — ukazuję się jego dziwnie wykrzywiona twarz... jak, jak wówczas przy konfrontacji, gdy mu plunęła w oczy... i śmieję się!... Przychodzą do mnie z latarniami — a ja się śmieję!...”

Wiesław otarł pot z czoła. Pozostała mu jeszcze jedna kartka do odczytania. Kartka, w której bez wątpienia znajdzie rozwiązanie okropnej zagadki. Ziemęckiego lęk zdjął. Bał się czytać dalej, bał może przeciąć ostatnich nici nadziei, jaka w nim tlała, gdy myślał o Stefce.

Po raz drugi i trzeci odczytywał od początku rękopis Stefki i zawsze urywał go na ostatniej kartce.

Chwilami, kiedy rzucił okiem na ustępy rozczarowania — ogarniała go szalona radość, coś jakby tryumf, że nienawiść jego do Łączewskiego, tak jasno znajdowała potwierdzenie. Widział, że był w swej miłości własnej pomszczonym. To znów, zastanowiwszy się nad okropnym losem dziecięcia, które padło ofiarą, a które w gruncie poszło może tylko za głosem serca, bez żadnej myśli antypaństwowej, socjalnej, rewolucyjnej, które w danym razie było igraszką uczucia — wyrzucał samemu sobie samolubstwo. On sam był ową fatalnością, co popełniła ją na te zdradzieckie wiry. On poznał ją z Łączewskim — on poił trucizną! Trucizną? — Tak. — Bo tam tylko ideowość prawdziwa może powstać, gdzie sama się narodzi, gdzie jest wynikiem własnych myśli! Przecież ta Stefka w innym razie zostałaby tylko sawantką, czy może sportsmenką... Narzucone zdania, przekonania, uleciały, rozprysły się... Nawet nie dał jej było doznać wrażenia, że... poświęca się, że cierpi za coś, dla kogoś!... A wszak takie przekonanie, to szczęście w cytadeli!

Gdybyż on sam miał je. Gdybyż ta okropna gorycz nie dręczyła go. Gdybyż! mógł sobie powiedzieć: jestem tym i tym! Pustka!

Ona miała tę moc!... Znalazłszy się wśród tych murów — krzepiła się, że tu może zmuszać ją będą do wydania jego. Tymczasem — on — ów ideał — wyśniony, podniecony do kwadrata enót, zalet, szlachetności — jawi się przed nią jako mizerny Judasz! Z małego działacza, przedzierzga się w pospolitego

413
„szpicla“, zaczynającego praktykę od sprzedania kochanki!

W kilka dni zaledwie Wiesław rozwinął ostatnią kartkę i ze wzruszeniem rozpoczął odcyfrowywać niewyraźne, a czytelne wyrazy.

Ku wielkiemu jednak zdziwieniu nie znalazł był tego, czego się spodziewał. Zdania tu były urywane, nie wiążące się z sobą — cudaczne niekiedy.

„Dziś był krupnik. Posługacz się śmieje. Gdyby nie ta podłoga — zatańczyłabym... Tak mi lekko... Wolę walca, niż polkę. Henryk jest szpiegiem — ja wstąpię do żandarmów i pobierzemy się. Że mnie ta myśl nie przyszła wcześniej!...

„Nie mogę sobie przypomnieć, w którym roku był sobór trydencki. Taka ważna data... A podobno jutro ma być wyrok. Dozorca nie wie — doktor także. Mała inteligencja...

„Urządziłam sobie obserwatorium astronomiczne. Wszystkie gwiazdy po kolei muszą się przesuwać nad moim oknem... Dostałam dziś cytrynę...

„Miałam długą rozprawę z prokuratorem. Nie chce uwierzyć, że jestem Maryą Stuart i że muszę być świętą — wymaga tego prosta prawdziwa historyczna. Inaczej Elżbieta nie byłaby Elżbietą. Upierał się — naiwny... Jeszcze muszę się widzieć z Bortwelem. I pożegnać dwór...

„Pytałam się dziś o suknię. Muszę mieć koniecznie. Czarną suknię wolno puszczoną, przepasaną białą szarfą — kryzę szeroko karbowaną i kapturek podcinany... Żadnych pierścionków, żadnych łańcu-

chów. Te idą na podarki... dla służebnic, paziów... Jeden pukiel włosów dla niego z medalionem...

„Czy ja śnię?... Byłam tam... Czytali... długo, głośno... Mówili, że to już koniec... Więc już przestałam żyć?... Śmierć... i po niej nawet, także te mury szare, ponure, głuche, zgrzyt zamków... warta... Tak ciągle, zawsze, nieskończenie... Chcą mi wydrzeć te papiery... nigdy... To mój skarb... Skarb wielki... Testament Maryi Stuart... Schowam go... ukryję... Siepacze Elżbiety go nie dostaną!... Dokument... Niech się świat dowie, że Marya Stuart była socyalistką....

„Głowa mi cięży. Dziwne! Przecież ją ucieli... Trzeba zwołać posiedzenie komitetu. Tak dłużej nie może być. Cel uświęca środki! Składki! Dużo składek. Przewaga kapitalizmu, równość! Lud nas odrodzi! Demonstracje... Muszą być demonstracje!... Nie bez ofiar... Podpalić cytadelę! Burzyć! Tak, chcąc budować, trzeba burzyć!... Marya Stuart z wami...”

Zgrzyt raptowny klucza w zamku zmusił Wiesława do przerwania czytania.

Do celi wszedł dozorca a za nim dwóch drabów w cywilnem ubraniu.

— Dzień dobry panu! Dzień dobry! Ot, pan pozwoli, mała formalność...

— Co takiego?

— Nie, *obysk*, rewizya.

— Rewizya? U mnie? Co za rewizya?

— Bardzo przyjemna. Bardzo proszę pana.

— Siadaj — mruknął ostro jeden ze zbirów.

Wiesław machinalnie spełnił rozkaz.

Nie upłynęło dwóch minut, a Ziemięcki był od stóp do głów opatrzony. Na stole przed dozorcą leżały zwoje rękopisów Stefki, ołówki skręcone z ołowiu, papier zapisany od herbaty, pęczek szpagatu i łyżeczka z literami.

Dozorca na widok wydobywanych kolejno tych przedmiotów, aż się pokładał ze śmiechu.

— Ot, widzi pan! Nie mówiłem? Formalność — i dobra formalność! Co się tego nazbierało! To taka choroba. Pan myśli, że pan jeden... tacy wszyscy. Zbierają lada śmiecie — ustrzedz się nie można... A potem dla nas robota. Protokół pisz... Ot, co!... *Obusk* był tego i tego dnia — znaleziono korek i zapalkę.....

— Pan chce te papiery zabrać?

— Jakże pan chciał?

— Dla was nie mają one żadnej wartości... Prosiłbym... Przecie to chyba nie sprzeciwia się...

— Panie! Wszystko się tu u nas sprzeciwia! No! Chodźcie, chodźcie. Czekają na nas.

— Kto czeka?

— Towarzysz...

— Na mnie towarzysz?

— Towarzysz prokuratora. Cha - cha!... *Ostroumno!* Pocięcha!...

— Dokąd mam iść?

— Ba! Kto może wiedzieć! Tam powiedzą. Tam się pan dowie. Dalej, dalej...

Wiesław, eskortowany przez żandarmów, powłókł się za dozorcą — nie pojmując, co ma znaczyć ta rewizja i stawienie przed prokuratorem.

Może te papiery?

Dozorca wprowadził Ziemięckiego ostentacyjnie do sklepionej sali — w której na środku zasiadł szpakowaty jegomość, ubrany po cywilnemu, mając po lewej stronie znanego już Wiesławowi pułkownika.

— Panie prokuratorze, właśnie numer czterdziesty.

— A! A! Pan Ziemięcki! — podchwycił żywo prokurator, wkładając na szyję kuty łańcuch. — Niech pan siada.

Ziemięcki usiadł na krześle przed wzniesieniem.

— Czy pan nie ma nic do nadmienienia odnośnie do poczynionych już zeznań?

— Nic!...

— Pan zaprzecza stanowczo udziału swego w zamachu na konduktora?

— Zaprzeczam!...

Prokurator zaczął kreślić coś nerwowo na przygotowanym szemacie. Dozorca tymczasem zbliżywszy się z potulnym ukłonem do pułkownika żandarmów, rozłożył przed nim z tryumfującym uśmiechem odebrane od Ziemięckiego przedmioty.

Pułkownik zmarszczył się i jął przerzucać rękopis Stefki.

— Skąd pan ma te papiery! — zagadnął niechętnie.

— Te papiery? Były w celi!... Znalazłem je!...

Dozorca zbłądł i przerwał raptownie:

— Panie pułkowniku! To kłamstwo! To nie może być! Więzień był zawsze najniesforniejszym! Trzy razy był poddawany karze dyscyplinarnej. Rady sobie z nim nie można było dać! Sztuczki go się trzymały. Znosił się z sąsiadami! Kto jego wie... pro-

sto „*niegodiaj*“, że trudno było wytrzymać! Cele sam oglądam!

— Zaraz zobaczymy — przerwał sucho pułkownik i zadzwonił. W sali zjawił się skulony kancelista.

— Akta Stefania Wortel! — rozkazał oficer zandarmów.

Po chwili wniesiono stos zeszytów.

Pułkownik rzucił okiem na kilka pierwszych stron i odezwał się ostro:

— Więzień ma rację!

— O co idzie? — wniósł się prokurator. Pułkownik przedstawił mu szeptem sprawę. Prokurator zmarszczył się.

— Już drugi raz toż samo!

— Panie prokuratorze!

— Milczeć! Jeszcze raz i *won* ze służby!

Dozorca trząsł się i kłaniał błagalnie, przewracając oczyma. Prokurator podniósł się z miejsca i zaczął od formułki:

„*Po ukazu Jego Cesarskiej Mości!*“

Wiesław słuchał zimny, obojętny, nie zwracając uwagi na cały aparat formalistyki, nastraszony liczbami tajemniczych paragrafów kodeksu karnego, datami rozporządzeń i postanowień, wreszcie upstrzony całą jego metryką.

Prokurator czytał głosem znudzonym, obojętnym, zimnym — chwilami ustawiał dla zaczerpnięcia powietrza przed wyrzuceniem kilkunastowerszowego okresu — aż nagle z ust jego padły wyrazy:

„Postanowiono wymienionego wyżej Wiesława Marcina dwóch imion — Ziemeckiego — uwolnić dla braku dowodów!“

Prokurator osunął się ociężale na krzesło. Wiesław stał wyprostowany, błądy, wodząc niespokojnie wzrokiem po sali.

Czyżby się przesłyszał? Uwolniony! Nie — to niepodobna! To nowy jakiś a nieludzki figiel!

— Jesteś pan wolnym! — odezwał się pułkownik, jakby litując się nad Wiesławem.

— Proszę podpisać wyrok! — rzekł sucho prokurator.

Ziemecki machinalnie nakreślił swoje nazwisko we wskazanem miejscu.

— Teraz inna sprawa! — zagaił po chwilowej pauzie prokurator. — Panu wogóle tu, w Warszawie, może być niewygodnie... wobec tego na zasadzie przepisów administracyjnych... proponuje się panu wyjazd za granicę... Tam pan znajdzie pole dla siebie! U nas za ciasno dla niego!

— Otrzyma pan natychmiast paszport w kancelaryi i pieniądze na przejazd do tej granicy, która panu przypadnie do gustu. Wyjedzie pan jednak dziś jeszcze... Zgadza się pan?...

Ziemecki skinął głową.

— Proszę podpisać w tem miejscu. Jest to zobowiązanie. W przeciwnym razie może pana spotkać nieprzyjemność...

Prokurator dał znak dozorecy.

— Proszę. Niech pan pozwoli. Tędy!...

Wiesław szedł automatycznie, nie mogąc słowa wymówić. Spazm gwałtowny chwycił go za gardło i trzymał w kurezowym uścisku.

W uszach szumiały mu słowa: „jesteś pan wolnym“... Upijał się niemi.

W kancelaryi, idąc za wskazówkami dozorey, podpisywał kwity, cyfrował rubryki w książce, nie zważając nawet na przemowę, którą uważał za właściwe wygłosić dozorca. Co tego ostatniego aż oburzyło.

— Co panu?... Nie kontent?... Dziwny naród z was panowie! Na ostatku i mnie przez was *wygowor od naczalstwa!* Za co? Tfy! Wy tam głupstwa robicie, a człowiek odpowiadać musi. Ale jeszcze podpiszcie kwit z wina. Nu, może tam jedna butelka się została. A to wam paszport i pięćdziesiąt papierków, *Prelest!*... Wypuścili i jeszcze pieniędzy dali! Wam jeszcze krzywda? Eh! Wy!... No, do *świdania!*... Dorożka czeka na pana.

Wiesław stał nieporuszony. Dozorca parsknął śmiechem.

— Nie chce się odejść? Co? Trofim wyprowadzić ich! A to sami nie wyjdą? Ba, a tam i *druh* czeka.

Ziemęcki popchnięty ku drzwiom, znalazł się w dobrze mu znanym przedsionku. W głębi mignęła mu się poważna twarz Waszewicza, wychylająca się z dorożki. Strumień światła i powietrza uderzył w Wiesława. Ziemęcki zatoczył się i padł zemdlony. Gdy po chwili nieprzytomności ochnął się — był już w dorożce.

— Dalej! Jazda! Byle ostro! — zawołał energicznie profesor. Dorożka potoczyła się rażno ku Warszawie.

Wiesław milezał. Wychylał się z dorożki, rozglądał trwożliwie i tarł niespokojnie czoło. Profesor próbował nawiązać rozmowę, lecz Wiesław głową trząsł i milezał wciąż.

Dorożka minęła mury forteczne. Waszewicz odechnął głęboko.

— Nareszcie! — rzekł z serdecznym zadowoleniem. — Wydostaliśmy się. Wieś! Co tam! Uszy do góry! Minęło!... Chcieli cię zjeść, nie daliśmy się! Co robić! Znam ja to. Siedziałem także!

— Gdzie pan każe jechać? — rzucił z kozła dorożkarz.

— Do „Sępka przyjacielu“ — zdecydował wesoło profesor. Trzeba to oblać.

— To się wie, wielmożny panie — odparł konfidenencyonalnie dorożkarz i zaciął z fantazją konia.

Profesor mówił dalej:

— Zjemy sobie obiad, kolację, bo ja wiem co. Pogawędzimy trochę w gabinecie. A potem na kolej. Wszak jedziesz? Wiem. Tam przyniosą ci walizkę. Pozwoliłem sobie na trochę samowoli w twojem mieszkaniu. Gdzie myślisz osiąść? Byle nie w Krakowie. To nie dla ciebie. Jedź w świat! Ja tu poczynię starania. Kraków cię tylko zdenerwuje. Będiesz mi pisał korespondencye. Damy sobie radę!

W restauracyi Stępowskiego, na placu Teatralnym, czekał już gabinet przygotowany.

Wiesław z nieśmiałością dzieciinną zasiadł na pustym fotelu — bawiło go nakrycie, zajmowały sztuce, nieskazitelnej białości serwety i obrusy. Gdy wniesiono dania, Ziemęcki zaczął jeść z jakimś wilczym apetytem — rozkoszując się każdym kęsem chleba, każdym łykiem wina. Profesor spoglądał smutnie na zmienioną, zarosłą twarz Wiesława i starał się wciągnąć go do rozmowy.

— Nie masz pojęcia, ile miałem latania! Bo twoje aresztowanie tak się cicho odbyło, że nie — ani słowa. Jedni mówili, wyjechał, drudzy, chorey, a byli tacy, co się zaklinali, że cię widzieli na ulicy. Aż przechodząc koło twego mieszkania — wstąpiłem i dowiedziałem się prawdy. Wiem ja, co to jest cytadela. Zacząłem starania, żeby ci coś przesłać. Gdzietam! Obiecywali — przyrzekali — nie! Dopiero jak kartka twoja przyszła pozwolili!...

— Ale czyś zrozumiał intencję dopisku w drugim liście? Uważasz?

Atakowałem wszystkich po kolei. Trudności były ogromne — ciągle nie i nie. Wdał się margrabia. Opieraliśmy się na tem, że to niesłychana rzecz, żebyś ty, który byłeś sprężyną komitetu... tego!... Rozumiesz!... Skandal!... Rozmawiałem z pułkownikiem, który cię badał. Dosyć „przyzwoity“ moskal. Ba! Wiesz, co ci głównie pomogło? Śmiech powiedzieć! To, że tam jakaś Wojciechowa, czy Maciejowa, która była u ciebie służącą, czy posługaczką, umarła! Ciemny jestem zupełnie — co tu może być za związek. Ale pocziwina dobrze zrobiła, że się w porę wyniosła z tego świata... Wiesz, nie jedź tyle!... ja to znam!... Nie mówmy o tem... Patrz — ciemno!... Czas leci, co?... Dali ci się we znaki?... Twoje zdrowie!... Cóż ja? Peham taczkę marnego żywota i tyle! Byłe dalej — do lepszych czasów!...

— Jakże... ugoda? — wyrzucił nagle gwałtownie Ziemecki.

— Ugoda? — powtórzył glucho profesor. — Cóż chcesz?... Jeżeli ci o to idzie — codziennie jestem szpie-

giem, moskalofilem, zdrajcą. Przekonasz się, co tam piszą za granicą. Suchej nitki na mnie nie zostawili!... Mówi się najczęściej „kreatury w rodzaju Waszewicza“, lub inaczej: targowiczanie, judasze, złodzieje, zbóje, lotrzy!... Co robić!... Tyle za kordonem — a tu... bojkot cichy, pełen nienawiści. Iada błazen spieszy z wywnętrzeniem się, że z redakcją moją, a ze mną w szczególności, nie wiążą go żadne stosunki. A przecież pismo moje — klnę ci się — słowa nie wymówiło więcej o pojednaniu od „Gońca“ czy „Wiadomości“. I nie dlatego, żeby nie miało odwagi, tylko, że płacę w ten sposób pięknem za nadobne!... Kopią nas — więc i ja kopię!... Prostu — młot i kowadło! Tu dręczy człowieka cenzura za nielojalność — tam plwają na ugode! Chodzę po mieście z piętnem na czole. Czasem bierze mnie ochota bluźnąć żółcią — wstrzymuję się!... A pismo?... To idzie nadspodziewanie... Prenumerata wzrasta. Sam nie wiem, dlaczego nasze społeczeństwo, tak czule na każdą obelgę, nie reaguje?... Może to objaw rozwagi, Daj Boże! Lecz tu nie o społeczeństwo idzie! Tylko o garść kretyków, którzy zlawszy się w klikę, udają katonów. Chcą dyktować prawą, wydawać sądy! Co? jakim prawem? Moje poglądy mają swoje podstawy, mają zasady!... Moją całą przeszłość za sobą! My samostnie nie możemy ludzię się myślać odrodzenia! Musimy szukać punktu oparcia — może na razie z jednego zrezygnować!...

— Więc pan profesor?!...

— Ja?! Słuchaj Wiesiu! Odrzuć system stosowany do nas! Zapomnij o żandarmach, pawilonie, polic-

majstrach, o piekaczach szczujących i drażniących nas, a patrz na przód!... To się musi zmienić!... Te kreatury hurkowskie, murawiewowskie zginąć muszą, zmarnieją!... Rosya musi odnowić swe soki, bo już ją samo czynownictwo gnębić zaczyna!... Ja, ja nie zmieniłem przekonani — tylko przeszedłem w stan bierny! To, że nasze usiłowania nie odniosły skutku, to jest dokumentem błędu politycznego i niedojrzałości ich!... Ale to się zmieni! Germanizm musi wywołać reakcyę pojednawczą... Mówiąc o Rosyi, ty a może i wielu tobie podobnych — widzi przed sobą rewirowego-nieponia, urzędnika-pijacznę, cytadelę, seminarystę-nieuka, odgrywającego rolę „obrusitiela“ w szkole i milion szerszeni, których często własne społeczeństwo wyrzuca, jak pianę za swe granice!... Zamknij oczy!...

— Profesorze! — szepnął błagalnie Wiesław. — Nie mówmy o tem!... Nie mogę! W głowie mi się męsza. Nie chcę wiedzieć o żadnych systemach, partiach, prądach!...

Waszewicz pokiwał głową.

— Daruj Wiesiu! Prawda! Niepotrzebniem się wyrwał! Cóż chcesz! Podła natura! Nie ma się przed kim wygadać! Uważasz, unikają mnie nawet ci, co dzwoniли niedawno razem ze mną! Ale gdzie tobie myśleć o tem! Naturalnie! Czasu, uspokojenia trzeba! Ba — patrz, jedenasta — gwałt! Trzeba na kolej!...

Waszewicz zadzwonił o rachunek i wyprowadził Wiesława przed podjazd. Tam już czekał woźny redakecyjny z kuferkiem. Ziemecki rozejrzał się trwożliwie wśród ruchu szalonego, jakim wrzała Warszawa

w swoim środowisku. Profesor ostatnich jeszcze rad i wskazówek mu udzielał.

— Jedź odrazu — powiem ci gdzie — do Drezn! Miasto ciche, spokojne! Ale, czekaj — masz paszport na austriacką granicę! Jedź do Salzburga! Odetniesz znakomitem powietrzem! Polaków nie ma! Tem lepiej dla ciebie! Od nich bądź z daleka. Pisz mi korespondencye. Jakie chcesz... impresye, opisy! Co ci będzie przypadło do gustu! Ja ci tu może wyrobię jeszcze coś... Tymczasem masz zaliczkę! Obrachujemy się.

Ziemecki uściśnął rękę profesora.

Na dworcu tłum podróżnych zalegał wszystkie sale. Profesor zajął się zakupieniem biletu i wyeksperymentowaniem rzeczy.

— Decydujesz się na Salzburg!?

— Nie! do Krakowa! — odparł z uporem Wiesław.

Po załatwieniu formalności, profesor wyprowadził Wiesława na peron i usadowił w wagonie.

— Pisz tylko — zaraz pisz! Pamiętaj! A jak tam w razie czego — to nie rób ceremonii!... Z całym zaufaniem!...

— Profesorze... jeszcze jedna prośba! Nadużywam jego dobroci!...

— Phi — co to znów?! Oszalałeś?!

— Może i to jeszcze przyjdzie!...

— Bez głupstw! Mów, proszę!...

— Profesorze! Dowiedz się u nich, co stało się ze Stefanią Wortel... była aresztowaną... dwa lata blisko!... W tej samej celi...

Wiesław nagle zbladł i umilkł.

— Co ci jest? Co?!

— Nie — patrz profesorze tam!...

Waszewicz obejrzał się niespokojnie w stronę tłumu — lecz nie nadzwyczajnego nie dostrzegł.

— Nie rozumiem!?

— Żandarm, ten tam!... Znam go... On to mnie prowadził na śledztwo!...

— Co ci do niego! Już sobie nie zaprzątaj tem głowy!... Więc jak się ta pani nazywa?...

— Stefania Wortel!...

— Szanowanie moje! Koję lat! Drogi pan Wiesław!... Góra z górą! Co się z panem robiło!... Profesoruniu!... Sługa pokorny! — rozległ się nagle tuż przed drzwiczkami wagonu krzykliwy głos Czesia Rzążewskiego.

Profesor spojrział ironicznie na Czesia. Wiesław schował ręce do kieszeni. Rzążewski zdawał się nie być wcale zrażonym tem przyjęciem.

— Panowie coś nie w humorku! Obrażeni czegoś!... A ja tu właśnie odprowadzam kuzynkę generałowej! Jedzie biedaczka do Meranu! A pan Wiesław dobrodziej, dokąd!... Moja sympatya!...

— Panie Rzążewski! Nie bądź pan natrętnym!... Pozostaw nas samych! A jeżeli naprawdę nie wiesz, dokąd wyjeżdża Wieś... To widzę, żeś nawet w swoim zakresie bardzo ciemny!...

— Ach! Tak! Szanowanie!... Szczęśliwej podróży! — rzucił nerwowo Rzążewski, wysunął się pośpiesznie i znikł w tłumie.

Równocześnie prawie rozległ się ostatni dzwonek. Profesor uściśnął Wiesława — pociąg ruszył.

Ziemęcki wsunął się w głąb poduszek wagonu i zmruczył...

Czuł zmordowanym, wyczerpanym. Nadmiar wzruszeń przeżytych upoił go. Próbowal zasnąć, nie mógł. Kilku rozpartych podróżnych prowadziło urwaną zdawkową rozmowę. Ziemęcki nie słyszał. W oczach migały mu się czapki żandarmów, wykrzywiona, wkulona w ramiona twarz posługacza, szydreczy uśmiech dozorey. Chwilami spoglądał na drzwiczki wagonu, jakby chciał się przekonać, czy patrzą na niego te szare oczy, świdrujące, zimne...

Pociąg kuryerski mknął szybko, omijając całe sznury stacyj. Nad ranem z sykiem i zgrzytem wpadł na stację w Granicy.

W wagonie zjawił się przed Wiesławem żandarm i uklonił się grzecznie.

— Wszak to pan Ziemęcki?!... Proszę o paszport!... Pan będzie łaskaw ze mną!...

Wiesław podał papier żądany i wszedł za żandarmem na peron. Wprowadzono Wiesława do kancelaryi naczelnika żandarmeryi pogranicznej.

Młody, uśmiechnięty uprzejmie kapitan, podał mu znów jakiś papier do podpisu, ostemplował paszport i zwrócił go Wiesławowi.

— To już wszystko!... W porządku!... Pociąg austriacki stoi już na linii. Może pan siadać!...

Ziemęcki machinalnie wyszedł na peron i wskoczył do najbliższego wagonu.

Gdy pociąg ruszył, a długie płaszcze żandarmów zniknęły. Wiesław odetchnął długo, głęboko. Jakiś ciężar spadł mu z piersi. Śmiech porwał go nagle, dziki, gwałtowny.

Raz jeszcze rzucił okiem na znikającą w oddali rzeczniczkę graniczną i lży mu w oczach nęły. Miał-
żeby kraj jego rodzinny zniknąć dla niego a zawsze.
Kto może mu zabronić powrotu do ziemi, która go
wydała?!...

W Trzebini po celnikach napłynęła do wagonu
fala ogorzałych twarzy. Ziemęcki z zadowoleniem
przysłuchiwał się śmiało prowadzonym rozmowom,
otwarcie wypowiedianym zdaniom. Ludzie ci nie oba-
wiali się ani uszu, ani oczu.

Siedzący obok Ziemęckiego jegomość zagadnął
o coś Wiesława. Rozmowa z początku urywana, ba-
nalna, zeszła na sprawę Kongresówki.

Ziemęcki zapalił się, cała zeń gorycz wybuchnęła
nagle. Z odczuciem jał malować stosunki Królestwa,
przygnębienie moralne, bezprawie, samowolę.

Towarzysze podróży Wiesława słuchali, kiwali głó-
wami. Gdy Wiesław zmęczony umilkł, z kąta wagonu
ozwał się podtatusiały jegomość:

— Tak to, tak!... Ale... wy macie przynajmniej co
do garnka włożyć!...

— Właśnie!... o, właśnie!! — potwierdzili inni.

Ziemęcki zaciął zęby.

— Pan do Krakowa? — zagadnął ktoś z pasaże-
rów, chcąc zmienić przedmiot rozmowy.

— Nie panie! — odrzekł sucho Wiesław. — Do
Salzburga! Zresztą wszystko jedno gdzie, byle najdalej
od wszystkich waszych robót politycznych i partyj!!

Pasażerowie spojrzeli po sobie i usłyszeli się
z politowaniem.

Stampy:
Biblioteka...
K O N F E C
77153

69103
22.11.17
45-
Rocznice
Ten co tam po
Koniach
Ten który cyfał
Konia
Książki mek da mi
"szajgla" i "mejerer"
a tak mi to go polowicz...